

Ten facet to dopiero jest ktoś!

LEE CHILD

Steve Cavanagh

WKREĆCENI



Nie pozwól, by **MORDERSTWO** stało
na drodze naprawdę dobrej historii!

ALBATROS

Steve Cavanagh

WKREĆCENI

Z angielskiego przełożyła
IZABELA MATUSZEWSKA

ALBATROS

Wydanie elektroniczne

Tytuł oryginału:

TWISTED

Copyright © Steve Cavanagh 2019

All rights not reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2019

Polish translation copyright © Izabela Matuszewska 2019

Redakcja: Joanna Kumaszevska

Zdjęcia na okładce: Shutterstock

Projekt graficzny okładki oryginalnej: headesign.co.uk

Opracowanie graficzne okładki polskiej: Kasia Meszka

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS SP. Z O.O.

Hlonda 2a/25, 02-972 Warszawa

tel.691962519

www.wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros

Niniejszy produkt nie jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia do dowolnego użytku. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest zupełnie legalne i nie podlega żadnym sankcjom :-))

Przygotowanie wydania elektronicznego: Michał Nakoneczny, hachi.media

Więcej ebooków i audiobooków na chomiku JamaNiamy

ZANIM PRZECZYTASZ TĘ KSIĄŻKĘ, MUSISZ WIEDZIEĆ TRZY RZECZY:

Po pierwsze, szuka mnie policja, żeby oskarżyć o morderstwo.

Po drugie, nikt nie wie, kim jestem.

Po trzecie, jeśli odkryjesz moją tożsamość, będziesz następną ofiarą.

Ale kiedy przeczytasz tę książkę, zobaczysz, że prawda jest o wiele bardziej pokręcona...

Kim jest J.T. LeBeau?

Światowej sławy autorem bestsellerowych kryminałów. Genialnym twórcą fabuły, który zadba o to, żeby każdy bohater i czytelnik został koncertowo wkręcony. Pewna kobieta podejrzewa, że jest nim jej mąż, który ukrywa miliony na koncie, a w zamkniętej szufladzie trzyma dowody potwierdzające jego związek z tajemniczym pisarzem. Ale prawda jest o wiele bardziej skomplikowana...

I daję mordercy olbrzymią przewagę.

Spis treści

[O książce](#)

[O autorze](#)

[J.T. LeBeau Wkręceniu](#)

[Od autora](#)

[POCZĄTEK KOŃCA. Sierpień](#)

[ROZDZIAŁ PIERWSZY Cztery miesiące wcześniej](#)

[ROZDZIAŁ DRUGI](#)

[ROZDZIAŁ TRZECI](#)

[ROZDZIAŁ CZWARTY](#)

[ROZDZIAŁ PIĄTY](#)

[ROZDZIAŁ SZÓSTY](#)

[ROZDZIAŁ SIÓDMY](#)

[ROZDZIAŁ ÓSMY](#)

[ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY](#)

[ROZDZIAŁ DZIESIĄTY](#)

[ROZDZIAŁ JEDENASTY](#)

[ROZDZIAŁ DWUNASTY](#)

[ROZDZIAŁ TRZYNASTY](#)

[ROZDZIAŁ CZTERNASTY](#)

[ROZDZIAŁ PIĘTNASTY](#)

[ROZDZIAŁ SZESNASTY](#)

[ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY](#)

[ROZDZIAŁ OSIEMNASTY](#)

[ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY](#)

[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY](#)

[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY](#)

[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI](#)

[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI](#)

[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY](#)

[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY](#)

[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY](#)

[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY](#)

[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY](#)

[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY](#)

[ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY](#)

[ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY](#)

[ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI](#)
[ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI](#)
[ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY](#)
[ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY](#)
[ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY](#)
[ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY](#)
[ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY](#)
[ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY](#)
[ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY](#)
[ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY](#)
[ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI](#)
[ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI](#)
[ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY](#)
[ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY](#)
[ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY](#)
[ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY](#)
[ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY ÓSMY](#)
[ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY](#)
[ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY](#)
[ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY PIERWSZY](#)
[ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY DRUGI](#)
[ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY TRZECI](#)
[ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY CZWARTY](#)
[ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY PIĄTY](#)
[ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY SZÓSTY](#)
[ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY SIÓDMY](#)
[ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY ÓSMY](#)
[ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY DZIEWIĄTY - POCZĄTEK KOŃCA - Sierpień](#)
[ROZDZIAŁ SZEŚCDZIESIĄTY](#)
[ROZDZIAŁ SZEŚCDZIESIĄTY PIERWSZY](#)
[ROZDZIAŁ SZEŚCDZIESIĄTY DRUGI](#)
[ROZDZIAŁ SZEŚCDZIESIĄTY TRZECI](#)
[ROZDZIAŁ SZEŚCDZIESIĄTY CZWARTY](#)
[ROZDZIAŁ SZEŚCDZIESIĄTY PIĄTY](#)
[ROZDZIAŁ SZEŚCDZIESIĄTY SZÓSTY](#)
[ROZDZIAŁ SZEŚCDZIESIĄTY SIÓDMY](#)
[ROZDZIAŁ SZEŚCDZIESIĄTY ÓSMY](#)
[ROZDZIAŁ SZEŚCDZIESIĄTY DZIEWIĄTY](#)
[ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY](#)

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY PIERWSZY

Podziękowania

Steve Cavanagh

Prawnik i pisarz. Uznany przez krytyków, nagradzany autor serii sensacyjnych thrillerów prawniczych z Eddiem Flynnem. Jego trzecia powieść *Kłamca* została wyróżniona nagrodą Gold Dagger dla najlepszej powieści kryminalnej 2018 roku. Cavanagh jest połową duetu autorów nagrywających popularne dostępne online podcasty „The Two Crime Writers and a Microphone”, w którym wraz pisarzem Lucą Veste’em omawiają najnowsze wydarzenia na światowym rynku wydawniczym (i nie tylko). **Wkręceni** to pierwsza powieść tego autora poza serią.

stevecavanaghauthor.com

J.T. LeBeau
Wkręcenie

Od autora

To będzie moja ostatnia książka. Więcej już nie napiszę. Myślę, że powód stanie się jasny, kiedy doczytacie tę historię do końca. To ciekawe słowo, „historia”. Czy jest prawdziwa? Czy to wspomnienia, czy fikcja? Nie wiem. Może znaleźliście tę książkę w księgarni na półce z literaturą faktu, a może w dziale „sensacja”. Nieważne. Zapomnijcie o tym. Musicie wiedzieć tylko dwie rzeczy:

1. Na moje szczególne żądanie wydawnictwo nie dokonało w tej książce żadnych zmian redakcyjnych. Nie dodano żadnych notek od wydawcy, nie wprowadzono zmian kompozycyjnych ani w żaden inny sposób nie ingerowano w tekst. Jesteśmy sami, wy i ja.
2. Od tej pory nie wierzcie w ani jedno słowo, które przeczytacie.

*J.T. LeBeau
Kalifornia, 2018*

POCZĄTEK KOŃCA

Sierpień

W prażącym południowym słońcu Paul Cooper stał przed teatrem przy La Brea Avenue z rewolwerem w kieszeni i głową pełną kiepskich pomysłów. Zdjął okulary przeciwsłoneczne, otarł czoło rękawem koszulki i jeszcze raz przebiegł w myślach swój plan.

Poczekaj, aż wyjdą wszyscy goście. Udało mu się stanąć przy samej barierce odgradzonego przejścia między teatrem a ulicą. Goście w drodze do limuzyn czekających przy chodniku przejdą tuż obok niego. Będzie miał stąd idealny widok na wychodzących ludzi. Jego cel gdzieś się tu ukrywa, nie miał co do tego wątpliwości. Najprawdopodobniej w lokalu. Raczej nie w ciżbie zgromadzonej przed wejściem, mimo to Paul uważnie obserwował otaczające go twarze. Nie może zaprzepaścić tej szansy. Kiedy zobaczy swój cel, wyciągnie z kieszeni spodni trzydziestkęósemkę i pociągnie za spust.

Przed lokalem kłębił się tłum. Dwieście lub trzysta osób tłoczyło się po obu stronach barierki. Składali hołd swemu nieżyjącemu idolowi. W teatrze tego dnia nie odbywało się przedstawienie. Salę zarezerwowano na uroczystość upamiętniającą zmarłego J.T. LeBeau.

Ceremonia rozpoczęła się z opóźnieniem i przebiegała wolniej, niż przewidziano w programie. Jak na wszystkich ceremoniach żałobnych, mowy przeciągały się w nieskończoność. Co organizatorzy mogli na to poradzić? Mieli siłą ściągnąć ze sceny Stephena Kinga czy Johna Grishama? Podczas gdy w klimatyzowanej sali najslawniejsi pisarze czytali fragmenty utworów LeBeau, jego miłośnicy na dworze trzymali w wyciągniętych dłoniach książki, wznosili tabliczki, śpiewali i pocieszali się nawzajem w tej zbiorowej przedwczesnej żałobie.

Paulowi zrobiło się niedobrze. Albo z powodu upału, albo zbiorowej hysterii, która otaczała go ze wszystkich stron, przez te wszystkie dorosłe

kobiety oplakujące zmarłego pisarza. Albo z obu powodów. Albo od wódki. Musiał wypić kilka mocnych drinków, żeby przestały mu się trząść ręce.

Tak naprawdę nie przepadał za zabijaniem. Jeszcze się w nim nie rozsmakował. Owszem, miał na rękach krew, nawet dużo, ale to było co innego. To była szczególna sytuacja.

Za każdym razem, kiedy z tłumu dobiegało nazwisko zmarłego pisarza, nóż w jego trzewiach przekręcał się trochę mocniej. Chociaż nazwisko J.T. LeBeau znali wszyscy, to nie można było tego samego powiedzieć o jego twarzy. Przeciwnie, żaden z wielbicieli słynnego pisarza, którzy czekali przed lokalem, nigdy nie widział go na oczy. Mogli mieć każde wydanie jego powieści, mogli nawet zdobyć jeden z nielicznych egzemplarzy jego najśłynniejszego debiutanckiego utworu z autografem autora, lecz nikt nigdy nie spotkał swego idola. Nikt nawet nie widział jego zdjęcia, a co dopiero mówić o spotkaniu twarzą w twarz. A teraz już na pewno nikomu się to nie uda. Zmarli pisarze nie składają autografów.

Tylko cztery osoby na świecie wiedziały, kim naprawdę był J.T. LeBeau. A jedna z nich wkrótce dostanie kulkę .38 Special z pistoletu ukrytego w kieszeni Paula Coopera.

Otworzyły się szklane drzwi i z teatru na upiorny kalifornijski upał wyległy tłumy uczestników żałobnej ceremonii. Oczywiście wszyscy byli przygotowani na taki skwar – na kościstych barkach mężczyzn wisały jasne lniane garnitury. Większość preferowała białe lub kremowe marynarki z czarnymi krawatami, które miały wystarczyć za symbol żałoby. Czarny garnitur w tym upale byłby zabójczy. Kobiety, bardziej niż mężczyźni skłonne poświęcić wygodę na rzecz etykiety, miały na sobie ciemne jedwabne sukienki, które przyklejały im się do nóg, kiedy poprawiały kapelusze i zakładały okulary przeciwsłoneczne.

Krople potu spływały Paulowi po policzku i wsiąkały w brodę. Chwycił w garść przód koszulki i wycierając nią twarz, odsłonił na chwilę błądy brzuch. Kiedy ją opuścił, wilgotny materiał natychmiast przykleił się do ciała. Poczuł w kieszeni ciężar rewolweru. Czuł go również w myślach. Stanął na postumencie bariery i wyciągając szyję, rozejrzał się nad głowami otaczających go ludzi. Nigdzie nie widział swojego celu. Zaczęły go ogarniać wątpliwości, czy jego plan wypali. Może jednak cel się nie pokaże.

I nagle nie było już czasu na zastanawianie się.

Jest. Na czerwonym dywanie. Niecałe dwa metry od niego. Mija go z pochyloną głową.

Dziesiątki razy wyobrażał sobie tę chwilę. Czy popatrzy przestraszony prosto w lufę wymierzonej w siebie broni? Czy krzyknie? Czy zdąży

zareagować ochrona?

Otaczali go czterej ochroniarze. Szli po dwóch, powoli, czujnie. I podczas gdy cel, pochylając głowę, patrzył w dół, oni uważnie obserwowali tłum po obu stronach przejścia.

Gdy tylko rozlegnie się strzał, ochroniarze rzucą się w stronę Paula. Miał świadomość, że zamierza zabić człowieka w biały dzień na oczach pięciuset świadków. I wiedział, że się z tego wywinie. To nie ulegało wątpliwości. I zarazem przedstawiało najłatwiejszą część planu. W końcu miał na koncie kilka trupów. Co najmniej kilka. A prawdopodobnie więcej. Tak łatwo traci się rachubę.

Najtrudniejsze będzie pociągnięcie za spust. Złapał jedną ręką za barierkę, drugą sięgnął do kieszeni i zamknął palce na rewolwerze. Powtarzał sobie, że potrafi to zrobić. Żołądek podszedł mu do gardła, aż poczuł na języku piekący kwas. Przełknął go i zdmuchnął z ust ściekający pot. Serce bębniło mu w uszach.

Pomyślał o wszystkim, co przecierpiał. Jeśli jest coś, co pomoże mu przetrwać następne dziesięć sekund, to gniew. Potrzebował go. Musi rozniecić w sobie wściekłość, zamienić ją w silnik, który napędzi go do tego czynu. Przez ostatnie miesiące nie mógł myśleć o niczym innym poza zemstą. Zemstą za zdrady, kłamstwa i ból.

Zrób to, pomyślał. Zrób to teraz!

Zaczął wyciągać broń. Nagle znieruchomiał. Poczuł na ramieniu czyjąś dłoń.

Człowiek za jego plecami pochylił mu się do ucha. Paul poczuł na szyi gorący oddech. Mimo tłumy otaczającego go ciasno ze wszystkich stron i adrenaliny, która dudniła mu w uszach, usłyszał te słowa wyraźnie niczym ryk trąby. Proste stwierdzenie. Wypowiedziane zwyczajnym głosem. Słowa, które przeszyły go na wylot.

– Wiem, kim jesteś – powiedział mu ktoś do ucha. – Jesteś J.T. LeBeau.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Cztery miesiące wcześniej

To była ostatnia rzecz, jakiej Maria się spodziewała. Miłość.

Mimo to nie mogła dłużej zamykać na to oczu. Zakochała się w Darylu. Pięknym, czułym Darylu. Leżeli w łóżku w ciepłych promieniach słońca, w łagodnym powiewie wiatru wpadającego przez okno do sypialni – chwilowe wytchnienie od żaru namiętności. Czuła w jego włosach zapach morza. Jego wargi na swoich ustach. Jego dłonie na swoim ciele.

Tego popołudnia nie pragnęła niczego innego.

Oplotła go w pasie nogami, skrzyżowała kostki i mocno zacisnęła. Daryl zamknął oczy, rozchylił usta. Poczowała, jak przez jego ciało przebiega dreszcz.

Kiedy skończył, rozplotła nogi i delikatnie go odepchnęła. Zsunął się i opadł na łóżko obok niej. Odwróciła się na bok i popatrzyła przez wysokie okno na morze. Było spokojne i błękitne. Na skrawku piaszczystej plaży pod wzniesieniem, na którym stał dom, bawił się pies. Maria nasłuchiwała, ale nie słyszała szczekania. Za daleko. Po chwili w polu widzenia pojawiła się para młodych ludzi idących plażą. Dziewczyna pomachała psu patykiem, po czym rzuciła go na płytką wodę i objęła z powrotem swojego chłopaka.

Maria poczuła w żołądku rosnącą pustkę. Zaszło jej w gardle.

Odwróciła się i popatrzyła na Daryla. Leżał na plecach, jego umięśniony brzuch unosił się i opadał coraz wolniej. Pocałowała go. Była w tym pocałunku tęsknota. Wiedziała, że go kocha. Że to uczucie jest prawdziwe. I że ta pustka w żołądku bierze się z myśli, że być może nigdy nie będą spacerować razem po plaży. Na pewno nie tak, jak ta para z psem. Odsunęła się, ujęła w dłonie jego twarz.

Tak, kochała tego mężczyznę, ale była żoną innego. Myśl o mężu wywoływała wrażenie, jakby ktoś potracił gramofon i igła, przeskakując po winylowych rowkach rzeczywistości, ze zgrzytem próbowała zamienić ją w piosenkę miłosną. Maria ma do zrobienia kilka rzeczy. Musi posprzątać. Jeszcze raz go pocałowała. Tym razem cmoknięcie bardziej przypominało mobilizację do działania niż pocałunek. Rzeczywistość już się zakradała, aby zaanektować jej drogocenny czas spędzany z Darylem, ukraść go i wrzucić ją z hukiem w prawdziwy świat.

– Wszystko w porządku? – spytał.

– Tak – odparła. – Myślę właśnie, że muszę zmienić pościel.

– Daj mi chwilkę, to ci pomogę.

Wstał i poszedł do łazienki. Maria znalazła swoje ubranie na stercie w nogach łóżka i włożyła dzinsy i bluzkę. Związała gumką długie, czarne włosy, po czym zabrała się do zdejmowania pościeli. Kiedy miała coś do zrobienia, robiła to szybko. Nie znosiła lenistwa. Każde zadanie wykonywała z prędkością stu kilometrów na godzinę. Sprzątanie, pranie, szorowanie, chodzenie, nawet seks.

Prawie rozdarła poszwę, kiedy ściągała ją z kołdry. Zgarnęła ją i rzuciła za siebie, w stronę dużego lnianego kosza w łazience. Potem zdjęła prześcieradło, zwinęła je w kulkę, lecz tym razem odwróciła się przed wrzuceniem go do kosza. Podeszła z powrotem do łóżka, żeby ściągnąć poszewki z poduszek, i poczuła pod stopą coś twardego. Spodnie Daryla. Podniosła je i też cisnęła do łazienki.

– Dzięki – powiedział Daryl.

Kiedy wrócił w niebieskich dzinsach do sypialni, Maria rozkładała już świeżą pościel, wyjętą z szuflady pod materacem. Daryl włączył radio na stoliku nocnym. Było nastawione na stację rockową, ulubioną muzykę jej męża. Wcisnął guzik wyszukiwania częstotliwości i znalazł stację z przebojami z lat osiemdziesiątych. Uśmiechnął się na dźwięk pierwszych akordów utworu A-ha. To była jedna z ulubionych piosenek Marii. I on o tym wiedział, poznała po jego cierpkim uśmiechu. Chwył za drugi koniec prześcieradła i pomógł jej rozłożyć je na łóżku. Wcisnął brzegi pod materac bez zakładania rogów. Maria okrążyła łóżko, wyciągnęła je z powrotem i założyła materiał na rogach. Daryl uniósł materac, żeby mogła wsunąć prześcieradło pod spód. Jej mąż nigdy nie zmieniał pościeli. W niczym jej nie pomógł. Zaczęła się kołysać w rytm muzyki, czym wywołała szeroki, wyluzowany uśmiech na twarzy Daryla. Położył dłonie na jej biodrach, poczuł ich kołysanie, przyciągnął ją do siebie i łagodnie zaczął całować w kark. Roześmiała się i wymknęła mu z objęć. Wiedziała,

jak to się skończy, jeśli jeszcze raz ją pocałuje. Znowu wylądują w łóżku. Nie potrafiła mu się oprzeć. Musiałaby znowu zmieniać pościel.

Wprowadzili się z mężem do tego domu tuż po ślubie. Za miesiąc będą obchodzić drugą rocznicę. Nie wyczekiwała tej daty z entuzjazmem. Za tydzień minie pięć miesięcy jej związku z Darylem. Wiedziała doskonale, na którą datę bardziej się cieszy. Cofnęła się zadowolona. Łóżko wyglądało nienagannie. Mąż się nie domyśli. Chociaż sytuacja dojrzewała do tego, że pragnęła, aby się domyślił. Zachowywała tajemnicę, ponieważ nie chciała spłoszyć Daryla. Sprawy przybierały coraz poważniejszy obrót i z każdym dniem Daryl stawał się dla niej coraz ważniejszy. Za żadne skarby świata nie chciała tego schrzanić.

Od przyjazdu do miasta nie mogła znaleźć pracy. W Port Lonely nie było wielkiego zapotrzebowania na piarowców. Właściwie na nic nie było wielkiego zapotrzebowania. Nad ulicami unosiła się pustka nawet latem, kiedy na chodnikach roiło się od turystów i mieszkańców domów letniskowych. Miasto wyglądało jak raj bogatych dupków. Kilka przyzwoitych restauracji, jedna główna ulica z kilkunastoma sklepami, w których nikt nie sprzedawał niczego, co Maria chciałaby kupić. Poza tym dwa kluby golfowe i morze. To był cały Port Lonely.

Po upływie pierwszego roku w tym mieście Maria zaczęła się czuć, jakby zsuwała się w ciemną czeluść. Z początku flirtowała z mężczyznami w restauracjach, kiedy jej mąż od wielkiego dzwonu postanowił, że wyjdą gdzieś razem. Wylawiała najprzystojniejszego faceta w lokalu, ściągając na siebie jego uwagę, po czym z uśmiechem odwracała wzrok, gdy tylko odwzajemnił jej spojrzenie. Kiedy to nie pomagało, zastanawiała się nad posunięciem się o krok dalej. Może przygoda na jedną noc? Lecz nigdy tego nie zrobiła.

Jej mąż jeździł do pracy daleko i zostawiał ją samą. Mówił, że w marketingu trzeba pracować z ludźmi, najlepiej twarzą w twarz. Potem, w grudniu, poznała Daryla i wszystko się zmieniło. Gdyby się nie spotkali, prawdopodobnie do tej pory już by oszalała.

– Napuścić ci wody do wanny? – spytał Daryl. – Czy najpierw zapalimy?

Był na wpół ubrany. Jego koszula nadal leżała na krześle pod oknem, spodnie z niezapiętym paskiem trzymały się na biodrach, na twardym brzuchu lśniła warstewka potu. Lubił ćwiczyć, nurkować, surfować i palić, niekoniecznie w tej kolejności. Palenie nie stanowiło problemu w motelach, z których korzystali poza miastem, lecz w domu było bardziej kłopotliwe. Po kochaniu z Darylem lubiła odprężyć się w wannie. Kąpiel ją uspokajała, pomagała pomału wejść w inne życie.

Zaschło jej w gardle, ale potrzebowała papierosa bardziej niż kąpieli. Nigdy nie paliła nałogowo, miała ochotę zapalić tylko po seksie lub butelce wina.

Daryl stał w milczeniu, patrząc na swoje paznokcie i czekając, aż odpowie. Maria przygryzała wargę i zwlekała z odpowiedzią, aby móc mu się przyglądać. Nie poszła z nim do łóżka, aby z nim rozmawiać. To nie był tego typu związek. Daryl nie przypominał ludzi, których znała. Lubiła jego niezależność i spokój. Aurę przystojnego cygana. Piękny ptak, którego postanowiła sobie zatrzymać. To nie znaczy, że był głupi. Wiedział różne rzeczy. Czy może, mówiąc ściślej: trochę wiedział o wielu różnych rzeczach. Lecz Marii to wystarczało. Ważne, że był atrakcyjny. Coś w jego jasnych, żółtawych włosach i surowych rysach twarzy przyciągało wzrok ludzi. Była szczęśliwa, kiedy mogła otulić się jego potężnymi ramionami i pałac papierosy, kołysać się łagodnie na osłonecznionym leżaku na werandzie.

– Poczekaj chwilę – powiedziała. – Wyjdziemy na dwór. Nie chcę, żeby w domu śmierdziało dymem.

Przerzucił sobie niedbale koszulkę przez ramię i poszedł pierwszy na dół. Dom nadal wyglądał jak na zdjęciu z katalogu agencji nieruchomości, a raczej jakby był na tym rynku od bardzo długiego czasu. Kremowa farba poszarzała, na suficie zaczęły się pojawiać pęknięcia, zamaskowane przez poprzedniego właściciela przed sprzedażą. Dwa tygodnie temu Maria zapytała, czy mogłaby zrobić mały remont. Czuła się podle, że musi prosić męża o taką rzecz. Odpowiedział, że nie. Podoba mu się tak, jak jest, a ona musi sobie wymyślić inne zajęcie, najlepiej niezbyt kosztowne i takie, które mógłby kontrolować.

Poszła za Darylem przez kuchnię i szklane drzwi na werandę. Stały tam dwa bujane fotele, pomalowane na zielono w stylu vintage. Dla Marii wyglądały, jakby robił to jakiś mocno podstarzały gość i uwidocznilo się to w jego pracy.

– Niech to szlag – zaklął Daryl. Wyciągnął z dzinsów paczkę cameli i lustrował jej zawartość.

Maria patrzyła, jak wysypuje na dłoń dwa połamane papierosy i reszkę tytoniu.

– Och, przepraszam. Tak mi się zdawało, że poczułam coś twardego, kiedy nadepnęłam na twoje spodnie – powiedziała ze skruchą.

– Nieważne, skarbie. – Zgniół w dłoni paczkę i zgniecione papierosy, po czym wyrzucił je na długi trawnik za werandą.

To był taki kontrast w porównaniu z tym, jak spędzała czas z mężem. Już jej nie przyciągał ten jego melancholijny wzrok. Zrozumiała, że nie da się go ożywić ani pomóc mu się otworzyć, tak jak sobie kiedyś wyobrażała. Gdy się poznali, był kochanym mężczyzną, lecz przepełniał go smutek. Maria dostrzegła w nim odbicie swojego własnego stanu ducha i wydawało się, że ich związek opiera się na kolejnych próbach leczenia się nawzajem. Sądziła, że potrafi go odmienić, sprawić, że odnajdzie szczęście i w ten sposób uzdrowi również w sobie to coś, co nigdy nie pozwalało się zadowolić. Okazało się to kiepskim pomysłem na małżeństwo. Byli niczym dwoje narkomanów próbujących się nawzajem wyciągnąć z uzależnienia. W końcu zdała sobie sprawę, że go nie zmieni, nie ogrzeje lodu, który tkwił w nim głęboko niczym rana.

Za to w Darylu nic nie musiało tajać, był ciepły i otwarty, wesoły i miły. Może trochę prosty, ale przecież wszystko, co w życiu najlepsze, jest właśnie takie – proste. Ta milcząca bliskość dzielona z Darylem na werandzie przynosiła jej nawet więcej głębszego zadowolenia niż seks.

– Wiem, gdzie znaleźć papierosy – powiedziała.

Odwróciła się i poszła do kuchni. Słyszała, jak Daryl wchodzi za nią do domu. Zatrzymali się razem przed dębowymi drzwiami. Maria wyciągnęła rękę i sięgnęła na występ nad futryną. Poczowała pod palcami zimny metal. Wzięła kluczyk i otworzyła gabinet. Jej mąż bardzo surowo bronił własnej prywatności, mimo to zostawiał klucz do swojego gabinetu na półeczce nad drzwiami, głównie z jednego powodu – za tomem Dickensa trzymał ukryty rewolwer. Gdyby do domu wtargnął włamywacz, jego żona wiedziała, gdzie może znaleźć broń.

Zobaczyła ciemną boazerię gabinetu, rzędy książek wzdłuż ściany, globus w kącie pokoju, w głębi ciężkie, szerokie biurko, zwrócone przodem do wejścia, zieloną lampkę, laptopa i notes na biurku. Odsunęła się na bok, żeby wpuścić Daryla.

– Wiem, że gdzieś tu trzyma schowane papierosy. Czasem po kryjomu popała, czuję to od niego. I w pokoju również, chociaż myśli, że tego nie zauważam.

– No to najwyraźniej cię nie zna – stwierdził Daryl, obejmując ją w talii i całując w szyję.

Odepchnęła go żartobliwie. Jeśli go szybko nie powstrzyma, znowu zaczną się kochać. W łóżku to jedno, lecz uprawianie seksu na biurku w prywatnym gabinecie jej męża wydawało się jednak przesadą. Nie był złym człowiekiem, owszem, niekiedy dalekim i chłodnym, lecz Maria wiedziała, że ją kocha i okazuje tyle uczucia, ile potrafi. Dwa lata temu to

wystarczyło, aby się pobrali. Teraz pomału uprzytomniała sobie, że wyszła za niego z niewłaściwych pobudek. Zakochała się w wyobrażeniu człowieka, jakim mógł się stać. Była młodą romantyczką. Teraz zaczęła zdawać sobie sprawę, że ten człowiek nie potrafi sprostać jej wyidealizowanym wizjom.

Zaczęli przeszukiwać półki, skrytkę w globusie, po czym Daryl podszedł do biurka, a Maria zajrzała za modele samolotów, samochodów i zdjęcia jej i męża, oprawione w ramki i stojące na półkach.

Nagle usłyszała trzask pękającego drewna i obejrzawszy się błyskawicznie, zobaczyła Daryla trzymającego w jednej ręce paczkę papierosów, a w drugiej pękniętą szufladę biurka.

– Znalazłem – oznajmił. – Cholera, przepraszam. Została mi w rękach. Wydawało mi się, że się zacięła, więc szarpnąłem.

– Cholera! – Z szuflady na dywan wypadły papiery i Maria zauważyła odłamany kawałek drewna przy zamku. – Jezu, na pewno to zauważy.

– Kiedy wraca?

– W niedzielę wieczorem.

Był piątek po południu. Szansa na znalezienie dobrego stolarza, który byłby w stanie naprawić szufladę i zamek w tak krótkim czasie, wydawała się Marii równie wątpliwa jak CV Daryla.

– Niech to szlag! Nie stój tak, pomóż mi to pozbierać – mruknęła.

Uklękli razem i zaczęli zgarniać luźne kartki, które wypadły z szuflady na dywan. Niektóre wypełnione były gryzmołami, inne szkicami strategii marketingowych dla klientów, jeszcze inne notatkami z jakiejś kampanii. Wmieszały się między nie również pożółkłe wycinki z gazet. Kiedy Maria ułożyła je wszystkie w staranną kupkę, odwróciła się do Daryla, by wziąć od niego papiery, które pozbierał.

Tylko że Daryl niczego nie układał. Z ustami otwartymi w idealne „o” wlepił wzrok w jedną kartkę.

– Wiesz, skarbie, domyślałem się, że nieźle wam się wiedzie, ale nie miałem pojęcia, że jesteście aż tacy bogaci – powiedział z głupawym uśmiechem.

Maria ściągnęła brwi i wyrwała mu tajemniczy arkusz. Jej mąż miał swoje inwestycje, swoje doradztwo marketingowe, które co roku przynosiło sześciocyfrowe dochody, lecz nic aż tak szokującego. Mieli też dwadzieścia tysięcy na koncie oszczędnościowym. Ogólnie byli dość zamożni, ale nie nadziani, jak nieustannie przypominał jej mąż.

Spojrzała na dokument. Wyciąg bankowy z zeszłego roku. Na konto z nazwiskiem jej męża wpłynęły dwa miliony dolarów. W lewym górnym

rogu wyciągu widniał ich adres domowy. Sprawdziła datę dokumentu, popatrzyła na sumy. Znowu spojrzała na nazwisko, przyjrzała mu się litera po literze.

Jej mąż miał tajne konto bankowe.

W zeszłym roku dokonano na nie dwóch wpłat. W odstępie mniej więcej sześciu miesięcy. Za każdym razem milion dolarów. Jeszcze więcej wpłacono dwa lata temu. Saldo rachunku wynosiło dwadzieścia milionów dolarów.

Marii zaparło dech. Wzbierała w niej wściekłość. Skóra na szyi zaczęła ją piec, na twarz wystąpiły kropelki potu.

Jej mała sypialniana rebelia była niczym, absolutnie niczym w porównaniu z tym kłamstwem jej męża.

W tym momencie powiedziała coś, czego tak naprawdę nie myślała. Coś, w czym nie było ani grama prawdy, a mimo to, kiedy wyrzuciła z siebie te słowa, aż się zdziwiła, że coś takiego wyszło z jej ust.

– Zabiję go.

ROZDZIAŁ DRUGI

Była zbyt wściekła, żeby protestować, kiedy Daryl wiozł ją swoim kabrioletem do miasta na drinka, na którego tak naprawdę wcale nie miała ochoty. Nie dbała o to, co wiatr robił z jej włosami; siedziała z łokciem opartym o drzwi, dłonią przyciśniętą do ust i patrzyła na morze pojawiające się i znikające za wysokimi skałami, kiedy samochód kluczył krętą drogą w stronę miasta. W pewnym sensie z ulgą wyrwała się z tego domu.

Daryl próbował z nią rozmawiać, ale źle go słyszała przez ryk silnika i ogłuszające chłostanie wiatru. W końcu przestał próbować. Wobec kłopotliwego milczenia, które zalegało po każdym jego pytaniu, skapitulował.

Tymczasem przed oczami Marii niczym znaki drogowe przelatowały wspomnienia scen z jej krótkiego małżeństwa.

Na przykład kiedy kupiła sobie drogie buty od znanego projektanta. Ta jego mina. Pierwsza rocznica ich ślubu, niekończące się utyskiwania na cenę szampana. Niewiele pił i nie widział wielkiej różnicy między jednym szampanem a drugim, więc czemu ona musi kupować jakiś konkretny rocznik za dwieście dolarów? Pamiętała nawet ton jego głosu, kiedy to powiedział: „Dwieście dolarów!”. Zupełnie jakby kupiła wille w południowej Francji.

Gdy się poznali, jej przyszły mąż wydawał się bardzo samotnym człowiekiem. Pamiętała jego twarz, kiedy powiedziała do niego „Cześć” tamtego wieczoru w piwnicy knajpy na Manhattanie. Miała przed nim wielu chłopaków, pewnych siebie, zdolnych młodych mężczyzn z motocyklami, talentem muzycznym i rozdętym ego. Żywiółowych. Mężczyzn, jakich pragnęła kobiety. Nie było wieczoru, żeby któraś nie spoglądała pożądliwie na jej chłopaka.

Nic takiego nigdy nie zdarzyło się w obecności jej męża. Był przystojny, miał ładne włosy i uroczy uśmiech. Lecz w jego oczach zawsze majaczył jakiś smutek. Może to właśnie on ją do niego przyciągnął tamtego

wieczoru. Kiedy go sobie przypomniała, doszła do wniosku, że wtedy nie przejmował się tak wydawanymi pieniędzmi. W każdym razie nie na tyle, żeby to zauważyła.

Potrząsnęła głową. Jak mogła być taka głupia? Tyle razy ją upokarzał, wmawiając jej, że ich na nic nie stać, podczas gdy tak naprawdę nie chodziło o pieniądze.

Chodziło o kontrolę.

Od miesięcy się nie kochali. Był wiecznie zmęczony. Zawsze pracował w gabinecie do późna w nocy. Od czasu do czasu odprężał się przy butelce wina albo przy jaincie i kończyli wieczór w łóżku, ale takie okazje zdarzały się coraz rzadziej.

W tym roku wyczuła, że coś przed nią ukrywa. Kiedy rozmawiali o swoim życiu sprzed ślubu, stawał się chłodny i mało mówny, jakby wznosił między nimi barierę i pewne części swojego życia zatrzymywał tylko dla siebie. Nawet gdy siedzieli razem na kanapie w swoim nowym domu w Port Lonely, Maria czasem zerknęła na niego dyskretnie i zauważała, że siedzi zatopiony głęboko w myślach, daleki, chociaż trzymał ją za rękę.

Teraz utwierdziła się w swoim przekonaniu. Przez cały czas miała rację.

Jej mąż nie był tym, za kogo się podawał, jej życie wyglądało inaczej, niż to sobie wyobrażała, i najwyraźniej nie miała nad niczym kontroli. Siedziała w pociągu jadącym Bóg wie dokąd i wcale jej się ta podróż nie podobała. Starła się wynajdywać sobie zajęcia, zabijać czas. Lekcje ceramiki z początku wydawały się ciekawym pomysłem, lecz po jakimś czasie zdała sobie sprawę, że nie znosi dotyku gliny pod palcami. W mieście nie było siłowni, więc Maria wyrobiła sobie nawyk ćwiczenia w domu. Potem jechała do klubu golfowego na śniadanie. To właśnie tam poznała Daryła. Pracował jako kelner. Od początku zwróciła na niego uwagę, ale przez długi czas w ogóle nie rozmawiali. Potem, któregoś weekendu, zbliżyła ich do siebie przytłaczająca nuda Port Lonely. Po rzuceniu zajęć z ceramiki zapisała się na lekcję nurkowania. Kiedy pewnego chłodnego poranka w grudniu przysłała na przystań, zaskoczona, ale i zadowolona zobaczyła Daryła wkładającego skafander. Okazało się, że jest jej instruktorem. Podobały jej się jego uśmiech i ten szczególny wyraz oczu. Trzymali się pod wodą za ręce, a on okazał się cierpliwym i troskliwym nauczycielem. Natychmiast zapisała się na następną lekcję, po której zaproponowała, aby poszli na drinka, i jeszcze tego samego wieczoru wylądowali w motelu.

Od początku wiedziała, że to coś wyjątkowego. Ta świadomość złagodziła jej wyrzuty sumienia. Nie poszła do łóżka z pierwszym lepszym – Daryl był dla niej kimś ważnym. Może popełniła błąd, wychodząc za męża. Może to on był jej prawdziwą miłością. Przy nim czuła, że żyje. I że to życie toczy się właśnie teraz. W jej małżeństwie prawie wszystko rozbijało się o przyszłość – kiedy mąż nie będzie zajęty, kiedy sytuacja się uspokoi, kiedy znajdzie czas. Daryl zawsze miał dla niej czas. Zawsze odbierał telefon, kiedy dzwoniła. Zawsze płacił rachunek w motelu i nigdy nie narzekał, gdy nie odzywała się przez kilka dni.

I miał w sobie ogień, prawdziwy żar, kiedy się kochali. Nawet kiedy po wszystkim leżeli, obejmując się w milczeniu, nadal coś ich łączyło. Czuła się przy nim spokojna, a zarazem niebezpieczna. Związek z Darylem dojrzał. Dawał jej to, czego nie dawał mąż: ciepło. Niczego przed nią nie ukrywał. Zawsze był między nimi kontakt, natychmiastowa, niezaprzeczalna, niemal kosmiczna więź. Czuła się przy nim jak dwudziestolatka – głupiutka, podniecona, otoczona opieką i kochana.

Samochód wziął ostry zakręt, skały znikły i ukazał się ocean. W oddali zobaczyła pierwsze zabudowania przedmieścia. Dwa lata temu siedziała obok świeżo upieczonego męża w jego maserati i wracała tą samą drogą po pierwszym obejrzeniu domu. Kiedy minęli wielkie domy i klub golfowy i w końcu zaparkowali przy Main Street, sądziła, że zbuduje tu sobie życie, w tym spokojnym, niezwykłym i och, jakże cichym miejscu. Mąż wziął ją za rękę i powiedział: „Będziemy tu szczęśliwi”.

I przez jakiś czas rzeczywiście tak było. Czuli się szczęśliwi. Przez kilka miesięcy pracował nad urządzeniem domu, zwykle odrzucając jej propozycje pomocy, nawet najdrobniejsze; sam malował ściany i sam wybierał kolory. Potem, kiedy remont był skończony, zaczął coraz więcej czasu spędzać poza domem. Wyjeżdżał służbowo z klientami, w weekendy z kolegami na golfa. Wracał zbyt zmęczony, żeby zjeść z nią kolację, którą przygotowała. Maria nie była najlepszą kucharką, ale się starała, a on nawet nie próbował tego docenić. Wkrótce urocze, ciche nadmorskie miasteczko straciło swój urok. To rzeczywiście było nowe życie. Samotne. Pomału Maria zaczęła się czuć, jakby utknęła na najgorszym zadupiu świata.

Daryl minął Main Street i miejsce, gdzie kiedyś Maria i jej świeżo upieczony mąż trzymali się za ręce w zaparkowanym samochodzie. Zamknęła oczy, żeby odsunąć od siebie to wspomnienie. Może jednak dobrze jej zrobi, jak napije się drinka.

W Port Lonely były dwa bary. Maria odwiedziła każdy z nich tylko raz.

U Clarence'a mojito kosztowało dwanaście dolarów, na pianinie grał stary jazzman, który sprawiał wrażenie, jakby próbował przebić się przez instrument na zewnątrz, aby uciec od zapachu środków odkażających i awokado.

W drugim barze nie wiedzieli, co to jest mojito, a gdyby kiedyś zobaczyli awokado, prawdopodobnie by je zastrzelili. Podawali dwa rodzaje alkoholu – piwo i burbon, chociaż podobno w damskie wieczory barman odkurzał butelkę tequili.

Miejscowi woleli ten drugi lokal i zwykle mieli go tylko dla siebie. Od czasu do czasu zabłąkała się tu grupka bogatych młodzików, lecz zwykle wytrzymywali około trzydziestu sekund, zanim jeden z nich albo wszyscy wynosili się z baru przerażeni. Szyld przed wejściem głosił *Bar u Barneya*, chociaż Barney umarł dwadzieścia pięć lat temu, a sądząc po smrodzie dochodzącym z łazienki, pochowano go pod płytkami posadzki.

Daryl zaparkował przed Barem u Barneya i kiedy wchodzili, Maria wzięła go pod ramię, ponieważ nikt z klubu golfowego nie mógł ich tu zobaczyć. Klientela z klubu, gdzie w niedzielę przychodziło się w krawacie, nie zbliżyłaby się do Barneya na odległość głosu. Mieszkańcy Port Lonely pracowali zwykle u bogatych właścicieli letnich rezydencji, którzy dawali marne napiwki i nie zadawali się z miejscową siłą roboczą.

Poza kilkoma stałymi bywalcami, którzy chyba zawsze przesiadywali przy barze, lokal wyglądał na pusty. Maria wybrała stolik w kącie sali, podczas gdy Daryl poszedł po drinki. W środku panował półmrok. Na przeciwległej ścianie buczał neon Budweisera, a z żyrandoli, w których uchowały się jeszcze żarówki, z trudem dochodziła do niej odrobina światła.

Po krótkich negocjacjach z podstarzałym barmanem Daryl przyniósł do stolika dwie tequile i dwa millery na popitkę.

– Wiem, że to trochę popieprzone, ale powinnaś się cieszyć – zauważył Daryl, siadając na skórzanej kanapie obok Marii.

Spojrzała na niego, pokręciła głową i pomyślała o swoim gościu w kwestii mężczyzn. Albo byli przystojni i głupi, albo na tyle inteligentni, by okazać się wielkimi kłamcami. W swoim życiu poznała i jednych, i drugich. Jej pierwszy chłopak, z którym była przez dłuższy czas, przyciągał zazdrosne spojrzenia, ale ani jednego zarobionego centa, nie przykładął również ręki do żadnych prac domowych. Drugi, który został jej mężem, okazał się kłamcą. I to piekielnie dobrym. A teraz był Daryl, który czasem mówił bardzo dziwne rzeczy. Uroczy. Kochany. Niewinny jak niemowlę. Boski. W normalnych okolicznościach Maria godziła się z tym,

aby jego dziecięca naiwność dodawała mu uroku, lecz tym razem trochę przesadził. Emocje kotłowały się w niej jak muchy wokół neonu Budweisera.

– Czy ty mówisz poważnie? Nie rozumiesz, co on mi zrobił? – spytała, podnosząc głos.

– Och, daj spokój, wiem, że to dziwne, ale spójrz na to od jaśniejszej strony. Jesteś bogata, dziewczyno.

– Nieprawda, wcale nie jestem bogata. Na jakim świecie ty żyjesz?

Daryl rozłożył ręce i w tym momencie wyglądał, jakby się właśnie zastanawiał nad planetą swojego pochodzenia.

– Skoro to przede mną ukrywał, to musiał mieć ku temu powód. Robi coś, co przynosi miliony dolarów, a mnie trzyma od tego z dala. Dlaczego? Bo jest przestępcą? Bo ma gdzieś inną rodzinę, inne życie? Kurwa mać, co tu się dzieje? Nie pozwala mi wydać ani centa poza tym, co on uznaje za konieczne. Wiesz, ile dostaję od niego pieniędzy na życie? Trzysta dolarów tygodniowo. A kiedy je przekroczę, to się wścieka. Więc teraz ja jestem wściekła. Czy rozumiesz już, jak to wygląda?

Zbesztany Daryl skinął głową i wziął do ręki kieliszek. Maria stuknęła się z nim, żeby mu pokazać, że nie wścieka się na niego, po czym wychylili całą tequilę do dna. Zapieкло ją w gardle. Rozejrzała się po stoliku za cytryną, lecz Daryl nie zamówił cytryny, więc pociągnęła z butelki długi łyk millera.

– Przykro mi, skarbie – bąknął.

Nie była pewna, czy przeprosza ją za to, że nie przyniósł soli i cytryny, czy współczuje jej sytuacji małżeńskiej. Tak czy inaczej, machnęła ręką, żeby przestał.

Na butelkach z piwem osiadł szron, Daryl zaczął nieświadomie skubać naklejkę na szkle.

– Zamierzasz z nim o tym porozmawiać? – zapytał, odrywając z namaszczeniem kawałek wilgotnego papieru.

Maria pociągnęła łyk piwa. Tak naprawdę jeszcze nie zdecydowała. Nie bardzo wiedziała, co robić. Z jednej strony miała ochotę pomachać mężowi przed twarzą wyciągiem bankowym, z drugiej – pragnęła po prostu odejść i złożyć dokumenty rozwodowe. W głębi serca jednak czuła, że żadna z tych opcji nie jest rozsądna. Powinna poznać więcej szczegółów na temat źródła tych pieniędzy, zanim podejmie jakieś radykalne kroki. Usłyszała odgłos odrywanej naklejki. Daryl cały czas patrzył na nią pytająco.

Prawdopodobnie niepokoi się o siebie, pomyślała. Był zdenerwowany. Nie chciał, żeby rzuciła mężowi w twarz informację o ich romansie.

„Skąd masz te pieniądze? A przy okazji, pieprzyłam się z jednym kelnerem z klubu”.

– Nie martw się, nie powiem mu o... o nas – zapewniła.

W pierwszej chwili zamierzała powiedzieć „o tobie”, lecz w ostatnim momencie zmieniła zdanie. Tajemnicza historia z pieniędzmi wzniosła nową nieuchronną barierę między nią a mężem i zbliżyła Marię do Daryła. Przestała mieć opory przed mówieniem na głos o tym, co ich łączyło. To było coś realnego, może nawet jeszcze bardziej po tym, co się wydarzyło. Czasami rozmawiali o tym, jak wyglądałoby ich życie, gdyby odeszła od męża. Widziała, że Daryl tego pragnie, ale się denerwuje. Powiedział, że niewiele może jej zaoferować. Pracuje jako kelner, uczy nurkowania, surfingu, zdaje sobie sprawę, że marny z niego partner, jeśli chodzi o bezpieczeństwo finansowe, i bardzo się tego wstydzi. W takich momentach Maria zapewniała go, że nie obchodzi jej, ile zarabia, lecz w głębi ducha martwiła się tym. Chciała się czuć bezpieczna. Potrzebowała tego. W jej życiu pieniądze zawsze stanowiły problem i nie miała ochoty znowu się z nim borykać. Niewykluczone, że dlatego trzymała się kurczowo swojego małżeństwa. Dla poczucia bezpieczeństwa. Nawet jeśli to było tylko trzysta dolarów tygodniowo.

Sięgnęła do tylnej kieszeni spodni, wyjęła wyciąg bankowy i rozłożyła go na stole.

Wszystkie wpłaty pochodziły od firmy o nazwie LeBeau Enterprises. To nie brzmiało całkiem obco. LeBeau poruszało w jej głowie jakąś znajomą nutę. Powtarzając je w myślach, próbowała sobie przypomnieć, czy mąż o tym wspominał, lecz nic konkretnego nie przychodziło jej do głowy. Mimo to była pewna, że jeśli spokojnie się nad tym zastanowi, na pewno coś jej zaświta.

– Słyszałeś kiedyś o LeBeau Enterprises? – spytała.

Podczas gdy Daryl się zastanawiał, Maria obserwowała, jak jego oczy wędrują po podłodze. Po kilku sekundach pokręcił lekko głową, zmarszczył czoło, lecz nic nie powiedział. Zamknął oczy i zacisnął zęby.

– Ale coś mi ta nazwa mówi, a tobie nie?

– Tak, mnie chyba też. Nie wiem... to dziwne, coś mi chodzi po głowie... ale nie mogę sobie przypomnieć. Może nie myślę jasno. – Rozejrzała się po ponurym barze. Na myśl o kłamstwie męża coś ją ścisnęło za gardło, więc kiedy się odezwała, głos jej drżał z nadmiaru emocji. – Kogo ja szukuję? Dobrze wiem, że nie myślę jasno.

– Mogę jeszcze raz na to spojrzeć? – spytał Daryl.

Powiedział to z nutą optymizmu w głosie, więc Maria podała mu dokument. Przejrzał pozycje wyciągu, po czym wyjął komórkę i wpisał coś, stukając w ekran. Przewijając wyniki, porównywał je z wyciągiem bankowym. W końcu się uśmiechnął.

– Sukinsyn – rzucił.

– Co?

– Pasuje. Jasny gwint, pasuje!

– O czym ty mówisz? – dopytywała się Maria, wyciągając własny telefon.

– Daj mi chwilę. Sprawdzę jeszcze raz.

Lecz Maria nie mogła wytrzymać. Wpisała w okienko *LeBeau Enterprises* i wgrała Wyszukiwanie. Przez górny brzeg ekranu przelatowała biało-niebieska linia. Najwyraźniej sygnał w barze był kiepski. Miała ochotę zapytać barmana, czy nie mają Wi-Fi, lecz kiedy się obejrzała, zobaczyła, jak facet za barem wciska przyciski w pilocie telewizora, i rozmyśliła się.

Daryl odwrócił swoją komórkę i podsunął jej przed oczy.

– Może twój mąż jest tym facetem?

Maria wzięła od niego telefon i zobaczyła stronę internetową z książkami pisarza o nazwisku LeBeau.

– Daty przelewu na wyciągu bankowym pokrywają się z terminami publikacji ostatnich książek J.T. LeBeau – oznajmił Daryl.

Stuknęła palcem w fotografię okładki z wężem i pistoletem, przewinęła w dół i sprawdziła datę wydania. Potem spojrzała na dokument z banku. Data rzeczywiście się zgadzała. Powtórzywszy tę samą czynność dla dwóch kolejnych powieści, otrzymała ten sam wynik. Płatność w wysokości miliona dolarów w dniu publikacji.

– Co to znaczy? Co to ma wspólnego z Paulem? – spytała.

Daryl splótł ręce na piersi i uśmiechnął się z samozadowoleniem.

– Nie rozumiesz? Ależ to bomba! Twój mąż, Paul Cooper, to J.T. LeBeau.

Maria odłożyła telefon na stolik i zdała sobie sprawę, że ma otwarte usta.

– Kim jest J.T. LeBeau, do cholery?

„The New Yorker”, maj 2013

Kim jest J.T. LeBeau?

Brian Everett

Wszyscy kochają tajemnice. Sprzedaż dreszczowców, kryminałów i książek sensacyjnych przyćmiewa nakłady wybitnych dzieł literackich. A absolutne rekordy bije pod tym względem J.T. LeBeau. Jego (ponieważ wiemy, że jest mężczyzną) powieści przekroczyły siedemdziesiąt pięć milionów sprzedanych egzemplarzy. Co pięć i pół sekundy gdzieś na kuli ziemskiej ktoś kupuje książkę z jego nazwiskiem. Jest ono znane w każdym domu w większości krajów na świecie. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że również na twojej półce stoi jeden z jego utworów. Czytelnicy dosłownie nie mogą się nasycić tymi pasjonującymi kryminałami. Do popularności J.T. LeBeau przyczyniają się jednak nie tylko wartka, wciągająca fabuła oraz kunsztownie zbudowane postaci. Wydawcy, księgarze oraz recenzenci uważają, że niewiarygodny sukces tego autora jest efektem jednego z kluczowych elementów konstrukcji jego kryminałów – niespodziewanych zwrotów akcji.

Nie da się ich przewidzieć. A kiedy odkładasz książkę i masz za sobą wszystkie kolejne zwroty i zakręty, pierwszą rzeczą, jaką masz ochotę zrobić, jest namówienie znajomego, żeby ją przeczytał, aby móc z nim o niej rozmawiać (uwaga redaktora: robiłem to z każdą jego książką). Wydawcy J.T. LeBeau doskonale o tym wiedzą. Nie ma żadnych tras promocyjnych, żadnych wywiadów, występów w *This Morning* w CBS, żadnego podpisywania książek w księgarniach, wywiadów w NPR. Jeśli istnieje przeciwieństwo promocji, to właśnie w tym wypadku mamy z nim do czynienia. J.T. LeBeau jest pseudonimem literackim. Czyim? Nie wiemy. Nikt nie zna jego prawdziwej tożsamości, nawet pracownicy wydawnictwa. Jego wydawcy wiedzą jedynie, że jest mężczyzną. A może tylko tyle chcą wyjawiać?

Pisząc ten artykuł, pominię dziesiątki tekstów, w których spekulowano na temat prawdziwej tożsamości J.T. LeBeau. Ponieważ do tego właśnie wszystkie one się sprowadzają – do spekulacji. Zamiast tego pragnę zadać inne pytanie. Dlaczego?

Dlaczego jeden z najbardziej uwielbianych, najpopularniejszych i najbogatszych autorów na świecie żyje w ukryciu? Zapytajcie o to samych

siebie. Jestem pisarzem od dwudziestu pięciu lat, wydałem cztery książki i nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności niż sala pełna wielbicieli czekających, aż ujawnię swój geniusz, a następnie podpiszę ich książki.

Ktoś kiedyś powiedział, że pisarstwo jest show-biznesem dla nieśmiałych. I może to prawda. Zdecydowanie należę do introwertyków (szepsem podaję nazwisko bariście ze Starbucksa i nigdy nie narzekam, kiedy je przekręcają), ale bez przesady! Nieśmiałość też ma swoje granice.

Nie wierzę, że powodem tak skrajnej anonimowości jest nieśmiałość. Ani żadna inna chroniczna postać introwertycznych zachowań. Nie ma na tej planecie człowieka, który oparłby się pokusie przyjęcia wyrazów uwielbienia ze strony milionów zachwyconych fanów.

Moja teoria, ponieważ muszę w końcu sformułować jakąś teorię, głosi, że istnieje znacznie bardziej ponury powód anonimowości J.T. LeBeau. Może jest byłym oszustem z kartoteką, przy której Hunter S. Thompson by się zarumienił. A może facetem o dwóch głowach, w dodatku cierpiącym na odrażającą chorobę skóry, i uważa, że sam jego widok odstraszyłby czytelników od jego książek na całe życie. Ja stawiam raczej na to pierwsze. Z jednego, jedyne go powodu.

W sercu każdej tajemnicy kryje się zbrodnia. Nie mogę jednak z czystym sumieniem oskarżyć nieznanego osobnika o występki.

Istnieje, rzecz jasna, bardziej komercyjna przyczyna sukcesu powieści LeBeau – tajemniczość autora. Spekulacje narastające wokół jego tożsamości podsycają zainteresowanie książkami w tym samym stopniu co zwroty i zawiłości fabuły. Po każdej kolejnej publikacji pojawiają się w prasie dziesiątki artykułów, toczą się dyskusje w telewizji i rozgorączkowanych mediach społecznościowych na temat wciąż nierozwiązanej tajemnicy, kim jest J.T. LeBeau. Istnieje ogromne prawdopodobieństwo, że gdyby opadły wszystkie te emocje i ujrzelibyśmy za maską żywego człowieka, sprzedaż jego książek wydatnie by spadła.

Na razie jednak J.T. LeBeau, najślynniejszy nieznanany człowiek na świecie, pozostaje tajemnicą.

ROZDZIAŁ TRZECI

Księgarnia przy Main Street była dla Marii dziewczęcym terenem. Szybko dokończyli piwo, po czym Daryl poprowadził ją na drugą stronę ulicy, a następnie w kierunku kolejnej przecznicy, do Księgarni Misyjnej. Na wystawie, po prawej stronie, Maria zobaczyła kilka książek religijnych o dziwnych tytułach, jak *Jezus i ja* czy *Chrystus w epoce cyfrowej*, po lewej wybór bestsellerów: romanse z okładkami, na których półnaczy kulturyści z obnażonymi sześciopakami podtrzymywali omdlewające kobiety; kryminały z tykającymi zegarami i złowieszczymi sylwetkami mężczyzn; książeczki dla dzieci z kolorowymi ilustracjami na obwolutach.

Lecz w centralnym miejscu, na samym środku wystawy, stały książki w podobnych okładkach. Każda z nich przedstawiała coś innego, lecz łączyło je nazwisko autora wydrukowane taką samą grubą, białą czcionką.

J.T. LeBeau.

Pod spodem widniało jedno zdanie, takie samo na wszystkich tytułach, umieszczone dokładnie w tym samym miejscu.

Siedemdziesiąt pięć milionów sprzedanych egzemplarzy.

– Chyba nie mówisz poważnie – powiedziała Maria. – To ma być Paul? Paul je wszystkie napisał?

– Chodźmy do środka – odrzekł Daryl. – Muszę coś sprawdzić.

Weszła za nim do księgarni. Gdy tylko przekroczyła próg, poczuła na karku powiew klimatyzacji. Miała chęć się zatrzymać i rozkoszować chłodnym powietrzem. Podłoga z sosnowych desek oraz solidne drewniane półki pomalowane na jasnoniebieski kolor nadawały pomieszczeniu spokojny, neutralny klimat. Jedynym źródłem intensywnych kolorów były okładki książek. Między półkami kręciło się kilkoro klientów, dwie kobiety stały w dziale z kryminalną literaturą faktu. Jedna musiała być po osiemdziesiątce. Z zapamiętaniem wczytywała się w notkę na ostatniej stronie okładki *Największych gwałcicieli świata*.

Książki J.T. LeBeau stały wyeksponowane na wysokim stojaku przy ladzie. Maria patrzyła, jak Daryl bierze do ręki jedną z nich. Z pochyloną

głową przejrzał pierwsze strony, potem przerwał, założył palcem miejsce między kartkami i skinął na Marię. Zaprowadził ją w głąb księgarni, do działu poświęconego chrześcijaństwu, gdzie nikt nie oglądał żadnych książek, i rozłożywszy z powrotem wzięty ze stojaka kryminał, podsunął go jej przed oczy.

Był to dreszczowiec w twardej oprawie z obwolutą. Daryl pokazał jej skrzydełko, gdzie zamiast zdjęcia czy notki biograficznej pisarza widniała jedynie krótka informacja: *J.T. LeBeau jest pseudonimem literackim. Prosimy o uszanowanie prywatności autora.*

– Połowę rozgłosu wokół tych książek wywołali dziennikarze i blogerzy, którym się zdawało, że wytropili ich autora, lecz nikt nigdy nie zyskał co do tego absolutnej pewności – powiedział. – Istnieją jedynie teorie i hipotezy, to wszystko. Nikt nie wie, kim naprawdę jest J.T. LeBeau.

Otworzył książkę na karcie tytułowej, po czym przerzucił na stronę z wydrukowanymi drobniutką czcionką informacjami redakcyjnymi, które chyba znajdowały się w każdej książce, chociaż Maria nigdy nie przeczytała z tych rzeczy ani słowa.

– Pozwól mi jeszcze raz zerknąć na ten wyciąg z konta – poprosił Daryl.

Sięgnęła do tylnej kieszeni spodni, wyjęła wydruk i podała mu. Chociaż nie odezwał się ani słowem, w jego oczach widać było, że dokonał jakiegoś genialnego odkrycia. Rozłożył przed nią dokument na stronie redakcyjnej książki.

– Popatrz na ten drobny druczek – powiedział.

Maria spojrzała na szeregi niezrozumiałych liczb, mających prawdopodobnie związek z publikacją książki, a potem na informację o zastrzeżonych prawach autorskich. Bez względu na to, co odkrył Daryl, jej to najwyraźniej umykało.

– Co właściwie powinnam zobaczyć? – spytała przez zaciśnięte zęby.

– Informację o prawach autorskich – odparł, rozciągając usta w kalifornijskim uśmiechu.

Ponownie przebiegła wzrokiem stronę. Przeczytała uważnie copyright, po czym przeniosła wzrok na wyciąg bankowy. Powtarzała tę czynność przez pół minuty, uważnie przyglądając się małym literkom i porównując je z wyciągiem.

Nie było najmniejszych wątpliwości. Sumy, które wpływały na konto Paula, zostały wpłacone przez LeBeau Enterprises. Ta sama nazwa widniała na stronie redakcyjnej książki, którą Maria trzymała w ręce.

Zrobiło jej się niedobrze. Zasłoniła dłonią usta, odwróciła się i nie zwracając uwagi na wołania Daryła, wybiegła ze sklepu. Nie wiedziała, w którą stronę pobiec ani dokąd iść, zatrzymała się przy krawężniku, zgięła w pół i oparła dłonie na kolanach. Zamknęła oczy i wciągała głęboko powietrze, przełykając żółć, która podchodziła jej do gardła, i usiłując nie zwracać uwagi na gorzki smak w ustach. Czuła, że zaraz zwymiotuje, jeśli nie weźmie się w garść.

Z trudem przełknęła ślinę. Trochę pomogło, ale pieczenie w gardle nie minęło. Tequila okazała się kiepskim pomysłem. Gdzieś w głębi duszy Maria nie wierzyła w teorię Daryła. Niemożliwe, żeby Paul tak ją okłamywał. Nie mógł tego zrobić, prawda? Sekretne życie słynnego pisarza multimilionera. Życie, którego nie chciał z nią dzielić.

Maria miała trudne dzieciństwo – brutalny ojciec, matka, która ją kochała, lecz nie potrafiła jej ochronić. Brakowało pieniędzy, bezpieczeństwa, rzadko zdarzały się prawdziwie szczęśliwe chwile. Wyprawa do kina albo na piknik do Central Parku to były jej jedyne radosne wspomnienia z dzieciństwa. A nawet wtedy szczęście nie trwało dłużej niż kilka godzin i zawsze przyćmiewał je lęk przed tym, co czeka ją i matkę po powrocie do domu.

Kiedy miała dziesięć lat, doszło do wypadku.

Potem została sama z mamą w mieszkaniu na Bronxie, dopóki nie skończyła siedemnastu lat. Utrzymywały się z pensji mamy, która pracowała sześć dni w tygodniu przy kasie w sklepie spożywczym. Było im ciężko, ledwie wiązały koniec z końcem, ale jakoś dawały sobie radę. Kiedy mama umarła, Maria robiła, co się dało, żeby zarobić na życie. Skromne. Znalazła pracę jako stażystka w agencji reklamowej na Manhattanie, ale kiedy minął okres stażu, nie zaproponowali jej stałej pracy. Dali jej jasno do zrozumienia, że nie zatrudnią dziewczyny, której nie stać na kupno stosownych ubrań wymaganych w takiej instytucji. Zaczęła więc pracować jako menadżerka zespołów muzycznych. Zarobiła trochę pieniędzy, zaliczyła kilku chłopaków, z których każdy był gorszy od poprzedniego.

Aż w końcu pewnego wieczoru w małym barze na Lower East Side poznała Paula. Spotkali się przez przypadek. Maria ignorowała większość mężczyzn, którzy się do niej przystawiali. Zobaczyła go przy barze, wyglądał tak smutno i krucho. Zagadnęła go. Powiedział, że kapela na scenie jest beznadziejna. To była jej kapela. Przyznała się do tego, a on wybuchnął śmiechem, oznajmił, że mają najlepszego menadżera w kraju, ale i tak są do bani. Postawił jej drinka i przegadali całą noc. Spotkali się

kilka dni później i Paul nie wydawał się już taki smutny. Zrobiła dla niego coś dobrego i poczuła się dzięki temu lepiej. Był pierwszym facetem, który niczego od niej nie oczekiwał. Sprawiało mu przyjemność jej towarzystwo i o dziwo, wcale się nie spieszył z posuwaniem znajomości dalej.

Często to powtarzał, ale w taki sposób, że nie czuła się odtrącona.

„Nie spieszymy się”.

To była jego mantra. A także szansa na wyjście awaryjne. Wiedział o niej wszystko. Z wyjątkiem prawdy o wypadku jej ojca. Nikomu nie zdradziła, co się naprawdę wydarzyło tamtej nocy. Opowiedziała mu dobrze wyuczone kłamstwo o zniknięciu ojca. Pewnego wieczoru wyszedł i więcej nie wrócił. Zły ojciec, który porzuca rodzinę, jest zjawiskiem tak powszednim, że nikt nie kwestionował tej historyjki. A już na pewno nie Paul. Przez cały początkowy okres ich znajomości Maria nie dowiedziała się o nim prawie niczego.

Pracował jako doradca marketingowy. Nie lubił rozmawiać o swojej pracy. Jest nudna. Nie, nie ma żadnych ciekawych klientów. Dobrze zarabia i może pracować w domu, to jedyne zalety tego zawodu. Jego rodzice nie żyją. Nie ma rodzeństwa. Ani przyjaciół. Kiedy Maria naciskała, nawet bardzo łagodnie, żeby opowiedział coś o swoim dzieciństwie albo o studiach, lub choćby powiedział, od jak dawna mieszka w Nowym Jorku, zatrząskiwały się okiennice. Paul zamykał się w skorupie i milczał albo zmieniał temat. W końcu przestała nawet próbować.

Obiecał jej lepsze życie. Teraz wiedziała, że mógł jej dać życie znacznie wspanialsze, życie, w którym nie musiałyby się zamartwiać, ile może wydać, i mogłaby uciec od nieustannego lęku, że skończy kiedyś tak jak jej mama. Lecz on postanowił zachować to życie dla siebie.

Gdy zginając się wpół przed drzwiami księgarni, łapała oddech i przęłykała ślinę, popatrzyła na swoje buty. Tydzień temu złamał jej się obcas, a on przypomniał, ile kosztowały, i kazał je oddać do naprawy.

Wspomnienie spadło na nią tak nagle i tak żywe, że aż jej zawirowało w oczach i zwymiotowała na ulicę. Krople śliny i tequili padły na zamszowe buty za dwieście dolarów. Daryl otoczył ją ramieniem, zaprowadził do samochodu i posadził na fotelu pasażera. Kręciło jej się w głowie, nogi miała jak z waty.

– Zawiozę cię do domu. Jeśli znowu zrobi ci się niedobrze, powiedz, żebym się zatrzymał.

Maria osunęła się na siedzenie i zasłoniła dłońmi oczy. Czuła zbliżający się ból głowy. Gdyby słońce nie świeciło na nią tak mocno, poczułaby się lepiej. Poprosiła Daryla, żeby rozłożył dach. Fukał i mruczał do siebie,

szarpiąc się ze starym mechanizmem. Samochód był zabytkiem, to znaczy pięknym wrzodem na tyłku.

Jechali w milczeniu. Nie patrzyła na Daryla, ale czuła, jak rzuca jej nerwowe spojrzenia człowieka, który woli zjechać z drogi choćby do rowu lub na pole kukurydzy, niż zniszczyć sobie tapicerkę.

Chociaż te niespokojne spojrzenia Daryla trochę ją rozpraszały, miała czas, żeby spokojnie pomyśleć. Najchętniej powiedziała by Paulowi wszystko prosto z mostu i zażądała wyjaśnień, ale wiedziała, że on zamknie się w sobie. Nie będzie się kłócił ani zaprzeczał, po prostu się odetnie i wyjdzie z pokoju, jak zawsze, kiedy próbowała poruszać temat jego przeszłości.

Nie miała również moralnej przewagi. Odkryła prawdę wskutek naruszenia jego prywatności, na dobrą sprawę włamania. Zawsze zaciekle bronił wstępu do swojego gabinetu. Teraz zrozumiała dlaczego. Nie widziała bezpiecznego sposobu, aby poruszyć ten temat. Niczego, co dałoby jej niekwestionowaną przewagę. A jeśli postanowi się z nią rozwieść za to, że włamała się do jego biurka? Czy będzie mogła wykorzystać w sądzie dokumenty, które formalnie rzecz biorąc, ukradła?

Daryl wjechał na podjazd jej domu.

– Myślisz, że to naprawdę on? Że Paul jest J.T. LeBeau? – spytał.

– Dużo czyta – odparła, pocierając skronie. – Kryminały, thrillery i tym podobne bzdety. Nie wiem... chyba to możliwe. Na pewno nie zarabia milionów dolarów na marketingu.

Zasłaniając oczy przed Darylem, próbowała się zastanowić. Najpoważniejszym problemem jest biurko. Może udałoby się je naprawić? Potem pójdzie z wyciągiem bankowym do prawnika i wykorzysta go przeciwko Paulowi.

Na pewno nie może zbyt długo zwlekać. Paul wróci za kilka dni. Czy uda jej się wytrzymać choćby przez jedną noc? Miała wrażenie, że ta sprawa będzie ją gryźć, dopóki nie rzuci mu nią w twarz.

A na samą myśl o tej konfrontacji serce waliło jej jak oszalałe, na górną wargę wystąpiły kropelki potu.

Musi być inny sposób.

Wysiadła z samochodu, zamknęła za sobą drzwi i ruszyła w stronę domu. Daryl poszedł za nią, słyszała za plecami, jak żwir chrzęści mu pod nogami. Włożyła klucz do zamka, otworzyła drzwi i poszła prosto do gabinetu.

Chciała przejrzeć resztę papierów w szufladzie. Znalazła je na podłodze i zaczęła ponownie oglądać. Notatki i bazgroły na kawałkach kartek były

prawie nieczytelne. Po chwili na samej górze jednej z nich zobaczyła słowa, które zwróciły jej uwagę. Przyjrzała im się bliżej.

Notatki do Książki Szóstej Bez Tytułu.

Wątek z Hitchcocka. Kobieta stoi w samochodzie na czerwonym świetle i widzi w oknie mieszkania coś, co wygląda na morderstwo. Nie. Oklepane. Motyw przewodni?

Na kolejnych kartkach znalazła więcej takich zapisków z uwagami na temat fabuły, czasu i miejsca akcji oraz motywów działania bohatera. Odłożyła kartki na bok i wzięła do ręki wycinki z gazet. Niektóre były całkiem nowe, inne pożółkłe ze starości. Pochodziły z „New York Timesa”, „Guardiana”, „New Yorkera”, „Time’a”. Wszystkie na jeden temat:

Kim jest J.T. LeBeau?

Daryl stanął za plecami Marii i czytał jej przez ramię.

– To on, prawda? – rzucił. – Rany boskie, miałem rację, Mario. To Paul. To jest mega...

Poderwała się na nogi.

– Nie mów nikomu ani słowa. Nie możemy pozwolić, żeby to się rozeszło. Obiecuj mi.

Jej słowa osadziły go w miejscu i sprowadziły z powrotem na ziemię. Daryl był jak dziesięciolatek w Boże Narodzenie. W każdej chwili podniecenie mogło wziąć nad nim górę.

– Moglibyśmy to wykorzystać – powiedziała. – To może być nasz bilet na wolność. Żeby być razem.

Otwierała się przed nią szansa na lepsze życie, życie, jakiego rozpaczliwie pragnęła. Musiała tylko wykombinować, w jaki sposób może wykorzystać to kłamstwo przeciw niemu.

I jakoś wytłumaczyć, co się stało z szufladą. Nawet jeśli ją naprawi, Paul może to zauważyć. Miał oko do drobiazgów. Taka rzecz nie ujdzie jego uwagi. Maria popatrzyła na zepsuty mebel. Nie chciała, żeby się dowiedział, że wchodziła do gabinetu i widziała te papiery, przynajmniej dopóki nie wymyśli, jak najlepiej rozegrać całą tę sprawę.

Kto wie, do czego może być zdolny, gdyby powiedziała mu prawdę. Po tym, co wyszło na jaw w ciągu ostatnich godzin, doszła do wniosku, że w ogóle nie zna swojego męża. Może ją rzucić, zabrać pieniądze i nigdy więcej nie zobaczy go na oczy. Albo, co jeszcze gorsze, powie, że to jego pieniądze i ona nie dostanie ani grosza. Może zniknąć. Już i tak prawie to zrobił. Okazuje się, że właściwie w ogóle nie znała tego człowieka.

Człowieka, który zostawiał ją samą na całe tygodnie. Jego lodowatego spojrzenia. Jego bólu. Teraz miała Daryła, otwartego, kochającego, oddanego. I odwzajemniała jego uczucia.

Na razie jednak nie czuła się na siłach stawić czoło Paulowi. Ale też nie mogła czekać beczynn timer. Kipiała w niej boleśnie gniew i uraza z powodu zdrady.

Wyszła z gabinetu i ruszyła przez kuchnię na werandę. Popatrzyła na piaszczyste wydmy na plaży i morze. Zerwał się wiatr i powierzchnia kłębiła się białą pianą. Plaża była pusta. Niebo pociemniało. Znad wybrzeża napływały czarne chmury napęczniałe od deszczu. Za sobą na werandzie usłyszała kroki Daryła, ale nie zwracała na niego uwagi. Zapatrzyła się na horyzont i już wiedziała dokładnie, jak ma tę sprawę rozegrać.

– Nic ci nie jest? Może powinienem cię z tym zostawić? Mimo wszystko to nadal twój mąż, a ja za bardzo komplikuję sprawy.

– Nie – odparła Maria. – Wcale nie komplikujesz. Mam teraz tylko ciebie. Kocham cię.

– Ja też cię kocham.

Pierwszy raz powiedział to na głos.

– Porozmawiam z nim jeszcze dzisiaj. Nie mogę tego dłużej odwlekać. Musi wrócić i wszystko mi wyjaśnić. Musi się otworzyć. Jeśli zacznę toczyć z nim wojnę, zamknie się w sobie na dobre.

– Chcesz, żebym został?

– Nie, to by było dla niego za dużo. Muszę sama to z nim załatwić – powiedziała, oglądając się na dom.

Dręczyła ją ta popsuta szuflada. Potrzebuje jakiegoś niewinnego wyjaśnienia tego, co się stało. Czegoś, co zdejmie z niej podejrzenie i skłoni Paula do rozmowy o tym, co znalazła w środku.

– Jak chcesz – rzucił Darył. – Potrzebujesz jeszcze czegoś, zanim wyjadę?

Maria wzięła głęboki oddech.

– Tak. – Odwróciła się do niego z twarzą zastygłą w ponurej determinacji. – Chcę, żebyś mnie uderzył.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Dłonie Paula Coopera śmigały po klawiaturze laptopa. Przyciskał klawisze ze spokojną pewnością siebie. Każde uderzenie miało moc. Wpadał w taki rytm zawsze, ilekroć zbliżał się do końca powieści. Kiedy zaczynał i patrzył na pusty ekran, uderzenia były powolne, lekkie, badawcze. Palce po omacku szukały drogi w świat powieści.

Przerwał, oderwał dłonie od klawiatury i upił łyk zielonej herbaty. Zaparzył ją sobie w małym mieszkaniu na wschodnim krańcu Port Lonely. Kupił ten lokal, aby służył mu za biuro. Teraz od dwóch dni był na morzu, bez Wi-Fi, bez internetu, z zanikającym zasięgiem telefonicznym, tylko on i kubek zielonej herbaty. Kiedy GPS wyświetlił ostrzeżenie przed sztormem, Paul zapisał plik, zrobił kopię zapasową, po czym zamknął laptopa i skierował się w stronę przystani. Dzięki Bogu, że ma biuro po drugiej stronie ulicy, będzie mógł w spokoju kontynuować pisanie.

Kiedy kończył książkę, potrzebował całkowitej koncentracji. Nic nie mogło go rozpraszać. Cały ciężar fabuły spoczywał teraz na finałowym zwrocie akcji.

Zakończenia to wredne suki, pomyślał.

Nie ma dwóch pisarzy, którzy pracowaliby w taki sam sposób. Paul pisał na wycucie. I zawsze udawało mu się wymyślić odpowiedni punkt zwrotny.

Dla tej książki ten moment jeszcze się nie pojawił. Ale wkrótce się wyłoni. Musi tylko cierpliwie czekać.

Odstawił kubek i wrócił do klawiatury, aby znów katować klawisze.

Przerwał pisanie w połowie zdania. Jego uwagę rozproszył brzęczący odgłos. Sięgnął do kieszeni, ale niczego nie wyczuł. Po chwili znowu usłyszał ten sam dźwięk. Wstał i poszedł do marynarki po komórkę. Nieodebrane połączenie od Marii.

Rzadko zostawiała wiadomości głosowe. Wkrótce po tym, jak się poznali, zaprosiła go na kolację do swojego mieszkania w Nowym Jorku. Na „porządną” randkę, jak to nazwała: wino, sałatka z pieczonego kurczaka

i ostatnie lampki wina na kanapie. Paul wstał, żeby skorzystać z łazienki, i przeszedł obok telefonu leżącego na małym stoliku. Był to staromodny, prawie zabytkowy aparat z okrągłą tarczą do wykręcania numerów. Pod spodem stało coś, co wyglądało jak magnetofon kasetowy, lecz Paul zorientował się po chwili, że to kasetowa automatyczna sekretarka. Na stoliku leżało też pudełko z kasetami; niektóre nie miały żadnych podpisów, a na innych widniały naklejki z różnymi wariantami „mamy”, na przykład: *Mama, Boże Narodzenie 1985* albo *Mama, pamiątki VCR*.

Kiedy wrócił na kanapę, zapytał Marię o te antyczne urządzenia.

– Widziałem twój zestaw telefoniczny. Niezły zabytek. Wiesz, że mamy teraz cyfrową pocztę głosową i internet? – zażartował.

Uśmiechnęła się. To była znacznie bardziej zawiła historia.

– Należał do mojej mamy. Dostałyśmy tę sekretarkę razem z pieniędzmi z ubezpieczenia na życie mojego taty. Uwielbiała ją. To było dla niej jak obrzęd przejścia, fakt, że mogłyśmy sobie pozwolić na własny telefon i automatyczną sekretarkę, prawie nie mieścił jej się w głowie. Bardzo często dzwoniła z pracy do domu, kiedy odrabiałam lekcje. Upewniała się, czy wszystko u mnie w porządku, i przypominała, żebym włączyła magnetowid na nagrywanie *Columbo* albo *Star Treka*. Kiedy była w pracy, a ja czułam się samotna albo się bałam, włączałam sobie jedną z kaset w sekretarce. Poza mamą nikt do nas nie dzwonił. Kiedy zmarła, zachowałam te taśmy razem z urządzeniem. Od czasu do czasu włączam je, żeby ją sobie przypomnieć. Żeby usłyszeć jej głos.

Paul uśmiechnął się na to wspomnienie. Maria była okropnie sentymentalna. Nawet kiedy przeprowadzili się do Port Lonely, uparła się, żeby zabrać ze sobą te przekłete graty. Stały włączone, chociaż nikt nigdy nie dzwonił na domowy numer; sama też nie używała starego telefonu, tylko komórki.

Przeniósł wzrok z powrotem na laptopa. Zdekoncentrował go ten telefon, przywołał niepotrzebne wspomnienia. Cmoknął ze zniecierpliwieniem. Robota czeka.

Zegar w telefonie pokazywał dwudziestą trzecią trzydzięci. Paul sądził, że jest dopiero koło osiemnastej. Nie jadł obiadu, a przy czarnych roletach opuszczonych w oknach mieszkania często tracił poczucie czasu. W pewnym sensie to był dobry znak. Świadczył o tym, że myślami nadal jest w świecie książki. Odłożył telefon na biurko i wrócił do laptopa.

Po chwili komórka znowu zaświeciła i zaczęła hałaśliwie wibrować. Telefon obracał się na blacie.

Znowu Maria. To dziwne, zwykle nie dzwoniła o tej porze.

Odebrał niechętnie.

– Cześć, wszystko w porządku? – spytał.

Najpierw usłyszał jej ciężki, zdyszany oddech.

– Jezu, Paul, nie! Próbowałam się do ciebie dodzwonić, było włamanie do domu. Napadli mnie.

– O Boże! Nic ci się nie stało?

– Uderzył mnie, aż się przewróciłam. Nic mi nie jest, ale on uciekł. Paul, boję się – powiedziała głosem łamiącym się ze strachu.

– Zaraz wracam. Właśnie przycumowałam łódź. Zamknij wszystkie drzwi. W skrytce w moim gabinecie jest pistolet. Weź go, na wypadek gdyby włamywacz wrócił. Zadzwoń na policję?

Zawahała się, zanim odpowiedziała.

– Nie, najpierw chciałam powiedzieć tobie. Zaraz do nich zadzwonię.

Zanim zdążył się odezwać, Maria się rozłączyła.

Zaklął pod nosem. Na myśl o tym, że jakiś łajdak przybłąda uderzył Marię, zrobiło mu się niedobrze.

Zachował plik i ze złością wcisnął laptopa do torby. Potem pogasił światła, zamknął mieszkanie i zbiegł po schodach na ulicę. Maserati czekało na parkingu przystani. Łódź i samochód były jego zabawkami, małymi podarunkami, na które sobie pozwolił. W takim mieście jak Port Lonely auto sportowe nie rzucało się w oczy. Maria jeździła znacznie tańszym pojazdem, ale jej nie fascynowały samochody tak jak jego. W takich momentach jak ten cieszył się, że ma pod maską tyle mocy, chociaż kupił maserati z innych powodów... Nigdy nie wiadomo, kiedy będzie musiał uciekać, i to szybko.

Otworzył drzwi, wsiadł do środka, rzucił torbę na siedzenie pasażera i uruchomił silnik. Pięć minut później pędził wzdłuż wybrzeża z prędkością stu trzydziestu kilometrów na godzinę i żałował, że zabrakło mu refleksu, kiedy zadzwoniła Maria.

Tylko tego mu było trzeba – policji węższej po domu. Zadzwoił do Marii przez system głośnomówiący, ale numer był zajęty. Prawdopodobnie cały czas rozmawia z policją.

Docisnął pedał gazu, na ile miał odwagi. Tylko samochodowe reflektory oświetlały jezdnię, a droga zakręcała ostro między skałami. Coś mu mignęło w lusterku. Spojrzał i zobaczył czerwono-niebieskiego koguta obracającego się na dachu samochodu. W samą porę zwolnił do dziewięćdziesięciu. Radiowóz śmignął obok niego w powodzi czerwono-niebieskich świateł i wrzasku syreny.

Paul zaklął i walnął ręką w kierownicę.

Dziesięć minut później zatrzymał się przed domem tuż obok wozu policyjnego. We wszystkich oknach paliło się światło, drzwi były otwarte. W oknie sypialni stał potężnie zbudowany mężczyzna w czapce z daszkiem. Patrzył w jego stronę.

Kiedy Paul wysiadł z samochodu i podszedł do drzwi, mężczyzna stał już w korytarzu. Miał ponad pięćdziesiąt lat, wąsy i parę kilo nadwagi, wskutek czego jego okazały brzuch wisiał nad pasem od kabury.

– Pan Cooper? – spytał.

– Tak – odparł Paul, wchodząc do domu.

– Domyśliłem się, że to pańską bestię minęliśmy na drodze. – Wskazał głową maserati. – Szeryf Abraham Dole. – Dotknął daszka czapki. – Pana żona siedzi w kuchni. Jest trochę roztrzęsiona, ale nic jej nie będzie. Włamywacz zniknął. Jeśli pan pozwoli, rozejrzę się jeszcze raz po domu.

– Proszę bardzo.

Podczas gdy szeryf poszedł na górę, Paul ruszył przez salon w stronę kuchni. Lodowaty dreszcz przebiegł mu po krzyżu, kiedy zobaczył otwarte drzwi gabinetu. Przechodząc, zerknął do środka. Za chwilę obejrzy go dokładniej, ale na pierwszy rzut oka wydawało się, że wszystko jest na swoim miejscu. Maria musiała otworzyć pokój, żeby wyjąć pistolet albo by wpuścić szeryfa.

Jego żona siedziała na wysokim stołku przy blacie kuchennym i przykładła do policzka torebkę z lodem. Owinęła lód ścierką, lecz woda przesiąkła przez materiał i zamoczyła jej włosy i skórę. Na widok Paula odłożyła lód i rzuciła mu się w ramiona. Przytulił ją i pocałował we włosy.

Przemawiał do niej szeptem, mówił, że wszystko już dobrze. Że nic jej nie grozi. Położył jej dłonie na ramionach i łagodnie odsunął, aby spojrzeć jej w oczy. Maria spuściła głowę, jakby nie chciała, żeby na nią patrzył, lecz Paul ujął ją palcami pod brodę i uniósł.

Na policzku widniał zaogniony, nabrzmiały ślad. Oczy też miała czerwone i spuchnięte od płaczu. Znowu schyliła głowę, ukryła twarz w jego piersi i mocno się przytuliła. Nie powiedziała ani słowa, ale czuł, jak jej ciałem wstrząsa szloch. Pogładził ją po włosach, otoczył ramieniem, a jednocześnie obrzucił wzrokiem kuchnię. Niczego niezwykłego nie zauważył, wszystko wyglądało normalnie, poza woreczkiem lodu i komórką Marii leżącą obok.

– Co się stało? – zapytał.

Odpowiedziała zapłakanym głosem, nie odrywając twarzy od jego piersi:

– Oglądałam telewizję i nagle usłyszałam hałas. Jakby tłuczonego szkła. Wstałam i poszłam do kuchni. Myślałam, że spadła szklanka albo coś w tym rodzaju, ale wszystko było w porządku. Więc doszłam do wniosku, że mi się wydawało, i już miałam wrócić na kanapę, kiedy usłyszałam jakiś odgłos dobiegający z twojego gabinetu. Wzięłam twój klucz i otworzyłam drzwi. I wtedy go zobaczyłam.

Paul przycisnął ją do siebie mocniej.

– Kogo zobaczyłaś?

– Mężczyznę. Całego w czerni. Miał na głowie kaptur, więc nie widziałam twarzy. Próbował się włamać do twojego biurka. Zobaczył mnie. Pobiełam do telefonu w kuchni, ale złapał mnie w korytarzu za włosy. Odwróciłam się i zaczęłam krzyczeć. Właśnie wtedy mnie uderzył. Przewróciłam się, a on musiał się przestraszyć i wybiegł przez drzwi.

Biurko, pomyślał Paul.

– Mówił coś? – spytał.

– Nie... Paul, to boli.

Dopiero teraz zorientował się, że za mocno ją ścisnął, jego palce wbiły jej się w ciało. Puścił ją, a ona się cofnęła. Popatrzył jej w twarz, po czym odwrócił się i pobiegł do gabinetu. Wszystkie książki, ozdoby i pamiątki stały na swoim miejscu. Laptop leżał jak zwykle na biurku. Kiedy do niego podszedł, zobaczył stłuczoną szybę w oknie. Na dywanie za fotelem leżały okruchy szkła. Tędy dostał się włamywacz. Wybił szybę, żeby sięgnąć do zamka, otworzył okno i wszedł do środka. Paul okręcił się na pięcie, żeby sprawdzić biurko. Najwyższa szuflada po lewej stronie została wyrwana i popsuta. Jej zawartość leżała rozsypana na podłodze. Przyklęknął i zaczął gorączkowo przeglądać notatki, wycinki prasowe i recenzje. To było prywatne biurko w jego prywatnym gabinecie. Popatrzył jeszcze raz na wybite okno. W ciemności nie widać było plaży ciągnącej się za wysoką trawą. Ktoś go musiał obserwować. Ktoś wiedział, co się znajduje w szufladzie. Jedyne rzeczy w całym domu, które mogły go zdemaskować, leżały właśnie tutaj.

Włosy zjeżyły mu się na karku. Za jego plecami, po drugiej stronie biurka, stała Maria. Wyglądała na oszołomioną i zbolaną. Coś ją męczyło, lecz nie chodziło o uderzony policzek. Wydarzyło się coś jeszcze, coś, co ubodło ją znacznie głębiej. Paul nie miał co do tego wątpliwości.

– Nie zauważyłam, żeby coś zniknęło. Nie przyszedł tu po moją biżuterię ani po kluczyki samochodowe, ani po laptopa. Czego szukał? – spytała.

Paul wiedział, że kłamstwo przyjdzie mu bez trudu. Nawet teraz. Nawet wobec kobiety, którą kochał.

– Nie wiem – odparł.

Słowa uszły z jego ust lekko. Bez poczucia winy. Jego sumienie skapitulowało już dawno temu. Kochał Marię tak mocno, jak potrafił. Kłamstwa były nieodłączną częścią jego życia. Od zawsze.

– Dlaczego włamał się do szuflady? Mam prawo wiedzieć, jeśli dzieje się coś złego – zauważyła.

– Widocznie szukał gotówki albo kart kredytowych. Nie wiem, po co tu przyszedł.

Był gotów przysiąc, że przez ułamek sekundy zobaczył na jej twarzy wyraz niesmaku, może nawet wstrętu, jakby zobaczyła coś odrażającego. Wygięła usta, zmierzyła go z góry do dołu i wybuchła płaczem.

Ruszył w jej stronę, lecz ona wyciągnęła przed siebie rękę i wybiegła z pokoju. W progu wpadła na szeryfa.

– Bardzo przepraszam – powiedział Dole.

Dotknął znowu daszka czapki i wszedł do gabinetu. Poruszał się powoli, jak można się było spodziewać po jego posturze, lecz jego oczy błyskawicznie omiotły spojrzeniem gabinet.

– Wygląda na to, że wszystkie inne pomieszczenia są nietknięte, poza tym – stwierdził. Obszedł dookoła biurko i przyklęknął, żeby obejrzeć okno.

Paul cofnął się i obserwował jego poczynania. Szeryf obejrzał resztki stłuczonego szkła na dywanie, potem zlustrował okno i wreszcie wstał. Zbadał zamek okienny, wysunął głowę przez otwór po stłuczonej szybie, po czym wyjął zza pasa latarkę. Paul zauważył, że nawet nie spojrzał w dół, żeby ją znaleźć. Nie macał palcami, nie szukał jej po omacku; wyciągnął ją jednym płynnym ruchem. Musiał to robić tysiące razy.

– Przyjdę tu jeszcze rano, żeby wszystko obejrzeć, jeśli pan pozwoli. Facet nie wylądował na ganku samolotem. Musiał tu przyjść. Na ziemi mogą być ślady, ale w nocy łatwo je przegapić – oznajmił, gasząc latarkę.

– Słuszna uwaga – zauważył Paul.

Szeryf przeniósł z kolei uwagę na biurko i rozrzuconą stertę papierów na podłodze. Nad nimi wisiała otwarta szuflada.

– Czy coś zniknęło? – zapytał.

Paul pokręcił głową.

– Niczego takiego nie zauważyłem. Wygląda na to, że żona spłoszyła gościa, zanim zdążył coś zabrać.

– Przychodzi panu do głowy, kto mógłby chcieć pana skrzywdzić? Albo pańską żonę? – spytał Dole.

Paul pokręcił głową. Szeryf popatrzył na zepsuty zamek górnej szuflady; inne pozostały nienaruszone. Paul skrzyżował ramiona na piersi

i obserwował, jak tamten rozgląda się po pokoju.

– Nie zdejmie pan odcisków palców czy coś w tym rodzaju? – spytał.

– Nie ma potrzeby. Włamywacze noszą rękawiczki. Przez trzydzieści pięć lat służby ani razu nie znalazłem odcisków palców włamywacza.

– A jeśli ten nie miał rękawiczek? Nie powinien pan przynajmniej sprawdzić?

Na twarzy szeryfa zadrgały wąsy, ale tylko raz.

– Może tym razem to zrobimy – oświadczył. – Jutro przyślę swojego zastępcę. Jest pan pewien, że nic nie zginęło?

– Jutro sprawdzę jeszcze raz, ale jestem prawie pewien.

– No dobrze. Wyślę później radiowóz, żeby objechali dom i upewnili się, czy wszystko w porządku. Nie będziemy wam przeszkadzać. Zeznania spisujemy kiedy indziej. No to życzę państwu spokojnego wieczoru.

To rzekłszy, szeryf dotknął daszka i ruszył do wyjścia. Paul odprowadził go i zamknął za nim drzwi. Kiedy usłyszał, jak samochód odjeżdża, odetchnął z ulgą. Odwrócił się i zobaczył Marię stojącą na szczycie schodów. Obserwowała go uważnie.

– Już dobrze, kochanie, już jestem w domu. Prześpij się, ja będę czuwał. Drań nie będzie taki głupi, żeby tu wrócić. A jeśli wróci, będę na niego czekał.

Maria nie odpowiedziała. Przez długą chwilę stała nieruchomo z rękami opuszczonymi wzdłuż boków i patrzyła na niego z góry. Paul nie potrafił wytrzymać tego spojrzenia, spuścił wzrok, po czym odwrócił się i wrócił do gabinetu.

Próbował sobie przypomnieć, co zostawił w szufladzie. Zamknął oczy i starał się odtworzyć w pamięci, co przynosił do domu z biura. Kilka wyciągów bankowych, zanim zainstalował sejf w mieszkaniu na przystani. Czy zabrał je z powrotem? Nie mógł sobie przypomnieć.

Przez lata był niezwykle ostrożny. Żadnych nadmiernych wydatków. W każdym razie takich, których nie mógłby wykazać w zeznaniu podatkowym. Kupił samochód, płacąc ze swojego fikcyjnego konta służbowego, a łódź za książki. Obie rzeczy kosztowały dużo, ale nie były to zabawki milionerów. Nie dorównywały tym, które stały w przystani lub garażu przeciętnego mieszkańca Port Lonely. Paul się nie wychylał, nie rzucał się w oczy, trzymał usta na kłódkę.

A mimo to został nakryty.

Stare, znajome uczucie zaczęło podnosić łeb. Czuł, jak się budzi, jak pełźnie po nim, jak przejmuje nad nim kontrolę. Pot zaczął się z niego łać,

jakby pękła jakaś tama, język wysechł mu w ustach, ramiona obwisły, a palce zacisnęły się w drżące pięści.

Powrócił strach.

Wyjął komórkę i zaczął pisać maila, lecz po chwili przerwał; skasował wszystko, co napisał. Na razie nie ma potrzeby jej w to mieszać. A jeśli to ona go zdradziła? Nie. Wpada w panikę. Nie myśli trzeźwo. W każdym razie o tej porze i tak już nic nie działa. Jeśli do niej napisze, to może zadzwonić, a Maria jest na górze i mogłaby usłyszeć.

Pokręcił głową. Pozwolił, aby strach przejął nad nim kontrolę. Tak naprawdę może tylko czekać i obserwować, jak sprawa się rozwinie. Musi być gotowy na wszystko.

Po cichu wrócił do gabinetu, zdjął z półki dzieła zebrane Dickensa i wsunął za nie rękę. Rewolwer leżał tam gdzie zawsze. Czekał, na wypadek gdyby Paul go potrzebował.

Smith and wesson, trzydziestkaósemka.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Gdy tylko szeryf Dole wyjechał z podjazdu przed domem Cooperów, chwycił mikrofon i włączył radio.

- Jestem, Abraham. Złapałeś kogoś? – usłyszał głos z dyspozytorni.
- Skąd, dawno uciekli, Sue – odparł.

Sue oraz dwoje pełnoetatowych zastępców Dole'a tworzyli całe Biuro Szeryfa w Port Lonely. Jak na miasteczko o bardzo niskiej przestępczości można powiedzieć, że była to wyjątkowo dobrze dofinansowana placówka. Bogaci rezydenci, którzy utrzymywali miasto w sezonie wakacyjnym, dbali o bezpieczeństwo i ochronę. Aby miejscowa ludność się nie bisurmaniła, nie rysowała im drogocennych ferrari, nie sikała na róże w ogródkach, dofinansowywali policyjny budżet na charytatywnych bankietach z daniami za sto dolarów i na piknikach z grillem i sprzedażą domowych wypieków. Pieniądze spływały szybciej, niż szeryf mógł je wydać.

Sue pracowała z nim prawie dwadzieścia lat. Była bystra, nie dawała sobie wciskać kitu i chociaż nie chodziła w mundurze, w znacznym stopniu to właśnie jej miasto zawdzięczało tak wysoki wskaźnik wykrywalności przestępstw. Po części przyczyniła się do tego jej czujna inteligencja, a po części fakt, że znała w okolicy chyba każdą żywą duszę i nigdy w życiu nie puściła mimo uszu żadnej plotki.

– Jak sobie radzi ta przemiła dziewczyna? – spytała Sue. – Kiedy dzwoniła, sprawiała wrażenie przerażonej.

– Dostała w twarz. Będzie miała siniaka, ale nic więcej – odparł Dole.

– Co się właściwie stało?

– Mówi, że usłyszała brzęk tłuczonego szkła w gabinecie. Kiedy otworzyła kluczem drzwi, zastała zamaskowanego włamywacza klęczącego na podłodze za biurkiem jej męża. Rzucił się na nią, uderzył, a potem uciekł przez drzwi.

– Jak dostał się do gabinetu?

Dole'owi zadrgały wąsy.

– Nie przegapisz żadnego haczyka, co?

– Umiem wyczuć, kiedy coś zwęszysz. No dawaj, nie duś tego w sobie.
– No więc coś w tym domu nie gra. Między panią Cooper i jej mężem.
W powietrzu wisi jakieś napięcie.

W radiu przez długą chwilę panowała cisza, po czym Sue rzuciła:

– No, dawaj, dawaj! To nie wszystko.
– Powinnaś być instruktorem technik przesłuchiwania, wiesz o tym? To pewnie nic ważnego.

– Ale coś jest. Nie próbuj przede mną niczego ukrywać, szeryfie.

– Rzecz w tym, że nie widzę tu sensu. Pani Cooper mówi, że otworzyła kluczem drzwi do gabinetu i spłoszyła włamywacza. Przyłapała go na gorącym uczynku. Włamywacz właśnie wszedł przez wielkie otwarte okno. Po co do niej podbiegł, uderzył ją, a potem uciekł przez drzwi frontowe, skoro mógł się po prostu odwrócić i w mgnieniu oka zwać tą samą drogą, którą przyszedł?

– Złodzieje to zwykle skończeni idioci. Ta kobieta może mówić prawdę.

– Może. Ale to i tak nie tłumaczy, dlaczego włamywał się do szuflady w starym biurku, kiedy tuż przed nim leżał laptop, łatwy do opchnięcia na czarnym rynku w Plainsfield za dwa patole.

– Mógł – zgodziła się Sue. – Jedziesz tam jeszcze jutro?

– Pewnie tak. Rano wezmę ze sobą Bloch, żeby zebrać zeznania i rozejrzeć się. Nie powtarzaj jej tego, co ci powiedziałem, niech sama to wywęszy. Jest bystra, chcę się upewnić, że nie ponosi mnie wyobraźnia. I bądź łaskawa nie wypaplać o tym nikomu.

– Mówisz, jakbym robiła takie rzeczy. Obrażasz mnie – obruszyła się Sue.

– Robiłaś takie rzeczy. Na przykład kiedy złapałem starego Petersona z gołym tyłkiem i nadmuchiwana lalką na siedzeniu pasażera w samochodzie. Zanim wróciłem do komisariatu, wiedziało o tym całe miasto.

Nawet nie próbowała się spierać, tak ją rozśmieszyło to wspomnienie.

– Przejadę się po mieście. Rozejrzę się – oznajmił. – Wrócę później.

Sue się rozłączyła i w radiowozie zapadła cisza. Dole wyciągnął rękę do radia, lecz po lewej stronie zobaczył wodospad i zawahał się.

Dziesięć lat temu, pod koniec długiego, gorącego lata, wyciągnął z wody u stóp wodnej ściany zwłoki dwudziestokilkuletniej młodej kobiety. Były nagie, napęczniałe wodą. Obrażenia potwierdzały, że musiała spaść ze skały. Albo że została brutalnie zamordowana. Nikt nie zgłosił się po ciało. W bazie danych nie znaleziono zgodnego DNA. I na ile dało się to ocenić, kobieta nie pasowała do żadnego zdjęcia ostatnio zaginionych osób.

Pochowano ją na cmentarzu miejskim. Na pogrzebie byli tylko Dole i Sue.

Ilekcroć przejeżdżał tą drogą, a nie zdarzało się to zbyt często, siedział przez chwilę w milczeniu, wspominając tę dziewczynę. Większość policjantów zakwalifikowałaby to jako nieszczęśliwy wypadek. Brak wyraźnych dowodów przestępstwa. I przeszliby nad nim do porządku dziennego.

Lecz akta sprawy niezidentyfikowanej kobiety nadal spoczywały na dnie szuflady szeryfa. Wyjmował je raz na jakiś czas i sprawdzał aktualizacje w bazie danych osób zaginionych. Sprawa pozostała otwarta i pozostanie taka, dopóki Dole nie odkryje, co się przytrafiło tej dziewczynie.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Maria wstała o piątej rano, wzięła prysznic, ubrała się, przemknęła się na palcach obok męża śpiącego w salonie, wyszła na dwór, wsiadła do samochodu i odjechała. Kiedy przejeżdżała przez Port Lonely, nowo narodzone słońce świeciło w przednią szybę. Najbliższe miasto na wybrzeżu leżało osiemdziesiąt kilometrów dalej, ale nie musiała jechać aż tak daleko. W połowie drogi między Port Lonely i Port Hope zjechała do całodobowego baru, urządzonego w przyczepie z miejscami dla dwudziestu osób. Podawali tam tak gorącą kawę, że mogła zedrzeć szkliwo z zębów, i nie obrażali za brak napiwku.

Otworzyła drzwi, wciągnęła w nozdrza zapach bekonu i przypalonych jajek. Przy barze siedziało dwóch rybaków z trawlera cumującego w Port Hope. Zyski lokalu pochodziły z wyśrubowanych cen za niedobre jedzenie serwowane o każdej porze dnia i nocy. Każdy, komu zdarzyło się zejść z łodzi o trzeciej nad ranem i kto potrzebował kanapki i piwa, przyjeżdżał do Lonely Hope.

Zza baru wyszła kelnerka – na oko czterdziestoletnia blondynka z dziesięć lat starszym uśmiechem. Zaproponowała Marii stolik w kącie sali z menu, które trzymało się powierzchni blatu jak przyklejone.

– Poproszę kawę – rzuciła Maria.

Kelnerka – Sandy, jak informowała plakietka na jej piersi – odpowiedziała skinieniem głowy. Przez chwilę walczyła, aby odkleić od stołu jadłospis, i w końcu jej się udało. Odszedł z odgłosem zasysania, jakby odrywała mokry rzep. Po chwili na stół wjechała filiżanka ze spodeczkiem, szybko napełniona parującą czarną kawą z dzbanka. Maria poprosiła o cukier i śmietankę, na które musiała czekać znacznie dłużej. Sandy nie dostanie napiwku, pomyślała.

Tuż po szóstej do baru przyszedł Daryl. Usiadł naprzeciwko niej i poprosił o latte. Maria siłą powstrzymała uśmiech na widok miny Sandy. Są biała kawa, czarna kawa i napoje gazowane, nic więcej. Daryl zgodził się więc na białą kawę.

– Przez całą noc nie zmrużyłam oka – powiedziała Maria.

– Ja też. Nie masz pojęcia, jak fatalnie się czułem. Nigdy w życiu nie uderzyłem kobiety. Jak twój...? – Nic więcej nie chciało mu przejść przez gardło, urwał w połowie zdania i zawiesił głos, pocierając palcem o policzek. Nie potrafił powstrzymać wyrazu obrzydzenia na twarzy. Wczoraj wieczorem przekroczył granicę. Uderzenie Marii wywarło na nim niezatarty ślad.

Wyciągnęła rękę, ścisnęła go za ramię i zmusiła się do uśmiechu.

– Nic się nie stało. Sama cię o to poprosiłam, pamiętasz? Musiałam cię błagać, żebyś się zgodził. Przepraszam, że cię do tego zmusiłam, ale to było konieczne, żeby Paul uwierzył w naszą historyjkę. Wszystko w porządku, wyrzuć to z głowy.

– Nie umiem. Nigdy w życiu nie uderzyłem kobiety. Boże, nie mogłem sobie wczoraj znaleźć miejsca, tak się o ciebie martwiłem. Miałem ochotę walić się po głowie.

– To nawet urocze, że tak się czujesz. Przepraszam. Nigdy więcej nie zmuszę cię, żebyś mi robił krzywdę. Obiecuję, że ci to wynagrodzę – zapewniła Maria.

– Zapytałaś go o tę szufladę?

– Nic nie powiedział, ale widziałam, że jest roztrzęsiony. Wie, że zostawił tam coś ważnego. Najistotniejsze jest to, że mnie nie podejrzewa. Policjanci sobie poszli. Uznali całą sprawę za włamanie rabunkowe.

– Więc przeszłaś przez to wszystko na próżno?

Odruchowo i na wpół świadomie podniosła dłoń i pogładziła się po policzku. Obrzęk prawie zniknął, lecz skóra pozostała zaczerwieniona. Unikając jej spojrzenia, Daryl pochylił głowę i napił się kawy. Potem wlepił wzrok w stolik. Maria poczuła wyrzuty sumienia. Mimo swojej siły i potężnej postury Daryl był absolutnym słodziakiem, prawie niewiniątkiem. Walcząc z poczuciem winy, popatrzyła w jego ciepłe, brązowe oczy i pomyślała, że to ogromne szczęście mieć kogoś takiego.

– Nie na próżno – zaprotestowała. – Nie podejrzewa mnie. Uważa, że ktoś włamał się do domu i wyrwał szufladę. Już choćby dlatego warto było trochę pocierpieć, ale...

Umilkła i pokręciła głową. Wargi jej zadrżały, popatrzyła przez brudną szybę na drogę biegnącą za oknem. W końcu nabrała powietrza, wzięła się w garść i ciągnęła:

– Spytałam go, po co ktoś włamywał się do jego szuflady. Nie odpowiedział. Próbowałam robić aluzje, ale na próżno. Niech to szlag!

Chciałam, żeby mi powiedział prawdę. To była świetna okazja, żeby wyciągnąć wszystko na światło dzienne. A on pary z gęby nie puścił.

Otoczyła dłońmi filiżankę i zapatrzyła się w jej zawartość, lecz w tłustawej powłoce na powierzchni kawy nie znalazła żadnych odpowiedzi. Kiedyś naprawdę go kochała. Na samym początku ich związku zdawało się, jakby rósł z każdą chwilą spędzoną w jej towarzystwie. Jakby na jego barkach spoczywał wielki ciężar i z każdą godziną, kiedy przebywali razem, brzemień odrobinę ustępowało, pozwalało mu się więcej uśmiechać, bardziej rozluźnić, być sobą. Lecz ciężar nigdy całkiem nie zniknął. Wyobrażała sobie, że z czasem tak się stanie. Że miłość wszystko przewycięży i Paul wpuści ją całkiem w swoje życie, w swoją przeszłość i marzenia. Niestety, tak się nie stało, więc porzuciła wszelkie próby zdjęcia ciężaru z jego piersi. Nigdy nie było go w domu, ciągle wyjeżdżał na konferencje marketingowe, na spotkania z klientami albo wypływał tą swoją przeklętą łodzią. Tymczasem Daryla nic nie przygniatało, nie miał żadnych tajemnic, którymi nie chciał się z nią dzielić. Był otwarty, szczery i... wolny.

Maria zdała sobie sprawę, że nie uwolni Paula. Że musi to zrobić sam. Kiedy czas płynął, a on nadal nie przestawał się zamykać w swojej zimnej twierdzy i za każdym razem wznosił między nimi tę lodowatą barierę, w końcu przestała próbować.

Tego ranka na parkingu przed przydrożnym barem zdała sobie sprawę, że nie czuje już żadnych wyrzutów sumienia z powodu romansu z Darylem. Wydawał się bardziej naturalny i zrozumiały niż kiedykolwiek wcześniej. Paul był obcym człowiekiem, który tylko udawał jej męża. Chodzącą szaradą. I teraz ona nie musi już udawać, że są małżeństwem. Ta cała farsa, w którą się wplątała, musi się skończyć. Kiedy patrzyła na Paula wczoraj wieczorem, a on kłamał jej prosto w oczy, przejął ją obrzydzeniem. Nie ma ochoty dłużej brać udziału w tej małżeńskiej komedii.

Musi położyć temu kres.

Daryl poruszył się niespokojnie na krześle.

– I co teraz zrobisz? – spytał.

Uśmiechnęła się.

– Na razie chcę, by zrozumiał, że ktoś go zdemaskował. Chcę go zdenerwować. Zobaczyć, co zrobi. Kiedy się obudzi i wyjdzie na dwór, przeżyje szok. Obwozi się w tym włoskim sportowym wozie, a mnie każe się tłuc czteroletnim nissanem z trzystoma dolarami tygodniowo na utrzymanie siebie i domu. Kiedyś uważałam, że to w porządku... no wiesz, w końcu to jego pieniądze. Ale to nie jest małżeństwo. Kupił sobie

samochód za sto tysięcy dolarów! To się musi zmienić, Daryl. Zostawiłam mu prezent w tej jego ukochanej furze i mam nadzieję, że zesra się ze strachu.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Paula wyrwał ze snu przeszywający ból w szyi. Słońce grzało w okna salonu i oślepiło go, gdy tylko otworzył oczy. Podnosząc się, zamrugał, żeby rozproszyć mroczki, a jednocześnie zaczął rozcierać sobie kark. Na podłodze obok kanapy leżały poduszki, musiał je w nocy zrzucić. Stąd ten kręcz w szyi.

Spał na dole na wypadek, gdyby włamywacz postanowił wrócić, lecz po kilku godzinach odniósł rewolwer z powrotem do gabinetu i ułożył się na kanapie, zbyt zmęczony, żeby wchodzić po schodach.

Wciąż miał na sobie dżinsy i T-shirt z zeszłego wieczoru, pognieciony i śmierdzący potem. Poczul w ustach niesmak. Nie wyszorował nawet zębów przed spaniem. Musi wziąć prysznic i włożyć czyste ubranie. Ale najpierw kawa i papieros. Okropnie potrzebował jednego i drugiego.

W kieszeni torby od laptopa trzymał paczkę cameli i zapalniczkę. Zaparzył sobie espresso i wyszedł z nim na werandę. Było bardzo wcześnie, Maria zwykle nie wstawała przed dziesiątą, miał więc czas na ukradkowego papierosa na dworze. Chociaż jego żona i tak wiedziała, że nadal od czasu do czasu pali. Zawsze zaprzeczał, lecz ona nigdy mu nie uwierzyła. To mu nawet odpowiadało. Jeśli Maria uważała, że go przechytrzyła w kwestii potajemnego palenia, to czuł się jeszcze spokojniejszy, że za nic w świecie nie odkryje jego drugiego życia. Niech sobie wierzy, że go rozgryzła.

Pałac, rozmyślał o wydarzeniach wczorajszego wieczoru. Może jednak wysnuł pochopne wnioski? W świetle dnia wszystko wydawało się mniej złowieszcze. Może to naprawdę był zwykły złodziej? Jeśli nawet zabrał wyciąg z rachunku, to i tak nie ma sposobu, żeby mu zaszkodzić. Przynajmniej na razie. Na pewno nie podejmie jego pieniędzy ani nie dotrze do jego osobistych danych. Konto znajduje się na Kajmanach i jest chronione hasłem. Całkowicie bezpieczne.

Dokończył kawę i poszedł na górę, aby zobaczyć, co u Marii, lecz zastał tylko puste łóżko. Sprawdził w łazience, zawołał ją, po czym obszedł resztę

domu. Jego żona znikła. Może poszła na plażę, żeby popływać? Robiła to bardzo rzadko i tylko kiedy się porządnie wyspała. Lubiła być na plaży sama, a o tej porze nikt nie chodził nad morze, więc miała ją całą dla siebie. Spojrzał z werandy w kierunku oceanu rozciągającego się trzysta metrów dalej. Na piasku nie zauważył żadnych ręczników. Nikt się nie opalał ani nie kąpał, przynajmniej tak mu się zdawało z tej odległości. Wyszedł przed dom i zobaczył, że zniknął samochód Marii. Już się miał odwrócić i iść do domu, żeby wziąć prysznic, kiedy coś go powstrzymało. Coś dziwnego w widoku podwórza, co jego umysł zarejestrował, lecz najwyraźniej nie przekazał jeszcze świadomości.

Obejrzał się ponownie w stronę podjazdu i zobaczył to, co go tak uderzyło za pierwszym razem.

Za wycieraczką maserati tkwiła biała koperta. Stał jak wryty. Rozejrzał się, zlustrował wzrokiem zarośla rosnące po obu stronach podjazdu. Ktoś mu zostawił list. Nie Maria. Ona nie zostawiała notatek. Nawet gdyby wybiegła wściekła z domu, nie przyłożyłaby pióra do papieru. Gdyby chciała mu zostawić wiadomość, wysłałaby SMS-a albo zadzwoniła i wykrzyczała swój gniew do telefonu. Dziwne miejsce na zostawianie koperty. Wystarczyło podkraść się bliżej i wsunąć ją pod drzwi albo wrzucić do skrzynki na listy stojącej przy drodze. A jednak nadawca zostawił ją na przedniej szybie samochodu.

Paul dokonał błyskawicznej kalkulacji, opartej na prawdopodobieństwie i osobistym doświadczeniu, po czym w kilka sekund odrzucił większość możliwości. Istniały tylko dwa powody, dla których ktoś mógłby zostawić list za wycieraczką. Pierwszy: chciał, aby to właśnie on i tylko on przeczytał wiadomość. Może czekał, aż Maria wyjdzie z domu, i dopiero wtedy wsunął kopertę. Drugi: czaił się gdzieś w wysokiej trawie i chciał zobaczyć reakcję Paula, kiedy przeczyta wiadomość.

Ta myśl go sparaliżowała. Przez chwilę mógł poruszać tylko oczami. Powoli przeczesywał wzrokiem każdy centymetr trawnika. Każde wzniesienie. Każdy głaz. Niczego nie zauważył. Następnie skupił spojrzenie na jednym punkcie w oddali i czekał, aż jego postrzeganie peryferyjne wyłapie jakiś ruch. To również nie odniosło skutku. Wiatr od oceanu poruszał każdym źdźbłem trawy w łagodnym, usypiającym kołysaniu.

Paul pokręcił głową i ruszył w stronę maserati. Okrągłe kamyki żwiru chrzęściły mu pod stopami; odgłos wydawał się znacznie głośniejszy, niż powinien. Niczym dzwon bijący na alarm. Wiatr nadal poruszał trawę, lecz nikt się nie pokazał. Paul uprzytomnił sobie, że to niemądre. Strach

i panika mąciły jego myśli, adrenalina rozpaliała każdy nerw w ciele i mózgu.

Podszedł do samochodu, popatrzył na szybę, po czym wziął kopertę do ręki. W tej samej chwili usłyszał głośny ryk i chrzęst żwiru. Zanim zdołał pomyśleć, jego ciało zareagowało automatycznie. Kucnął, osłonił rękami głowę i zawołał, na wpół zdając sobie sprawę, co robi:

– Co się dzieje, do diabła?!

Sam się zdziwił własnym zachowaniem, niemal tak samo jak nagłym hałasem, który go przestraszył. Podniósł głowę i zobaczył zderzak radiowozu. Samochód podjechał bliżej i zatrzymał się metr od niego. Kierowca musiał jeszcze raz wcisnąć pedał gazu, bo silnik V8 ryknął po raz ostatni, po czym zgasł.

Paul wstał, przytrzymując się maski maserati, a tymczasem w policyjnym wozie otworzyły się najpierw drzwi kierowcy, a następnie pasażera.

Zza kierownicy wysiadł Dole. Zerknął na swoją towarzyszkę w mundurze zastępcy szeryfa. Kobieta miała krótkie ciemne włosy, miejscami sterczące niczym kolce w lekkim, stylowym nieładzie. Sprawiała wrażenie trochę wyższej od szeryfa, lecz nie było w tym nic dziwnego. Paul miał metr osiemdziesiąt pięć i znacznie go przewyższał, co zauważył już poprzedniego wieczoru. Oboje nosili przeciwsłoneczne okulary pilotki. Jednocześnie przerwali kontakt wzrokowy i zaczęli się rozglądać.

– Przestraszyliśmy pana? – spytał szeryf.

– Nie – wymamrotał Paul, wsuwając kopertę do tylnej kieszeni spodni.

– Wyglądało to tak, jakby się pan przeraził. Aż pan kucnął, kiedy nas zobaczył.

Paul uznał, że powinien jak najszybciej wyjaśnić sytuację. Wziął się w garść przynajmniej na tyle, aby sformułować jakąś sensowną odpowiedź.

– Nie widziałem was. Przykucnąłem, zanim was zobaczyłem, przestraszył mnie hałas. Po tym wczorajszym włamaniu jestem trochę podenerwowany.

– Aha – mruknął Dole.

Jego zastępczyni minęła ich bez słowa, odwróciła się i weszła do domu przez otwarte drzwi.

– Mmmm... czy wszystko w porządku? – spytał Paul.

– Jasne – odparł szeryf, podszedł do niego i stanął przy maserati. – To moja zastępczyni, szeryf Bloch. Obejrzy to wybite okno. Czy pańska żona jest w domu?

– Nie. Wyjechała.

– Tak myślałem. Nie widzę jej samochodu. Na zakupy?
– Prawdopodobnie. Może wejdziemy do środka i...
– E, nie – rzucił Dole. – Ona uwinie się w parę minut. To czysta formalność. A ja przez ten czas chciałbym zapytać pana o kilka szczegółów.
– Wyciągnął z kieszeni u pasa długopis i notes, otworzył go na czystej stronie i zaczął notować.

Paul podał mu imię i nazwisko oraz datę urodzenia. Szeryf zapisywał każdą odpowiedź powoli, starannym, płynnym pismem.

– Gdzie pan był wczoraj wieczorem, kiedy zadzwoniła pańska żona?
– Przycumowałem właśnie łódź na przystani. – Paul nie chciał, aby ktokolwiek wiedział o jego mieszkaniu. Mogłoby to dotrzeć do Marii.

Szeryf podniósł wzrok znad notatnika. Przez rozchylone wargi widać było olśniewająco białą protezę. Paul czuł, że Dole zza okularów słonecznych próbuje mu zajrzeć głęboko w oczy. Słońce świeciło nad jego lewym ramieniem i w ciemnych szklach odbijała się jaskrawa kula.

– Mówił pan, że jak nazywa się pańska łódź? – spytał Dole.
– Nie jestem pewien, czy o niej mówiłem, ale mniejsza z tym. Nazywa się *Clarence* – odparł Paul, lekko się zacinając.

– O której godzinie?
Paul cofnął się o krok, żeby zasłonić słońce świecące prosto na szeryfa.
– O co pan pyta? O której przybiłem do brzegu czy o której zadzwoniła Maria?

Może to była gra światła, ale wydawało mu się, że zauważył, jak szeryfowi zadrgał kącik wąsów. I chociaż Paul zadał pytanie zamiast odpowiedzieć, Dole notował skrupulatnie każde wypowiedziane słowo.

– O jedno i drugie. – Wytarł usta wierzchem dłoni i ponownie przygotował się do pisania.

– Nie wiem, o której dokładnie. Kilka minut przed tym, jak zadzwoniła żona.

– Ma pan przy sobie telefon?
– Mam – odparł Paul, zanim zdążył wymyślić lepszą odpowiedź.
Sięgnął do kieszeni po komórkę i zawahał się. Zastanawiał się, czy to na pewno rozsądne, w końcu uznał, że nie ma wyjścia, i machnął szeryfowi telefonem.

– Proszę mi podać godzinę tej rozmowy i pański numer – powiedział Dole.

Paul przewinął ostatnie połączenia, znalazł właściwą rozmowę i pokazał ekran szeryfowi, który zrobił notatkę.

– A numer?

Paul podyktował mu z pamięci.

– Obejrzał pan wczoraj dom? Coś zginęło? – wypytywał dalej Dole.

– Rozejrzałem się dość dokładnie i nie zauważyłem, żeby czegoś brakowało.

Szeryf dokończył pisanie, po czym schował notes.

– Panie Cooper, czy przychodzi panu do głowy ktoś, kto mógłby chcieć skrzywdzić pana lub pańską żonę?

– Nie. Wydaje mi się, że już pan o to pytał wczoraj wieczorem.

– Oczywiście. Ale może był pan wczoraj zbyt zdenerwowany, żeby jasno myśleć.

– Moja odpowiedź nadal brzmi: nie – odrzekł Paul, splatając ramiona na piersi.

– Mhm. A czy zauważył pan ostatnio coś niezwykłego? Jakies samochody zaparkowane przy drodze? Może nową twarz pojawiającą się regularnie na plaży?

Paul czuł, jak koperta wypala mu dziurę w kieszeni dzinsów. Zastanawiał się przez chwilę, zanim odpowiedział:

– Nie, wydaje mi się, że nikogo takiego nie zauważyłem.

Odwrócił się na dźwięk twardej podeszwy chrzęszczącej na żwirze. Z domu wyszła zastępczyni szeryfa, bez słowa go minęła i wsiadła do radiowozu.

– No, wygląda na to, że na dzisiaj skończyliśmy – oznajmił Dole, dotykając daszka czapki.

Mieszkańcy Port Lonely nie należeli do nadmiernie rozmownych. Mówili to, co mieli do powiedzenia, po czym się zamykali. Paul nie był więc zaskoczony, kiedy szeryf wrócił do samochodu, wyjechał na wstecznym z podjazdu i ruszył na wschód w kierunku miasta.

Ryk silnika V8 cichł w oddali niczym przetaczający się grzmot. Paul wyjął z kieszeni kopertę i otworzył. W środku znajdowała się jedna kartka złożona na pół. Słowa napisane odręcznie wielkimi literami.

WIEM, KIM JESTEŚ

J.T. LEBEAU

Złożył kartkę, wsunął ją z powrotem do koperty i wrócił na werandę. Zostawił papierosy na małym stoliku przy fotelu na biegunach. Drżącymi palcami podpalił sobie camela, po czym przyłożył do koperty płomień zapalniczki. Patrzył przez chwilę, jak płonie, a potem wrzucił tłący się

papier do plastikowego wiaderka na piasek i czekał, aż zamieni się w czarny popiół unoszący się na wietrze.

Teraz już wiedział, że to nie był przypadek. To nie złodziej włamał się do domu. Stało się to, czego się obawiał. W odpowiedzi może zrobić tylko jedno. Ale będzie potrzebował pomocy – pomocy jedynej osoby, która zna jego tajemnicę.

Napisał w telefonie maila i nacisnął WYŚLIJ.

W twarz musnęło go piórko popiołu, a wtedy przed oczami stanęła mu płonąca niebieska toyota camry. Czerwone płomienie ryczące na tle nocy. Patrzył, jak wybucha zbiornik z paliwem, a następnie piekło umiera wraz z nastaniem świtu. Kiedy słońce zaczęło rozjaśniać niebo na wschodzie, szczypały go oczy, skóra na twarzy aż stwardniała od żaru. Pamiętał smród dymu, który na długo wsiąkł w jego włosy i dłonie. A przede wszystkim pamiętał odgłosy dochodzące z bagażnika.

Łup! Łup! Łup!

Tamtej nocy powiedział sobie, że te odgłosy wydawały pękające szkło oraz topiący się metal z plastikiem. Tak, był tego pewny. A przynajmniej próbował siebie przekonać, że to prawda. Niemożliwe, żeby te dźwięki powodował człowiek. On już nie żył. Na pewno nie żył.

W płomieniach pożaru spłonął jego strach.

A teraz odrodził się w jego ciele niczym feniks.

Teraz zostało już tylko jedno: zabić albo zginąć. Nie ma innego sposobu.

Taka jest cena anonimowości.

W kieszeni Paula zabrzączał telefon. Spojrzał na ekran. Zapisał jej numer pod nazwą *Hydraulik*, na wypadek gdyby Maria nabrała kiedyś podejrzeń i sprawdziła jego listę kontaktów. Przejechał palcem po wyświetlaczu, żeby odebrać.

– Wszystko w porządku, Paul? – usłyszał w komórce.

Chociaż do telefonu mówiła kobieta, głos brzmiał głęboko, a każde słowo zdawało się zacinać, jakby jego rozmówczyni dławiała się dymem. Mimo to ten głos zawsze działał uspokajająco.

– Nie, Josephine, nie jest w porządku. Zostałem zdemaskowany.

ROZDZIAŁ ÓSMY

– Pani Cooper wciska kit – rzuciła Melissa Bloch.

Przez całą drogę z domu na plaży do miasta nie puściła nawet pary z ust. Skręcili w lewo w Maple Avenue i zbliżali się do Biura Szeryfa mieszczącego się na rogu, kiedy w końcu dojrzała do tego, aby się odezwać. Kręcąc głową, Dole zaparkował na dziedzińcu i przygryzł lekko język. Jego zastępczyni niewiele mówiła. Starannie przemyśliwała każdą sprawę, nie wdawała się w gadki szmatki, nigdy nie mówiła „Cześć”, „Do widzenia” czy „Dziękuję”, ale kiedy otwierała usta, człowiek wiedział, że ma do powiedzenia coś ważnego. I ludzie słuchali.

Dole zaciągnął hamulec ręczny i odwrócił się do niej.

– Tyle to widać od progu. Wysił się, ciągnąłem cię tam, żebyś mi coś powiedziała. Że wciska kit, to ja sam wiem. Czego nie wiem?

Bloch patrzyła przed siebie, unikając wzroku szeryfa. Nie miał wątpliwości, że czuje na sobie jego spojrzenie. Robił to celowo – żeby ją zdeprymować i skłonić do mówienia. Ale Bloch nie przeszkadzało niezręczne milczenie. Można powiedzieć, że niezręczne milczenie było jej żywiołem.

– Sprawdziłam tę wysoką trawę z werandy, a potem z okna sypialni na górze. Gdyby ktoś tam leżał i obserwował dom, byłoby jeszcze widać wygniecioną trawę. Nie ma też odcisków stóp. Zauważyłabym coś, gdyby ktoś się tam kręcił. Na pewno nikt się nie podkradł do domu od strony plaży.

– Mhm, co dalej?

– Szybę w gabinecie stłuczono od zewnątrz. Świadczy o tym szkło na dywanie. W oknie werandy jest dwanaście szybek. Włamywacz wybił tę znajdującą się najbliżej zamka. To naprawdę małe zamek. Widać go tylko od wewnątrz.

Dole tego nie zauważył. Kolejny dowód na to, że podjął w zeszłym roku słuszną decyzję, zatrudniając Melissę Bloch. Rozmawiał z pięcioma zastępcami szeryfów z pięciu różnych hrabstw. Bloch była najmniej

doświadczoną i najmniej wykwalifikowaną, miała najmniej entuzjastyczne referencje od starszych funkcjonariuszy, poza jedną doskonałą rekomendacją z Nowego Jorku. Z nikim właściwie się nie dogadywała. A już na pewno nie z szeryfem Dole'em. W czasie rozmowy kwalifikacyjnej dawała krótkie, monotonne odpowiedzi, nie uśmiechała się i sposobem bycia przypominała zdechłego szopa. W którymś momencie rozmowy Dole, przeszukując strony dokumentów, które przysłała, znalazł opinię porucznika z jej ówczesnego miejsca pracy w Nowym Jorku, skąd chciała odejść. Jego uwagę zwróciło ostatnie zdanie.

...Bloch jest bardzo dobrą policjantką. Inteligentna, zaangażowana, chociaż trochę małomówna.

Pokiwał głową. Bardziej ożywioną rozmowę mógłby odbyć z dwudniowymi zwłokami. Zakończył rozmowę dziesięć minut przed czasem, żeby tylko pozbyć się jej z gabinetu. Czuł się przy niej nieswojo. Doszedł do wniosku, że każdy musi czuć się przy niej nieswojo.

– Dziękuję, skontaktujemy się z panią – powiedział, wstając i wyciągając rękę.

Pamiętał, że przez kilka sekund Bloch siedziała bez ruchu. Potem wstała, ścisnęła mocno jego dłoń i przyciągnęła go do siebie. Następnie schyliła się do niego i szepnęła:

– Ten obraz za pana plecami wisi do góry nogami.

Puściła jego dłoń, skinęła głową i wyszła. Dole odwrócił się i popatrzył na obraz Dalego wiszący za nim na ścianie. Zegar z rzymskimi cyframi na cyferblacie rozplywający się na niewidzialnym stole na środku pustyni, otoczony dziwacznymi kształtami. Wisiał w tym miejscu od pięciu lat – urodzinowy prezent od jego siostry z Albuquerque. Bóg jeden wie, ile ludzi przetoczyło się przez ten gabinet. Niektórzy nawet komentowali ten obraz. Bloch pierwsza to zauważyła. Dopiero teraz Dole przyjrzał się odwróconym do góry nogami cyfrom zegara. Tak go zaabsorbowały nieszczęsne figury dookoła, że nie zwracał uwagi na rzymskie znaki na cyferblacie. Podstawił sobie krzesło, zdjął obraz, odwrócił go i zawiesił z powrotem. Potem cofnął się o krok i na nowo przyjrzał się namalowanej kompozycji. Aż mu wąsy zadrgały, przekłete malowidło wyglądało jeszcze dziwniej powieszony we właściwy sposób. Ale obraz nie miał znaczenia. Znaczenie miała Bloch. Dole nigdy nie ignorował tego, co mu podpowiadała intuicja, więc zatrudnił tę kobietę. Od kiedy zaczęła pracę, wypowiedziała do niego może pięćset słów.

I każde z nich było ważne.

Psiakrew, powinienem był zauważyć ten zamek, pomyślał. Ktoś, kto włamał się do tego domu, był już wcześniej w środku.

– Co myślisz o historyjce Marii Cooper? W którym momencie skłamała?
– spytał. – Zaskakuje włamywacza, ten ją atakuje, a potem rzuca się do drzwi?

Bloch nie musiała odpowiadać. Popatrzyła na niego. Pokręciła głową. Nic nie było prawdą.

– Mhm – mruknął szeryf.

Wysiedli z samochodu i weszli tylnymi drzwiami, które prowadziły prosto do aresztu. Tego dnia za kratkami nie mieli żadnych gości. Przeszli przez kolejne drzwi i znaleźli się w głównej sali. Sue stała przy ekspresie i nalewała sobie kawę z dzbanka. Była niską, dobrze zbudowaną kobietą o obfitej talii i włosach skręconych trwałą w drobne loki. Potrafiła okazywać niezwykle ciepło, a zarazem budzić postrach i tym dziwnym połączeniem rozbierała większość ludzi. Różowa bluzka zwisała jej prawie do kolan. Oczywiście Dole zamówił dla niej mundur, lecz ubranie wisiało w plastikowym pokrowcu, bezpiecznie zamknięte w szafce. Szefowi odpowiedziała, że nie zależy jej na mundurze.

– Złapaliście złodzieja widmo? – spytała.

– Niedługo złapiemy – odparł Dole.

Rozejrzał się po biurkach i jego wzrok zatrzymał się na stanowisku Melissy. Między stertą dokumentacji i korespondencji zauważył powieść J.T. LeBeau. Miejscowa księgarnia sprzedawała te przekłete czytadła całymi dziesiątkami. Szeryf miał wrażenie, że na każdym kroku spotyka ludzi z nosami zagrzebanymi w którejś z jego książek. Dole'a nie interesowały kryminały. Zawsze umiał przewidzieć, kiedy zbliża się zwrot akcji.

Gabinet szeryfa był tak naprawdę niczym więcej niż boksem oddzielonym szklanym przepierzeniem. Poza zdjęciami McCaina i Obamy na jego biurku znajdowało się niewiele prywatnych rzeczy i równie mało papierów. Obok fotografii leżał otwarty laptop, a obraz Dalego spoglądał na wszystko z góry.

Kiedy ergonomiczny fotel za pięćset dolarów ze stoickim spokojem przyjął jego pokaźną wagę, Dole wcisnął przycisk na podłokietniku i włączył masaż wibracyjny dolnego odcinka pleców. Jeżeli nie miał gościa, zawsze zostawiał drzwi do gabinetu otwarte. Lubił gawędzić ze swoimi ludźmi i robił wszystko, aby wiedzieli, że oni również mogą z nim swobodnie rozmawiać. Potrącił stopą zniszczony cienki skoroszyt z dokumentami leżący na podłodze.

Akta sprawy niezidentyfikowanej kobiety.

Znaleźli ją dziesięć lat temu turyści, którzy zauważyli ze skały ciało unoszące się na wodzie. Obeszli grzbiet, złapali zasięg komórki i zadzwonili do Dole'a. Pamiętał doskonale tę jazdę. Niebo było tego ranka zachmurzone, co jakiś czas padał przelotny deszcz. Wycieraczki w starym służbowym pick-upie skrzypiały przez całą drogę. Kiedy wjechał na drogę biegnącą wzdłuż wybrzeża, w lokalnej stacji radiowej leciał *House of the Rising Sun* Animalsów. Jadąc, rozmyślał o wszystkich rzeczach, które może zastać na miejscu. Na liście nie było zwłok. Wymyślał, co takiego mogło się tam znaleźć, co tylko z daleka wygląda jak zwłoki. Worki na śmieci. Drewniane kłody. Stare ubrania. Rury. Przez trzydzieści lat w Port Lonely nie było ani jednego zabójstwa. Ani samobójstwa.

Kiedy dojechał do wodospadu, turyści zaprowadzili go do miejsca, z którego mógł popatrzeć w dół na wodę.

Znowu zaczęło padać i powierzchnia sadzawki tańczyła od ciężkich kropeł. Deszcz zalewał mu oczy i okulary, mimo to szybko się przekonał, że turyści mieli rację.

Na wodzie obracało się powoli ciało nagiej kobiety.

Dole otrząsnął się ze wspomnień. W gabinecie panowała taka cisza, że łatwo było pogрузić się w złych wspomnieniach.

Telefon milczał. Nikt w biurze się nie odzywał; słyszał tylko dzwonienie łyżeczki Sue o filiżankę oraz delikatny szmer klimatyzacji. Dole założył ręce za głowę, oparł się w fotelu i zawołał Sue.

Weszła do gabinetu, zamknęła za sobą drzwi z matową szybą i usiadła naprzeciwko niego.

– Nie masz dla mnie kawy? – spytał.

– Sam sobie zrób, do cholery – odparła z promiennym uśmiechem.

– Chciałbym, żebyś się rozpytała w mieście o Cooperów. Kojarzysz tu wszystkich, ktoś musi ich bliżej znać. Może coś ci o nich opowiedzą. Tylko ani słowa o włamaniu. Według Coopera nic z mieszkania nie zginęło. Tyle masz mówić, gdyby cię nagabywali dziennikarze. Tylko tego nam brakuje, żeby prasa rozdmuchała tę historię. Mielibyśmy pięć tysięcy mieszkańców śpiących ze spluwami pod poduszką.

– Zebrałeś odciski? – spytała Sue.

– Nie ma sensu. To sprawa mieszkańców tego domu. Żaden włamywacz nie zostawi odcisków palców. Stracilibyśmy tylko czas i pieniądze i wrócilibyśmy do punktu wyjścia.

Sue uciekła spojrzeniem w bok i pijąc herbatę, wlepiała wzrok w dywan. Dole znał ten sygnał. Oznaczał, że kobieta coś w sobie dusi i wlewa w siebie kawę, żeby nie wyskoczyło.

– Mów – polecił.

Równie dobrze mógłby nacisnąć spust pistoletu startowego. Sue zaczęła wyrzucać z siebie słowa z prędkością i nienaganną dykcją karabinu maszynowego wystrzeliwującego serie miodowego zaśpiewu z Południa.

– No cóż, to tylko wybita szyba, prawda? Nic nie zginęło i może pani Cooper zmyśliła historyjkę o włamywaczu. Co z tego? To nie przestępstwo. Może to rzeczywiście jest marnowanie policyjnego czasu, ale do stu diabelskich cycków, Abraham, my mamy kupę czasu do zmarnowania! I kto wie, czy tego właśnie nie robimy. Minęło prawie dziesięć lat od znalezienia tej dziewczyny pod wodospadem. Nie myśl, że tego nie widzę. Boję się, że dzielisz włos na czworo tylko po to, żeby zapomnieć o tamtej biedaczce.

– Nie, nie, nie. To wcale nie o to chodzi – zaprotestował Dole. – Tu po prostu coś nie gra. Nie wiem, co zaszło w tym domu. Nie mam pewności, czy rzeczywiście był jakiś złodziej ani czy w ogóle doszło do włamania. Ale wiem, co widziałem. Widziałem kobietę uderzoną w twarz. To mi wystarczy, Sue. Nie odpuszczę tego, dopóki się nie dowiem, co tam zaszło.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

System nawigacji satelitarnej informował, że podróż potrwa siedemdziesiąt jeden minut. W rzeczywistości dotarcie na miejsce zajęło Marii prawie dwie godziny. Lomax City nie przypominało żadnego dużego miasta, w którym do tej pory była. Może raczej jakąś niewielką miejscinę. Kasyno, zakład metalurgiczny i dwa duże kościoły baptystów walczyły w latach siedemdziesiątych o status miasta. W końcu udało się to dzięki pieniądzom kasyna przelewającym się do kieszeni stanowego zgromadzenia ustawodawczego. Ale w tej chwili i tak nie miało to znaczenia. Fabrykę zamknięto, niedługo potem wskutek braku napływu gotówki w jej ślady poszło kasyno. Ale obydwie kościoły wypełniały się w niedziele tak samo jak dawniej, chociaż tace na zbiórkę pieniędzy brzęczały głośniejsze niż kiedyś – cichy szelest kładzionych banknotów zastąpiło dzwonięcie monet.

Maria zahamowała na skrzyżowaniu i zaklęła na nawigację satelitarną, która informowała ją, że dotarła na miejsce. Rozejrzawszy się, zobaczyła tylko stację benzynową, która wyglądała na zamkniętą, oraz po drugiej stronie ciąg pawilonów handlowo-usługowych, które powinny zostać zamknięte – pralnia chemiczna z oknami pomalowanymi na biało, mały bank ze znakiem stopu sterczącym ze stłuczonej szyby i wyblakły szyld, który mógł zapowiadać to, czego szukała.

W południe ruch uliczny nie istniał; Maria przejechała przez skrzyżowanie, zaparkowała, po czym ruszyła w stronę ostatniego pawilonu. Tak, trafiła we właściwe miejsce.

Ezekiel David, adwokat.

Dziesięć lat temu szyld mógł kosztować okrągłą sumkę, lecz od dawna nikt nie próbował go odnawiać ani nawet czyścić. Słońce i mech zatarły napis. W oknach wisiały opuszczone żaluzje. Maria nie miała pojęcia, czy w środku ktoś jest, lecz kiedy nacisnęła klamkę, drzwi się otworzyły, a nad jej głową zadzwonił dzwoneczek. Znalazła się w poczekalni z podłogą wyłożoną brązowymi płytkami dywanowymi, ze składanymi plastikowymi

krzesłami i stolikiem, który jęczał pod ciężarem poślizgniętych gazet i magazynów z kartkami pozwijanymi w wachlarze.

Na drugim końcu pomieszczenia otworzyły się drzwi i wyszedł z nich wysoki, zwalisty mężczyzna.

– Pani Erskine? – spytał głosem jakby wydobywającym się z tunelu.

– Tak, Janet Erskine – odparła Maria. – Zapewne pan David?

Sylwetka Ezekiela Davida dorównywała jego biblijnemu nazwisku. Głowa przypominała kamienne tablice: szeroka i ciężka, z liniami wyrytymi na czole, które mogłoby posłużyć za obrazowe przedstawienie pokładów skał wulkanicznych w Wielkim Kanionie. Te mięsiste fałdy wznosiły się ku łysej czaszce, której idealnie gładka powierzchnia jeszcze mocniej uwydatniała koleiny tłuszczu biegnące nad gęstymi brwiami. Brakowało mu za to szyi. Głowa łączyła się bezpośrednio z tułowiem. I to jakim tułowiem! Wyglądał, jakby ktoś położył piłkę plażową na środku stołu bilardowego, następnie postawił go na krótszym boku i całość nakrył tanim garniturem.

Malutkie stópki w czarnych lakierkach wymykały się spod nogawek szarych spodni. Maria nie potrafiła ukryć zdumienia, jak takie malutkie stopy mogą utrzymać tego wielkiego człowieka.

– Bardzo proszę, niech pani wejdzie – powiedział.

Jeśli sądziła, że ten mężczyzna jest potężny, to znaczy, że nie była gotowa na widok fotela, który stał za jego zagraconym biurkiem. Bardziej przypominał tron, na którym zasiadały namaszczone koronowane głowy europejskich monarchii. Zaczął skrzypieć i jęczeć, gdy tylko David posadził na nim swój wielki tyłek. Maria usiadła naprzeciwko i popatrzyła na niego między dwoma stosami szarych kartonowych teczek.

– Rozumiem, że rozważa pani rozwód – zaczął adwokat rzeczowo.

W jego głosie nie było ani cienia współczucia. Maria doszła do wniosku, że ten człowiek traktuje rozwód jak wyjątkowo pomyślny obrót losu, coś, czego należy zazdrościć i za co warto płacić.

– Na razie chcę tylko poznać swoje szanse w sądzie. Dowiedzieć się, jak zostałyby podzielony majątek.

– Naturalnie. Mogę przedstawić pani ogólną sytuację, ale to wszystko. Każdy przypadek jest inny i zawsze wyłaniają się punkty sporne oraz możliwości porozumienia. Najpierw muszę więc uzyskać trochę szczegółowych informacji...

Zapisał jej nazwisko.

– Adres? – spytał.

– Wolałabym nie podawać takich informacji – odparła Maria. – Przynajmniej na razie. Przyszłam tu po ogólną poradę, to bardzo osobista sprawa. Mogę zapłacić panu z góry za godzinę.

Otworzyła portmonetkę, wyjęła dwa studolarowe banknoty i położyła je na biurku. Ezekiel David odłożył długopis, splótł dłonie i spojrzał na pieniądze.

– Wszystko, co mi pani powie, jest poufne, chronione tajemnicą adwokacką – zapewnił ją.

– Mimo to wolę na razie uzyskać tylko ogólną poradę, panie David, ale jeśli to niemożliwe... – Nie dokończyła pytania i zawiesiła głos, a jednocześnie wyciągnęła lekko palce w kierunku gotówki leżącej na biurku.

W mgnieniu oka w banknoty grzmotnęła tłusta bryła z pięcioma tłustymi paluchami. Maria z uśmiechem oparła się z powrotem na krzesło.

– Ogólnej porady mogę udzielić zawsze. Płaci pani z góry, więc wybaczy pani, jeśli nasze spotkanie potrwa mniej niż godzinę – powiedział.

– To mi nie przeszkadza, bylebym dostała odpowiedzi.

– Co pani chce wiedzieć? – Wziął banknoty i schował je do wewnętrznej kieszeni marynarki.

– Mąż ukrywał przede mną pieniądze na koncie, o którym nie miałam pojęcia. Nie mogę mu już dłużej ufać. Jeśli ukrywa przede mną coś takiego, to skąd mam wiedzieć, co jeszcze chowa w tajemnicy? Chyba chcę zakończyć nasze małżeństwo. W jakiej to mnie stawia sytuacji?

Ezekiel David jęknął cicho ze współczuciem. Pokręcił głową, cmoknął z dezaprobatą. To było całe współczucie, na jakie mógł się zdobyć wobec klientki.

– Czy zawarliście państwo intercyzę?

Pierwsze pytanie adwokata zbiło Marię z tropu. Poruszała ustami, lecz nie wydobywał się z nich żaden dźwięk. Przed ślubem Paul nalegał na spisanie intercyzy, rzekomo aby ją chronić. Zapewniał, że to dla jej bezpieczeństwa, gdyby coś się stało; poza tym będzie miała pewność, że on nie uzyska prawa do jej dochodów. Z początku zignorowała tę sprawę, potem zaczęła protestować, w końcu podpisała intercyzę i oddała mu wszystkie egzemplarze, nie zatrzymując sobie żadnego. Od tamtej pory ani razu nie pomyślała o tym przeklętym dokumencie. Aż do teraz w ogóle nie pamiętała, że coś takiego miało miejsce. Wtedy, przed ślubem, rozwód był ostatnią rzeczą, jaką brała pod uwagę. Znalazła tego jedyne. Umowa miała ją chronić, nie przyszło jej do głowy, że może bardziej chronić jego.

Teraz myśl o intercyzie zabolą ją jak świeża rana. Skaleczenie, na które nie zwracała uwagi, dopóki nie wdało się zakażenie.

– Tak – przyznała szeptem. – Spisaliśmy intercyzę.

– Czy ma pani kopię?

– Nie. Przeczytałam ją przed podpisaniem, ale to było dawno temu, nie pamiętam szczegółów. W ogóle o niej zapomniałam. Przypomniałam sobie dopiero teraz, kiedy pan o nią zapytał.

– Kto ją pisał? Pani prawnik czy męża?

– Męża.

Wyczyścił nos w chustkę wielkości poszewki na poduszkę.

– Przykro mi to mówić, ale jest bardzo prawdopodobne, że ta intercyza może działać na pani niekorzyść. Zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że nie została tak sformułowana, aby chronić pieniądze, które mąż przed panią ukrywa. Niestety, to nie wygląda dobrze, pani Erskine.

Maria nie zamierzała tak łatwo rezygnować. Oddała prawnikowi swoje ostatnie dwieście dolarów i postanowiła wycisnąć z nich każdą kroplę.

– Słyszałam o intercyzach, które sąd unieważniał. Nie podpisałabym jej, gdybym znała prawdę. Okłamał mnie.

– To jest jakiś argument. Prawdopodobnie nie zaprowadzi nas daleko, ale z pewnością mógłbym go w sądzie wykorzystać. Niewykluczone, że udałoby się unieważnić intercyzę, ale nie jestem pewien, czy postawiłoby to panią w lepszej sytuacji.

– Co? Dlaczego?

– Zakładam, że oboje mieszkacie w tym stanie, tak?

– Tak.

– Dzieci?

– Nie ma.

– Czy pani mąż wie, że odkryła pani prawdę?

– Nie.

– Czy pieniądze na koncie są wyłącznie na jego nazwisko?

– Tak.

– Rozumiem. W tym stanie obowiązuje prawo o podziale majątkowym. Jaki majątek wchodzi w grę w państwa przypadku? Poza pieniędzmi, które ukrywa pani mąż.

– Dom jest na jego nazwisko. Ma też łódź. No i oczywiście nasze wspólne konto. Poza tym dwa samochody. Ale pieniądze, które przede mną ukrywa, wielokrotnie przewyższają wartość wszystkiego innego.

Maria aż się przestraszyła, słysząc skrzypienie skórzanego fotela. Ezekiel David osunął się na oparcie, popatrzył na sufit i wydał policzki.

- Czy dom i łódź zostały kupione po ślubie?
- Dom tak, łódź nie.
- Czy pani pracuje lub wnosi jakiś inny wkład w państwa dochody?

Pokręciła głową i westchnęła. Miała świadomość, że ten człowiek usiłuje udzielić jej jak najwszechstronniejszej porady, lecz ją interesowało tylko jedno.

– Początkowo pracowałam, tuż po ślubie. Teraz już nie. Mąż spłaca kredyt hipoteczny i pokrywa rachunki. Proszę posłuchać, tak naprawdę chcę tylko wiedzieć, co się stanie z pieniędzmi, które przede mną ukrywał. Czy w przypadku rozwodu, jeśli uda mi się unieważnić intercyzę, mam szansę dostać jakąś część tej sumy?

– Nie chcę wiedzieć, skąd pochodzą te pieniądze. Myślę, że pani mąż może nie chcieć deklorować ich w trakcie procesu rozwodowego jako majątku osobistego. Może zainteresowałyby się nimi urząd podatkowy albo inne władze. Jeśli tak jest, to pani mężowi będzie prawdopodobnie zależać na utajnieniu tych pieniędzy. Być może groźba ujawnienia ich wystarczy, aby otrzymała pani jakiś niewielki procent. Prawo stanowe mówi, że podczas trwania małżeństwa każda własność nabyta przez jedno z małżonków i zapisana na jego nazwisko pozostaje własnością tegoż małżonka i nie wchodzi w skład wspólnego majątku, który jest przedmiotem podziału.

Mówił szybko, zbyt szybko, aby Maria mogła za wszystkim nadążyć.

– Przepraszam, ale czy zmierza pan do tego, że w przypadku rozwodu nie dostałabym ani grosza z tych ukrytych pieniędzy?

– Ani grosza. Chyba że zagrozi pani mężowi ich ujawnieniem. Oczywiście, jeśli pieniądze pochodzą z legalnego źródła, to w ten sposób pozbędzie się pani wszelkich atutów, przegra i nie zobaczy ani centa więcej.

– Co to za pokręcone...

– Takie jest prawo – przerwał jej adwokat. – Każde z małżonków może nabywać dobra, które zachowa w przypadku rozwodu. To samo dotyczy pieniędzy, w których posiadanie weszło się przed ślubem.

Maria zamknęła oczy, przycisnęła dłoń do czoła i wzięła głęboki oddech.

– Nie wierzę, że to się dzieje naprawdę – powiedziała.

Podłoga jakby się zakołysała i zaczęła poruszać, chociaż Maria siedziała na krześle. Nie wiedziała, czy ma wymiotować, czy trzymać się krzesła, żeby z niego nie spaść. A najdziwniejsze było to, że zachowywała pełną świadomość, jakby stała w kącie pokoju i obserwowała, jak jej ciało przechodzi kolejne stadia ataku paniki. Widziała łzy płynące po policzkach,

twarz bladą jak prześcieradło i stężałą niczym plastik; drżące nogi, niewidzące spojrzenie, wargi ściągnięte i wysuszone, jakby całowała mękę.

Podczas gdy gabinet Ezekiela Davida zamieniał się powoli w kolejkę górską, Maria zaczerpnęła nieco sił z postaci potężnego mężczyzny, który najwyraźniej w najmniejszym stopniu nie przejmował się tym, co się z nią dzieje. Sprawiał wręcz wrażenie znudzonego. Pewnie codziennie siedział w tym fotelu i patrzył, jak jedna za drugą potencjalna rozwódka wchodzi, jęczy i płacze, po czym wychodzi.

– Przyniosę pani wody – rzucił.

Z niemałym wysiłkiem podniósł się z fotela, podszedł do dystrybutora stojącego w kącie pokoju i nalał jej wody do papierowego kubka w kształcie stożka. Wcisnął jej go do ręki. Pijąc duszkiem wodę, połowę rozlała, lecz przynajmniej zimna strużka ciekąca jej po szyi ocuciła ją na tyle, że odzyskała częściowo kontrolę nad swoim głosem.

Zaczęła mówić, dysząc ciężko. Po każdym słowie nabierała powietrza.

– Byłam... taaaaka... głupia.

Znowu do oczu napłynęły jej łzy.

– Nieprawda! – Adwokat podniósł głos. – To mąż panią zwodził. Oszukał. To on jest winien. Nikt na pani miejscu nie zwróciłby uwagi na takie rzeczy. Zawsze tak jest. Nieważne, czy chodzi o męża, czy o żonę, oszukujący i kłamliwy małżonek działa pod osłoną naszej miłości. Widywałem to setki razy. A ofiary zawsze obwiniają siebie. To się powinno natychmiast skończyć. Proszę mnie posłuchać. Może nie dorównuję Eddiemu Flynnowi^[1], ale jestem przyzwoitym adwokatem. Moglibyśmy wykorzystać kilka argumentów, nie udzielę pani jednak żadnych gwarancji. W najlepszym wypadku może wynegocjowałbym dla pani niewielki procent, to wszystko. A i on stoi pod znakiem zapytania. Chcę być uczciwy i mówię to pani z góry.

Maria skinęła głową. Chociaż nigdy nie słyszała o Eddiem Flynnie, zrozumiała, że potrzebowałyby cudotwórcy, żeby uzyskać korzystne warunki rozvodu, i poczuła na twarzy nowe strumienie łez.

Wtedy Ezekiel David powiedział coś, co mężczyźni zwykle jej mówili, kiedy była rozstrojona i chcieli ją rozśmieszyć. I zwykle to działało, uspokajało. Tym razem jednak adwokat trafił jak kulą w płot i jego żart przerodził się w czarny humor.

– Głowa do góry, może pani mąż dostanie zawału i wszystko pani zostawi. Drań zasłużył sobie na to.

Nogi przestały pod nią drżeć. Podłoga stanęła w miejscu. Emocje, które trzymały ją w swoich szponach, wyparowały niczym dym. Podziękowała

prawnikowi, podniosła się i wyszła. W ciągu kilku sekund, które minęły między zamknięciem drzwi frontowych biura a dojściem do samochodu, wszystko się zmieniło. Już wiedziała, jaki ma wybór... jakkolwiek ograniczony.

Czekały ją długa droga powrotna do Port Lonely i mnóstwo czasu na rozmyślanie. Jechała w całkowitej ciszy, nawet radio nie grało w tle. Słysząc było tylko cichy szum opon na asfalcie.

Jej umysł błędził ogołocony z emocji, oscylując między dwoma biegunami.

Zimny niedzielny poranek w środku lutego dwa lata temu. Spali w jej nowojorskim mieszkaniu do późna. Stare kaloryfery grzały marnie i żadnemu nie chciało się wychodzić z łóżka, żeby włączyć elektryczne piecyki. Zamiast tego kochali się i na jakiś czas zatracili w sobie bez reszty. W milczeniu. Po prostu byli. Nigdy z nikim nie czuła takiej bliskości. Ubrali się, zjedli naleśniki w Bloom's Deli na Lexington Avenue, po czym złapali taksówkę do Central Parku. Siedzieli na ławce i splótłszy dłonie w rękawiczkach, obserwowali łyżwiarzy na stawie. Przez cały dzień prawie się nie odzywali. Nie musieli.

– To mój najlepszy dzień od bardzo długiego czasu. Przepraszam, jeśli czasem wydaję się trochę nieobecny. Niekiedy przytłacza mnie przeszłość, rzeczy, o których nie mogę i nie chcę rozmawiać. Przepraszam cię za to. Kocham cię – powiedział Paul.

Miał w oczach coś, co poświadczało najczystsza prawdę w jego słowach.

Zanurzyła się w tę miłość całą sobą. Wydźwignęła tego mężczyznę z bólu, tchnęła w niego życie. Wyleczyła go. Będzie do niej należał na wieczność. Był dobrym człowiekiem, nadal trochę milczącym, ale nie chciał już ukrywać się przed życiem.

A jednak wcale go nie wyleczyła.

Od chwili, kiedy przenieśli się z Nowego Jorku do Port Lonely, aby założyć rodzinę, Maria czuła się samotna. Nawet kiedy był przy niej, bujał myślami gdzie indziej. Miała poczucie porażki. Własnej porażki. Dlaczego nie udało jej się go otworzyć? Czemu musiał ciągle wyjeżdżać? Czemu spędzał tyle godzin zamknięty w swoim gabinecie? Odkryła prostą odpowiedź na te wszystkie pytania. Paul wiódł drugie, sekretne życie. Nie było w jego życiu żadnej wielkiej tragedii, tylko zasłona dymna, żeby Maria nie zadawała zbyt wielu pytań.

Okłamywał ją od samego początku.

Nie była złą żoną. Ta obcość w zachowaniu Paula nie wynikała z jej słabości czy porażki. On po prostu był obcym człowiekiem.

Ale ból pozostał. I jeszcze bardziej zbliżył ją do Daryła.

– Egoistyczny, samolubny drań.

Powiedziała to w samochodzie na głos, do samej siebie. Musiała to usłyszeć.

Jej ojciec był pijakiem i ćpunem. Żerował na jej matce, pod koniec każdego tygodnia brał jej wypłatę, kupował w sklepie jedzenie, przywoził do domu, a resztę przepuszczał na tani alkohol i heroinę. Maria nie była pewna, ale przypuszczała, że nie mógłby ze sobą wytrzymać, gdyby jego żona i córka chodziły głodne. Zawsze znajdował gdzieś pieniądze, żeby zapłacić czynsz. Mama nie pytała, skąd się brały. W końcu, mniej więcej na rok przed śmiercią, przestał nawet kupować jedzenie. Brał pieniądze, lecz niczego nie przywoził do domu. I przestał płacić czynsz. Stopniowo znikął z domu nawet ich skromny dobytek – rower Marii, suszarka do włosów mamy. Okradał je i bił. Ich dom zawsze był pełen przemocy, a nawet kiedy panował spokój, groźba przemocy wisiała w powietrzu. Maria jadła posiłki z sąsiadami i w stołówkach Armii Zbawienia. Ale i tak nie wystarczało, mama musiała się uciekać do kradzieży w sklepach i garmażeriach.

Tamtej nocy ukradła całe salami i bochenek chleba. Siedziała w salonie, kołysząc się w przód i w tył, i płakała ze wstydu, podczas gdy Maria leżała na jej stopach, jadła chleb z kiełbasą i patrzyła na taśmę, którą sklepiła sobie buty. Był piątkowy wieczór, mama ukryła pieniądze z wypłaty. Ojciec przyszedł do domu naćpany i śmierdzący jakimiś chemikaliami. Było lato, klimatyzacja nie działała. Mama wymontowała klimatyzator spod parapetu i położyła go na podłodze, żeby otworzyć okna i wpuścić choć trochę świeżego powietrza.

Ojciec rzucił się na nią bez namysłu. Walił ją pięściami po głowie. Powiedział, że chowa przed nim pieniądze.

Maria chwyciła go za włosy. Udało jej się odciągnąć go od mamy, lecz wtedy uderzył ją tak mocno, że trzymając się za brzuch, poleciała na podłogę. Podniosła wzrok i zobaczyła, jak mama bierze zamach krzesłem. Trafiła go w głowę, a potem z całej siły popchnęła. Zatoczył się, odurzony alkoholem, tanią heroiną i wściekłością. Omal nie wypadł za okno; w ostatniej chwili złapał się futryny, chociaż jego tyłek wisiał już nad ulicą.

Mama rzuciła się w jego stronę. W pierwszej chwili Marię ogarnęła radość – mama go uratuje! – lecz zaraz potem przyszedł żal. Ojciec się nie zmieni. Stanie na nogi i sprawi im takie lanie, jak nigdy dotąd.

– Wyrzuc go, mamuś! – krzyknęła.

– Bydlak! – warknęła mama i popchnęła go.

Spadł z dwunastego piętra.

A one od tej pory były dużo szczęśliwsze.

Sekcja zwłok wykazała, że był nafaszerowany alkoholem i heroiną i policja kupiła wersję o wypadku. Mieli w dupie leniwego ćpuna i pijaka.

Przez następne miesiące Maria nieraz się zastanawiała, czy mama zamierzała go wtedy uratować. Co by się stało, gdyby nie krzyknęła „Wyrzuć go...!”? Mama zapewniała ją, że się z tego cieszy. Że i tak zamierzała go popchnąć, mimo to się cieszy. Lecz przekonując ją, nie patrzyła Marii w oczy. Mówiła powoli i dobitnie znad robótki na drutach i zawsze potem szybko zmieniała temat.

Po odebraniu pieniędzy z ubezpieczenia Maria i jej mama przeżyły najlepszy rok w swoim życiu. Nie musiały się martwić o utrzymanie. Maria nie wyobrażała sobie większego szczęścia.

A teraz sama wylądowała z następnym egoistycznym draniem.

Skoro nie może dostać tych pieniędzy przy rozwodzie, musi je zdobyć w inny sposób. Nie jest głupią gęsią. Zdemaskowała zimnego sukinsyna, a on jeszcze o tym nie wie. Najchętniej wróciłaby do domu, spakowała torby i wyjechała z Darylem z miasta. Umiałaby go przekonać. Potrafiłaby go przekonać do wszystkiego. Zostawi Paula. Niech sobie zachowa swoje pieniądze.

Mimo to ból pozostał.

I nie tylko ból. Strach, że musiałyby rozpoczynać wszystko od nowa, bez pieniędzy, z partnerem, który ledwo zarabia na czynsz jako kelner i instruktor nurkowania. Zrezygnowała z życia zawodowego, w Port Lonely nie było dla niej zajęcia poza obsługiwaniem klientów w restauracjach lub otwieraniem piwa i nalewaniem burbona w miejscowym barze. Znowu łzy napłynęły jej do oczu, a z nimi powrócił strach. Czy warto ryzykować bezpieczeństwo i szukać szczęścia z Darylem, mężczyzną, który naprawdę ją kocha? Przy Paulu nie groził jej głód, ale ten człowiek ukrywał przed nią prawdziwą fortunę i robiłby to do końca życia. Była tego pewna.

Włączyła kierunkowskaz i powoli zjechała na pobocze. Lało teraz jak z cebra, deszcz walił o dach samochodu. Rozpłakała się, musiała dać upust łzom. Samochód aż się trząsał od jej szlochania i bezlitosnego chłostania ulewy.

Z Darylem byłaby szczęśliwa, ale nie odstępowalby jej lęk o każdy następny dzień. Czekąło ją z nim życie w ciągłej niepewności i Maria nie była pewna, czyby mu sprostała, nawet jeśli bardzo się kochali. Z drugiej strony życie z Pauliem oznaczało wprawdzie bezpieczeństwo, ale też żalną samotność.

Może jednak istniała szansa, aby mieć Daryla, a zarazem jakiś rodzaj finansowego bezpieczeństwa. Wydawało się niesprawiedliwe, że musi między nimi wybierać.

Na pewno jest jakiś sposób, aby mieć jedno i drugie.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Paul krążył po swoim biurze na pierwszym piętrze budynku w Port Lonely. Zatrzymał się co kilka sekund, kiedy z dołu dochodził warkot nadjeżdżającego samochodu, i przez drewniane żaluzje wyglądał na ulicę. Z okien gabinetu widać było przystań i łodzie przycumowane przy dwóch pirsach, podskakujące na falującej powierzchni morza. W radiu zapowiadali sztorm na czwartą po południu. Wiatr już się wzmacniał, fale były coraz wyższe, niebo pociemniało obietnicą deszczu. Dochodziła czwarta.

Na ulicy zatrzymał się szary cadillac, otworzyły się drzwi od strony kierowcy i ze środka wysiadła długowłosa blondynka. Podniosła głowę i popatrzyła w okno.

Josephine Schneider. Paul odsunął się od okna i w tej samej chwili usłyszał brzęczenie domofonu. Nacisnął guzik, żeby otworzyć drzwi na dole. Nigdy nie zamykał biur na piętrze, bo schody prowadziły tylko do tego mieszkania. Kiedyś na parterze mieścił się całodobowy market, ale miał oddzielne wejście, bez dostępu do pierwszego piętra. Poza tym od dawna był nieczynny. Rok temu Paul kupił cały lokal i zlikwidował sklep. Potrzebował ciszy w czasie pracy.

Na schodach rozległy się kroki Josephine. Zawsze nosiła skórzane botki do kolan. Miała na ich punkcie bzika. Weszła do mieszkania otoczona chmurą perfum Christiana Diora i rozwianych jasnych włosów. Pocałowała go w policzek, objęli się i uścisnęli. Wciąż go zaskakiwał jej silny uścisk. W końcu cofnęła się o krok i zmierzyła go wzrokiem z góry do dołu.

– Nie jadłeś, złotko.

– Nic mi nie jest, Josephine. To znaczy właściwie jest, ale to nie ma nic wspólnego z jedzeniem.

– No tak, wiem, skarbie, to prawdziwy koszmar – powiedziała.

Minęła go, rzuciła na podłogę koło kanapy torbę z zakupami, torebkę i szary kaszmirowy płaszcz. Jej strój jak zwykle nadawał się na każdą okazję: czarna spódnica, czarne skórzane buty, ciemna bluzka.

Dochowywanie tajemnicy było dla Josephine jak utrzymywanie wagi. Paul zwierzył się ze swojego sekretu tylko jednej osobie na świecie, właśnie jej. Nie znała całej historii, ale wiedziała wystarczająco dużo. Jako jego agentka literacka musiała wiedzieć. Możliwość podzielenia się z kimś tajemnicą przynosiła mu odrobinę ulgi.

– Dziękuję, że przyjechałaś. Nie mam... nikogo innego, z kim mógłbym o tym porozmawiać.

Josephine cmoknęła i machnęła na niego ręką. Prawie nie słyszał jej słów przez brzęczenie złotych bransoletek na nadgarstku.

– Jesteś moim najważniejszym klientem, złotko. A tu mamy prawdziwy pasztet. Oczywiście, że musiałam przyjechać.

Wychowała się w bogatej rodzinie na Manhattanie i było to słychać w jej głosie – w nienagannej tonacji podszytej łagodną nutą sarkazmu. A kiedy mówiła, jej dłonie wykonywały tyle samo pracy co usta; długie, różowe paznokcie śmigły i rozcinały powietrze w rytm każdej sylaby.

Paul, mówiąc, masował sobie skronie kciukiem i palcem wskazującym. Często to robił. W takich chwilach jego głowa pełniła funkcję piłeczki antystresowej.

– Opowiedz mi dokładnie, co się stało – poprosiła Josephine.

Opowiedział jej o włamaniu do domu. O napaści włamywacza na Marię. O wyrwanej szufladzie biurka. O dokumentach, które prawdopodobnie zostały skradzione – jego notatkach i możliwe, że również wyciągu bankowym. I o wiadomości wsuniętej za wycieraczkę samochodu.

– Wygląda na to, że rzeczywiście ktoś cię wytropił. Ile wie Maria? – spytała Josephine.

– Nic – odparł Paul.

– Nic? Dosłownie „nic”? Niczego jej nie powiedziałaś?

Pokręcił głową.

– O Boże. Oczywiście wiem, że to twoja sprawa i tak dalej, ale sądziłam, że skoro już przeprowadziliście się tutaj i osiedliście na dobre, to powiesz jej prawdę.

Kiedy mówiła, jej brwi podskakiwały i strzelały w górę. Sięgnęła po torebkę, wyjęła paczkę papierosów, zapaliła i poczęstowała Paula, lecz on odparł, że nie pali w biurze. Od czasu do czasu zdarza mu się sięgnąć po papierosa w domu, w gabinecie, ale chciałby całkowicie rzucić palenie, a jeśli zacznie palić tutaj, to już nigdy nie przestanie. Po tygodniu siedziałby tu jak w klubie jazzowym z lat trzydziestych. Nie próbował jednak powstrzymać swojej agentki i w końcu wziął od niej papierosa. Musiał

się uspokoić. Josephine podpaliła mu go pozłocaną zapalniczką, po czym usiadła na kanapie i czekała.

Paul zaciągnął się i zaczął chodzić tam i z powrotem.

– Nie powiedziałem jej, bo ją kocham. Najpierw nie mogłem, ponieważ za mało ją znałem. W końcu zacząłem się nad tym zastanawiać, ale zanim to zrobiłem, było już za późno. Poza tym to zbyt niebezpieczne. Gdyby się kiedyś wygadała, choćby przez przypadek... Albo, co gorsza, celowo.

– A co jej powiedziałaś o swojej pracy?

– Że jestem doradcą marketingowym. To dobry pretekst, żeby wychodzić z domu i pisać. Mówię, że jadę na spotkanie z klientami, wsiadam na łódź albo przychodzę tutaj.

– Ona nie wie o tym miejscu?

– Nie i wolę, żeby tak zostało. Ma wszystko, czego potrzebuje. Dbam o to bardzo skrupulatnie. Jestem pewien, że gdybym zdradził jej prawdę, chciałaby wydawać pieniądze. A takie szastanie przyciąga uwagę. Równie dobrze mógłbym przybić szyld przed domem. Maria lubi wydawać pieniądze, lubi czuć finansowe bezpieczeństwo. To ma chyba jakiś związek z jej przeszłością. Wychowywała się w nędzy.

Zapadło milczenie. Tylko pyknięcia i szept zaciągania się papierosami towarzyszyły stukaniu butów Paula na drewnianej podłodze.

– Muszę wiedzieć dwie rzeczy – odezwał się po chwili, przeszywając Josephine surowym spojrzeniem. – Po pierwsze, jak to się w ogóle wydostało? A po drugie, co mam z tym zrobić, do diabła?

– Mam szczerą nadzieję, że to nie było oskarżenie – odparła Josephine.

Paul nie mógł zaprzeczyć, że ta możliwość przeszła mu przez myśl.

– Nie ufasz mi? Po tym wszystkim, co razem przeszliśmy? – spytała Josephine.

Ona nie przeszła tego wszystkiego. Nie tak jak on.

Nie ponosiła odpowiedzialności za ludzkie życie. Nie miała pojęcia, jakie to uczucie. Nie wyjawiał jej wszystkiego. Z oczywistych powodów.

– Masz jakichś nowych pracowników? Nowy system komputerowy? Nie miałaś problemów z hakerami? – wypytywał ją Paul.

Odgrywała dla niego nie tylko rolę agentki literackiej, lecz również buforu. Pieniądze przychodzące z LeBeau Enterprises odbierał w gotówce, osobiście, po czym przepuszczał je przez konto w Schneider and Associates. Same odliczenia podatkowe przynosiły Josephine piętnaście procent zysku.

– Nie, niemożliwe – rzuciła. – Wszystkie informacje na twój temat trzymam w swoim laptopie. Nikt poza mną nie zna do niego hasła. To mój zabezpieczony teren. Wszystkie inne rzeczy przechodzą przez komputer

firmowy, laptop służy tylko do naszych spraw. Jest podłączony do prywatnej sieci. Całkowicie bezpieczny.

– Więc jak to się stało, do diabła, że wpadłem po tylu latach? – spytał Paul.

Josephine założyła nogę na nogę, wrzuciła niedopałek do filizanki po kawie i wydmuchała kłęb dymu.

– Mnie o to nie pytaj. Przyjechałam tu, ponieważ mieliśmy plany na dzisiaj. Zabieram cię stąd. W jakieś bezpieczne miejsce. Mam w torebce kapitał inwestycyjny dla ciebie. Dwadzieścia tysięcy. Powinno wystarczyć, żebyś mógł zacząć życie gdzie indziej.

– Jaki ma sens uciekanie, skoro nie wiem, jak mnie znaleziono? Ktoś puścił farbę, Josephine. Ktoś w twojej agencji. Nie wiem kto, ale ta informacja musiała się skądś wydostać.

– Niemożliwe. Wyciek musi być gdzieś indziej. Może w banku?

Niczym moneta puszczona na stole w ruch obrotowy, myśli w głowie Paula zaczęły powoli zwalniać, aż w końcu krążek zakołysał się na boki i upadł, a po chwili znieruchomiał. Paul zaczął ponownie oddychać, napięte nerwy odpuściły.

Rzeczywiście informacja mogła wyciec z banku. Nie powinien dochodzić do pochopnych wniosków. Był tylko jeden sposób, żeby to sprawdzić.

– Wezmę pieniądze, które przywiozłaś, i zniknę. Nie bierz tego do siebie, ale nikomu nie powiem, dokąd wyjadę. W porządku?

– Jeśli o mnie chodzi, nie ma sprawy, ale co z Marią?

– Po moim wyjeździe będzie bezpieczna. To ja jestem celem.

Josephine westchnęła i popatrzyła na niego tak, że poczuł się dziesięć lat starszy.

– Nie, Paul. Pytałam, co zamierzasz jej powiedzieć? Poślubiłeś tę kobietę, pamiętasz?

Ślub w urzędzie stanu cywilnego był skromną uroczystością. Maria miała koleżankę, która pełniła funkcje świadka, drużny i jedyne gościa. Paulowi wydawało się, że od tamtej pory się nie spotkały. Po ślubie kolacja w ekskluzywnej restauracji. Bez przemów, konfetti i pompy – tak jak chciał. Czuł się z Marią bardzo mocno związany. Mocniej niż z kimkolwiek innym w życiu. Mimo to dystans między nimi nie zniknął. Dystans, który sam stworzył i podtrzymywał.

– Muszę wyjechać. Nie mogę jej zabrać ze sobą. Zbyt łatwo byłoby nas wytropić. Ma dostęp do naszego wspólnego konta, na którym jest dwadzieścia tysięcy. I ma dom. Kiedy sprawa ucichnie, znajdę sposób, żeby

przesłać jej więcej pieniędzy. Dom jest wart czterysta tysięcy, spłace hipotekę i wyśle jeszcze dodatkowe sto. To powinno wystarczyć.

– Tyle że nie będzie miała ciebie – zauważyła Josephine.

– Nigdy mnie tak naprawdę nie miała. Myślę, że to chyba w ogóle niemożliwe. Ale nie będzie musiała przez resztę życia oglądać się za siebie. Kocham ją najmocniej, jak umiem, nie zniósłbym myśli, że coś jej się stało. Nie mogę jej w to mieszać, to zbyt niebezpieczne.

– Rozumiem, ale to, co zamierzasz zrobić, jest bezduszne. Powinieneś jej o wszystkim powiedzieć.

Odwrócił się do Josephine.

– Co powiedzieć? – zapytał szorstko. – Że tak naprawdę nigdy nie znała człowieka, którego poślubiła? „A przy okazji, żegnaj na zawsze”? Nie mogę...

– Zaskuguje na wyjaśnienia.

– Nie mogę wyjawic jej prawdy. Postaram się jej to wynagrodzić.

Josephine westchnęła.

– Kiedy zamierzasz wyjechać?

– Jutro. Muszę załatwić kilka spraw, a potem w drogę. Zadzwońię do ciebie jeszcze raz przed wyjazdem. Powinnaś uważnie przyjrzeć się różnym sprawom w swojej agencji. Wiem, że nie masz na to ochoty, ale proszę, zrób to dla mnie. Dobrze?

Uniosła dłonie na znak kapitulacji.

– Sprawdzę u siebie wszystko, ale uważam, że nikt nie mógł do ciebie dotrzeć przez moją firmę. Nie ma mowy.

Wróci do domu, ułoży sobie szczegółowy plan. Spakuje się. A jutro zostawi swoje dotychczasowe życie i wszystko, co z nim związane. Powiedział sobie, że Maria na tym nie ucierpi. Z czasem się otrząśnie. Zostawi jej list z wiadomością. Napisze, że będzie bez niego bezpieczniejsza. A prawdopodobnie również szczęśliwsza. Przez ostatnie miesiące czuł, że się od siebie oddalają. Wisiała między nimi zimna, niewidzialna mgła. Możliwe, że to on był temu winien. Jego ciągła nieobecność w domu raczej nie podsycała jej uczuć. Zresztą może żadne z nich nie pasowało do tego małżeństwa.

Kiedy się poznali, był pewien, że to kobieta, o jakiej zawsze marzył. Ta jedyna. Oczywiście wcześniej przyznawał ten mesjaniczny tytuł innym i szybko okazywały się fałszywymi prorokiniami. Wszystkie z wyjątkiem jednej, ale jej już nie ma. A razem z nią coś bezpowrotnie w nim umarło. Nie wierzył, by mógł się jeszcze kiedyś zakochać, dopóki nie poznał Marii. Wiedział to wtedy i czuł to samo teraz. Może się zmienił. Ona na pewno się

zmieniła. Przeprowadzka do Port Lonely była dla niej wstrząsem. Lubiła dom i plażę, ale nienawidziła tego miasteczka. Nie umiała go docenić tak jak Paul. Nie dostrzegała bogactwa charakteru jego mieszkańców. Widziała tylko, że nie ma tu wielkich centrów handlowych, klubów nocnych, że o dziesiątej trzydzieści wszystko jest zamknięte, łącznie z barami, i że kiedy idzie ulicą, wszyscy ją uważają za obcą.

Choć oczywiście nią była. Chłód, który towarzyszył tej świadomości, nie podsycał jej sympatii do tego miejsca. Już pierwszego miesiąca chciała stąd wyjechać. Paul się nie zgodził i wtedy po raz pierwszy zobaczył w jej oczach niedowierzanie. Nie mogła uwierzyć, że chce pozostać w Port Lonely. Paul spędził tu kiedyś trochę czasu, kilka lat temu, z pewną kobietą. Było to dla niej szczególnie miejsce i stało się także również dla niego. W Port Lonely czuł jakąś więź z przeszłością. Możliwe, że to oddaliło go w jakiś sposób od Marii. Do rozdzwienku doszło wkrótce po przyjeździe, a potem pęknięcie widoczne na obrzeżach ich związku rosło wraz z upływem czasu, jego wyjazdami i pracą. Możliwe, że Paul przyspieszy tylko to, co i tak było nieuchronne.

Tak, to była tylko kwestia czasu, nasze małżeństwo i tak by nie przetrwało, powiedział sobie.

Każdy egzotyczny ptak musi kiedyś opuścić klatkę, inaczej stanie się ona skrajnym okrucieństwem.

Paul potrafił być okrutny. Musiał, jeśli chciał chronić swój sekret i przeżyć. Wypuścił swojego rajskiego ptaka na wolność, nieważne jak bardzo go to zaboli.

Nie ma innego sposobu.

Josephine wstała, poprawiła ubranie i położyła na kanapie kopertę z pieniędzmi.

– Wobec tego rozumiem, że to już wszystko – powiedziała. – Powinnam już iść. Masz dużo spraw do ułożenia.

Odprowadził ją na dół do drzwi. Przed wejściem zamontował kamerę, która pokazywała obie strony ulicy. Spojrzał na ekran; przy krawężniku parkowało kilka samochodów. Część z nich rozpoznał, znał już pojazdy niektórych mieszkańców miasta. Musiał mieć oko na to, co się dzieje wokół niego. Jeśli zauważył nieznamy samochód, który pojawiał się kilkakrotnie, zapisywał jego numer rejestracyjny. Zwykle po tygodniu czy dwóch udawało mu się rozgryźć, do kogo należy, i wszystko wracało do normy.

Rzucił przelotnie okiem na monitor kamery. Tym razem nie zauważył niczego podejrzanego.

Otworzył drzwi i uderzyły ich w twarz strumienie deszczu. Josephine wyjęła z torby parasolkę i zaczęła się z nią mocować w podmuchach wiatru. Paul chwycił ją za ramię, pomógł jej zapanować nad niesfornym przedmiotem, po czym wyprowadził ją na ulicę i skręcił za róg w stronę wynajętego samochodu, zaparkowanego przy Marina Street.

Czuł się trochę jak dziecko odprowadzające dobrotliwą ciocię po Święcie Dziękczynienia.

Josephine obiecała, że będzie się nim opiekować, i jak dotąd spełniała swoją obietnicę. Zjawiła się w mgnieniu oka, uśmiechnięta, z pieniędzmi, których potrzebował w nagłej sytuacji.

Parasolka kołysała się na boki i niewiele dawała osłony w strumieniach ulewy. Josephine wcisnęła na pilocie przycisk centralnego zamka i samochód zamrugał światłami. Otworzyła drzwi od strony kierowcy, wrzuciła do środka torebkę, po czym złożyła parasolkę i uścisnęła Paula na pożegnanie.

– Uważaj na siebie – powiedziała. – I nie przejmuj się na razie następną książką. Urządź się gdzieś i daj mi znać, czy wszystko w porządku. Zrób sobie tydzień wolnego, a potem wróć do pisania, bo jesteś w tym dobry.

Dotknęła jego twarzy, pocałowała go w policzek i wsiadła do samochodu. Paul zamknął za nią drzwi, patrzył przez chwilę, jak odjeżdża, po czym uciekł z deszczu i wszedł do budynku.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Maria patrzyła na drogę przez zasłone deszczu i łez.

Minęła znak WITAMY W PORT LONELY, zastanawiając się, jak to możliwe, że już jest z powrotem na miejscu. Głowę przepełniało jej takie kłębowisko niespokojnych myśli, że prawie nie pamiętała, co się działo po drodze. Dotarła na miejsce na autopilocie.

Od płaczu piekło ją gardło. Wjechała na stację benzynową, kupiła sobie papierosy i dietetyczną colę, po czym ruszyła w stronę przystani. Przyjemnie zimna cola złagodziła nieco ból gardła. Maria uchyliła okno i zapaliła papierosa, lecz kiedy się zaciągnęła, znowu poczuła pieczenie. Napiała się, żeby schłodzić krtań. Przez otwartą szybę kapąły do środka pękate krople deszczu. Na nogawce dzinsów wykwitły ciemne, okrągłe plamy.

Nie widziała żadnego rozwiązania, które mogłoby naprawić sytuację. Jej świat zadrżał w posadach i od tej pory nic już nie będzie takie samo. Sądziła, że zna swojego męża. Ufała mu. A mimo to przez cały czas czuła, że coś go odróżnia od wszystkich innych ludzi. Był uczciwy. Milczący. Zraniony. Dźwigał ciężar, o którym nie mógł mówić. Bóg jeden wie, że ona też miała własny bagaż doświadczeń. Na swój dziwny sposób przez jakiś czas dobrze się nawzajem uzupełniali.

Teraz wszystko się zmieni.

Zostawi go i odejdzie do Daryla. Cokolwiek dostanie w czasie rozwodu, wystarczy. Prawdopodobnie połowę pieniędzy ze wspólnego konta. Dziesięć tysięcy i może jakąś małą część wartości domu. Wyjawi Paulowi prawdę o Darylu. Powie, co się stało, wyjaśni, że czuła się samotna i zakochała się w kimś innym. Nie chce w zamian zbyt dużo. Myśl, że mogłaby się uwolnić, wyjechać z tego przeklętego miasta z pieniędzmi w kieszeni, napełniała ją świeżym entuzjazmem. Trzymać się z Darylem za rękę, całować się publicznie, bez wstydu i lęku, jak wszyscy zakochani. Wzięłaby te dziesięć tysięcy, tu i teraz, i nie oglądała się za siebie.

Dziesięć tysięcy wystarczy, aby zacząć nowe życie. A jeśli Paul odmówi, sięgnie po kartę atutową i wyciągnie sprawę LeBeau. Zagrozi, że go wyda. Nie będzie chciał ryzykować dla marnych dziesięciu tysięcy. Na myśl o takiej konfrontacji dostała gęsiej skórki. Z podniecenia i strachu zarazem. To najłatwiejszy sposób, aby stąd jak najszybciej uciec. A jednak na samo wspomnienie, że Paul ukrywał przed nią taki majątek, żołądek wywracał jej się na drugą stronę. Porzuciła całe swoje dotychczasowe życie, aby z nim być, i niełatwo będzie zbudować wszystko na nowo. Puszka z colą zaczęła skrzypieć i Maria zdała sobie sprawę, że zgniata ją w dłoni. Napój wyciekł i jej palce zrobiły się lepkie.

Bała się i była zła. Obydwa uczucia podsycaly się nawzajem.

To niesprawiedliwe. Skrajnie niesprawiedliwe.

Deszcz zelżał i Maria rozglądała się po mieście. Jedno wiedziała na pewno. Nie będzie za tym miejscem tęsknić. Nie może się doczekać, kiedy stąd ucieknie. Oczywiście pod warunkiem, że uda jej się nakłonić Daryła, aby rzucił pracę i razem z nią wyjechał z Port Lonely.

Popatrzyła w stronę morza, a potem znowu na otaczające ją ulice. Przed nią mignęły światła. Ktoś otwierał samochód. W bocznej uliczce kilkanaście metrów przed nią jakaś blondynka przy samochodzie mocowała się z parasolką. Miała na sobie skórzane buty do kolan i śliczny płaszcz. Kobiety w tym mieście wiedziały, jak wydawać pieniądze na stroje.

Blondynka włożyła parasolkę do samochodu i odwróciła się do towarzyszącego jej mężczyzny. Nagle coś znajomego w jego wyglądzie ściągnęło uwagę Marii. Włączyła wycieraczki. Wystarczyło, że raz omiotły szybę.

Kobieta objęła Paula i dotknęła jego twarzy. Marii zaparło dech w piersiach. Taki intymny gest musi być wyrazem długiego związku, zaufania i uczucia.

Potem kobieta wsiadła do samochodu i odjechała, a Paul zawrócił, doszedł do skrzyżowania i zniknął za rogiem.

Wiedziała już, że jest kilka powodów, dla których tak często znikał z domu. Samochód wyglądał na nowiutki. Taki nowy model SUV-a kosztuje co najmniej sto tysięcy. Kobiety nie znała. Ładna, bogato ubrana blondynka.

Łomotanie serca dudniło jej w uszach. Pulsowało w gardle. Pierwszy raz w życiu poczuła jego bicie.

Wrzuciła bieg i wyjechała z zatoczki na ulicę. Za nią zatrąbił klakson. Musiała zajechać komuś drogę. Spojrzała w lusterko wsteczne. Kierowca w samochodzie jadącym za nią pokazywał w jej kierunku obsceniczne

gesty, a sądząc z ruchu ust, rzucał też przekleństwami. Nie zwracała na niego uwagi. Wcisnęła pedał gazu i przyspieszyła w stronę skrzyżowania. Nie zobaczyła już nigdzie ani śladu Paula. Nie mógł odjechać. Zresztą na parkingu przystani po drugiej stronie ulicy stał jego samochód. Pusty.

Skręciła na skrzyżowaniu i znów wcisnęła gaz, a cztery minuty później dojechała do parkingu nieopodal ostrej skały wyrastającej z morza, zwanej Mariner's Point. Na skraj cypla prowadziła ścieżka wydeptana przez niezliczone stopy nad kłębiącą się, spienioną wodą. Samochód Marii był jedynym pojazdem na parkingu; sztormowa ulewa zatrzymała ludzi w domach. Wysiadła, nie zważając na deszcz zalewający jej ubranie, buty, włosy, stopy i makijaż. Przerzuciła nogę nad barierką, która zagradszała spacerowiczom wejście na skraj cypla. Zrobiła pięć kroków i poczuła rozpryski fali rozbijającej się o skałę, smak soli na ustach.

Schyliła się, oparła dłonie na kolanach i wrzasnęła na cały głos.

Strach wyparował.

Pozostał tylko gniew.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Daryl zobaczył ją w barze klubu golfowego, po czterech godzinach zmiany, podczas której niewiele się działo.

Czuł się nieswojo od ostatniego spotkania z Marią w barze Lonely Hope. Nie podobał mu się kierunek, jaki w tej sprawie obierała. Powiedziała mu, że jedzie do prawnika za miastem. Kiedy zaczęli się spotykać, ostatnią rzeczą, jaka przyszła mu do głowy, było namawianie jej do rozwodu, ale rzeczy się zmieniają. Ludzie też. Może zdoła jej to wyperswadować. Możliwe, że w jakimś sensie nie chciał tego robić. To była delikatna sytuacja. Tyle potrafił zrozumieć.

Bar w klubie golfowym, gdzie pracował jako kelner, wyglądał dokładnie jak setki barów w setkach podobnych klubów: ściany wyłożone dębową boazerią, kiepskie obrazy z golfistami, jeszcze gorsze pejzaże i wszędzie antyki – zabytkowe kije, głowy jeleni i zmatowiałe srebrne trofea w szklanych gablotkach. Skórzane fotele i ławki wokół ciemnych stolików. Szkocka sprzedawana hektolitrami, im starsza, tym lepsza. Żony jedzące razem lunch, dziobiące jedzenie i narzekające na swoich okropnych mężów. Mężowie pijący razem drinki i pomstujący na żony.

Jedynymi kolorowymi w klubie byli pracownicy. Odwieczny konserwatywny koszmar amerykańskiej prowincji. I choć wszyscy członkowie klubu byli bogaci, żaden nie dałby porządnego napiwku, choćby miał się czołgać.

Daryl obciągnął przód kamizelki, zebrał szklanki ze stolika, powkładał jedną w drugą, po czym ułożył sobie w zgięciu łokcia. Pochylił się nad stolikiem i właśnie wtedy jego uwagę przyciągnął jakiś ruch w wejściu do baru. Odwrócił się i zobaczył kobietę rozmawiającą z zastępcą kierownika, Aaronem.

Zebrał za dużo szklanek, żeby je wygodnie trzymać, więc postawił je i zaczął wycierać uprzątnięty stolik sprejem antybakteryjnym. I jednocześnie obserwował. Miała na sobie różową bluzkę, za długą jak na

tak niską osobę. Włosy z trwałą wyglądały jak kask, który mogłaby w każdej chwili zdjąć i położyć obok siebie na stoliku.

Wyglądała znajomo. Może już ją kiedyś widział, ale nie mógł sobie przypomnieć gdzie. Dopiero kiedy usiadła przy barze i wyjęła z torebki notes, domyślił się, kim jest, ponieważ tylko dwie osoby na świecie prowadzą takie rozmowy i zapisują je w notesach – dziennikarze i gliny.

A ta kobieta na pewno nie była dziennikarką.

Miała na imię Sue. Albo Mary. Albo Mary Sue. Wszystkie tutejsze imiona brzmiały dla niego tak samo. Pracowała w Biurze Szeryfa Port Lonely. Widywał ją czasem, jak wychodziła z komisariatu na Main Street i wsiadała do samochodu.

Pochyliła się nad barem i słuchała uważnie Aarona. Mówiła szeptem i robiła notatki.

W klubie nie zdarzały się żadne incydenty. Ani kradzieże. Ani bójki w barze, ani przypadki niszczenia mienia. Sue przyszła tu w sprawie Marii, Daryl nie miał co do tego wątpliwości. W końcu Aaron na pewno wspomni jej o Darylu i wskaże go palcem. Nic nigdy nie uszło czujnemu oku jego szefa, który widział go nieraz, jak rozmawiał z Marią w barze. Nawet rzucił kiedyś na ten temat uszczypliwy żart.

„Jesteśmy tu po to, żeby zaspokajać potrzeby członków klubu, a nie żeby zaspokajać ich żony”.

Kiepski dowcip.

Daryl wziął szklanki, minął bar, ukrywając twarz za piramidą szkła, i poszedł z nimi do kuchni. Spojrzał na zegarek. Jeszcze osiem godzin do końca zmiany. Kierownik baru i szef kuchni rozmawiali właśnie na temat zamówionych cytryn i limonek. Daryl otworzył zmywarę, powkładał brudne naczynia i włączył program.

W jego kieszeni zabrzęczała komórka. Dzwoniła Maria. Nie odebrał.

Telefon podsunął mu pomysł, jak się wymknąć. Poszedł w głąb kuchni i znalazł Toma oglądającego z szefem kuchni zamówienia.

– Hej, Tommy, właśnie dostałem telefon. Pilna sprawa rodzinna. Mogę wziąć wolny dzień?

– Idź. Mamy dzisiaj dość ludzi – odparł Tom. – Załatw, co musisz, zobaczymy się w poniedziałek.

Daryl podziękował, odwrócił się na pięcie i idąc przez kuchnię w stronę tylnego wyjścia, zdjął krawat i rozpiął kołnierzyk. Na szczęście żadna furgonetka dostawcza nie blokowała wyjazdu z wewnętrznego parkingu, więc wsiadł do swojego samochodu i odjechał.

Kluczył bocznymi uliczkami, omijając Main Street najdłużej, jak się dało, w końcu jednak musiał w nią skręcić, żeby wjechać na parking. Zatrzymał się i zgasił silnik. Lało jak z cebra. Ciężkie krople bębniły o samochód. Deszcz podążał za ciemnymi chmurami niczym ponura przepowiednia.

Wyjął komórkę i oddzwonił do Marii.

– Cześć, jak tam... – zaczął.

Lecz Maria go nie słuchała. Nie pozwoliła mu dokończyć, wybuchła zdławionym przez płacz, drżącym głosem:

– Paul spotyka się z inną kobietą! – wyrzuciła.

Daryl nie wiedział, co powiedzieć; wszystko zabrzmiałoby jak frazes lub hipokryzja. Chciał do niej pojechać. Przytulić ją. Uspokoić, zapewnić, że wszystko będzie dobrze, że będzie ją wspierał.

Nie dostał szansy. Mógł tylko słuchać jej płaczu. Próbował coś łagodnie powiedzieć, lecz ona najwyraźniej nie mogła lub nie chciała go słuchać, więc przestał. Po jakimś czasie jej oddech nieco zwolnił, a silne drzenie w głosie ustało.

– Przyjadę do ciebie. Gdzie jesteś? – spytał.

– Nie, nie mogę się z nikim spotkać – odparła urywanym głosem. – Potrzebuję trochę czasu. Muszę... muszę to wszystko przemyśleć. Zrozumieć. Nie ufam Paulowi. Już go w ogóle nie znam. Czy... czy możesz coś dla mnie zrobić?

– Co tylko zechcesz – rzucił bez namysłu.

– Chciałabym, żebyś śledził Paula. Na parkingu na przystani stoi jego samochód, ale Paul nie wypłynął łodzią. Jest gdzieś w mieście, w Port Lonely. Znajdź go i powiedz mi, co robi. Ja nie mogę go obserwować, bo rozpoznałby mój samochód. Musisz to zrobić za mnie. Proszę, nie zniosę tego dłużej.

– Dobrze, dobrze, oddychaj głęboko. Uspokój się. Będę obserwował jego samochód. Pojadę za nim, zobaczę, co się dzieje. Tylko proszę, nie rób nic głupiego, dobrze? Ja... – Zawahał się, lecz tylko na chwilę. – Potrzebuję cię, Mario.

Rozłączyła się.

Daryl pojechał na przystań i znalazł maserati Paula. Stanął kilkanaście metrów dalej, zgasił silnik i obserwował samochód przez zasłonę deszczu zalewającego szybę. Rozmyślał o Marii, o tym, jaka potrafi być silna. Wiele kobiet na jej miejscu skoczyłoby mężowi do gardła. I miałyby do tego prawo. Maria zawsze umiała myśleć chłodno. Chciała zebrać jak najwięcej informacji, zdobyć amunicję i dopiero wtedy drania zaatakować.

Sprytna kobieta.

Zobaczył Paula idącego w stronę samochodu w płaszczu z postawionym kołnierzem, z parasolem wyginającym się i skręcającym na wietrze. Odczekał, aż maserati wyjedzie z parkingu, po czym zachowując bezpieczną odległość, ruszył za nim. Paul skręcił w Main Street, przejechał przez miasto, a następnie zmierzał drogą biegnącą wzdłuż wybrzeża w stronę domu.

Daryl nie mógł się zatrzymać przed posiadłością Cooperów, nie miał też jak się ukryć po drodze, skręcił więc w dróżkę prowadzącą na plażę i zatrzymał się na parkingu. Na szczęście deszcz nieco zelżał. Wysiadł, wciągnął w piersi zapach wilgotnego nadmorskiego powietrza i poczuł na twarzy wiatr upstrzony drobinami piasku. Wyjął z bagażnika sztormiak, włożył go i przerzucił przez ramię czarną skórzaną torbę podróżną. Nasunął na głowę kaptur i ruszył w kierunku plaży. Zrobiło się zimno, na otwartej przestrzeni wichur smagał bezlitośnie.

Szedł plażą, nie zważając na paskudną pogodę. Minęło pół godziny, zanim zobaczył dom Cooperów. Maserati stało na podwórzu, nie było za to widać samochodu Marii. Po chwili w oknie sypialni wychodzącym na ocean zauważył Paula. Plaża wyglądała na pustą, więc Daryl przyklęknął za niskimi skałami oddzielającymi teren zielony od wydm. Sięgnął do torby, wyjął starą lornetkę, której czasem używał do obserwowania ptaków, i skierował ją na dom. Paul stał w sypialni. Schylił się nad łóżkiem, poprawił coś, po czym odwrócił się i podszedł do szafy. Wyjął z niej kilka par złożonych dżinsów, znowu pochylił się nad łóżkiem, na kilka sekund zniknął, a następnie wyprostował się i wyszedł z pokoju.

Daryl opuścił lornetkę i zaczął lustrować okna, szukając jakiegoś ruchu. W końcu otworzyły się boczne drzwi i mąż Marii wyszedł, ciągnąc za sobą dużą walizkę. Musiał nacisnąć przycisk na pilocie, bo bagażnik maserati otworzył się, zanim Paul okrążył samochód. Włożył do środka walizę, dotknął przycisku zamykającego kufer i podczas gdy kłapa powoli się opuszczała, wszedł z powrotem do domu. Wkrótce potem zapaliło się światło w kuchni. Paul podszedł do lodówki, wyjął kilka rzeczy i położył na blacie. Potem wziął do ręki nóż i zaczął coś kroić.

Daryl tylko raz jadł w domu Marii. Powiedziała, że nie umie gotować i nie robi tego. Kiedy Paul był w domu, to on przygotowywał posiłki. Jedyną rzeczą, jaką Maria umiała przyrządzić bez przypalania, było spaghetti. Kręciła się po kuchni, piekliła, klęła, po czym dwadzieścia minut później postawiła na stole talerz z makaronem i sosem pomidorowym z puszki.

Daryl uśmiechnął się, zjadł i zapewnił ją, że było dobre. Skłamał.

Teraz wyjął z kieszeni komórkę, bo właśnie zadzwoniła Maria.
– Cześć, gdzie jesteś? – spytała piskliwym, schrypniętym głosem.
Poznał, że znowu płakała.

– Na plaży. Paul jest w domu – odparł.

Na razie nie chciał zdradzić nic więcej. Cierpiała, a to czyniło ją zbyt nieobliczalną.

– Co robi? Coś niezwykłego?

Westchnął. Nie ma wyjścia, musi jej powiedzieć. Nie znalazł łagodnego sposobu, żeby jej zakomunikować prawdę. Musi to po prostu wykrztusić.

– Właśnie spakował walizkę i włożył ją do bagażnika. Wygląda na to, że wystraszył go twój liścik za wycieraczką. Nie ma wątpliwości: on naprawdę jest J.T. LeBeau we własnej osobie.

– Będę tam za dwadzieścia minut. Dziękuję ci – rzuciła, lecz w jej tonie nie słychać było ani krztyny wdzięczności.

Daryl słyszał, że słowa więzną jej w gardle. Łzy i ból mogły w każdej chwili połknąć każde kolejne zdanie. W tle warczał samochód. Musiała właśnie przyspieszyć i rozmawiała przez głośnik.

– Nie... hm... nie rozmawiałeś z nim?

– Oczywiście, że nie. Chcesz, żebym poczekał gdzieś w okolicy? Na wypadek kłopotów?

– Nie. Nie będzie żadnych kłopotów – odparła Maria.

Słyszał jednak w jej głosie, że wcale nie jest tego pewna.

– Nie musisz wracać do domu. Możemy się spotkać w naszym ulubionym miejscu. Przyniosę piwo i czerwone wino, możemy zostać tam całą noc. Powinniśmy trzymać się razem.

Czekał cierpliwie, aż Maria przemyśli jego propozycję. Kiedy się w końcu odezwała, jej głos znowu tonął w kolejnym przyływie łez.

– Nie... wszystko w porządku. Dziękuję ci. Tak bardzo cię kocham. Zadzwonię do ciebie – oznajmiła i rozłączyła się.

Daryl wyprostował zdrętwiałe nogi i po chwili wstał. Schował lornetkę i komórkę, po czym ruszył z powrotem do samochodu. Pojechał na przystań i wsiadł na swoją łódź. Nie umywała się do jachtu Paula, była mniejsza i starsza. Kupił ją tanio i naprawił, żeby wozić ludzi na lekcje nurkowania i dorobić trochę kasy na boku. Nie mógł opuścić przystani. Naraziłby życie, gdyby wypłynął na morze w taką pogodę. Zamiast tego włożył skafander do nurkowania, zamontował świeżą butlę z tlenem i zsunął się przez burtę do wody. Niepokoili go ta policjantka zadająca w barze pytania. Mógł to być początek albo koniec śledztwa. Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że

kobieta robiła tylko rozeznanie na temat Marii i Paula. Mogą chcieć z nim rozmawiać, ponieważ dosyć często obsługiwał Marię, kiedy przychodziła do klubu. Jej mąż nigdy się nie zjawiał. Może policja poszłaby tym tropem, a może nie. Na razie Daryl pragnął tylko zanurzyć się w zimnej, ciemnej wodzie. W zacisznej morskiej toni czuł się idealnie samotny. W głębi, gdzie żyją wszystkie potwory.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Już nieraz kosmetyczka schowana w skrytce samochodowej przyszła jej z pomocą. Maria zatrzymała się kilkaset metrów od domu, na brzegu nieużywanej drogi prowadzącej do starej farmy, kupionej dawno temu przez firmę developerską, która pozwalała terenom dziczeć i zarastać. Przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny prawie cały czas płakała, a to, co na koniec powiedział Daryl, sprawiło, że łzy pociekły na nowo.

Przejrzała się w lusterku wstecznym, poprawiła szminkę i oczy, po czym stwierdziła, że udało jej się całkiem nieźle doprowadzić się do porządku.

Wzięła kilka głębokich oddechów i wyjechała na drogę. Kilka sekund później znalazła się w tym domu. Przez cały dzień myślała o nim właśnie w ten sposób: „ten dom”. Uświadomiła sobie, że prawie zawsze tak o nim mówiła. Chyba nigdy nie nazwała go „swoim domem”.

Zobaczyła Paula w oknie kuchennym. Gotował kolację.

Jeszcze kilka głębokich oddechów.

Wysiadła z samochodu, zamknęła drzwi i weszła do „tego domu”.

Usłyszała muzykę klasyczną. Nie przepadała za nią, ale przyzwyczaiała się. Ten typ muzyki potrafiła po prostu blokować niczym hałas w tle. Jej wejście zapowiedziały kroki na drewnianej podłodze. Kiedy zastukała obcasami o białe płytki kuchenne, Paul odwrócił się przestraszony z nożem w ręce i oczami zamglonymi lękiem.

– To ja – powiedziała.

Położył dłoń na piersi i wziął kilka głębokich oddechów. Uśmiechnął się przelotnie, lecz na jego twarz szybko powrócił surowy wyraz. Nie gniew. Raczej troska... Może.

– Przemokłaś do suchej nitki. Gdzie byłaś przez cały dzień? Martwiłem się o ciebie.

Jeśli rzeczywiście się martwił, to dość szybko się otrząsnął, pomyślała Maria. Nie zapytał, jak się czuje. Czy wszystko w porządku. Nie podszedł, żeby ją objąć, pocałować. Nic go nie obchodziła. Drań.

Milczenie dudniło niczym dzwony bijące na alarm.

– Przemyślałam sobie różne rzeczy, Paul. Ten wczorajszy włamywacz nie był zwykłym złodziejem. Czego on szukał, Paul?

Jej mąż z roztargnieniem machnął nożem i zignorował pytanie.

– Boję się, Paul. Chcę, żebyś mi powiedział prawdę – zażądała stanowczo. Chociaż jej słowa zabrzmiały z mocą, walczyła ze wszystkich sił, aby wydusić je z trzepoczącej piersi.

Paul odłożył nóż, podszedł do niej i delikatnie położył jej dłonie na ramionach, lecz Maria strząsnęła je, splotła ręce na piersi, zacisnęła usta i wbiła w niego wzrok, jakby chciała przewiercić go na wylot.

– Nie wiem, kto to był ani czego chciał. Słowo honoru, że nie wiem. Prawdopodobnie zwykły złodziej, którego spłoszyłaś, zanim zdążył coś ukraść.

– Coś przede mną ukrywasz – odezwała się łagodnie.

– Za nic bym niczego przed tobą nie ukrywał – powiedział i pocałował ją.

Czuła na ustach gorzki i słony smak kłamstwa. Odsunęła się i poszła na górę. Każdy nerw wrzeszczał w niej, żeby zdobyła się na konfrontację.

Powiedz mu, że znasz prawdę!

Kiedy znalazła się w sypialni, podeszła do stolika nocnego po swojej stronie łóżka i otworzyła górną szufladę. Gdyby Daryl nie powiedział jej, że Paul spakował walizkę, prawdopodobnie w ogóle nie wróciłaby do domu. Ale musiała to zrobić. Musiała sprawdzić. Na jej paszporcie leżał plastikowy listek ze środkami antykoncepcyjnymi. Wzięła do ręki tabletki i swój dokument i zajrzała pod spód, gdzie zwykle znajdował się jego paszport. Jeszcze wczoraj go tu widziała, kiedy brała pigułkę. Teraz zniknął.

To było potwierdzenie. Odchodzi od niej. Walizka w samochodzie, paszport... Zostawia ją i ucieka. Pieniądze, blondynka, która gładziła go po twarzy. To nie był gest pożegnania. Ten gest mówił, że niedługo się znowu zobaczą. Że rozstają się tylko na jakiś czas. Żeby mógł wrócić do domu, spakować się i opuścić żonę. Żeby wieść swoje drugie życie.

Sukinsyn!

Przygryzła wargę, ale zbyt mocno i poleciała jej krew.

Podobno była silną kobietą, a tymczasem Paul nie musiał się zbytnio wysilać, żeby mieć ją pod kontrolą.

Żeby wszystko mieć pod kontrolą.

Jej finanse.

Jej dom.

Jej uczucia.

Jej ciało.

Rozebrała się i weszła pod prysznic. Przez dłuższy czas gorąca woda parzyła jej skórę; Maria poddawała jej się z nadzieją, że gorąco pomoże jej oczyścić umysł. Nie oczyściło. Wyszła spod prysznic, wytarła włosy i owinęła się ręcznikiem. Wróciła do sypialni, położyła się do łóżka, nakryła głowę poduszką. Długo płakała. Jęczała ze złości w miękkim materacu. Miała ochotę zejść na dół i walnąć Paula. Wrzasnąć mu w twarz, że dobrze wie, kim jest. Że przejrzała wszystkie jego kłamstwa.

Zawołał z dołu kilka razy. Spytał, czy nic jej nie jest, czy chce zjeść kolację. Czy chce wody. Potem powiedział, że rano wyjeżdża. Na kilka dni.

Nie odezwała się. A on w końcu przestał wołać. Nie przyszedł na górę, żeby zobaczyć, co się z nią dzieje. Najpierw ją to zabolalo, lecz potem uznała, że tak jest lepiej. Zaczęła już w myślach izolować swoje uczucia od Paula. Ofiarowała mu miłość, a on nie dał jej z siebie nic. Musi teraz to wszystko odebrać. Zebrać ostatnie nici uczucia, które zaplątały się we wspomnieniach, w czasie, w przedmiotach.

Zdjęła obrączkę i pierścionek zaręczynowy. Złote kółko wydawało się lekkie i tandetne. Pierścionek kosztował kilka tysięcy dolarów – nędzny ochłap w porównaniu z jego prawdziwym majątkiem. Ścisnęła w dłoni biżuterię, jakby chciała wydusić z niej ostatnie krople uczuć i szczęścia.

W końcu zapadła noc.

Maria czekała. A czekając, wyszukiwała w telefonie artykuły na temat J.T. LeBeau. Chciała wiedzieć wszystko. Zrozumieć, kim jest człowiek, za którego wyszła, ten obcy mężczyzna w jej życiu.

O czwartej wstała z łóżka i bosą zeszła na dół.

Paul spał na kanapie, tak jak poprzedniej nocy. Obok niego na podłodze stał talerz z na wpół zjedzonym posiłkiem. Maria na palcach przemknęła do korytarza, z wiklinowej misy na stoliku ostrożnie wzięła kluczyki do samochodu Paula, po czym cichutko podeszła do drzwi.

Zamek kliknął prawie niedosłyszalnie. Wyśliznęła się z domu, pod bosymi stopami poczuła twarde kamienie. Nacisnęła pilota. Maserati błysnęło światłami, wydało metaliczne pyknięcie i odblokowało zamek centralny. Kolejnym przyciskiem otworzyła bagażnik i patrzyła, jak kłapa podnosi się bezszelestnie. Szybko zajrzała do bocznej kieszeni aktówki Paula i wyjęła jego paszport. Zamknęła aktówkę, bagażnik i samochód.

Po kamieniach przemknęła z powrotem do drzwi i na moment wstrzymała oddech. Słyszeć było tylko szum morza. Wśliznęła się do środka i ponownie wstrzymując oddech, ostrożnie zamknęła za sobą drzwi.

Chyba przez minutę odkładała kluczyki od maserati z powrotem do wiklinowego koszyczka na stoliku, aby nie zabrzęczały. Mijając otwarte drzwi do salonu, usłyszała chrapanie Paula. Nawet się nie poruszył.

Po powrocie do łóżka włączyła telefon i napisała SMS-a do Daryla. Potem długo wpatrywała się w ekran, przekonując siebie, że to jest rzeczywistość, że to się dzieje naprawdę.

Nigdy nie знаła swojego męża. Poślubił ją i pożarł, a teraz wyrzucał jak ochłapy. Nie pozwoli na to. Mimo to minęło pół godziny, zanim zebrała się na odwagę i wysłała wiadomość.

Moje małżeństwo się rozpadło. Potrzebuję twojej pomocy.

Odpowiedź nadeszła po pięciu minutach. Cichymi wibracjami w materac.

Czego tylko potrzebujesz. Zrobię dla ciebie wszystko.

„The Guardian”

Kim jest J.T. LeBeau?

I dlaczego odpowiedź na to pytanie jest taka ważna?

Jeremy Frumpton

Jeśli rozważyć wszystkie okoliczności, pierwsza powieść J.T. LeBeau nie miała szans na sukces. Kiepski tytuł – *Wkręcony* – był zbyt pospolity nawet jak na thriller. Według anonimowego źródła z wydawnictwa, które opublikowało książkę, redakcji wcale się nie podobał. Kupili tekst za grosze, nie wydali ani dolara na marketing czy reklamę, okładka wyglądała wręcz zniechęcająco, a redaktor, który podpisywał z autorem umowę, Bob Crenshaw, zmarł wkrótce po ukazaniu się *Wkręconego*. Zdążył jednak zobaczyć początek tego, co miało wkrótce nastąpić.

Mimo braku rodowodu książka wkrótce zaczęła się sprzedawać. Nikt się tego nie spodziewał, jako że publikacji nie towarzyszyły żadne fanfary, a początkowy nakład wynosił zaledwie tysiąc egzemplarzy.

Tego, co się wydarzyło później, nie sposób było przewidzieć. Powieść kupiło kilka osób i bardzo im się spodobała. Opowiedzieli o niej swoim znajomym, dzięki czemu sprzedawały się następne egzemplarze. I wkrótce zadziałała magia, co zdarza się bardzo rzadko.

Słowo przekazywane z ust do ust. Nic tak nie napędza sprzedaży książek jak właśnie ono. Istnieją w świecie wydawniczym pozycje, o których się mówi. Co nie znaczy, że czytelnicy się w nich zakochują. Nie, ale ręce podsuwają je przyjaciołom i znajomym z pracy, aby móc o nich rozmawiać przy kawie, automacie do napojów lub przez telefon. Kiedy do tego dochodzi, książka rozprzestrzenia się niczym wirus.

Początkowo bardzo niewiele księgarń przyjęło na półki *Wkręconego*. Lecz te, które to zrobiły, szybko wyprzedawały cały zapas i zamówiły następne egzemplarze. Klienci o nim rozmawiali, dyskutowali w klubach, polecali w sieci i tak z wolna, lecz nieuchronnie niewielka z początku rzesza miłośników zaczęła rosnąć. Widząc coraz większe zainteresowanie na rynku, powieść zaczęły zamawiać kolejne księgarnie. I wkrótce książka zaczęła żyć własnym życiem. Przy czwartym dodruku w nakładzie trzydziestu tysięcy egzemplarzy, osiem miesięcy po pierwszym wydaniu, *Wkręconego* przeczytał w końcu redaktor, który przejął obowiązki po śmierci Boba Crenshawa.

Wydawnictwo próbowało skontaktować się z autorem, aby zorganizować kampanię reklamową – może trasę promocyjną lub cykl wywiadów w internecie. Autor kategorycznie odmówił i zastrzegł, że chce zachować pełną anonimowość. W jednym z wywiadów z pracownikiem redakcji czytamy, że wydawnictwo uznało pisarza za skończonego głupka, który niczego nie osiągnie, i odmówiło z nim dalszej współpracy.

Tymczasem jednak słowo przekazywane z ust do ust dalej się rozprzestrzeniało. Czytelnicy starali się unikać spoilerowania, ale nie potrafili się powstrzymać i po skończonej lekturze wciskali książki w ręce bliższych i dalszych znajomych. Nie mogli rozmawiać o autorze, ponieważ nigdy się nie ujawnił.

Po dziesiątym wznowieniu, wysokości stu tysięcy egzemplarzy, dyrektor wydawnictwa poinformował redaktora prowadzącego, że nie obchodzi go, czy autor jest dupkiem, czy nie. Mają w garści prawdziwą żyłę złota i chcą mieć następną książkę.

Redaktor wysłał maila do J.T. LeBeau.

Trzy miesiące później otrzymali kolejny kryminał z zaskakującym zwrotem akcji. Początkowy nakład drugiej powieści LeBeau wyniósł dwieście pięćdziesiąt tysięcy egzemplarzy i tytuł sprzedał się jeszcze lepiej niż pierwszy. Z tego samego powodu.

Artykuł w „New Yorkerze” zasugerował, że prawdziwym autorem książek J.T. LeBeau jest Ken Follett. Pan Follett z żalem zdementował tę informację, lecz to był dopiero początek. Przez następne dziesięć lat pojawiały się nowe powieści, podpisywano nowe umowy, lecz autor pozostał duchem. Sprzedaż rosła, prasa podsyciała kolejne teorie spiskowe i podejmowała kolejne próby wytropienia nieuchwytnego J.T. LeBeau.

Rosła również lista podejrzanych o tajemniczy pseudonim, znaleźli się na niej Stephen King, John Grisham, Jodi Picoult, J.K. Rowling, która okazała się w końcu Robertem Galbraithem, a nawet James Patterson.

Spekulacje trwały. Na rynek wchodził co roku nowy kryminał J.T. LeBeau. Każdy następny równie dobry jak poprzedni, jeśli nie lepszy.

Zaiste wydawnicza żyła złota.

Zaczęły się sypać pozwy sądowe – kolejny dowód sukcesu.

Sześciu pisarzy oznajmiło, że J.T. LeBeau ukradł im utwór, szkic, pomysł lub postacie. Żaden z zarzutów się nie potwierdził. Wydawcy przedstawiali maile z datą i godziną wysłania, nieodmiennie wcześniejsze od dzieł, które rzekomo zostały splagiatowane.

Jeden z pozwów wszelako, wspierany przez redakcję dużego i znanego dziennika, zaszedł dość daleko. Właściciele gazety wiedzieli, że zarzuty są

falszywe, lecz podtrzymywali je aż do pierwszych przesłuchań, liczyli bowiem wyłącznie na to, że J.T. LeBeau będzie musiał stawić się przed sądem, a tym samym ujawnić tożsamość. Naturalnie nic takiego się nie wydarzyło; prawnicy doprowadzili do odrzucenia pozwu, przedstawiając maile oraz redaktorów wydawnictwa jako świadków.

Po tych kosztownych wypadkach pozwy ustały.

Za to nie ustało, a wręcz wzrosło, zainteresowanie tożsamością J.T. LeBeau.

National Book Award, Nagroda im. Edgara Allana Poe, Theakston's Old Peculier, Nagroda Anthony'ego, Złoty Sztylet Stowarzyszenia Pisarzy Literatury Kryminalnej, a nawet Pulitzer nie wystarczyły, aby wywabić J.T. LeBeau z ukrycia i skłonić go do wygłoszenia mowy na scenie.

Jeden z najsłynniejszych twórców kryminałów nigdy nie pokazał swojej twarzy.

Więc kogo właściwie obchodzi tajemniczy, hermetyczny pisarz odludek? Czy nie wystarczą nam jego książki?

I tak, i nie.

Jedyną osobą w świecie wydawniczym, o której wiadomo, że poznała osobiście J.T. LeBeau, był Bob Crenshaw, człowiek uzależniony od narkotyków i alkoholu, porzucony przez rodzinę i znajomych. Smutna historia Boba Crenshawa, który nie dożył rozkwitu swego największego sukcesu, była może zbawiennym ostrzeżeniem dla niedoświadczonego wówczas LeBeau. Może widział upadek swego redaktora i nauczył się trzymać życie osobiste z dala od świateł reflektorów.

Możemy się tylko domyślać, że przedwczesna śmierć Boba Crenshawa musiała wywrzeć silny wpływ na decyzje J.T. LeBeau.

Sam zresztą napisał o tym w swojej późniejszej powieści, zatytułowanej *Człowiek w płomieniach*. Oczywiście fakty zostały zmienione, ale śmierć bohatera nosi znamienne podobieństwa do historii Boba Crenshawa, który nie zginął wskutek przedawkowania. Nowojorska policja podejrzewa, że przyczyną jego śmierci była nieudana transakcja narkotykowa.

Bob Crenshaw spłonął żywcem, zamknięty w bagażniku własnego samochodu.

Może to właśnie jego okrutna i brutalna śmierć popchnęła nieśmiałego LeBeau do pustelniczego życia? Być może nigdy nie poznamy prawdziwej historii kryjącej się za postacią tajemniczego, anonimowego pisarza, którego dzieła rozpalają emocje milionów wielbicieli na całym świecie.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Szósta trzydzieści w niedzielny poranek wydawała się Paulowi równie dobrą porą jak każda inna, aby odejść od żony. Zastanawiał się nad tym wielokrotnie. Nie było dobrej pory. Musiał po prostu zagryźć zęby i zerwać plaster.

Nie ma wyboru.

Jeśli zostanie, zginą następni ludzie. A Paul nie chciał nikogo zabijać.

Nigdy więcej. Mimo to weźmie ze sobą rewolwer. Na wszelki wypadek lepiej go mieć przy sobie.

Wstał z kanapy, przeciągnął się i poszedł do kuchni, gdzie znalazł papier i długopis. Przez całą noc zastanawiał się, czy porozmawiać z Marią. Zasługiwała na coś więcej. Zasługiwała na coś lepszego. Wahał się, co napisać w liście i czy w ogóle coś pisać.

W końcu doszedł do wniosku, że nie potrafi odejść bez pożegnania. Zostawi list i będzie w nim tak szczery, jak to tylko możliwe.

Pisanie zajęło mu kilka minut. Kiedy skończył, położył list razem z długopisem na blacie kuchennym i zanim zdążył wyschnąć atrament, zamknął za sobą drzwi. Wsiadł do samochodu, wycofał na drogę, po czym ruszył w kierunku miasta i przystani. Myśl, że zostawia to wszystko za sobą, działała wręcz odurzająco. Wystarczy, że wsiądzie na łódź, a od razu poczuje fizyczny i emocjonalny dystans. Kiedy wypływał, w jego mózgu zachodziły jakieś zmiany; uwalniał się od społecznych więzi, które go ograniczały na lądzie. Na morzu obowiązywało niewiele zasad, więzy i powinności zamieniały się w wyspy, które za sobą zostawiał.

Mimo to nie miał wątpliwości, że za kilka tygodni lub miesięcy poczuje ciężar tego, co zrobił. Maria nie wiedziała, że jej mąż prowadzi drugie życie. Życie pisarza, samotnika całkowicie odciętego od świata. Nie wiedziała o pieniądzach. I nie mogła się o nich dowiedzieć.

Taka była umowa. Nikomu nie powie. Zachowa tajemnicę, a wszystko będzie dobrze.

Nikt więcej nie musi umierać. Wystarczy, że Paul zostawi wszystko za sobą.

Wjechał na parking przed przystanią i wysiadł ze swojego sportowego wozu. Wyjął walizkę, postawił ją obok na asfalcie i wyciągnął wysuwaną rączkę, podczas gdy mechanizm hydrauliczny zamknął z powrotem bagażnik. Jedno kliknięcie pilotem zablokowało centralny zamek. Brama do przystani była zamknięta na gruby łańcuch i masywną kłódkę. Paul miał klucz, więc po otwarciu zamknął za sobą bramę, a dla większej pewności owinął łańcuch dwukrotnie.

Znalazł swój jacht w tym samym miejscu, gdzie go zostawił. Bilety lotnicze zostawiają po sobie ślady – lepiej ich uniknąć, jeśli to możliwe. Poza tym Paul kochał swoją łódź. Samochód również, ale musi go zostawić. Kupi sobie nowy, kiedy gdzieś osiadzie. Na razie wolał być w ruchu. Morze to najlepsze miejsce, żeby zniknąć.

Chociaż w ciągu ostatnich lat spędzał dużo czasu na łodzi, w żadnym wypadku nie zaliczał się do dobrych żeglarzy. Zdobył patent żeglarski, ukończył kurs przetrwania, ale większość tych rzeczy już dawno wyleciała mu z głowy i teraz nie pamiętał nawet, gdzie jest sterburta.

Przekonywał siebie, że nie musi wiedzieć tych wszystkich rzeczy; w końcu tak naprawdę nie uprawia żeglarstwa. Łódź ma silnik, a Paul pieniądze na paliwo – oto cała filozofia poza tym, żeby w maleńkim kambuzie znalazły się podstawowe produkty jak ser, bagietki i dużo pieczonej szynki, bekonu oraz fasoli. Jednym z najtrudniejszych zadań okazało się gotowanie posiłków na maleńkiej kuchence. Znał wiele przepisów, ale żadnego nie dało się przyrządzić na jednym palniku. Szybko więc pogodził się z tą skrajnie prostą dietą i wszystko było dobrze, jeśli tylko dbał o pełny barek z winem.

Dokończył przegląd łodzi. Był to w jego przypadku bardziej rutynowy nawyk niż rzetelna próba sprawdzenia, czy łódź nadaje się do żeglugi. Z biegiem czasu coraz bardziej zawężał zakres kontroli, ponieważ stopniowo zapominał, czego właściwie szuka i po co. Upewnił się, że działa system nawigacji oraz radio i że nie brakuje paliwa. Na tym koniec. Kiedy uruchomił silnik i usłyszał, że pracuje jak zwykle, odepchnął się od pomostu i zaczął ostrożnie manewrować między przycumowanymi łodziami. Wkrótce opuścił przystań i stopniowo przyspieszył. Fale nadal były wysokie, więc uważnie utrzymywał łódź pod kątem, aby unikać grzywaczy i łagodnie ześlizgiwać się w doliny. Pływając na morzu, widywał już większe fale, ale i te były niebezpieczne. Jacht tąpnął dnem o wodę na

szczyście fali i Paul kilka razy usłyszał trzask, jakby łódź wznosiła się i lądowała na twardym podłożu.

To była niebezpieczna żegluga. Zmagał się z oceanem przez większą część dnia, bez jedzenia, tylko na dwóch butelkach wody. Bał się puścić ster choćby na sekundę. W końcu późnym popołudniem morze się uspokoiło, ale warunki pogodowe tak wcześniej spowolniły łódź, że mimo najlepszych wysiłków niewiele oddalił się od portu. Przez cały dzień prąd spychał go z powrotem.

Zgasił silnik, zszedł na dół, podgrzał na kuchence fasolkę z puszki i zjadł ją z chlebem. Przy dwóch kieliszkach wina i jednym napoju gazowanym przesiedział kilka godzin nad laptopem. Trudna podróż wymagająca koncentracji pomogła mu się skupić. Ani przez chwilę nie pomyślał o Marii czy o włamywaczu.

Obolałe ramiona i plecy nie powstrzymały go przed pisaniem. Niektórzy twórcy wypracowywali sobie rytuały, które pomagają im w pracy, lecz Paul potrzebował tylko samotności. Nie przeszkadzało mu łagodne kołysanie morza, odgłos fal rozbijających się o kadłub czy ptaki zataczające koła nad łodzią. Najważniejsze, że mógł być sam i słyszeć w głowie zdania grające jak muzyka.

I oczywiście zwroty akcji. Są różne rodzaje zwrotów akcji, różne sposoby na wkręcenie czytelnika. Paul wiedział, że ta książka będzie wielką zasadzką. I właśnie miał zastawić sidła. Od stu stron pichcił się w jego głowie ten zwrot akcji. Podświadomie zostawiał już tropy – świadectwa pułapki przeświecającej przez listowie.

A teraz wyłoniła się w całej krasie. Widział ją oczami wyobraźni – postaci i wątki rozłożone jak werk szwajcarskiego zegarka. Tykała z idealną precyzją, czekając, aż uderzy młoteczek.

Ogarnęło go podniecenie, desperacka potrzeba, by przelać słowa na papier, zanim zblakną lub wywietrzeją z jego umysłu jak bąbelki szampana. To była treść jego życia.

Lubił konstruować takie zwroty akcji, żeby przekłeta książka wypadła czytelnikowi z rąk.

I na jeden z nich właśnie się zanosilo.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Naprawdę odszedł.

Milczący, pusty dom w milczącym, pustym mieście. Maria czuła tę martwość dotkliwiej niż kiedykolwiek dotąd. I nie chodziło tylko o chwilę obecną, o odczuwaną pustkę. Miała wrażenie, jakby Paul wkradł się w jej życie i ukradł jej przeszłość. Trzy lata. Poszły z dymem. Nigdy w życiu nie czuła się taka złamana. Taka samotna. Zdeptał jej miłość, która zacisnęła się w węzeł wokół jej bólu i zamieniła w jedną wielką ranę.

Miłość wyparowała. To, co Maria kochała, okazało się kłamstwem. Mężczyzna, którego poznała, z którym spała i śmiała się, którego obejmowała i całowała... ten mężczyzna tak naprawdę nie istniał. Dla niej był już martwy.

Wypuściła z palców list, który przez chwilę szybował w ciężkim powietrzu, po czym opadł na stół.

Mario

Muszę odejść, może na długo. Będziesz bezpieczniejsza beze mnie. Dom należy do Ciebie, pieniądze na koncie również. Nie martw się o mnie.

Przepraszam.

Paul

Poszła prosto do jego gabinetu, otworzyła drzwi i zajrzała za książkę Dickensa. Rewolwer zniknął. Ciężkim krokiem wyszła z gabinetu, nalała sobie kawy i usiadła przy stole.

Zegar na ścianie wskazywał dziewiątą piętnaście. Zadzwoiła do Daryla. Położyła telefon na stole i włączyła głośnik. Z trudem wciągała w piersi powietrze, objęła się mocno ramionami.

– Wszystko w porządku? – spytał Daryl.

– Nie – rzuciła. – On odszedł. Naprawdę odszedł. Nie sądziłam, że to zrobi. – Wyrzucała słowa do telefonu urywanym, chrypliwym głosem.

– I co teraz? Rozwiedziesz się z tym sukinsynem?

– Nie. To już teraz nieważne. Nie wiem nawet... nie wiem nawet, kim jest. Jak jakiś obcy człowiek, którego spotkałam w podziemnej knajpie. Przez trzy lata sypiałam z nieznajomym. Poślubiłam człowieka, o którym niczego nie wiedziałam...

Urwała, łykając głośno łzy.

– Już dobrze, Mario. Uspokój się – poprosił łagodnie Daryl.

– Nie! Mam dosyć tych pieprzonych bzdur. Oszukał mnie. Ukradł mi trzy lata życia i porzucił w jakiejś zasranej dziurze! Straciłam przyjaciół, pracę. Nie puszcze mu tego płazem, Daryl. Potrzebuję cię.

– Pomogę ci we wszystkim, przecież wiesz o tym.

– Dobrze. Chciałam to usłyszeć. Potrzebuję cię. Chcę rozpocząć nowe życie. Moje własne życie. Nasze życie. Na zawsze.

Czekała na odpowiedź, a kiedy ją usłyszała, jego słowa napełniły ją spokojem i poczuciem bezpieczeństwa, jakiego nie doznała od wielu dni.

– Ja też tego pragnę. Najbardziej na świecie. Kocham cię, Mario.

– Ja też cię kocham – powiedziała.

I czuła to głębiej niż kiedykolwiek przedtem.

– A co zrobisz z Paulem? – spytał Daryl.

Chociaż wzburzenie przewalało się przez nią jak lawina i wywracało do góry nogami jej wnętrzości i zdrowy rozsądek, Maria dobrze się zastanowiła, zanim odpowiedziała. Starannie dobierała słowa. Miała prawo to powiedzieć. I dobrze się z tym poczuje. W ten sposób zresetuje swoje życie, zbuduje nowe – wygodne i bezpieczne, z człowiekiem, którego naprawdę kocha. Wyobraziła sobie siebie na plaży, daleko stąd. Może na Karaibach. Leży rozciągnięta na leżaku, a jej opalone nogi okleja biały piasek. Na twarzy czuje słońce. Patrzy, jak Daryl pływa w oceanie. Obok niej stoi drink. I szpilki od Manolo Blahnika, na wpół zagrzebane w piasku. Wolność. Z dala od tej pułapki, od wszystkiego, czego pragnęła. Albo to będzie jej życie, albo Paula z tą blondynką. Zobaczyła ich oczami wyobraźni: leżą we dwoje na plaży i śmieją się z jej głupoty. Z głupiej żony, która nie wiedziała nawet, że poślubiła jednego z najbogatszych i najslawniejszych pisarzy na świecie. Nie chodzi tylko o pieniądze. Te dwadzieścia milionów dolarów symbolizowało coś więcej.

Symbolizowało cały świat.

Maria pragnęła tego świata. I może jeszcze bardziej pragnęła, żeby nie mógł go dostać Paul.

Tak więc spokojnym, pewnym siebie głosem powiedziała wyraźnie:

– Chcę, żebyś mi pomógł zdobyć część tych pieniędzy. Chcę dostać należny mi udział. To wszystko. Czy możesz to dla mnie zrobić?

– Zrobię to dla nas, nieważne, za jaką cenę.

To właśnie dzięki tej jego prostocie Maria czuła się przy nim bezpieczna. W tym mężczyźnie było niewiele szarości, świat dla niego był czarno-biały. Prosty. Albo coś robił, albo nie.

– Zmuszę go, żeby tu wrócił. Zażądamy od niego dziesięciu milionów dolarów albo pójdziemy do prasy i ujawnimy światu, kim jest. Jeśli chce zachować swoją tajemnicę, musi za to zapłacić.

Usłyszała, jak Daryl nadyma policzki. Analizuje powoli to, co powiedziała, po czym wypuszcza z piersi sprężone powietrze.

– O kurczę – sapnął. – A jak odmówi? Albo wezwie gliny? To szantaż. To znaczy... wiem, że na to zasłużył i w ogóle... ale to cholernie gruby kaliber.

– Nie chcesz, żebyśmy byli szczęśliwi? Nie chcesz mieć dużo pieniędzy, żebyśmy mogli wieść cudowne życie?

– Oczywiście, że chcę. Za takie pieniądze moglibyśmy...

– Co byśmy mogli? – spytała Maria, chociaż знаła odpowiedź.

Chciała to od niego usłyszeć. Potrzebowała tego. Jeśli miała to zrobić, musiała wiedzieć, że Daryl ją wspiera.

– ...być wolni – dokończył.

– Ale musimy być bardzo ostrożni – przestrzegła go Maria. – Nie zniosłabym, gdyby coś ci się stało.

– O czym ty mówisz?

Westchnęła.

– On ma rewolwer.

– Chyba nie myślisz, że mógłby cię zastrzelić? Albo mnie? To twój mąż, znasz go, uważasz, że mógłby cię skrzywdzić?

Maria o mało nie wybuchła śmiechem. Uroczy, naiwny Daryl. A może właśnie dzięki swojej naiwności był taki uroczy. Już sama nie wiedziała.

– Jeszcze dwa dni temu myślałam, że znam swojego męża. Dzisiaj nie mam pojęcia, kim jest ani do czego jest zdolny. Wiem jedno: musimy ułożyć jakiś plan. Kiedy ściągnę go tu z powrotem, będzie miał broń i będzie wkurwiony jak nigdy dotąd. Musimy być na to gotowi.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Niebo nad łodzią pociemniało. Paul był tak pochłonięty pisaniem, że nie zauważył upływającego czasu. Sprawdził telefon, stwierdził, że cały czas ma dwa paseczki zasięgu, i zadzwonił do swojej agentki. Josephine odebrała natychmiast.

– Cześć, Paul, wszystko w porządku?

– Tak. Znalazłaś przeciek?

Westchnęła.

– Nie ma żadnego przecieku, Paul. Kazałam informatykowi sprawdzić mój komputer. Tylko ja mam dostęp do twoich danych. Nie ma ich w żadnym naszym systemie. Nie znalazł śladów hakerstwa. Żadnego oprogramowania szpiegującego, żadnych wirusów. Godziny logowania zgadzają się z moją pracą. Co trzy miesiące zmieniam hasło w swoim komputerze. Jestem pewna, że w agencji nie ma przecieków.

Paul wstał. Jego wzrok prześlizgiwał się po kajucie, kiedy analizował usłyszane informacje, po czym wrócił do punktu wyjścia.

– Więc jak to możliwe, że zostałem namierzony? – spytał.

– Nie mam pojęcia. Jesteś pewien, że nie palnąłeś czegoś po pijaku? To się zdarza...

– Nie. Niczego takiego nie zrobiłem.

– W takim razie bank. Jestem pewna, że to ktoś z banku.

Bank? Możliwe, że jakiś księgowy odkrył...

Nie, pokręcił głową. Niemożliwe. Ale nie wierzył też, że mogła go wydać Josephine. Agenci literaccy zarabiają na życie dzięki swoim klientom, a Paul wiedział, że jest wyjątkowym klientem. Poza sprzedażą jego książek Josephine pomagała mu się ukrywać i zarządzać pieniędzmi. Pomagała utrzymać jego sekrety, rzecz jasna w zamian za wynagrodzenie. I to słone.

W tym wszystkim musi tkwić coś więcej. Coś, czego nie umie dostrzec.

– Gdzie jesteś? – spytała.

– Odszedłem z domu. Jestem na łodzi.

– Jak Maria to przyjęła? Czy w końcu coś jej powiedziałaś?

Paul wytarł usta.

– Zostawiłem jej list.

Cisza. Potem westchnienie.

– Zasługiwała na coś więcej niż list. Mam nadzieję, że jej trochę wyjaśniłeś. Niektóre kobiety mają skłonności do obwiniania siebie, nawet jeśli nie zrobiły nic złego, będą się obarczać winą. Co jej napisałeś?

– Nic. Tylko tyle, że odchodzę. I że zostawiam jej dom i pieniądze na naszym wspólnym koncie.

– Dwadzieścia tysięcy i dom na skończonym zadupiu? Jeśli ma choć odrobinę rozsądku, będzie cię ścigać i rzuci się na ciebie z pazurami.

Paul patrzył na fale.

– Nie znajdzie mnie. A choćby i znalazła, nie ruszy moich pieniędzy, nawet jeśli złoży pozew rozwodowy i jej prawnicy się o nich dowiedzą. Dopilnowałem, żebyśmy przeprowadzili się do właściwego stanu. W żadnym dokumencie sądowym nikt nie wytropi śladu tych pieniędzy. Gdyby wytropił, byłoby po mnie. Równie dobrze mógłbym postawić przed domem billboard z ogłoszeniem. Posłuchaj, nie mówmy o tym, Maria nie ma pojęcia o pieniądzach. Ani o mnie. I wolę, żeby tak zostało. Przynajmniej jest na świecie ktoś, kto mnie nienawidzi za to, że jestem Paulem, a nie za wszystkie inne rzeczy, które zrobiłem.

– Nie wchodźmy na ten temat – rzuciła Josephine.

Nigdy nie opowiedział jej całej prawdy, ale domyślał się, że i tak poskładała sobie wszystko w całość. Nie chciała rozmawiać o morderstwach. To ją... rozstrajało. Było niesmaczne. W jej świecie można to było porównać z jedzeniem zupy niewłaściwą łyżką. Być może czuła się zbrukana przez sam fakt, że o tych rzeczach wiedziała, lecz póki wszystko pozostawało tajemnicą, jakoś sobie z tym radziła. A była kobietą, która czerpie dumę ze swojej reputacji. Gdyby ludzie poznali prawdę, mogliby przestać ją zapraszać na odpowiednie przyjęcia.

– A jak idzie książka...

Paul przerwał połączenie i odpowiedział do pustej kajuty: „Książka idzie dobrze, Josephine. Dostaniesz ją, kiedy będzie gotowa. Nie wcześniej. Pieprzę ciebie i twoje terminy”.

Na razie miał pieniądze, dwadzieścia tysięcy dolarów. Nie wystarczy na długo. Za kilka tygodni uda się do banku na Wielkim Kajmanie, aby podjąć większą sumę, a resztę przenieść na inne konto. Może do Zurychu. To na wypadek, gdyby się okazało, że jednak ktoś w banku go zdemaskował. Odłożył telefon na stolik, obok dzbanka z kawą, i nalał sobie kolejny

kieliszek czerwonego wina. Kiedy podnosił go do ust, usłyszał wibracje telefonu – sygnał o nadejściu wiadomości.

Wychylił kieliszek, delektując się różano-atramentowym smakiem na podniebieniu. To mu dodało otuchy przed odebraniem SMS-a. Ponownie rozległ się warkot komórki. Czekały teraz na niego dwie wiadomości od Marii.

Musiała znaleźć rano list i przez cały dzień zbierała siły, żeby do niego napisać. Zaszło mu w ustach. Ona nie zrozumie, a on nie chciał jej niczego wyjaśniać. Josephine miała rację, Maria zasługiwała na coś więcej, lecz przynajmniej będzie bezpieczna, a to najważniejsze. Uchwycił się tej myśli niczym tonący koła ratunkowego, w rzeczywistości jednak wiedział, że tonie w czarnym morzu wyrzutów sumienia.

Maria go wybawiła. Zasługiwała na lepszy los.

Pomiędzy płonącym samochodem a publikacją drugiej powieści J.T. LeBeau Paul żył w Nowym Jorku, spowity oparami ponurej, szarej mgły. Chociaż trudno to nazwać życiem. Codziennie rano wstawał bardziej z przyzwyczajenia niż chęci lub potrzeby opuszczenia łóżka. Co nie znaczy, że dobrze sypiał. Jego sny były przepełnione brutalnymi scenami oraz jaskrawymi, czerwonymi płomieniami. Ubierał się i wychodził z mieszkania. Do najbliższej taniej restauracji miał osiem przecznic. Sto siedemnaście płytek chodnikowych. Sześćdziesiąt siedem z nich było pękniętych lub potłuczonych. Liczył je codziennie.

Błyszcząca sosnowa podłoga w barze nosiła plamy z kawy, syropu i Bóg jeden wie czego jeszcze. Wszystkie kelnerki chodziły w białych tenisówkach. Po posiłku miał dwieście trzy płyty chodnikowe do baru. W środku było zawsze zbyt ciemno, żeby mógł wyraźnie widzieć podłogę – jakaś twarda guma, która przysysała się do podeszew. Siedział przy barze i obserwował swoje stopy dyndające nad gumową podłogą, dopóki się nie upił na tyle, aby nie móc policzyć płyt chodnikowych w drodze powrotnej do domu.

Dni zamieniały się w tygodnie, a Paul nadal nie mógł zrzucić z barków ciężaru tego, co zrobił.

Pewnego wieczoru w barze grał jakiś zespół. Przyjechali wcześniej, żeby rozstawić i sprawdzić sprzęt. Poczuł zapach Marii, zanim ją zobaczył. Słodki, cytrynowy aromat. Po chwili zauważył jej wysokie buty i nogi w obcisłych dżinsach. Uśmiechnął się do siebie z żalem.

A potem zdarzyła się najbardziej niespodziewana rzecz. Do dziś nie potrafił tego wytłumaczyć. Kobieta w wysokich butach wsunęła mu palec pod brodę i z wdziękiem uniosła głowę, aby spojrzeć mu w oczy. A ta jej

twarz...! Boskie, błękitne oczy osadzone w perfekcyjnej oprawie. Powiedziała „Cześć”. „Cześć”, odpowiedział Paul i zaczęli rozmawiać. Tego wieczoru wyszli z baru razem, a Paul nie potrafił znaleźć drogi do domu. Nie rozpoznawał budynków ani wystaw. Przez jakiś czas nie miał pojęcia dlaczego. Potem zrozumiał, że kobieta w wysokich butach podniosła jego głowę z poziomu ziemi. Patrzył jej w oczy i nie czuł potrzeby odwrócenia wzroku ze wstydem. Te oczy wytrzymywały jego wzrok bez strachu, bez wstrętu, bez niczego poza dobrocią. Przy niej znowu poczuł się sobą. Przyjął od niej ten dar obiema rękami. Kobieta w wysokich butach miała na imię Maria i wybawiła go.

A teraz chciała wiedzieć, dlaczego od niej odszedł. Niewiele jej dał w małżeństwie. Nie mógł dać niczego więcej. Zakochała się w nim. Gdyby jej powiedział o pieniądzach, wszystko by się zmieniło. Chciałaby je wydawać, żyć w luksusie, a to ściąga uwagę. Wkrótce by go zdemaskowano. Nie, nie mógł jej niczego wyjawiać. To było zbyt niebezpieczne. Próbował więc zacząć nowe życie. Lecz mógł wieść tylko takie życie, które w pełni kontrolował. A to oznaczało również kontrolowanie Marii.

Jakimż był głupcem, jeśli sądził, że może mieć cokolwiek pod kontrolą. Żałował, że ją poznał. Wszystko byłoby prostsze. Nadal chodziłby ze spuszczoną głową, ze wzrokiem wbitym w ulicę, gdzie powinien był to wszystko zostawić.

Otworzył obie wiadomości. W jednej było zdjęcie, w drugiej tekst.

Wyświetlił zdjęcie.

O cholera!

Jego paszport. Leżący na kuchennym blacie. Otworzył SMS-a.

Czyżbyś o czymś zapomniał?

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Zakupy w niedzielne popołudnia były dla Marii drobną przyjemnością. Najpierw spędzała kilka godzin w sklepach płytowych na Czterdziestej Drugiej Ulicy, potem szła na piwo i pizzę z dodatkowym pepperoni. Zawsze sama, nigdy z przyjaciółmi. Dzięki temu nie miała wyrzutów sumienia, że się nie spieszy. Nie musiała się o nikogo martwić.

Tym razem było inaczej. Spędziła godzinę w centrum handlowym i ogromnym sklepie z artykułami budowlanymi. W pasażu podjęła pięćset dolarów i poszła do sklepu.

Miała w ręce listę, chociaż Daryl przekonywał ją, żeby nauczyła się na pamięć rzeczy, których będzie potrzebować, i nie zapisywała ich na papierze. Ale i tak zapisała. Zdawała sobie sprawę, że w tym stanie wzburzenia, w jakim się znajduje, na pewno zapomni o czymś ważnym. Miała rozbiegane myśli, nie potrafiła skoncentrować się na jednej rzeczy, a już setki innych wpadały przez drzwi świadomości.

W niebieskich dżinsach, białej bluzce i dżinsowej bluzie, z włosami związanymi czerwoną chustką, pchała przed sobą wózek, brała z półek kolejne artykuły i długopisem odznaczała je na swojej liście.

Dziesięć litrów białej farby
2 wałki do malowania
2 tace do wałków
1 opakowanie pędzli (różnej wielkości)
4 paczki mocnej folii malarskiej
3 rolki taśmy klejącej
1 paczka opasek zaciskowych
4 plastikowe kombinezony
2 maseczki do malowania
1 pudełko rękawiczek lateksowych
3 rolki ściąganych worków na śmieci

Kiedy wózek był pełny, ruszyła w stronę kasy. Zapłaciła gotówką, włożyła rachunek do torebki i poszła z wózkiem do samochodu. Przełożyła wszystko do bagażnika, po drodze kupiła sobie kawę w drive-thru i wróciła do domu.

Lista wyglądała jak spisana przez kobietę przygotowującą się do poważnego remontu mieszkania. I w istocie nią była. Maria wróciła do domu, otworzyła śrubokrętem puszkę z farbą i zamieszała. Potem naląła trochę na tacę, zamoczyła pędzel, usunęła z niego nadmiar farby i wypróbowała kolor na kuchennej ścianie.

Cofnęła się, żeby ocenić różnicę. Może sprawił to jej stan ducha – w jej świecie znikła granica między realnym a nierzeczywistym – ale odniosła wrażenie, że ślad po farbie jest odsłoniętym fragmentem prawdziwego koloru ściany, a nie nałożoną świeżą warstwą.

Zabrzęczał jej telefon. Dzwonił Daryl.

– Mam wszystkie rzeczy z listy – oznajmiła. – Porozkładam teraz folię malarską i wyślę mu wiadomość. Przyjedź tu. Moim zdaniem on wróci dopiero późnym wieczorem.

Cały plan omówili szczegółowo już wcześniej.

Kiedy Paul wróci do domu, Maria będzie czekała na niego w kuchni. Paszport schowa. Urządziła wszystko tak, aby wyglądało, że zaczęła malować mieszkanie – jedno krzesło ustawione na środku folii, przodem do tylnego wejścia. Każe mu usiąść, żeby mogli porozmawiać. Od tyłu podkradnie się do niego Daryl, złapie go za ramiona i przytrzyma, a w tym czasie Maria podejdzie z opaskami zaciskowymi i przywiąże mu ręce do krzesła. Potem to samo zrobi z nogami w kostkach. Przeszuka go i zabierze rewolwer, jeśli będzie go miał ma przy sobie.

Następnie wyłuszczy mu całą sprawę. Odkryła jego drugą tożsamość, wie, że jest pisarzem kryminałów, J.T. LeBeau, i wie o pieniądzach. Paul ma im przelać dziesięć milionów dolarów, a jeśli tego nie zrobi, zdradzą jego sekret „New York Timesowi”. Wybór należy do niego.

Nie wiedziała, jak jej mąż zareaguje. Uprzedziła Daryla, żeby nie wahał się wziąć spraw w swoje ręce i walnąć go w twarz, jeśli Paul ucieknie się do przemocy. Daryl nie chciał tego robić i Maria długo go przekonywała, że musi być na to gotowy, aby ją chronić. Przewidziała również, że Paul może pójść na policję, jeśli dojdzie do rękoczynów. Właśnie dlatego potrzebowała folii malarskiej. Jeśli poleje się krew, zdejmą folię i spalą. Na podłodze nie zostanie ani śladu. Jeśli porozstawia w kuchni puszki z farbą, nikogo nie zdziwi obecność folii malarskiej.

Przemyślała to starannie wiele razy.

To jedyny sposób.

Wszystko wydawało się rozsądne, nawet jeśli ciarki przebiegały jej po plecach, jakby po jej kręgosłupie przetaczała się powoli kostka lodu.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Krwawopomarańczowe słońce zaczynało się zanurzać za horyzont, kiedy Paul postanowił wrócić po paszport. Zajrzał do kieszeni w aktówce i stwierdził, że jest pusta. Był pewny, że wyjął dokument z szafki nocnej i spakował go przed wyniesieniem bagażu do samochodu.

Leżąc w kajucie na kanapie i wpatrując się w sufit, przez godzinę przebiegał w myślach wszystkie możliwe scenariusze. Było wiele możliwości, kilka z nich bardziej niepokojących niż inne. Nie chciał wracać. Bo co będzie, jeśli sprawca, który go zdemaskował, porwał Marię i wysłał SMS-a, żeby go zwabić w pułapkę?

Myśl, że jego żonie mogło się coś stać, pozostawiła cierpki smak w ustach. Zamknął oczy i zaklął na własną głupotę. Wmówił sobie, że potrafi się ukryć. Powinien był oprzeć się Marii, stłumić swoje uczucia. Pozwalając sobie na miłość, wystawił ją na niebezpieczeństwo. Przez swój egoizm. Lecz może jednak to ona wysłała SMS-a? Bez względu na to, jaka była prawda, utwierdził się tylko w przekonaniu, że postąpił słusznie, odchodząc.

Postanowił wrócić do domu, odczekać do późnej nocy i wkraść się do mieszkania po ciemku. Jeśli Maria będzie spała, nie obudzi jej. Jeżeli zauważy, że coś się dzieje, załatwi sprawę tak, jak będzie to konieczne. Musi wziąć ze sobą rewolwer. Jeśli zobaczy w domu kogoś poza Marią, zacznie strzelać. To jedyny sposób, aby chronić swoje życie.

Podjąwszy decyzję, wziął głęboki oddech i powoli wypuścił powietrze. W jego myśli wkradł się nagle niepokój, aż włos zjeżył mu się na karku. Coś było nie tak. Właśnie wtedy, kiedy oderwał na chwilę wzburzone myśli od sprawy paszportu, zauważył, że łódź przestała się kołysać.

Usiadł i spuścił nogi na podłogę, aby znaleźć buty.

Zaklął i w mgnieniu oka podciągnął z powrotem do góry mokre skarpetki i stopy tak zlodowaciałe, jakby je zanurzył w wiadrze z lodem.

Nie, nie z lodem.

Z lodowatą wodą.

Spojrzał w dół i zobaczył cienką warstwę wody pokrywającą podłogę kajuty.

Jezu Chryste!

Te trzaski, które słyszał, kiedy rozpędzona łódź podskakiwała na falach. Chyba o coś uderzył i uszkodził kadłub.

Spokojnie. Wszystko po kolei. Złapał ze stołu laptopa i przyciągnął do siebie. Najpierw się upewnił, czy ostatnia wersja książki zapisała się na pendrivie, po czym wyjął go i włożył w plastikowy woreczek. Zawsze trzymał na stole kilka takich zamykanych torebek. Kiedyś popełnił błąd i zszedł z łodzi z pendrive'em w kieszeni. Wskakując na pomost, pośliznął się i wpadł do wody. Nic mu się nie stało, ale trzy dni ciężkiej pracy diabli wzięli.

Zamknął woreczek i włożył go do kieszeni spodni.

Żałując, że tak niewiele pamięta z kursów żeglarskich, uznał, że musi w końcu coś zrobić. Dał sobie spokój z butami. I tak stopy mu całkiem przemokły. Wstał i na początek postanowił uruchomić silnik.

Nie udało się.

Zszedł pod pokład i sprawdził pompę zęzową. Łódź miała drewniany kadłub, zbudowany w latach pięćdziesiątych, i chociaż wyglądał bardzo ładnie, brakowało mu bardziej wyrafinowanych zabezpieczeń, które pomogłyby w takiej sytuacji jak ta. Miał elektroniczny alarm zęzowy. Sprawdził go i stwierdził, że nie działa. Były też inne systemy zabezpieczeń, które mu proponowano, lecz doszedł do wniosku, że skoro ta ślicznotka pływa od sześćdziesięciu lat i radzi sobie bez nich, to on nie będzie ingerował w ten ideał. Teraz tego żałował.

Pompa zęzowa też nie działała. Ropa zalała obudowę i mieszała się z wodą. Miał gdzieś ręczną pompę na korbkę, może na pokładzie, ale serce łomotało mu tak szybko, że nie był w stanie jasno myśleć. Nie pamiętał, gdzie jest ta pompa ani jak się ją obsługuje.

Radio. Miał radio VHF.

Wrócił do sterówki, znalazł je i włączył, jednocześnie rozglądając się za instrukcją obsługi, aby znaleźć odpowiedni kanał i nadać sygnał SOS. W końcu zaklął i zaczął po prostu mówić do urządzenia. Zajrzał do aplikacji GPS, odczytał swoje współrzędne i wrzasnął do mikrofonu, że jego łódź tonie.

Nie usłyszał żadnej odpowiedzi.

Otworzył skrzynkę ze sprzętem ratunkowym, wyjął kamizelkę i nadajnik PLB. Przynajmniej ich umiał używać. Włączył nadajnik i przez chwilę obserwował migającą czerwoną kropkę. Włożył przez głowę

kamizelkę ratunkową i dokładnie w tym momencie łódź się przechyliła, a on runął jak długi na podłogę. Wyciągnął ręce, żeby zamortyzować upadek, ale za wolno.

Głuchy łomot był ostatnią rzeczą, jaką usłyszał, zanim zgasły wszystkie światła.

Ocknął się, dławiąc się w ciemności.

W łodzi woda sięgała na wysokość półtora metra, rufa zanurzyła się już kompletnie w lodowatej czarnej toni. Paul też prawie zsunął się w wodę i omal nie utonął we własnej kajucie. Po omacku wyczołgał się na pokład w kierunku dziobu. Ślizgał się i zsuwał po mokrych deskach. Z rozciętej głowy płynęła mu krew. Rozejrzał się, lecz wszędzie widział tylko czarną noc, czarne morze i krew napływającą mu do oczu.

Zapalił latarkę na kamizelce ratunkowej i wyskoczył za burtę. Łódź tonęła; gdyby jej nie porzucił, poszedłby na dno razem z nią.

Przekonywał się, że wszystko będzie dobrze. Lada sekunda zjawi się po niego straż przybrzeżna. Łódź i śmigłowiec. Nic mu się nie stanie. Widział to na Discovery Channel. Gdy tylko nacisnął nadajnik PLB, w biurze straży przybrzeżnej włączył się alarm. Przez chwilę miał poczucie, że postąpił słusznie. Ucieczka z tonącej łodzi ocali mu życie.

Już wcześniej nie czuł stóp, ponieważ mu zlodowaciały, dlatego nie zauważył różnicy temperatury, dopóki całym ciałem nie uderzył w falującą toń i nawet głowa zanurzyła mu się pod wodę. Dopiero kiedy wyskoczyła z powrotem na powierzchnię, unoszona siłą wypornościową kamizelki ratunkowej, naprawdę poczuł zimno.

Szok.

Jakby coś dusiło całe jego ciało, a jednocześnie paliło jak płomienie. Nie mógł nabrać powietrza. Otworzył usta, żeby złapać tchu i odepchnąć od siebie oślepiający lodowaty żar rozdzierającego zimna, które uderzyło w niego niczym taran. Ale nie było powietrza. Tylko lodowata woda.

Zwymiotował. Mimo że usta miał otwarte, nadal brakowało mu tlenu, a ciało domagało się go za wszelką cenę. Przestał poruszać rękami. Przestał poruszać nogami. Zimno go sparaliżowało. Przez ułamek sekundy miał wrażenie, że zanurzył się w kwasie z akumulatora. Skóra paliła go żywym ogniem. Pulsująca, przeszywająca udręka odebrała mu wszystko – głos, powietrze, kończyny.

Wszystko poza myślami. Myśleć potrafił jasno. Lodowata woda spowodowała szok. Nawet jeśli przeżyje katastrofę, to nie przetrwa długo

w tych warunkach. Wiedział, że temperatura jego ciała gwałtownie spada, wychłodzony organizm przestaje funkcjonować. To dziwne, ale zrobiło mu się ciepło.

Zdawał sobie sprawę, że umrze, zanim straci przytomność, a zimno naprawdę przejmie go do szpiku kości. Ostatnią rzeczą, jaką zobaczył, zanim zamknął oczy, było światełko migające w kamizelce ratunkowej, a ostatnią myślą – Maria.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Otworzył oczy i zobaczył ciemność.

Coś przygniatało mu pierś i nagle jego usta wypełniły się wodą. Trysnęła mu z gardła jak z pękniętej rury i ochlapała twarz. Zakasłał i spróbował nabrać powietrza. Udało się. Chciał podnieść głowę, lecz nie dał rady.

Nad nim roztaczała się ciemność. Ale nie tylko. Gwiazdy.

Usłyszał jakiś dźwięk – ryk łodzi motorowej. Ręce opadły mu wzdłuż boków i trafiły na coś twardego. Zobaczył nad sobą twarz mężczyzny o surowych rysach, z ciemną szczeciną zarostu. Był ubrany w jaskrawożółty sztormiak i coś mówił, ale Paul z początku nie słyszał ani słowa. Oczy mu się zamykały, nie potrafił skupić uwagi.

– Hej! Nie odpływaj, stary!

Stary? Paul nie znał tego człowieka. Może on go znał, a może nie.

Chciało mu się spać.

Coś go uderzyło w twarz, aż zapiekł go policzek. Otworzył oczy. Mężczyzna znowu tam był, tuż przed jego twarzą, krzyczał do niego, żeby nie zasypiał. Paul poczuł smród ryb. A pod dłońmi śliski pokład.

Rybak. Uratował go rybak.

Paul uśmiechnął się, roześmiał. Poczuł w nogach ostry ból i zaczął się poruszać. Ale nie sam. Mężczyzna ciągnął go po pokładzie. Po chwili Paul znowu zobaczył go tuż nad sobą. Nieznajomy wsunął mu ręce pod ramiona i ciągnął w górę. Śmierdział rybami. Paulowi zrobiło się niedobrze i znowu z żołądka trysnęła woda. W końcu znalazł się w środku, w cieple. Rybak go szarpał, ściągał z niego ubranie, rozcierał skórę, owijał srebrnym, błyszczącym okryciem. Miał życzliwą twarz i twarde, szorstkie dłonie. Paul wyobrażał sobie, że lata ciągnięcia lin, wybierania sieci i patroszenia ryb musiały zamienić te ręce w kamień.

– Już dobrze. Nic ci nie będzie, kolego. Wciągnąłem cię do środka. Największa z ciebie ryba, jaką dzisiaj złapałem – powiedział z czystym południowym akcentem.

Po czym wybuchnął gromkim śmiechem. Śmiał się długo i to podziało na Paula uspokajająco. Niebezpieczeństwo minęło. Nic mu nie będzie, tak jak powiedział rybak.

Pomału się rozgrzewał. Wiedział, że jest bezpieczny. Zawsze lubił rybaków. To prawdziwi, twardzi ludzie, którzy zmagają się z prawdziwym niebezpieczeństwem i co dzień narażają życie. Wiodą surowy żywot, który uczy ich nieustępliwości. Są nie tylko twardzi, ale też skłonni do śmiechu. Paul zaczął odpływać w sen.

Dopiero wtedy uświadomił sobie, że na łodzi została jego teczka. Z pieniędzmi na podróż. Z telefonem. I rewolwerem. Wszystko przepadło.

Ale przynajmniej żył.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Otworzyła drzwi, kiedy usłyszała kroki Daryla chrzęszczące po żwirze. Wśliznął się do środka, a ona szybko zamknęła za nim drzwi. Złapała go za rękę, przyciągnęła do siebie i pocałowała. Z pasją. Była w tym pocałunku namiętność, ale był także strach.

– W klubie zjawiała się dzisiaj policja – powiedział. – Może to nie miało związku ze mną, ale się przestraszyłem. Przez godzinę krążyłem potem w kółko, żeby się upewnić, że nikt mnie nie śledzi. Ale nie przejmuj się, skarbie, to tylko moja paranoja – dodał i znowu ją objął.

Na wzmiankę o policji Marię przeszedł dreszcz strachu, ale tak jak powiedział Daryl, to pewnie nic takiego. Był ostrożny, lecz powiedział do niej „skarbie” pierwszy raz w taki sposób. To było wyjątkowe słowo, przynajmniej dla niej. Słyszając je w ustach Daryla, poczuła miłe łaskotanie w żołądku. Powiedział to tak, jakby już ze sobą byli, od roku, daleko stąd.

Ujrzała przeblysłk nowego życia. Podobało jej się.

Kiedy wziął ją w ramiona, poczuła spokój. Uwielbiała jego zapach, jego dotyk, jego siłę złagodzoną cytrusowym aromatem. Kojarzył jej się z Bożym Narodzeniem. Ułożyła głowę na jego piersi, rozkoszowała się ciepłem jego dłoni gładzącej ją po włosach.

Po chwili ją puścił i delikatnie pocałował. Pociągnęła go w głąb domu.

W wejściu do kuchni stanął jak wryty. Maria uśmiechnęła się, myśląc z nadzieją, że podoba mu się jej dzieło. Wszedł za nią do środka.

Każda powierzchnia przykryta była folią malarską, poza oknem, zlewem i kawałkiem blatu, gdzie leżały resztki jedzenia – spaghetti w garnku, miska z niedojedzonym sosem pomidorowym oraz deska do krojenia z dużym nożem kuchennym i śladami po żółtej papryce i bazylii.

Na środku folii stało krzesło.

Daryl rozejrzał się za pozostałymi artykułami malarskimi; leżały starannie poukładane w kącie.

– Mam wszystko. Lepiej się pospiesz. On może w każdej chwili wrócić – powiedziała Maria.

Chwyciła go za koszulę, pocałowała pospiesznie, po czym popchnęła w stronę kąta z rzeczami przygotowanymi do malowania.

Z uśmiechem wziął się do pracy, a Maria przyglądała mu się, jak otwiera worek z kombinezonem roboczym. Wzięła do ręki garść opasek zaciskowych oraz taśmę i położyła je obok niego na blacie.

– Napoczęłam puszkę z farbą i postawiłam na podłodze, żeby ją zobaczył, gdy tylko wejdzie do kuchni – oznajmiła.

Daryl zasunął biały plastikowy kombinezon do piersi, nałożył kaptur na głowę i podciągnął zamek pod szyję. Na koniec zasłonił usta maską.

– Jeszcze nie jest za późno, żeby się wycofać – zauważył.

Maria objęła się ramionami.

– Nie zamierzam się wycofywać – oświadczyła. – Chcę się tylko zabezpieczyć, upewnić, że nic się nam nie stanie. Powinnam była kupić jakiś paralizator albo coś w tym rodzaju. Co zrobimy, jeśli się wścieknie i nie uda nam się go obezwładnić? Albo wejdzie z rewolwerem w ręce?

– Ja będę stał za środkowym blatem. Mogę się tam poruszać tak, żeby mnie nie zauważył. Usłyszemy na podjeździe jego samochód, ty pójdziesz do frontowych drzwi, wprowadzisz go tutaj i powiesz, że ma usiąść, bo chcesz z nim porozmawiać.

– A jeśli nie będzie chciał ze mną rozmawiać? Jeśli mnie postrzeli?

Daryl rozejrzał się po kuchni, zobaczył w kącie otwartą skrzynkę z narzędziami i leżący obok śrubokręt z czubkiem pobrudzonym farbą i przyklejonym do folii. Podszedł do skrzynki i wziął do ręki młotek z końcówką do gwoździ.

– Jak zacznie ci grozić, przyłożę mu tym – zapowiedział.

Marię przeszedł lodowaty dreszcz.

– Nie martw się, nie pozwolę mu cię skrzywdzić – zapewnił ją Daryl.

Jakaś nagła nuta w jego głosie kazała jej się odwrócić. To, co przed sobą zobaczyła, w pierwszej chwili wprawiało ją w oszołomienie.

Daryl stał bardzo blisko, może dwa kroki od niej. Wyglądał groźnie w plastikowym kombinezonie, w dodatku teraz zobaczyła w jego ręce młotek i zrozumiała, że popełniła okropny błąd. To wszystko może się skończyć fatalnie. Nawet teraz poczuła lęk na widok swojego kochanka stojącego przed nią z młotkiem w dłoni.

Mężczyzny, który przed chwilą nazwał ją swoim skarbem. Którego kochała najmocniej na świecie. A mimo to jego widok przyprawił ją o gęsią skórę. Nie ma mowy, żeby jej to wszystko uszło na sucho. Paul ją odrażająco zdradził – inna kobieta, ukryte pieniądze, życie, którego jej odmówił. Lecz nawet zdrada nie usprawiedliwiała takiego ryzyka. A jeśli

ktoś zostanie poważnie ranny? Nie, nie może narażać Daryła na takie niebezpieczeństwo. Jest dla niej zbyt ważny. Nie ma mowy. Jeszcze nie jest za późno. Może to wszystko odwołać. Stał jej przed oczami obraz Paula, który strzela do Daryła, a potem do niej. Całe pieniądze świata nie są tego warte.

Tak. Musi z tym skończyć. Natychmiast.

Uczucie ulgi spłynęło po niej niczym zimna mgła. Do niczego nie dojdzie. Jakby się zbudziła z długiego, okropnego snu. Wróciła do rzeczywistości cała i zdrowa. Bezpieczna.

Otworzyła usta i właśnie miała powiedzieć Daryłowi, że chce to przerwać, lecz głos uwiązł jej w gardle. Jego oczy nie przypominały jej dawnego kochanka. Zobaczyła w nich coś nieustępliwego jak stal. I jakąś pustkę. Coś, czego nigdy przedtem nie widziała. Wydawał się wyższy, znikła niedbala postura luzackiego surfera. Węzłowate mięśnie na szyi napinały się jak postronki.

– Nie chcę nas narażać – odezwała się. – Nie warto, zapomnijmy o wszystkim. Po prostu spakujmy rzeczy i wyjedźmy stąd.

Lecz jej słowa w najmniejszym stopniu nie złagodziły napięcia w oczach Daryła, w całym jego ciele.

– Jasne, jak chcesz – rzucił zza maski. – Łap folię, sprzątamy i wynosimy się stąd.

Odwróciła się i z ogromną falą ulgi podniosła krzesło. Jej mama wypchnęła za okno męża, aby ją ocalić. I chociaż były potem szczęśliwe, Maria wiedziała, że mama dźwigała ten ciężar do końca życia, mimo że nigdy o tym nie mówiła. Nie mogła ryzykować, że wszystkie jej plany legną w gruzach. Zaczyna nowe życie. Z dała od Port Lonely. Do diabła z pieniędzmi! Ma Daryła, to jej wystarczy.

Zaczęła się odwracać, żeby odstawić krzesło z powrotem do stołu, gdy nagle coś ją powstrzymało. Usłyszała trzask, świat się zakołysał i zadrżał, a potem ogarnęła ją ciemność.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Patrząc, jak Maria osuwa się na folię pokrywającą podłogę, Daryl zaklął i przygryzł wargę za maską. Trafił ją w lewą skroń, w powietrze trysnął mały, lecz silny rozbryzg krwi. Usłyszał cichutki plask, kiedy kropelki padły na jego biały plastikowy kombinezon. Nawet na czole poczuł delikatny rozprysk niczym morską wodę rozpyloną przez bryzę.

Uderzenie było potężne, ale dosięgło skroni, kiedy Maria odwracała głowę, i młotek ześliznął się po czaszce.

Daryl przyklęknął obok niej i zobaczył, jak jej oczy się zamykają, usta rozchylają. Straciła tylko przytomność, ale żyła. Ponownie podniósł młotek i uderzył drugi raz, tym razem w środek czoła. W odwecie dostał kolejnym strumieniem krwi. Ciałem Marii wstrząsnęły konwulsje. Jej kończyny zadrgały i zaczęły podskakiwać.

Zaskrzypiała pod nią plastikowa płachta. Daryl nie znosił tego odgłosu. Jakby dziecko przejechało paznokciami po tablicy. Nigdy nie znosił tego dźwięku.

Jeszcze raz podniósł młotek, nabrał powietrza. Ciało Marii drgało coraz wolniej, aż w końcu przestało. Jedno widoczne oko znieruchomiało wpatrzone w przestrzeń, ciało leżało bez ruchu.

Czekał kilka sekund. Patrzył, jak na plastikowej płachcie wokół głowy rośnie kałuża krwi. Młotek nie był zbyt często używany, ale miał kilka wgnieceń i zadrapań. Paul używał go do robót domowych. Będą na nim jego odciski i DNA. Daryl upuścił narzędzie obok zwłok.

Wstał i znalazł brzeg folii, którą rozłożyła Maria, oderwał ją od taśmy mocującej do podłogi, po czym na klęczkach zaczął zawijać ciało. Przetaczał ją razem z folią po podłodze niczym prezent gwiazdkowy. Kiedy dotarł do drugiego krańca rozpostartej płachty, zatrzymał się, wstał i poszedł do drzwi. Otworzył je, przejechał dłonią w rękawiczce po zakrwawionej piersi i rozsmarował trochę krwi na drzwiach frontowych. Potem wrócił do środka, ostrożnie zdjął kombinezon i maskę, włożył je do

plastikowej torby razem z rękawicami i wszystko razem wsunął do kieszeni kurtki.

Przed wyjściem zgasił w domu światła. Wsiadł do samochodu, wyjechał na drogę i zatrzymał się. Wyjął z bagażnika pięciokilogramowy młotek i podszedł do skrzynki na listy. Jedno uderzenie powinno wystarczyć. Walnął w drewniany słupek jak najniżej i skrzynka przewróciła się na ziemię. Przypadkowy przechodzień pomyśli, że jakiś samochód wypadł z drogi i trafił w skrzynkę. Daryl schował młotek do bagażnika i wsiadł do auta.

W tej chwili nie czuł do Marii niczego. Nie ma jej. Leży zawinięta w plastikowy kokon. Uważał, że w życiu nic nie dzieje się bez powodu, nawet morderstwo. A Daryl miał dwadzieścia milionów powodów, żeby ją zabić.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Wielki Bill Buchanan przełknął ostatni kęs kanapki z pastrami i popił zimnym napojem z puszki. Beknął, odłożył puszkę z powrotem w uchwyt i popatrzył na morze. Jak dotąd jego dieta nie przebiegała zgodnie z planami żony. W ciągu sześciu tygodni po wszczęciu stentu schudł ponad siedem kilogramów. Na pewno było mu z tym dużo lepiej. Nie dostawał zadyszki podczas wchodzenia po schodach, a dzięki lekarstwom i świeżo poszerzonej tętnicy czuł się jak nowo narodzony. W zeszłym tygodniu wrócił do pracy i chyba z powrotem przytył ze dwa kilogramy. Jako listonosz miał mnóstwo czasu i nikt nie stał mu nad głową. Dobrze mu robiło chodzenie piechotą, od pewnego czasu nie wjeżdżał nawet furgonetką na strome wzniesienie Corbyn Street. Na lunch zjadał sałatkę przygotowywaną przez żonę codziennie rano i wypijał wodę z butelki. Ostatnio jednak zagryzał sałatkę kanapką z Pete's Deli i paczką chipsów, a popijał colą. Usprawiedliwienie tej przyjemności przychodziło mu bez trudu – miał teraz więcej ruchu, a chodząc pod górę, spalał dodatkowe kalorie. W każdym razie pozwalał sobie wierzyć w tę bajeczkę.

Siedział w zaparkowanej furgonetce pocztowej przy wjeździe na dawną farmę Pearsonów. Zwinął opakowanie po kanapce i wcisnął je do kieszeni w drzwiach. Później je wyrzuci. Dochodziło wpół do jedenastej. Pracował od piątej rano, został mu już ostatni odcinek. Uruchomił silnik i ruszył w stronę domu Cooperów kilkaset metrów dalej. Zatrzymał się, wysiadł i otworzył tylne drzwi samochodu. Wyjął z worka pocztowego ostatnią malutką paczuszkę kopert i pogwizdując, ruszył w kierunku skrzynki na listy.

I nagle się zatrzymał. Skrzynka znikła.

To znaczy nie do końca znikła, ale ktoś ją przewrócił na ziemię. Może jakiś pijany kierowca źle ocenił prędkość i nie wyrobił się na zakręcie. Wielki Bill podniósł skrzynkę, zajrzał do środka, przekonał się, że jest pusta, po czym ruszył w stronę domu. Ostatnio przywiózł tu pocztę w piątek rano i wtedy skrzynka stała jak zwykle. Może właściciele nie

zauważyli, że ktoś ją przewrócił. Wolał się upewnić, że trzy listy, które trzymał w dłoni, dotrą bezpiecznie do adresatów.

Kiedy doszedł do wejścia, melodia zamarła mu na ustach. Drzwi frontowe były niedomknięte i dziwnie poplamione. Na podjeździe stał samochód pani Cooper. Pan Cooper rzadko bywał w domu, ale kiedy był, Wielki Bill chętnie korzystał z okazji, aby popatrzeć na jego smukły włoski wóz sportowy. Tym razem pan Cooper najwyraźniej gdzieś wyjechał.

Bill nacisnął dzwonek i czekał. Nic. Zapukał. Po chwili jeszcze raz, mocniej. Przyjrzał się dziwnej plamie i stwierdził, że wygląda na krew.

– Pani Cooper?! – zawołał. – Pani Cooper, to ja, listonosz, Bill Buchanan! Czy wszystko w porządku?!

Cisza wgryzała mu się w ciało, aż dostał gęsiej skórki.

Ostrożnie dotknął drzwi i otworzył je pchnięciem. Znowu zawołał, pytając, czy wszystko w porządku, czy nic się stało.

Przeszedł przez próg, upominając się, że nie powinien tego robić. To nie jego sprawa. Mogą go za to zwolnić. Ale jeśli zdarzył się tu wypadek?

Nieduży korytarz prowadził do salonu. Bill położył korespondencję na stoliku w holu i wyjrzał za róg. Ani żywej duszy.

– Pani Cooper?! – krzyknął.

Tym razem w jego głosie zadźwięczała panika. Ze zdenerwowania zaczął się pocić, zdjął czapkę i wytarł czoło rękawem. Zrobiło mu się duszno, oparł się ręką o ścianę i przytrzymał się, żeby zajrzeć głębiej. Salon był pusty. Wszystko wyglądało normalnie.

Znowu zawołał. Może jednak robi z siebie głupca? Powinien stąd wyjść. Już prawie podjął decyzję, kiedy spojrzał w dół i zobaczył więcej plam. Na podłodze. Drobniutkie czerwone kropelki na białym dywanie.

To go utwierdziło w postanowieniu, że powinien sprawdzić, co się dzieje, że postąpił słusznie, wchodząc do tego domu. Krzyknął jeszcze raz, tym razem natarczywiej, i ruszył przez salon w stronę kuchni. Kiedyś budowano dużo takich domów wzdłuż wybrzeża i wiedział, że wszystkie wyglądają tak samo. Do kuchni prowadziło dwoje drzwi – jedno z salonu, drugie z korytarza. Bill podążył śladem czerwonych plam. Drzwi do kuchni były zamknięte.

Nacisnął klamkę i uchylił je odrobinę. Natychmiast poczuł dziwny zapach. I zobaczył widok jeszcze dziwniejszy. Na ścianie i podłodze, a przynajmniej w tej części, którą widział, leżały szare plastikowe płachty. Zapach wydawał się znajomy, ale nie potrafił go określić. Z czubka nosa pot kapał mu na buty. Chciał znowu zawołać, lecz zabrakło mu tchu. Nie ma wyjścia, musi otworzyć szerzej te przeklęte drzwi.

Popchnął je mocniej.

I osunął się na kolana.

Na podłodze leżał wielki plastikowy rulon, a wokół niego zebrała się kałuża krwi.

Rulon został rozdarty. Szklane drzwi na werandę stały otworem, a na nich widniały krwawe odciski dłoni.

Wielki Bill poczuł w ramieniu przeszywający ból, jakby go ktoś walnął kijem. Obejrzał się, ale nikogo nie zobaczył. Ból wędrował z ramienia do piersi i szczęki. Poklepał się po kieszeniach, znalazł swój telefon i wybrał 911.

Podał operatorce adres i powiedział, że w całej kuchni jest krew, że ktoś został zaatakowany. Wysłuchał, jak kobieta potwierdza, że wyśle na miejsce policję i pogotowie. Odsunął telefon od ucha, pociągnął powietrze ze swojego inhalatora i powiedział operatorce, żeby się pospieszyła, bo on jak najszybciej potrzebuje karetki. Właśnie dostał zawału.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Szeryf Dole wysiadł z radiowozu, obiegnął go dookoła i wsiadł na miejsce pasażera. Melissa Bloch przegramoliła się nad dźwignią biegów, usiadła za kierownicą i oboje zapięli pasy. Włączyła światła i koguta, po czym wcisnęła gaz. Dole wziął do ręki radio, potwierdził, że są w drodze, i spróbował wyciągnąć od Sue więcej informacji.

Pod wieloma względami był bardzo dobrym stróżem prawa, a do jego największych zalet należała świadomość własnych ograniczeń. Nawet nie próbowałby ścigać kieszonkowca piechotą, umiał trafić ze strzelby w drzwi stodoły, ale niewiele więcej, i był najgorszym kierowcą rajdowym w historii hrabstwa.

Za to Bloch... to była całkiem inna bajka. Codziennie rano przebiegała piętnaście kilometrów. Widywał ją czasem na plaży, jak wyciąga nogi na piasku. Umiała też świetnie strzelać i prowadzić. Prawdopodobnie jednocześnie, pomyślał Dole.

Sue nie miała żadnych dodatkowych informacji od dzwoniącego, ale wiedziała, że sytuacja jest poważna, i starała się ich uspokoić.

Opony zapiszczały na zakręcie, kiedy Bloch skręciła w drogę biegnącą wzdłuż wybrzeża.

Dole zerknął z ukosa i zobaczył, że prędkościomierz przekroczył sto sześćdziesiąt. Chwycił się rączki nad drzwiami i myślał o tym, co zrobi, kiedy dojadą na miejsce.

Pogotowie będzie jechać z sąsiedniego miasta, ze stolicy hrabstwa, więc ratownicy na pewno dojadą co najmniej dziesięć minut później. W bagażniku mają apteczkę i defibrylator. Na szczęście umiał ich używać.

Bloch wcisnęła hamulec i krzyknęła, żeby się trzymał. Niepotrzebnie. Pas bezpieczeństwa prawie zgniótł mu mostek, a po chwili, kiedy jego zastępczyni zdjęła nogę z hamulca i ostro skręciła w lewo w kierunku parkingu, Dole'em rzuciło na drzwi, aż grzmotnął o nie ramieniem.

Wyprostował się i chwycił się rączki, dzięki czemu udało mu się nie polecieć z kolei na fotel kierowcy.

Znowu gaz. Samochód łupnął w niską drucianą siatkę oddzielającą drogę od plaży.

Na moment Bloch straciła kontrolę nad pojazdem i radiowóz zaczął się zsuwać po piasku. Dole miał świadomość, że gdyby to on siedział za kierownicą, właśnie zaryłby w wydmnę albo wjechał do morza. Tymczasem jego zastępczyni zredukowała bieg, wykorzystując moment siły, żeby złapać przyczepność, i po krótkiej chwili mocowania się z kierownicą, podczas gdy Dole'em rzucało na wszystkie strony, wyrównała tor jazdy i wskazała przednią szybę.

– Tam są, przed nami – oznajmiła.

Wpatrywał się przed siebie, ale nie widział nic poza dalekimi kropkami na piasku. Wyglądało na to, że Bloch ma również dużo lepszy wzrok niż on. Wkrótce kropki urosły i przybrały kształt skupiska skał, a szeryf stopniowo zauważał coraz więcej szczegółów.

Zatrzymali się dziesięć metrów przed stojącymi postaciami. Bloch wyłączyła syrenę, ale zostawiła migającego koguta. Dole wysiadł i dopiero wtedy zobaczył wyraźnie scenę na plaży.

W ich stronę ruszył biegiem mężczyzna z komórką przy uchu. Za nim twarzą do góry leżał na piasku jakiś człowiek, nad którym pochylała się młoda blondynka.

– Gdzie pogotowie?! – zawołał mężczyzna z telefonem.

Podczas gdy Bloch była już w połowie drogi, szeryf podszedł do bagażnika, otworzył klapę i wyjął defibrylator oraz apteczkę. Z takim obciążeniem udało mu się dobiec zaledwie do najbliższej osoby. Jego zastępczyni rozmawiała już po cichu z jasnowłosą dziewczyną w sportowym stroju, stojącą nad ciałem.

– Przybiegła do nas – powiedziała dziewczyna. – Krzyczała. Było tyle krwi...

Kiedy w końcu szeryf dobiegł do leżącego ciała, nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Zatrzymał się z poślizgiem na drobnym, suchym piasku.

Cała połowa twarzy Marii Cooper była czarna od krwi i brudu. Krew zakleiła całkowicie jedno oko. Za to usta miała otwarte i krzyczała. Wytrzeszczone prawe oko rzucało przerażone spojrzenia na wszystkie strony, wypatrując nowego niespodziewanego ataku. Zwijiała się na piasku, a krzyki zamieniły się w gardłowe, dzikie wrzaski.

Dole przywołał swoją zastępczynię, otworzył apteczkę, wręczył jej gazę i kazał lekko uciskać ranę na skroni. Podczas gdy Bloch wykonywała jego polecenie, wziął Marię za rękę. Była blada jak prześcieradło. Straciła dużo krwi.

Delikatnie, lecz sprawnie owijał jej bandażem głowę razem z przyłożonym opatrunkiem, podczas gdy Maria cały czas wbijała paznokcie w piasek, wierzgała i krzyczała.

Przez cały czas Dole przemawiał do niej uspokajającym szeptem, przekonując, że wszystko będzie dobrze. Kiedy skończył zakładać opatrunek, przystąpił do badania podstawowych funkcji życiowych.

Oddychała, ale była w szoku i nie dało się znaleźć jej pulsu – albo dlatego, że był słaby i nieregularny, albo ponieważ kobieta tak się rzucała, że nie sposób było coś wyczuć.

– Mario, co się stało? – spytał.

Nie zareagowała. Położył dłonie po obu stronach twarzy Marii i próbował skupić na sobie jej uwagę, żeby się uspokoiła, skoncentrowała i powiedziała, co się stało. Źrenica jej prawego oka prawie całkiem znikła w tęczęwce, zamieniona w maleńką czarną kropkę, która nie dała żadnego znaku, że go widzi, nawet kiedy zbliżył do niej twarz. Złapał palcami lewą powiekę i otworzył drugie oko, rozklejając zakrzepłą krew. I ręce mu opadły bezwładnie.

Boże drogi.

Źrenica prawego oka Marii rozszerzyła się prawie na całą tęczęwkę. Wydawała się wielka jak kula bilardowa. Dole nie był lekarzem, ale wiedział, co to oznacza. Kobieta doznała urazu mózgu.

– Mario, tu szeryf Dole. Co się stało? – spytał jeszcze bardziej natarczywie.

W oddali usłyszał dźwięk syren. Lada moment przyjadą tu lekarze.

– Mario! – krzyknął.

Przestała się poruszać, popatrzyła na niego i przemówiła. Krzycząc bez ustanku, zdarła sobie struny głosowe niemal na strzępy, w ustach i w gardle miała krew, mimo to te trzy słowa zabrzmiały głośno i wyraźnie jak dzwon. Aż szeryfa przeszedł na wskroś lodowaty dreszcz, jakby się napił płynnego azotu.

– Kim jest Maria?

Kiedy przyjechało pogotowie, Dole przekazał im opiekę nad ranną oraz wyniki swoich oględzin. Maria była w szoku. Puls powyżej stu. Ratownicy przypięli ją do noszy i w pośpiechu załadowali do karetki.

Szeryf usłyszał głos Sue dochodzący z radia.

Wielki Bill Buchanan znalazł w domu Cooperów ślady krwawej zbrodni, kiedy dostarczał pocztę. Zgłosił to na policję i pogotowie, lecz kiedy ambulans dotarł na miejsce, Bill leżał martwy na podłodze.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Paul poczuł na twarzy słońce. Ciepło rozprzestrzeniało się po jego policzkach i całym ciele. Słońce grzało mocno. Nawet z zamkniętymi oczami widział rozżarzoną kulę. Wypalała świetlisty okrąg na jego powiekach, trochę przyćmiony i mętny, mimo to wyraźny.

Po chwili pojawiło się inne wrażenie. Nie czuł języka, który przywarł do podniebienia, wysuszony i sztywny jak obce ciało. Przełknął ślinę, prawie się zakrztusił, ale ta odrobina wilgoci wystarczyła, żeby język ożył. Nie mógł podnieść ciężkich ramion. Odwrócił głowę, a wtedy wszystko zaczęło wirować. Zrobiło mu się niedobrze, lecz w pustym żołądku aż burczało mu z głodu. Nie miał czym wymiotować.

Powoli wracały wspomnienia. Kajuta. Rybak. Łódź.

Otworzył oczy i zaraz szybko je z powrotem zamknął, bo od jaskrawego światła gołej żarówki wiszącej u sufitu poczuł w głowie przeszywający ból. Światło zgasło. Usłyszał jakiś ruch i ponownie podniósł powieki. Przyzwyczajenie oczu do ciemności zajęło mu dłuższą chwilę; dookoła migotały jaskrawe plamki. Wtedy poczuł zgniły smród. Potu i wymiocin. Zdał sobie sprawę, że tak cuchnie jego własne ciało.

– Halo? – powiedział.

W kącie zapaliła się lampa. Klosz złagodził ostry blask i Paul mógł się rozejrzeć po pomieszczeniu bez przeszywającego bólu w głowie.

Ciemna piwnica. Chciał się podeprzeć rękami, żeby się podnieść, ale nie mógł. Coś go przytrzymało. Spojrzał w lewo, potem w prawo. Zaklął.

Obydwa nadgarstki miał przywiązane do łóżka liną. Szarpnął na próbę ramieniem. Sznur werznął się w ciało. Po dłuższej chwili zrezygnował, wyczerpany. Przejął go strach. Minęło dużo czasu od dnia, kiedy ostatnio czuł tak obezwładniający strach, lecz był w tej chwili całkiem bezradny. Zaczął się trząść, do oczu napłynęły mu piekące, słone łzy. Popłynęły po policzkach.

Uniósł głowę, na ile dał radę. Naprzeciwko łóżka siedział mężczyzna. Paul nie widział jego twarzy, ale na małym stoliku nocnym zobaczył dwa

przedmioty, na widok których strach zamienił się w pierwotną, instynktowną panikę.

Zaczął grzmocić nogami w materac, wrzeszczeć, kląć i szarpać pętające go sznury, aż z nadgarstków poleciała krew, a na usta wystąpiła gęsta piana.

Na stole zobaczył laptopa i pistolet.

Czyjaś dłoń wyłoniła się w świetle i stuknęła w klawiaturę. Włączył się laptop. Od blasku monitora Paula przeszył ból, lecz tym razem był błogosławieństwem. Oznaczał, że nadal żyje.

Na ekranie poruszały się obrazy i Paul zorientował się, że ogląda wiadomości.

– Pamiętasz mnie? – odezwał się mężczyzna. – To ja cię wyciągnąłem z wody. Jesteś w moim domu. Od kilku dni.

Pochylił się i w tym momencie w blasku laptopa Paul zobaczył jego twarz. Ciemną szczecinę, zmierzwiłone włosy, silną szczękę i jasne, błyszczące oczy. W tym świetle trudno było odgadnąć jego wiek, mógł być po trzydziestce albo przekroczyć czterdziestkę. Kiedy Paul ostatnio go widział, miał na sobie żółty sztormiak i wypompowywał wodę z jego piersi.

Rybak.

– Poradziłbym ci, żebyś się uspokoił, ale gównu mnie teraz obchodzi, co się z tobą stanie. W wiadomościach dużo o tobie gadają, koleś. Pooglądaj sobie. Potem chcę usłyszeć, co masz do powiedzenia, a jeśli mi się to nie spodoba, oddam cię w ręce policji albo sam cię zastrzelę. Mam prawo wiedzieć, kim jest człowiek, któremu uratowałem życie.

Paul opanował atak paniki na tyle, aby zrozumieć, że znalazł się w kłopotach i że musi się skupić, jeśli chce się z tego wykaraskać. Przeniósł wzrok na ekran.

Prezenter w telewizji relacjonował podróż zagraniczną prezydenta, huragan, który nawiedził Nowy Orlean, i wreszcie przeszedł do wiadomości lokalnych. Policja nadal apeluje do osób, które w ciągu dwóch ostatnich dni widziały Paula Coopera. Na ekranie pojawiło się jego zdjęcie na łodzi, zrobione przez Marię pierwszego miesiąca po przeprowadzce. Jednocześnie dziennikarz kontynuował relację. Powiedział, że łódź Paula Coopera zatonała w zatoce i od tamtej pory nikt go nie widział. Straż przybrzeżna odwołała akcję ratunkową. Potem zobaczył szeryfa Dole'a rozmawiającego z dziennikarzami, proszącego o kontakt ewentualnych świadków, którzy mogą wiedzieć, co się działo z Marią Cooper tego samego wieczoru...

Paul wstrzymał oddech.

Maria Cooper leży w szpitalu w Bay City, jej stan jest stabilny, ale doznała poważnych obrażeń mózgu wskutek brutalnej napaści we własnym domu. Szeryf Port Lonely uważa, że nie było to włamanie w celach rabunkowych, i prosi mieszkańców miasta, aby zachowali spokój. Policja podejrzewa, że kobietę zaatakował jej mąż, zaginiony Paul Cooper.

Od chwili przebudzenia Paul nie wyobrażał sobie, by można było czuć się gorzej, tymczasem właśnie zaczął się staczać w czarną otchłań. Ktoś napadł na Marię i poważnie ją zranił. Jego myśli rozprysły się chaotycznie na wszystkie strony, każdą przepełniał strach i gniew. Jeśli szeryf uważa, że Paul zaatakował żonę, to jej stan musi być bardzo poważny, skoro nie może wyznać prawdy. A może Maria sądzi, że to on? Albo zapadła w śpiączkę?

Do oczu zaczęły mu się cisnąć łzy. Opadł bezwładnie na łóżko i poddał się bólowi. To wszystko jego wina. Przez niego Maria omal nie zginęła.

Przez J.T. LeBeau.

Kiedy prezenter telewizyjny przeszedł do kolejnych wiadomości, rybak zamknął pokrywę laptopa. Jego dłoń spoczęła na rękojeści czterdziestkiątki leżącej na stole.

– Gadaj, do cholery, bo zaczynam odliczać – warknął.

Cokolwiek Paul czuł jeszcze do Marii, skręcało mu wewnątrz. Ludzie potrafią robić niezwykle rzeczy z nienawiści, lecz jeszcze większe z miłości.

– Pięć – powiedział mężczyzna.

Paul naprawdę kochał Marię i miłość podsyciała jego gniew, podkreślała adrenalinę. Już on dopilnuje, żeby człowiek, który ją skrzywdził, odpokutował za to.

– Cztery.

Ale żeby się zemścić, musi się uspokoić i zacząć myśleć, i to szybko, bo za chwilę będzie za późno.

– Trzy.

Paul wpił palce w materac i zacisnął z całej siły, żeby się uchwycić chwili obecnej, rzeczywistości tu i teraz. To, co w tym momencie powie, musi zabrzmieć wiarygodnie i szczerze.

– Dwa – powiedział rybak, podnosząc pistolet.

– Nie skrzywdziłem jej.

– Jeden.

– Kocham Marię. Dlatego od niej odszedłem.

Pistolet zawisł w powietrzu, nie dosięgając piersi Paula. Rybak odłożył broń na stolik, powoli, ruchem prawie pełnym wdzięku. Paul obserwował go uważnie. Ten człowiek nie działał impulsywnie.

– Nie rozumiem – powiedział rybak.

Paulowi znowu zaschło w ustach, ścisnęło i piekło go w gardle, mimo to zaczął mówić – łamiącym się, drżącym głosem. Pierwsze, co przyszło mu do głowy, to prawda. Musi powiedzieć coś przekonującego, jeśli nie chce spędzić reszty życia w więziennej celi.

– Mam pewien sekret. W jakiś sposób ktoś... ktoś go odkrył. Bałem się, że ten ktoś może mnie skrzywdzić. Albo osobę, którą kocham.

Udało mu się przełknąć ślinę, odzyskać w ustach nieco wilgoci. Na tyle, żeby dodać:

– Dlatego od niej odszedłem.

Przez jakiś czas nasłuchiwał swojego oddechu świszczącego w piersi i w gardle i nie odrywał wzroku od mężczyzny siedzącego w blasku lampy na drugim końcu pomieszczenia. Obserwował, jak rybak głaszcze się po brodzie, potem pochyła się i opiera dłonie na kolanach.

W końcu pokiwał głową.

– Nie lubię sekretów, Paul. Nie pozwolę na nie, jeśli masz tu zostać. Jeśli mówisz prawdę, to znaczy, że ktoś chce cię zabić. Do diabła, ci ludzie pewnie przedziurawili ci łódź i prawie zabili żonę. O ile wiem, policja nie szuka nikogo innego poza tobą. Jesteś głównym podejrzanym. Jeśli nie skrzywdziłeś żony, a chyba ci wierzę, że tego nie zrobiłeś, to będziesz potrzebował pomocy. Zaufanie wymaga wzajemności, Paul. Oto twoja ostatnia szansa: powiedz mi, co to za sekret i dlaczego jest taki ważny. I nie próbuj kłamać. Jeśli skłamiesz, wykopię twój tyłek na ulicę i osobiście wezwę gliny.

Rybak ciskał z oczu gromy. Paul nie mógł skłamać. Nigdy przedtem nie czuł się taki bezradny – przywiązany do łóżka w mieszkaniu obcego uzbrojonego człowieka. Człowieka o spojrzeniu, które mogło skruszyć skałę.

Zebrał wszystkie siły, chociaż o mały włos nie zwymiotował, i dźwignął się odrobinę na łóżku, na tyle, aby spojrzeć mężczyźnie w oczy.

– Mam pieniądze, dużo pieniędzy. Dwadzieścia milionów dolarów w banku na Kajmanach. Ktoś się o tym dowiedział i chce je dostać.

Rybak wziął do ręki broń, a Paul pomyślał, że popełnił błąd. Ogromny błąd.

– Jesteś handlarzem narkotyków, Paul?

– Nie, nie, nie. Nic z tych rzeczy. To nie tak, jak wygląda.

– Wygląda na nielegalny interes. Żaden uczciwy człowiek, którego znam, nie trzyma dwudziestu milionów na zagranicznym koncie. Więc jak,

powiesz mi prawdę, czy mam wezwać gliny? Bo jak na razie, to jestem skłonny do nich zadzwonić.

Paul nie miał wyboru. Teoretycznie pozostawały dwie możliwości wybrnięcia z sytuacji, w praktyce jednak ta druga nie wchodziła w grę. Tylko jedna rzecz mogła uratować mu życie. Liny przytrzymujące jego nadgarstki naprężyły się jak postronki, barki aż trzeszczały z wysiłku, kiedy wyrzucił z siebie te słowa, słowa, których nie wypowiedział nigdy w życiu.

– Jestem J.T. LeBeau.

Jeszcze ostatnie dźwięki nie wyrzmiwały z jego ust, a już przysięgał sobie w duchu, że nigdy więcej nie przejdzie mu to przez gardło.

– Ten pisarz?

– Tak, ten pisarz. Kiedy wypadłem za burtę, miałem w kieszeni pendrive'a ze swoją najnowszą książką. To stąd te wszystkie pieniądze. Ktoś się dowiedział, kim jestem, i próbuje mnie dopaść.

Rybak pochylił się, podwinął nogawkę i wyciągnął nóż. Światło lampy zamigotało w ostrej głowni niczym płomień świecy.

Ruszył w milczeniu w stronę Paula niczym kat idący do skazańca. Był wysoki, barczysty, świetnie zbudowany. Paul nie umiał odczytać wyrazu jego oczu. Czuł zapach morza i lekki odór ryb. I jednocześnie dziwny spokój. Powiedział wszystko, co mógł. Nic więcej nie wchodziło w grę. Pozostało mu tylko jedno – wykrwawić się jak najszybciej i możliwie bez bólu. Drżąc, zamknął powieki, poczuł na policzku ostatnią spływającą łzę i czekał na lodowate dźgnięcie ostrza.

Tymczasem poczuł, jak więzy na nadgarstkach napinają się, a potem opadają.

Otworzył oczy i spojrzał na człowieka, który go najpierw ocalił, potem chciał zabić, a wreszcie rozciął mu sznury i oswobodził.

– Przepraszam, ale te wiadomości i tak dalej... Musiałem się upewnić. Wybacz mi, Paul. Czy może mam do ciebie mówić „Panie LeBeau”? Pewnie nie. Czytałem twoje książki, jak większość ludzi. Pomogę ci, jeśli zdołam. Tam jest zlew. Możesz się umyć i wziąć ze skrzyni czyste ubrania. Prześpij się, rano po ciebie przyjdę. Nie musisz się niczego obawiać, jesteś tu bezpieczny. I mile widziany w moim domu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

W drodze powrotnej z domu Cooperów Darylowi przebiegały po plecach lodowate dreszcze. Wiózł w bagażniku zakrwawiony kombinezon, zakrwawione rękawiczki, a ciało Marii jeszcze nawet nie ostygło. Mało prawdopodobne, żeby ktoś znalazł zwłoki przed świtem. Rano listonosz zauważy przewróconą skrzynkę i podejdzie do domu. Zobaczy otwarte drzwi i krew, którą Daryl na nich rozsmarował. To wystarczy, żeby go zwabić do środka, gdzie znajdzie ciało Marii zawinięte w folię malarską.

Wyluzuj, masz dużo czasu, powtarzał sobie.

Najważniejsze to bezpiecznie dotrzeć do domu i nigdzie się nie zatrzymywać. Na każdym czerwonym świetle noga podskakiwała mu nerwowo na pedale gazu, a palce trzęsły się na kierownicy, jeśli ich mocno nie zaciskał. Przejeżdżając koło Biura Szeryfa, czuł, jak napinają mu się mięśnie na karku, mimo to ani razu nie obejrzał się w stronę budynku. W końcu dotarł do miasta i skręcił w dawny bulwar prowadzący na wybrzeże po drugiej stronie Port Lonely. Dwadzieścia minut później zatrzymał się przy prywatnym pomoście, gdzie stała zacumowana jego łódź. W ciemnych oknach domu panował spokój. Daryl wyjął z samochodu plecak. Na tyłach stała beczka do spalania śmieci. Wrzucił do środka plecak, pudełko zapalek i wszystko polał podpałką. Oczekał, aż płomień rozprzestrzeni się po materiale, po czym zostawił beczkę, żeby jej zawartość dopalała się sama.

Otworzył obydwa zamki, włączył lampę w przedpokoju i przez chwilę stał bez ruchu, nasłuchując. Każdy jego zmysł pracował na zwiększonych obrotach. Fala adrenaliny, która go zalała, kiedy zadawał Marii drugi cios, nadal mąciła mu myśli.

Wyjął z kieszeni drugi klucz i otworzył drzwi do piwnicy. Powoli, ostrożnym, spokojnym krokiem zszedł po schodach. Lampa w kącie dawała tyle światła, że widział stopnie wystarczająco dokładnie. Kiedy stanął na samym dole, na moment znieruchomiał. Potem ruszył po trzeszczących

deskach w stronę łóżka, gdzie leżał Paul Cooper. Daryl jeszcze go nie związał. Zrobi to za jakiś czas, na razie Paul musi spać.

– Hej, wszystko w porządku? – spytał.

Paul poruszył się, odwrócił i otworzył oczy.

– Gdzie jestem? – spytał zaspanym głosem.

– Bezpieczny – odparł Daryl.

Paul próbował skupić na nim wzrok. Zanim z powrotem zasnął, powiedział:

– Jesteś tym rybakiem. Uratowałeś mnie. Dziękuję.

– Nie na sprawy. Cieszę się, że cię złowiłem.

Kiedy Paul odpłynął w kolejny sen, Daryl napełnił strzykawkę swoją specjalną mieszanką i ostrożnie wstrzyknął ją w mięsisty bok swojego gościa. Paul nawet nie podniósł powieki, kiedy w jego ciało wbijała się igła ze specjalną mieszanką morfiny i środka usypiającego, uwarzoną przez Daryla.

– Śpij – powiedział. – Twoje kłopoty dopiero się zaczynają.

Po zastrzyku Paul nie będzie nawet pamiętał tej rozmowy.

Przez kilka dni Daryl trzymał go w stanie uśpienia. Jadł makaron, czyścił pistolet i oglądał wiadomości. Podawał Paulowi trochę wody i dużo zastrzyków. Ostatnie wiadomości budziły nadzieję. Stan Marii Cooper był wprawdzie stabilny, lecz doznała poważnego urazu mózgu. Wiedział, że jeśli dopisze mu szczęście, żona Paula nie będzie niczego pamiętać. Ale też kłął na siebie co niemiara. Nie powinna była przeżyć. Reporter wiadomości poinformował, że napadnięta kobieta przeszła skomplikowaną operację mózgu mającą na celu powstrzymanie silnego krwotoku podpajęczynówkowego.

W czasie konferencji prasowej policja uzupełniła brakujące informacje. Szeryf Port Lonely, Abraham Dole, potwierdził, że Maria Cooper cierpi na amnezję, i apelował, aby ewentualni świadkowie wydarzeń zgłosili się na policję. Biuro Szeryfa prosiło również o wszelkie informacje na temat Paula Coopera. W niedzielę wieczorem, w dniu poprzedzającym znalezienie Marii Cooper na plaży, straż przybrzeżna odebrała sygnał SOS wysłany przez jej męża. Jego łódź zatonęła, a kamizelkę ratunkową znaleziono kilkanaście mil od zatopionej łodzi. Nurkowie nadal badają wrak.

Paul Cooper zaginął na morzu. Biuro Szeryfa nie wyeliminowało go z grona podejrzanych.

Daryl wyłączył telewizor, dokończył szklanekę mleka i odstawił ją na stolik. Był bardzo ostrożny, kiedy nurkował w przystani. Zrobił dziurę w kadłubie łodzi na tyle poszarpaną, aby wyglądała na przypadkowe

uszkodzenie. Pod alarm zęzowy i pompę podłączył baterię, która spowodowała zwarcie. Rzecznawcy będą musieli użyć śrubokrętu, żeby zajrzeć do obwodów elektrycznych, a tym samym usuną wszelkie ślady, jakie Daryl mógł zostawić na śrubach. Nie, nie ma mowy, żeby w trakcie śledztwa powiązano go z zatonięciem łodzi Paula.

Tylko Maria może przysporzyć mu kłopotów. Jedyna niedokończona sprawa. Ale dokończy ją, jeśli żona Paula opuści szpital, zanim Daryl ostatecznie załatwi sprawę. Przypomniał sobie jej twarz, zanim zadał drugi cios. Przerazenie. Odtwarzał ten obraz w pamięci. Napawał się nim. Przyjemność prawie zrekompensowała wstręt, z jakim nazwał ją „skarbem”. Wtedy przez długi czas czuł w ustach niesmak, jakby żółć podeszła mu do gardła. Potrząsnął głową, przejechał językiem w ustach, szukając resztek bulionu z makaronem. Wszystko, byle zabić tamten smak.

Fakt, że przeżyła, stanowił poważne utrudnienie, ale z czasem Daryl doszedł do wniosku, że sobie z nim poradzi. Na szczęście Maria niczego nie pamięta. Gdyby powiedziała policji prawdę, wyeliminowaliby Paula z kręgu podejrzanych, a cały impet śledztwa skierowaliby na niego.

Jak dotąd nadal dopisywało mu szczęście. I niech tak pozostanie jeszcze przez jakiś czas. To wymaga kilku modyfikacji w planach i przyspieszenia działań, ale Daryl nie miał wątpliwości, że dopnie swego.

Spojrzał na zegarek. Piętnaście po czwartej, wtorkowe popołudnie. Wziął pustą szklankę, umył ją w zlewie i zostawił do wyschnięcia. Otworzył następne opakowanie makaronu, włożył do garnka z wodą i włączył palnik. Na blacie kuchennym leżał ręcznik, a na nim rozłożone różne rodzaje broni. Dwa noże myśliwskie, jeden z trzydziestocentymetrowym ostrzem, z jednej strony zakrzywionym, z drugiej ząbkowanym. Jego brat bliźniak był identyczny, lecz dużo mniejszy. Daryl wsunął mniejszy nóż do pochwy i przypiął ją do prawej kostki. Większy razem z pochwą włożył do podręcznego sejfu stojącego na podłodze.

Pozostał colt. Wziął go do ręki, załadował magazynek, zabezpieczył i wsunął za pas spodni. Zamknął sejf kluczykiem na łańcuszku, wyjął spod kuchennego blatu deskę do nauki pływania, wsunął skrzynkę i zasłonił ją z powrotem deską.

Na stole leżał jego laptop. Włączył go, po czym odwrócił się, żeby zaparzyć sobie kawy. Podczas gdy w ekspresie bulgotał gorący płyn, Daryl usiadł przy komputerze i otworzył nowy dokument Worda.

Sporo czasu minęło, od kiedy ostatnio pisał. Z początku jego palce nie trafiały we właściwe klawisze. Nieporadność dłoni przekładała się na

nieporadność słów na ekranie. Językowi brakowało potoczności, zdania brzmiały sztucznie i kanciasto.

Popatrzył na monitor. Napisał kilka akapitów. Na początek wystarczy.

Nalał sobie świeżej kawy i pomyślał o Marii.

Dostała cios od tyłu. Jeśli zacznie odzyskiwać pamięć, Daryl zrzuci winę na jej męża, będzie ją karmić kłamstwami, że Paul rzucił się na nią, a potem na niego. Musiał uciekać, żeby ujść z życiem. Cokolwiek się stanie, jakoś sobie poradzi.

Spał tej nocy niespokojnie. Wiedział, że rano czeka go rozmowa z Paulem. Zmniejszył dawkę narkotyku, żeby jego więzień do rana oprzytomniał. W środę rano włożył swój stary sweter wędkarski i zszedł do piwnicy z coltem i laptopem. Obudził Paula, odegrał scenkę z rybakiem i z przyjemnością patrzył, jak jego ofiara skręca się i panikuje. Chociaż Paul oszczędnie szafował prawdą, Darylowi udało się przynajmniej wydusić od niego informację o pieniądzach. Tylko tyle potrzebował.

Dwadzieścia milionów było dużym łupem i Daryl zdawał sobie sprawę, że musi na niego zapracować. Ułożył plan i jak dotąd, poza kilkoma drobiazgami, działał bez zarzutu. Tylko jednej rzeczy się nie spodziewał: ile mu sprawi radości.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Szeryf Dole stał na środku pustki wypełniającej miejsce krwawej zbrodni. Dom nie tylko sprawiał wrażenie opuszczonego przez mieszkańców, lecz także jakby w ogóle opuściło go życie. Cisza rozprzestrzeniała się na wszystkie zakątki niczym zaraza. Rośliny nieuchronnie uschną, plamy krwi zostaną zmyte, lecz wyrwa, która powstała w materii tych murów i wewnątrz, pozostanie na zawsze.

Ludzie szeryfa przyjeżdżali do domu Cooperów wielokrotnie. Wezwał informatyków z Lomax City, żeby zabrali laptopa Paula i oddali go, kiedy złamią hasło i uda im się wejść do cholernego komputera. Nie spodziewał się znaleźć tam żadnych rewelacji, ale nie szkodziło sprawdzić. Melissa Bloch spędziła na miejscu zbrodni pół dnia i zapełniła cały notes spostrzeżeniami, refleksjami, teoriami i innymi szczegółami, które uważała za dziwne lub ważne.

Jak to bywało z nią zawsze, niechętnie dzieliła się swoimi przemyśleniami. W domu Cooperów roilo się wręcz od śladów i dowodów, lecz większość wywoływała więcej pytań niż odpowiedzi. Dole nalegał, żeby pojechali razem na miejsce zbrodni i pogadali. Po dłuższych deliberacjach Bloch wyraziła zgodę pod jednym warunkiem: że nie zrobią żadnych raportów z tej rozmowy, aby nie dawać pożywki przyszłemu adwokatowi w trakcie procesu. Dole przystał na jej propozycję.

I tak w piękny środowy poranek o dziesiątej trzydzieści stał w salonie domu Cooperów i patrzył na obrys zwalistego ciała na podłodze, otoczony żółtą taśmą. Wskazywał miejsce, gdzie leżał listonosz, biedny Bill Buchanan. Zanim przyjechało pogotowie, serce Billa przestało już bić. Przez czterdzieści pięć minut ratownicy próbowali go reanimować, lecz ani resuscytacja, ani zastrzyki przeciwzakrzepowe nie zdołały przywrócić Billa Buchanana do życia.

Biedaczysko, pomyślał Dole. Przypadkowa ofiara przemocy. Szeryf doskonale wiedział, że każda zbrodnia pociąga za sobą więcej niż jedną ofiarę. Przyjaciele, rodzina, kochankowie, przypadkowi przechodnie. Im

brutalniejszy akt przemocy, tym silniejszy wstrząs dotyka innych ludzi – za pośrednictwem zmysłów, a w najgorszych przypadkach oddziałuje na serce i duszę. Dole widział już takie rzeczy w różnych miastach. Umiera lub ginie dziecko, a rodzice odchodzą niedługo później. Rzecz jasna takich informacji nie wyczyta się w akcie zgonu, lecz Dole wiedział, że złamane serce może zabić.

Wiedział, ponieważ sam był ofiarą, która przeżyła. Nigdy się nie ożenił. Kiedy był młodym mężczyzną mieszkającym na głębokim Południu, kobiety w jego życiu zjawiały się i odchodziły. Potem przeprowadził się do Nowego Jorku i tam poznał wyjątkową osobę o imieniu Eden. Zmarła, mając dwadzieścia pięć lat, na bardzo rzadką odmianę nowotworu. Dole zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia w pewien sobotni wieczór na Manhattanie, kiedy tańczyła z przyjaciółkami w klubie. Spędzili ze sobą jeden wspólny rok, a potem zachorowała. Długie miesiące chemioterapii, leczenia i bólu były najtrudniejszym okresem w jego życiu. Wiedział, że ją straci, a ona nie chciała za niego wyjść. Nie chciała uczynić go dwudziestosześcioletnim wdowcem. Po jej śmierci spędził całą noc z butelką whisky i stracił rachubę, ile razy wkładał sobie pistolet do ust. Ale nigdy nie pociągnął za spust.

Niekiedy w Port Lonely stał i patrzył na morze. Przeczesał horyzont w poszukiwaniu statków, gotów wejść do wody i zniknąć. Praca trzymała go na brzegu, zwłaszcza sprawa anonimowej niezidentyfikowanej kobiety. Nie mógł jej porzucić. Musi znaleźć jej zabójcę. Musi jej nadać imię. Do tego czasu musi przeżyć.

Jak dotąd Maria Cooper również żyła, ale leżała w śpiączce farmakologicznej, a jej szanse na przeżycie wynosiły pięćdziesiąt procent.

Usłyszał na dworze kroki. Otworzył drzwi frontowe domu Cooperów i przywitał Melissę Bloch. Ekipa techników przeszukała już posiadłość, więc nie musieli wkładać strojów ochronnych. Bloch naciągnęła czarne lateksowe rękawiczki, takie same jak Dole, i skinęła głową na znak, że jest gotowa.

Przez jakiś czas badali plamy krwi na drzwiach – rozsmarowane, zaschnięte smugi dziesięć centymetrów nad zamkiem. Grupa krwi taka sama jak Marii, ale czekali jeszcze na potwierdzenie wyników DNA. Na razie oboje przyjmowali robocze założenie, że to jej krew.

– Zabójca wychodzi frontowymi drzwiami – odezwał się szeryf. – Zostawia plamy krwi z dłoni lub rękawiczek... – Stał w holu przed uchylonymi drzwiami i wskazywał czerwone smugi. Ktoś wychodząc w pośpiechu, mógł bez trudu złapać uchylone skrzydło, aby je otworzyć.

Bloch pokiwała głową.

Na razie nie trafili na nic ciekawego, co by ich wyciągnęło na zewnątrz, więc skupili się na mieszkaniu. Na podłodze krople krwi. Owalne, otoczone kropeczkami we wzór wskazujący, że padały pionowo, prawdopodobnie pod kątem dziewięćdziesięciu stopni do podłogi.

– Staromodna automatyczna sekretarka – zauważyła Melissa, wskazując czarny magnetofon kasetowy leżący obok telefonu stacjonarnego.

– Lubiłem te urządzenia – powiedział Dole. – Kiedy ktoś dzwonił, a człowiek nie miał ochoty oddzwaniać, zawsze można było powiedzieć, że skończyła się kaseeta.

Kaseeta w sekretarce była nowa i nieużywana. Czysta, bez żadnych wiadomości. W drugim kącie stał gramofon, a pod spodem leżał stos płyt winylowych. Któreś z Cooperów musiało mieć sentyment do staroci.

Dole odwrócił się plecami do salonu i spojrzał na korytarz.

Najwięcej tajemnic skrywała kuchnia.

Wszedł pierwszy i ruszył prosto w stronę lodówki, żeby zrobić Bloch miejsce i dać jej możliwość zbadania pomieszczenia, w którym najprawdopodobniej została zaatakowana Maria. Rozdartą folię, na której zakrzepło najwięcej krwi, zdjęto i zabezpieczono jako dowód. Dole widział, jak ją zabierali. Wtedy właśnie znalazł młotek, który wysliznął się ze zwojów plastiku. Na trzonku znaleziono odciski palców jednej osoby. Porównawszy je z odciskami zdjętymi w innych miejscach domu oraz na drzwiach maserati, uznali z dużą dozą pewności, że należą one do Paula Coopera. Razem z młotkiem z folii wypadły dwa paznokcie Marii. Dole kazał technikom zapakować je do torebki na dowody.

Kiedy zdjęto rozdarty zakrwawiony plastik, znaleziono rozpylone ślady krwi na folii osłaniającej tylną ścianę, trochę kropel na podłodze i na drzwiach werandy. Poza nimi wszystko inne wyglądało jak typowe przygotowania do malowania domu. W kącie stały puszki z farbą, w tym jedna otwarta, a na ścianie widniało próbne maźnięcie. Poza nimi wałki, pędzle i wszystko, czego można by się spodziewać w takich okolicznościach. W innym kącie leżały skrzynka z narzędziami oraz śrubokręt z czubkiem poplamionym farbą.

Przez kilka minut Melissa Bloch rozglądała się po kuchni, po czym oboje poszli na górę. Zlustrowali szafy, zajrzeli pod łóżka, sprawdzili każdą szufladę. Zadowoleni, wrócili do kuchni.

Bloch wyszła na werandę i osłoniwszy oczy przed słońcem, popatrzyła w kierunku plaży. Kiedy wróciła do środka, skinęła głową i oznajmiła:

– Myślę, że Paul Cooper jest człowiekiem, którego szukamy, ale wcale mi się to nie podoba.

– To prawie zawsze jest człowiek z bliskiego otoczenia ofiary – zauważył Dole. – Mogę się założyć, że na młotku też są jego odciski palców. DNA to potwierdzi. Co tu się może nie podobać?

Pokręciła głową.

– Zdaję sobie sprawę, że w sprawach rodzinnych nie trzeba motywu, ale to mi wygląda na zaplanowaną napaść.

Dole splótł ręce na piersi i oparł się o kuchenkę.

– Hmm...?

– Wiemy, że te wszystkie rzeczy kupiła Maria, bo w torebce miała rachunek, a na blacie leży lista zakupów. Może i chodziło o remont, ale to wygląda na diabelny zbieg okoliczności. Folia malarska nie tylko zabezpiecza meble przed pochłapaniem farbą, ale również uniemożliwia naszym technikom znalezienie śladów. To zbyt... wygodny zbieg okoliczności.

– Nie lubię wygodnych zbiegów okoliczności – przyznał Dole.

– Wiem.

– Tam leży skrzynka z narzędziami. Może się pokłócili, kłótnia wymknęła się spod kontroli i Cooper złapał za młotek? Co tu trzeba planować?

– Folia malarska stwarza doskonałą okazję. I nawet ją wykorzystał. Zawinął ofiarę w plastik razem z bronią.

– Po co ją tu zostawił? – spytał szeryf.

Melissa westchnęła i popatrzyła za okno w kierunku czystego, błękitnego oceanu.

– Coś mu przeszkodziło – stwierdziła. – Nie zamierzał jej tu zostawiać. Jeśli chciał się pozbyć ciała, to jest na to tylko kilka pewnych sposobów. Wynieść ją do samochodu, włożyć do bagażnika i wywieźć gdzieś daleko. Ale to ryzykowne. Krew może wycieknąć mimo folii i zostawić ślady, które znajdą technicy. Ale spójrz tylko tam: chcesz się pozbyć ciała, a przed twoimi drzwiami rozciągają się tysiące mil oceanu.

Sztorm minął i woda wyglądała bardzo zachęcająco.

– Gdyby ją włożył do bagażnika i pojechał na przystań, musiałby ją jeszcze przenieść na łódź – powiedział szeryf. – Wiele rzeczy może się nie udać. Wystarczy jeden przypadkowy przechodzień. Łatwiej by było przypłynąć tu łodzią. Szelf ma tu tylko trzysta metrów, dalej ciągnie się głęboki kanał. Mógłby dopłynąć do brzegu, ale jak zabrać ją na łódź?

– Zwłoki unoszą się na wodzie – zauważyła Bloch. – Jeśli nie chciał ryzykować zabierania zwłok w folii na pokład, mógłby ją przywiązać liną do rufy, a potem zostawić w głębokiej, niebieskiej pustce. Nikt by jej nie znalazł poza rybami.

– Gdyby to zrobił w nocy, nikt by nie zauważył. Dom jest czysty, zostaje wypadek na morzu.

Na przystani nie było kamer, nie mieli jak się dowiedzieć, o której godzinie Paul Cooper wypłynął łodzią ani dlaczego łódź zatонуła.

– Cooper nie nadał przez radio sygnału SOS – przypomniała szeryfowi Bloch. – Kiedy twoja łódź zaczyna tonąć, w pierwszej kolejności wzywasz pomoc. A on nie zrobił nic. Uruchomił nadajnik PLB, ale to się mogło zdarzyć przypadkiem, kiedy wkładał kamizelkę ratunkową. W szafie brakuje jednej z kompletu trzech walizek, a na blacie leży jego paszport. Paszport Marii leży nadal w szufladzie w sypialni. Tylko jedna osoba miała wyjechać – podsumowała.

– I jego plan się zawalił, bo łódź zatонуła, a Maria nie umarła?

– To tłumaczy wszystko, co tu mamy, ale...

– Ale co?

– Bill Buchanan – powiedziała Melissa.

Dole zwiesił głowę. Chciał tę sprawę szybko i zgrabnie zakończyć. Mąż zaatakował żonę. Miał wypadek na morzu. Znalaziono jego zwłoki. Żadnych procesów, żadnych mediów, prosty przypadek sprawiedliwości wymierzonej przez los. Nic nie sprawiłoby mu większej satysfakcji. Kłopot w tym, że sam nie potrafił zamknąć oczu na słabe strony swojej teorii. Bloch też je zauważyła. Może tego właśnie potrzebował. Jeśli tylko jedna osoba nosi w głowie jakąś myśl, może ona ugrzęznąć w zwodniczej mgłę niedoskonałego umysłu. Lecz kiedy dwoje ludzi tworzy tę samą hipotezę, zaczyna ona nabierać bardziej fizycznego kształtu. Staje się bardziej namacalna i wiarygodna.

Odepchnął się od kuchennego blatu i kiwnął na Bloch palcem, żeby poszła za nim. Wyprowadził ją na podjazd i dalej do przewróconej skrzynki na listy. Nie czekał, aż jego zastępczyni wyartykułuje tę wątpliwość na głos. Wyrzucił swoją mglistą koncepcję z głowy i czekał, aż okrzepnie przed jej oczami.

– Bill Buchanan pokrzyżował mu plany? Ktoś przewrócił skrzynkę na listy. Przejeżdżający samochód? Nie sądzę. Żeby zwalić ją tak czysto, trzeba by uderzyć albo prosto w skrzynkę, albo w słupek. Słupek jest pęknięty na samym dole, co znaczy, że samochód musiałby w niego wjechać centralnie. Takie rzeczy się zdarzają. Tylko że na trawie nie ma śladów opon.

Zobaczył błysk w oczach Bloch. Spuściła wzrok na ziemię i zaczęła badać teren. Nic.

– Kiedy tu byliśmy po włamaniu i rozmawiałeś z Cooperem, skrzynka stała – przypomniała sobie.

Dole zaprowadził ją z powrotem do drzwi.

– Jak Bill dostał się do środka? – spytała. – To mi nie daje spokoju.

– Właśnie. Nie wszedł kuchennymi drzwiami, bo na jego butach nie było śladów krwi. Ratownicy zastali drzwi frontowe otwarte na oścież. Gdyby skrzynka stała, Bill nie miałby powodu podchodzić do domu – stwierdził Dole.

– Gdyby Paul Cooper myślał, że zabił swoją żonę, i zamierzał wrócić po zwłoki, powinien zamknąć te cholerne drzwi, żeby nikt nie zajrzał przypadkiem do środka i nie znalazł ciała. Drzwi są w dobrym stanie, żadnych śladów włamania. Okno w gabinecie jest cały czas stłuczone, ale pierwsi technicy, którzy weszli do środka, mówili, że drzwi gabinetu były zamknięte na klucz. Bill nie mógł się tamtędy dostać do domu. Mógł wejść tylko frontowymi drzwiami, a na nich nie ma nawet zadrapania.

Szeryf przestąpił z nogi na nogę i oparł dłonie na biodrach.

– Widzę tylko jeden powód, dla którego zabójca mógł zniszczyć skrzynkę na listy i zostawić otwarte drzwi: chciał, żeby zwłoki Marii Cooper zostały znalezione – powiedział.

Oboje przez dłuższy czas milczeli. Tylko wiatr szeleścił w trawie, a z oddali dobiegał stłumiony szum fal, od czasu do czasu przerywany warkotem przejeżdżającego samochodu.

– Nasz napastnik może jeszcze żyć – stwierdziła Bloch.

– Hm... Poprosiłem ekipę kryminalistyczną z Bay City, żeby zbadali skrzynkę. Dzisiaj ją zabiorą, więc poczekajmy w środku. Wątpię, żeby znaleźli tam coś istotnego. Na razie Paul Cooper jest nadal naszym głównym podejrzanym, ale musimy być otwarci na inne możliwości. A może dopatrujemy się zbyt wiele – podsumował Dole.

– Może. Jakie mamy jeszcze plany na dzisiaj?

– Kiedy ludzie z Bay City skończą swoją robotę, proponuję pojechać do Marii Cooper. Boże, mam nadzieję, że ona z tego wyjdzie. Może coś nam powie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Paul nigdy nie przepadał za makaronem, a już na pewno nie włączyłby go do menu śniadaniowego, ale był tak osłabiony, że nie mógł narzekać. Tamtego ranka rybak przedstawił się jako Daryl. Spytał go, czy jest głodny, po czym postawił przed nim parującą miskę makaronu instant z jasnobrązowym bulionem. Pierwszej porcji Paul nawet nie posmakował. Kluski były miękkie i gorące i zbyt szybko wpływały do gardła. Druga porcja poszła równie błyskawicznie, lecz tym razem poczuł w wywarze kurczaka. Przy trzeciej siedział nieco dłużej i rozkoszował się smakiem. Cztery szklanki wody nie ugasiły pragnienia.

– Spokojnie. Dostałeś porządnego łupnia w bańkę. Jak nie zwolnisz, to zaraz się zrzygasz – powiedział Daryl, zabierając pustą miskę Paula i napełniając ją ponownie.

I rzeczywiście po chwili Paula zaczęło mdlić. Bolesny głód minął, pozostały tylko łagodne nudności. Odwrócił się do laptopa, który stał przed nim na stole. Daryl zalogował go jako gościa i Paul zaczął szukać najnowszych wiadomości o sobie i Marii. Google wyświetlił mu kilka tysięcy wyników, zawęził więc parametry wyszukiwania i przeglądał właśnie piątą stronę.

Z każdą nową wiadomością coraz bardziej ścisnęło go w żołądku.

Ostrożnie dotknął bandaża na głowie i poczuł w skroni ostre klucie. Wejście po schodach piwnicy okazało się niebezpiecznym przedsięwzięciem. Dopóki nie stanął na nogi, nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo osłabł. Biorąc głębokie oddechy i zatrzymując się co kilka schodków, zdołał dotrzeć do krzesła w jadalni, makaronu, wody i laptopa.

Miał na sobie workowate spodnie od dresu, stary biały T-shirt, tyle razy prany, że zrobił się bardzo cienki. Kiedyś będzie musiał zapytać o swoje ubranie, lecz dzisiaj jeszcze nie czuł się na siłach spojrzeć prawdzie w oczy.

Bo jeśli pendrive wypadł z jego dzinsów...

Podejrzewał najgorsze. Dopóki nie poczuje się znowu jak człowiek, wolał nie narażać się na kolejny cios. Niełatwo byłoby pogodzić się z myślą

o stracie całego roku pracy nad książką. Mimo wszystko to było najmniejsze z jego zmartwień. Po krótkiej chwili przestał o tym myśleć. Najpierw musi się dowiedzieć, co z Marią.

Niektóre artykuły w brukowcach opisywały ze szczegółami obrażenia, jakie odniosła. Pęknięta czaszka. Tępe narzędzie, prawdopodobnie młotek. Poważne uszkodzenia mózgu.

Zawinięta w plastikową płachtę i pozostawiona na śmierć na podłodze w kuchni.

Autorzy dwóch artykułów, powołujący się na anonimowe źródło w Biurze Szeryfa Port Lonely, twierdzili, że na młotku znaleziono odciski palców Paula Coopera.

No jasne, pomyślał. Przecież to był jego młotek.

Czytając to, miał uczucie, że tonie w czarnej kipieli i gdzie się tylko obrócił, woda wypełniała mu usta, płuca, umysł i myśli. Dławiąca, zimna ciemność. Może na to właśnie zasłużył. Może powinien był zatonać razem z łodzią? Może lepiej by się stało, gdyby został w głębinie. W ciemności. Właśnie dlatego pragnął pozostać w ukryciu, w ciszy, a kiedy go demaskowano, musiał uciekać.

Gdybym tylko odszedł wcześniej, pomyślał.

Jego rozmyślania przerwał Daryl.

– Czy mogę spytać, co zamierzasz z tym wszystkim zrobić? Może jednak lepiej pogadać z policją?

Z punktu widzenia Paula był to fatalny pomysł. Uznali go za głównego podejrzanego. Aresztowaliby go za zabójstwo z premedytacją. Ludzie w Stanach Zjednoczonych najbardziej na świecie bali się trzech rzeczy. Ataku terrorystycznego. Strzelaniny w szkole. Oraz amerykańskiego systemu sprawiedliwości. Niekoniecznie w tej kolejności. Ponieważ Paul zniknął tuż po napaści na Marię, prawdopodobnie nie wypuszczono by go nawet za kaucją. Przesiedziałyby razem z najbrutalniejszymi kryminalistami dwa lub trzy lata, zanim w ogóle zobaczyłyby salę sądową. A koszt przeciągającego się procesu mógłby osiągnąć siedmiocyfrową sumę, nawet z podrzędną firmą adwokacką. Najlepsi prawnicy mogliby go uratować, ale za jaką cenę? I jak długo musiałby siedzieć w jednej celi z mordercą, podczas gdy prawnicy jedliby lunch za jego pieniądze i liczyli sześćset dolarów za godzinę plus koszty. Za dwa lata wyszedłby na wolność, pod warunkiem że przeżyłby areszt, a tymczasem facet, który napadł na Marię, przepadłby bez śladu.

– Policja uważa, że to ja skrzywdziłem żonę. Nie mogę się do nich zgłosić, to za duże ryzyko. Sam muszę znaleźć sprawcę – powiedział.

– Jak chcesz to zrobić? – spytał Daryl.

– Mam dużo pieniędzy. Mogę kupić informacje. Prywatna firma detektywistyczna będzie kosztować drobną część tego, ile zapłaciłbym prawnikom tylko za to, żeby mnie uchronili przed dożywociem za usiłowanie zabójstwa.

Kliknął timer w ekspresie i Daryl nalał Paulowi filiżankę kawy, a potem następną dla siebie. Postawił kawę na stole, po czym cofnął się i oparł o szafkę.

– Myślę, że o czymś zapominasz – rzucił.

– O czym? – spytał Paul.

– Nie masz już żadnych pieniędzy.

W pierwszej chwili Paul pomyślał, że to jakiś kiepski żart. Albo coś bardziej złowieszczego. Może groźba? Siedział bez ruchu i obserwował beznamienne oblicze Daryla. Milczenie stawało się krępujące. Paul nie ośmielił się go przerwać. Miał przed sobą mężczyznę, który kilka godzin temu trzymał w dłoni pistolet i zamierzał go użyć.

– Nie rozumiesz? – ciągnął Daryl. – Teoretycznie nie żyjesz. Właśnie odwołują poszukiwania. Zostaniesz uznany za zmarłego, a twoje pieniądze trafią Bóg wie gdzie.

Na ułamek sekundy Paul odetchnął z ulgą, zrozumiał, że Daryl nie próbuje go straszyć. Potem jednak dotarła do niego brutalna rzeczywistość. Jeśli nie zgłosi się na policję lub do straży przybrzeżnej, pozwoli, aby uznano go za zmarłego. A z tym wiązały się pewne konsekwencje. Daryl miał rację. Paul nie mógł przelać pieniędzy na odległość. Jego konto zabezpieczały ścisłe protokoły. Nie wypłynie z niego ani jeden dolar bez osobistego podpisu oraz dwunastocyfrowego kodu wprowadzonego ręcznie na miejscu.

– Szuka mnie policja. Jak pójde do banku, mogą mnie aresztować. Jeśli dowiedzą się o pieniądzech, będę skończony. Zaczną monitorować rachunek. Bank ich powiadomi, gdy tylko przekroczę ich próg. Ma obowiązek to zrobić.

– Gliny są sprytne – wtrącił Daryl. – Możesz być pewien, że dowiedzą się o pieniądzech.

Paul odsunął na bok kawę, objął głowę dłońmi i aż się uśmiechnął, uprzytomniwszy sobie, jak kompletnie popieprzyło się nagle jego życie. Cokolwiek zrobi, będzie to miało swoje konsekwencje.

Jeśli się ujawni, zachowa pieniądze i będzie musiał próbować swoich sił w sądzie.

Jeśli pozostanie w ukryciu, Maria odziedziczy dwadzieścia milionów dolarów, o których nie ma pojęcia, a on będzie musiał liczyć na to, że jego żona powie coś, co pozwoli mu wytropić drania, który ją zaatakował. Wiele rzeczy może się w tym planie nie powieść. Zbyt dużo niewiadomych. Już i tak wystarczająco ją skrzywdził. Bez względu na to, co się stanie, musi trzymać się od Marii z daleka. Jest dla niego zbyt ważna. Już i tak wyrządził jej straszną krzywdę, wkraczając w jej życie. Omal nie przypłaciła tego życiem.

Trzecia możliwość to pozostać w ukryciu i zostawić pieniądze w spokoju.

Nie, nie ma mowy. To nie jest żadne wyjście, zwłaszcza w sytuacji, gdy siedzi mu na ogonie ktoś, kto jest zdolny do morderstwa. Jeśli ma się ukrywać, a jednocześnie szukać zbrodniarza, który skrzywdził Marię, potrzebuje tych pieniędzy. Potrzebuje tych pieniędzy, aby żyć. Dla siebie i Marii. Ile czasu minie, zanim napastnik przyjdzie naprawić swój błąd? Paul musi położyć temu kres, by uratować żonę i siebie. Nie może pozwolić, żeby przez niego zginęła następna osoba. Musi odzyskać te pieniądze. Bez nich mu się nie uda.

– Jesteś w szachu, stary – zauważył Daryl. – Diabli wiedzą, co robić.

– Jedno wiem na pewno: muszę odzyskać pieniądze.

Daryl pił kawę. Paul trzymał głowę dłońmi. Żaden się nie odzywał. Na dworze fale rozbijały się o brzeg rytmicznie niczym tykanie zegara. Metronom zbudowany z wody i betonu, a nad nim śpiew ptaków niczym klarnet wygrywający uwerturę.

– Wiesz... – odezwał się Daryl. – Może jest sposób, żeby to wszystko obejść.

Paul odsłonił uszy i miękko opuścił dłonie na stół, patrząc z uwagą na swojego gospodarza.

– Problem w tym, że trochę sprzeczny z prawem – dodał Daryl.

– Mów dalej – przynaglił go Paul.

Cokolwiek Daryl chciał powiedzieć, najwyraźniej rozmyślił się, zacisnął usta i pokręcił głową.

– Nie. Po namyśle dochodzę do wniosku, że to pewnie i tak się nie uda. Zbyt ryzykowne.

– Robiłem już ryzykowne rzeczy – powiedział Paul. – Tak czy inaczej, chcę to przynajmniej usłyszeć. Każda propozycja jest mile widziana. Mam dramatycznie związane ręce.

– Tylko że to by było ryzykowne również dla mnie.

– Proszę, powiedz, o czym myślisz.

Popatrzyli sobie w oczy. Sceptyczne spojrzenie Daryla spotkało się z błagalnym, żarliwym wzrokiem Paula.

– Dobrze, ale powtarzam, że to i tak by się nie udało.

Przez następne pięć minut Daryl wyjaśniał mu możliwe wyjście z sytuacji. Takie, które pozwoliłyby Paulowi odzyskać pieniądze.

Kiedy skończył, Paul popatrzył na niego z nowym podziwem. Oto miał do czynienia z bardzo przebiegłym sukinsynem.

– Właściwie to mogłoby się udać – przyznał.

– Nieee, już mówiłem, że to za duże ryzyko. Wiodę tu spokojne życie. Nie mam problemów. Sprzedaję to, co złowię, płacę tym rachunki, nikt mnie nie ściga i nikomu nic nie wiszę, więc... no wiesz... Naprawdę mi przykro z powodu tego, co spotkało ciebie i twoją żonę, ale nie chcę ryzykować tego, co mam, chociaż to niewiele. Bez urazy, ale za mało cię znam, żeby pakować się w taką kabałę.

Paul skinął głową.

– Rozumiem. Nie zamierzam cię prosić, żebyś to zrobił z dobroci serca. Zapłacę ci...

Daryl przerwał mu w pół zdania machnięciem ręki.

– Nie, nie, nie mógłbym...

Lecz Paul nie zamierzał przyjąć odmowy. Uciał protesty Daryla w zarodku.

– Zapłacę ci dwa miliony dolarów, gotówką – obiecał. I natychmiast pożałował niefortunnie wybranego momentu, ponieważ rybak wykrztusił z siebie fontannę kawy na niego i na cały stół.

– Mówisz serio? – spytał Daryl, wycierając brodę.

– Całkowicie serio.

– W takim razie wchodzę w to.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Lekarze nie chcieli wpuścić szeryfa i jego zastępczyni do pokoju, w którym leżała Maria. Dole stał na korytarzu i patrzył przez szybę, drażnił go smród środków odkażających. Wydawało się, że Bloch zupełnie nie przeszkadzają te zapachy, lecz szeryfa zawsze od nich piekły lekko oczy. Na łóżku po drugiej stronie szyby leżała Maria z głową owiniętą gigantycznym bandażem, który nadawał jej kształt wielkiego jaja.

Chuda pielęgniarka o ostrych kościach policzkowych i kanciastych rysach twarzy zrelacjonowała im pokrótce sytuację. Obrzęk mózgu, spowodowany zarówno urazem, jak i późniejszą operacją, zszedł. Podstawowe wyniki badań były dobre, organizm nie odrzucił implantu z metalowej płytki w czaszce, więc pomijając blizny w miejscach, gdzie chirurdzy otworzyli wierzchołek czaszki, Maria wyjdzie z tego bez widocznych śladów.

Nikt jednak nie potrafił powiedzieć, co się stanie, kiedy się przebudzi. Czy będzie coś pamiętać, a jeśli tak, to czy przypomni sobie wszystko, czy tylko niektóre rzeczy; a jeśli nie wszystko, to czy kiedyś odzyska pamięć? Nieodwracalnej zmianie może ulec jej sposób mówienia, temperament, cała osobowość.

W ciągu najbliższych godzin minie działanie środków usypiających, ale to nie znaczy, że się obudzi. Może się ocknąć za sześć lub dwanaście godzin, nazajutrz, za tydzień, za sześć miesięcy albo nigdy. Lub w dowolnym momencie przyszłości. Nikt nie potrafi tego przewidzieć. Mogą tylko czekać, aby się przekonać.

Wszystkie te informacje przebiegały Dole'owi przez głowę, kiedy stał obok swojej zastępczyni i patrzył na spokojną twarz Marii Cooper.

– Niewiele możemy zrobić – zauważyła Bloch.

Nie patrząc na nią, szeryf pokiwał głową, po czym jak na komendę odwrócili się jednocześnie i ruszyli w kierunku dyżurki. Dole chciał, aby go natychmiast poinformowano, gdyby stan chorej się zmienił. Chciał być obecny, kiedy się obudzi. Pielęgniarki już poprzednio dostały jego numer

komórkowy oraz numer do Biura Szeryfa, ale na wszelki wypadek nie zaszkodziło im przypomnieć.

Zatrzymał się przy dyżurce i ponownie zobaczył kanciaste rysy chudej pielęgniarki. Identyfikator na piersi informował: *McCutcheon*.

– Poinformuje nas pani natychmiast, jeśli coś...

– Oczywiście, panie szeryfie, mamy pańskie numery. Nic nie możemy zrobić, dopóki ona się nie wybudzi. Aha, czy chce pan zabrać jej ubranie? Widziałam je dzisiaj w szafce, kiedy zaczęłam zmianę. Jeszcze nikt go nie zabrał.

– Jasne, że je weźmiemy.

– Jest mocno zakrwawione – ostrzegła siostra McCutcheon. – Kiedy ją przywieźli, nie wiedzieliśmy, co się stało, więc dyżurna włożyła wszystko do czystej torby. No wie pan... jako dowód. Niektóre rzeczy musieliśmy na niej rozciąć, żeby je zdjąć, ale niczego nie wyrzuciliśmy. Zaraz je przyniosę.

Dole już się spotkał z tą nową procedurą. Kiedy pracownicy szpitala podejrzewają, że obrażenia powstały w wyniku napaści, zachowują ubrania rannego w sterylnej torbie, na wypadek gdyby stanowiły materiał dowodowy. A w tej sprawie Dole nie mógł tego wykluczyć. Obejrzy rzeczy w biurze, a potem wyśle do zakładu kryminalistyki w Bay City.

Pielęgniarka weszła do pokoju za dyżurką i po minucie wróciła z żółtą plastikową torbą zamkniętą na opaskę zaciskową.

– Proszę. I niech się pan nie obawia. Jeśli stan pacjentki się zmieni, dowie się pan o tym pierwszy.

Bloch wzięła od niej torbę i podziękowała.

– Chodźmy – rzucił Dole.

W jednym z pokoiów przesłuchań w głębi Biura Szeryfa Port Lonely Melissa Bloch rozpostarła na stole foliową płachtę i włożyła lateksowe rękawiczki. Dole obserwował uważnie, jak kładzie na stole torbę przywiezioną ze szpitala, wyjmuje notes i zaczyna zapisywać. Dokumentacja zebranych dowodów, pomyślał. Wyjął aparat ze skórzanego pokrowca i na wszelki wypadek zrobił kilka zdjęć.

Prawdopodobnie nie znajdą tu nic ciekawego, ale musi postępować ostrożnie. Wszyscy gliniarze znają opowieści o przestępcach, którzy wyszli na wolność, ponieważ adwokat biorący pięćset dolców za godzinę rozprawił się z dowodami zebranymi przez policję. Dole odłożył aparat, naciągnął rękawiczki i poprosił Bloch, żeby zrobiła zdjęcie zamknięcia torby oraz jego, jak ją otwiera.

Jego zastępczyni odłożyła notatnik z długopisem i pstryknęła obydwie fotki.

Dole przytrzymał otwartą torbę i kazał jej wyjąć pierwszą rzecz. Coś, co dawniej było białą koszulką, zamieniło się w zaschnięty krwawopomarańczowy łach. Krew nabrała na bawełnie ciemnej, głębokiej barwy. Szeryf widział już ten kolor. Wiele razy. Bloch chwyciła koszulkę czubkami palców i powoli, z szacunkiem położyła ją na plastiku, po czym zaczęła pociągać za brzegi, dopóki nie nabrała odpowiedniego kształtu. Gdy pstryknął aparat, Bloch pochyliła się, żeby zrobić zbliżenia najciemniejszej plamy na prawym ramieniu, potem odwróciła koszulkę na drugą stronę i sfotografowała plecy. Usatysfakcjonowany Dole włożył ją do oddzielnej torby na dowody, zamknął i przykleił numer dowodu. Jego zastępczyni robiła tymczasem notatki.

Powtórzyli tę samą czynność ze wszystkimi częściami garderoby: biustonoszem, skarpetkami, majtkami. Dole zwracał uwagę, z jakim szacunkiem i powagą Bloch dotyka każdej sztuki. Ostatnie w worku były niebieskie dżinsy. Przeszły tę samą procedurę: najpierw zdjęcie podczas wyjmowania z torby, potem rozłożonych na stole: z przodu, zbliżenie plam, a następnie z tyłu. Tym razem jednak po odwróceniu ubrania na drugą stronę Bloch kazała szeryfowi zaczekać, ponieważ coś zauważyła.

Dole pochylił się, mrużąc oczy. Tylne kieszenie spodni były mocno zakrwawione, prawdopodobnie zaplamiały się już po tym, jak napastnik zawiązał Marię w plastik i zostawił. Niewiele miejsc na ciele człowieka krwawi tak mocno jak głowa. Krew ciekła jej po plecach. Dole'owi zadrżały wargi.

– Coś jest w kieszeni – poinformowała go Bloch.

Bez dalszych zbędnych instrukcji szeryf delikatnie uchylił brzeg lewej tylnej kieszeni spodni, podczas gdy jego zastępczyni pstrykała zdjęcia. Palce Dole'a trafiły na coś, co znajdowało się w środku. Ostrożnie pomógł sobie drugą ręką, żeby mocniej rozchylić kieszeń. W kompletnej ciszy, przerywanej tylko sporadycznymi pstryknięciami aparatu cyfrowego oraz ich napiętymi oddechami, rozległ się cichy trzask pękającej zakrzepłej krwi.

Zachowując najwyższą ostrożność, szeryf wyciągnął ze środka złożoną na dwoje kartkę. Jeden róg wystawał z kieszeni i zabarwił się na ciemnoczerwony kolor. Położył ją na folii i cofnął się, żeby zrobić zdjęcie orientacyjne, po czym, zanim jeszcze zgasł blask lampy błyskowej, wrócił do znalezionej karteczki.

Zaschnięta krew skleića rogi papieru, więc Dole zaczął bardzo powoli, milimetr po milimetrze, rozdzielać złożone połówki, uważnie nasłuchując odgłosów pękającego skrzepu.

W końcu otworzył kartkę i rozpostarł ją na stole. Bloch zrobiła zdjęcie i w końcu oboje pochylili się, aby obejrzeć swoje znalezisko.

I zobaczyli wyciąg bankowy z konta należącego do Paula Coopera.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Plan.

Przez godzinę Paul leżał na łóżku w wilgotnej piwnicy i obracał w myślach najdrobniejsze szczegóły. Często to robił. W jego powieściach postępowanie bohaterów musiało wyglądać wiarygodnie, innymi słowy, musiał odpowiedzieć sobie na pytanie: czy mogło się to wydarzyć chociaż raz w rzeczywistym świecie i nosić wszelkie znamiona prawdopodobieństwa?

Jeśli odpowiedź brzmiała twierdząco, spoglądał na sytuację ponownie pod innym kątem. Jakie mogłyby nastąpić nieprzewidziane zdarzenia? Jakie są szanse, że wszystko trafi na właściwe miejsce w odpowiednim czasie, a ludzie będą się zachowywać tak, jak tego od nich w danej sytuacji oczekujesz? W każdym scenariuszu trzeba przewidzieć współczynnik ludzkiego błędu. Nikt nie jest doskonały. W świecie nieustannie coś wymyka się spod kontroli.

Paul rozgrywał tę grę w głowie. Przebiegał w myślach wszystkie za i przeciw. Próbował przewidzieć wszelkie potknięcia, opcje, prawdopodobnie pożądane i niepożądane efekty.

Rany, to się naprawdę może udać!

Wstał i poszedł na górę, na parter starego drewnianego domu. Daryl rozmawiał przez telefon. Machnął mu ręką, żeby był cicho, więc Paul czekał.

– Wpadnę później – powiedział Daryl do telefonu. – O dziesiątej. Rozumiem. Przyniosę gotówkę. Tylko niech wszystko będzie gotowe.

Rozłączył się i uniósł kciuk.

– Znalazłeś kogoś? – spytał Paul.

– Tak. Mój kolega zna w mieście wielu niewłaściwych ludzi. Odsiedział kiedyś pięć lat w stanowym więzieniu i wyrobił tam sobie znajomości. Siedziałeś kiedyś za kratkami?

– Chwała Bogu, nie. I mam nadzieję, że nigdy nie będę musiał.

– Ja też nie, ale opłaca się mieć kontakty wśród ludzi, którzy kiedyś siedzieli. Mój kumpel mówi, że ten facet umie co trzeba i może dać nam namiary. Spotkam się z nim dzisiaj wieczorem. Ty lepiej zostań tutaj.

Paul wiedział, że Daryl ma rację. Od kilku dni we wszystkich wiadomościach pokazują jego zdjęcie. Ludzie szeryfa Port Lonely musieli zadać sobie wiele trudu, żeby znaleźć w domu jego fotografię. Zawsze starannie unikał zdjęć, pilnował, żeby żadne nie przedostało się do internetu. Lecz szeryf udostępnił jego wizerunek mediom. Wystarczy, że jeden człowiek zauważy go choćby w samochodzie, i wszystko przepadnie.

– Dobrze, zostanę tu. Wiesz co? Wydaje mi się, że to się może udać – powiedział Paul.

– Ja nie mam wątpliwości, że się uda – odparł Daryl z uśmiechem.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Nieczęsto się zdarzało, żeby szeryf Dole stracił zimną krew. Kilka rzeczy wyprowadzało go z równowagi, najbardziej słuchanie muzyki w telefonie w czasie oczekiwania na połączenie.

Położył nogi na stole i przewijając myszą, odsłaniał kolejne partie tekstu na ekranie. Wszystkie wpłaty na wyciągu z konta Paula Coopera pochodziły od LeBeau Enterprises. Informacje na temat firmy były na tyle obszerne, że mogła się zajmować wszystkim, od wędkarstwa po szczelinowanie hydrauliczne platform wiertniczych.

Hasło *J.T. LeBeau* w Wikipedii zawierało bardzo interesujące informacje. Dole wiedział, że będzie musiał to przeczytać jeszcze raz. Dźwięki elektronicznej wersji jakiejś szkockiej ballady ryczącej mu do ucha nie pomagały w skupieniu.

Spojrzał na zegarek.

– Wiszę na tym cholernym telefonie już osiemnaście minut i udało mi się raptem porozmawiać z jednym facetem z działu obsługi klienta. Chyba nikogo w tym banku nie ma albo wszyscy ogłuchli, bo nikt tam nie odbiera telefonów.

Melissa Bloch nie podniosła głowy znad swojego iPada. Śmigła palcem po ekranie i czytała dalej. Oboje już zauważyli, że wpłaty na konto Coopera pochodziły od LeBeau Enterprises.

– Myślisz, że to ma jakiś związek z tym autorem kryminałów? – spytał Dole.

Jego zastępczyni wzruszyła ramionami. Powróciła już do swojej dawnej milkliwej natury.

– Ty chyba lubisz książki, prawda? Czytałaś tego LeBeau?

– Większość. Jest dobry. Zwłaszcza w zwrotach akcji, ale wolę Lee Childa i Michaela Connelly'ego – odparła.

Dole próbował się uspokoić, wydmuchując przez usta gorące powietrze. Kojące elektroniczne dźwięki celtyckiej ballady sprawiały, że miał ochotę wybić dziurę w ścianie.

Na biurku piętrzyła się sterta raportów sporządzonych przez ostatnie dwa dni przez jego podwładnych. Nie mógł tego dłużej odkładać. Ważniejsze sprawy przekazywano mu wprost, ale chciał przejrzeć dokładnie wszystkie raporty, aby się upewnić, że nikt, łącznie z nim samym, nie przeoczył jakiegoś istotnego szczegółu.

Kiedy skończy tę rozmowę, kategorycznie zabiera się do czytania. Nie ma innego wyjścia.

Muzyka w głośniku ucichła. Szeryf opuścił nogi z biurka i wyprostował się, jakby osoba na drugim końcu linii weszła właśnie do jego gabinetu.

– Słucham, w czym mogę pomóc? – usłyszał.

– Dzień dobry, dziękuję, że wybawił mnie pan od tej muzyki. Długo czekałem, żeby z panem porozmawiać, a szczerze mówiąc, czas jest dla mnie na wagę złota. Nazywam się Abraham Dole, jestem szeryfem Port Lonely w Stanach Zjednoczonych. Prowadzę śledztwo w sprawie poważnego przestępstwa, które ma związek z kontem w waszym banku. Potrzebuję państwa pomocy.

– Naturalnie, zrobimy, co w naszej mocy, aby panu pomóc. Nazywam się Alleyne, jestem kierownikiem działu obsługi rachunków. Czego pan sobie życzy?

Dole znalazł fotokopię wyciągu bankowego i przeczytał numer rachunku, numer rozliczeniowy oraz dane personalne.

– Na tym koncie znajduje się duża suma pieniędzy – dodał. – Muszę wiedzieć, skąd się wzięły. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że ktoś może chcieć te pieniądze pobrać. Mamy podstawy sądzić, że właściciel tego konta nie żyje. Jeśli chociaż jeden cent zostanie z niego pobrany, musimy się o tym natychmiast dowiedzieć. Żadna suma nie może wypłynąć z tego rachunku bez mojej wiedzy i zgody.

– W takiej sytuacji musimy otrzymać nakaz sądowy, ważny w tutejszej jurysdykcji – oznajmił pan Alleyne.

– Wyślemy wam dokument mailem, proszę mi tylko podać adres – powiedział Dole.

– Niestety, nie polegamy w naszym banku na poczcie elektronicznej. Z powodów bezpieczeństwa w naszej placówce nie ma systemu Wi-Fi. W pilnych sprawach posługujemy się faksem.

Dole natychmiast zapragnął pracować na Kajmanach – bez maili, bez Wi-Fi, tylko staromodny sprzęt techniczny, z którym znacznie lepiej sobie radził.

– Dobrze, wyślemy informację faksem. Nakaz został wydany przez amerykański sąd, lecz w konsulacie poinformowano mnie, że pański kraj je

respektuje.

– To oczywiste. Bezpieczeństwo jest naszym najwyższym priorytetem – zapewnił go Alleyne i rozłączył się.

Dole zadzwonił do Sue, żeby wysłała list uwierzytelniający do Cayman International. Podyktował jej przez telefon list oraz treść nakazu i poprosił, aby umówiła go na spotkanie z sędzią Caplanem w celu podpisania dokumentu.

– Przeczytałeś mój raport? – spytała Sue.

Potarł palcami czoło.

– Nie, jeszcze nie. Jest tam coś ważnego, co chcesz mi powiedzieć?

– Cholera! Nie po to zawracam sobie głowę pisaniem wszystkiego na maszynie, żebyś mnie potem pytał o to przez telefon. Siedzę w dyżurce, jeśli chcesz ze mną pogadać. Pamiętasz, gdzie to jest, Abraham? – powiedziała i odłożyła słuchawkę.

– Szlag – zaklął pod nosem Dole.

– Kawy? – spytała Bloch.

Szeryf prawie się przestraszył, słysząc jej głos. Jego zastępczyni siedziała przez cały czas tak cicho, że prawie zapomniał o jej istnieniu.

– Jasne. Ale sam sobie przyniosę. Powinnaś zawieźć ubranie Marii do laboratorium w Bay City. Już i tak za długo je trzymamy.

Kiedy wstał, kolana przypomniały mu, że przekroczył pięćdziesiąt pięć lat i nie jest w najlepszej kondycji do prowadzenia poważnego śledztwa.

Ekspres do kawy w nowocześnie urządzonej wnęce kuchennej wypłuł espresso do szklanego dzbanka. Dole wręczył go Bloch, która naląła sobie kawy i wyszła, on zaś zrobił następne podwójne espresso, przelał je do porcelanowego kubka z logo Biura Szeryfa w Port Lonely, po czym wrócił z nim do swojego gabinetu. Usadowiwszy się za biurkiem, zaczął czytać stertę raportów, podczas gdy Sue pracowała nad nakazem sądowym.

Dwie godziny później sterta znacznie zmalała i szeryf przeskoczył kilka raportów, żeby znaleźć notatki Sue – dziesięciostronicowy elaborat, napisany na maszynie i wpięty w skoroszyt z czerwonymi tekturowymi okładkami. Tymczasem do biura wróciła Bloch z pakunkiem w styropianowym opakowaniu i skierowała się prosto do ekspresu z kawą. Dole otworzył raport Sue i zaczął czytać. Kiedy doszedł do końca piątej strony, coś oderwało jego uwagę. Zdjął okulary zawieszony na tanim złotym łańcuszku i opuścił je na pierś.

Wstał. Obszedł biurko i otworzył drzwi gabinetu.

Zobaczył, że Bloch rozłożyła na swoim biurku laptopa. Musiał to być komputer Paula Coopera. Widocznie informatycy w Lomax City złamali

zabezpieczenia i Bloch mogła go uruchomić. Miała też drugiego laptopa, podłączonego do sprzętu Coopera. Stała przed swoim biurkiem z rękami na biodrach i patrzyła na ekran. Wyglądało to tak, jakby poderwała się nagle na równe nogi i krzesło odjechało dobre trzy metry w tył.

– Chyba powinieneś to zobaczyć – powiedziała.

– Co to jest?

– Ciąg dalszy *J.T. LeBeau*.

Kiedy podsunął sobie krzesło do biurka, wyjaśniła, że znalazła kilka tysięcy obrazów. Dole w pierwszej chwili nie zrozumiał, więc wytłumaczyła mu, że kiedy na ekranie pojawia się obraz, zostaje skopiowany i zachowany na twardym dysku. Jak duch. Zostaje tam na zawsze, nawet jeśli użytkownik komputera nie skopiuje go świadomie.

Bloch posłużyła się programem Ministerstwa Sprawiedliwości, żeby wydobyć te obrazy. Następnie zmniejszyła je do miniaturki i zaczęła przeglądać szybko po pięćdziesiąt jednocześnie. Szybko stwierdziła, że większość to zwyczajne obrazy przeglądanych wiadomości i wyszukiwanych stron internetowych. Lecz jeden natychmiast zwrócił jej uwagę. Kiedy go powiększyła, zorientowała się, że ma przed sobą niesłychanie ważny trop. Był to zrzut ekranu, a właściwie dwa. Zrobione dziesięć lat temu. Zawierały rozmowę prowadzoną w jakimś messengerze, może Facebooka, a może jakimś innym. Znajdowały się w katalogu nazwanym *J.T. LeBeau*. Program komputerowy sklasyfikował je jako dowody.

DOWÓD DB4

Zrzut ekranu 11 listopada 2008

Wiem, jak się nazywasz.

Cokolwiek myślisz, że wiesz, to nieprawda. Nie pogrywaj ze mną.

Mam na imię Linzi.

Co z tego?

Byłam moderatorem w grupie Facebooka. Pomagałam ci.

Coś ci się pomyliło. Nie znam cię.

Pomagałam ci przy tej książce. Znam cię. Chcę 100 tysięcy za swoje usługi. W gotówce.

Nieprawda, w ogóle mi nie pomogłaś. Siedz cicho, to ci zapłacę.

Spotkajmy się przy South Ridge w Port Lonely. W piątek o północy.

To, co robisz, jest bardzo niebezpieczne.

Zapłać albo opowiem wszystkim, kim naprawdę jesteś.

DOWÓD WS3

Zrzut ekranu 8 stycznia 2009

Wiem, kim jesteś...

Przykro mi, bierzesz mnie za kogoś innego.

Czytałem twoją książkę, kiedy ją pisałeś, pamiętasz?

Nie.

Na grupie. Już sobie przypominasz? Wysyłałeś próbki swojej pracy do opinii.

Mylisz mnie z kimś innym.

Nieprawda. Wiem, kim naprawdę jesteś... panie LeBeau.

To pomyłka. Zamierzam zgłosić tę rozmowę.

Mam zachowane wiadomości Linzi. Zadzwońię do CNN, „New York Timesa”.

Kim jesteś i czego chcesz?

Wiesz, czego chcę. Powiedz mi, gdzie ona jest...

Dole'owi zadrgała warga. Oparł się na krzesło, czekając, aż Bloch odezwie się pierwsza. Splótł ręce i obserwował, jak dziewczyna przetwarza w myślach możliwe scenariusze. Może niewiele mówiła, lecz miała pełną ekspresji twarz. Lekko uniesione brwi i ledwo zauważalne skinienie głową świadczyły, że podjęła decyzję.

Wstała, poszła do ekspresu, nalała sobie kawy, po czym ruszyła w stronę wyjścia awaryjnego. Poszedł za nią. Znalazł ją na parkingu siedzącą na masce radiowozu i patrzącą w nocne niebo.

– Jeśli to śledztwo ma nas gdzieś doprowadzić, musisz ze mną rozmawiać – powiedział.

Skinęła głową, zdmuchnęła parę znad kubka i napiła się kawy.

– Gdybym cię nie znał, pomyślałbym, że boisz się coś powiedzieć, bo się obawiasz, że możesz nie mieć racji. Ale ty dobrze wiesz, że prawie zawsze masz rację. Nie ma nic złego w wysuwaniu hipotez.

Bloch podeszła do swojego prywatnego samochodu, otworzyła bagażnik, po czym wróciła z książką w twardej oprawie.

– Tej nie czytałam – oznajmiła, obracając ją w dłoni.

Na obwolucie widniała informacja:

WISZĄCE DRZEWO najnowsza powieść autora bestsellerów, J.T. LeBeau

– Czemu już drugi raz wypływa w tym śledztwie nazwisko LeBeau? W zbrodniach nie ma zbiegów okoliczności. Sama to powiedziałaś.

– Nie wiadomo, kim jest J.T. LeBeau. To pseudonim pisarza, który ukrywa swoją tożsamość i nikt nie wie, dlaczego to robi. To tajemnica sama w sobie.

– Myślisz, że ta Linzi rozwiązała jego zagadkę? – spytał szeryf.

– Pierwsza wiadomość jest od niej. Napisała do Paula Coopera, że wie, kim jest: J.T. LeBeau. Zażądała pieniędzy. Umówili się na spotkanie. Potem druga wiadomość, od nieznanego osoby. Wiemy tylko, że to ktoś, kto zna Linzi, prawdopodobnie z grupy literackiej, o której rozmawiali. Linzi znikła. A ten ktoś wie, że spotkała się z LeBeau. I szuka jej.

Dole skinął głową.

– A więc Linzi i ten nieznany człowiek należą do grupy literackiej, której członkiem był również Paul Cooper. Paul odnosi wielki sukces pod pseudonimem J.T. LeBeau, więc Linzi pisze do niego i przypomina, że pomogła mu przy książce. Może ją recenzowała, zanim Cooper wysłał ją do

wydawnictwa. Żąda pieniędzy w zamian za milczenie. Szantażuje go. Paskudna sprawa.

– Może dostała pieniądze i znikła? – zasugerowała Melissa. – Czytałam trochę o LeBeau. Jeśli dwie osoby domyśliły się, kim on jest, to dlaczego do tej pory nie poszły z tym do gazet? Zarobiłyby na tym fortunę. Na pewno więcej niż sto tysięcy dolarów.

Dole podniósł głowę. Pochmurne niebo zapowiadało kolejny sztorm. Nie było widać gwiazd, a księżyc tylko od czasu do czasu przeświecał przez pędzące po niebie chmury.

– Zaczniemy poszukiwania zaginionej osoby o imieniu Linzi. Zobaczymy, co nam wypłynie – powiedział. – Jedno jest jasne. Ten LeBeau ukrywa coś więcej niż książki. W tych wiadomościach coś mi śmierdzi. Jakaś ponura historia. Tylko nie mogę jej dokładnie zwietrzyć.

– Tak czy inaczej, to było prawie dziesięć lat temu – zauważyła Bloch.

Szeryf zamarł. Potem się odwrócił i wbiegł do budynku.

W jego głowie właśnie zderzyły się ze sobą dwie informacje: do spotkania Linzi i LeBeau doszło na South Ridge w Port Lonely. Dziesięć lat temu. Wpadł do gabinetu jak burza i rzucił się do akt sprawy niezidentyfikowanej kobiety. Otworzył teczkę i sprawdził daty na wewnętrznej stronie okładki. Tak naprawdę nie musiał tego robić, znał je na pamięć. Ale chciał to zobaczyć na własne oczy. Chciał się upewnić. Musiał się upewnić. Z teczką w ręce popędził do laptopa Bloch, przewinął stronę do góry i jeszcze raz przeczytał pierwszą wiadomość.

Bloch podeszła z tyłu i patrzyła, jak ponownie otwiera akta sprawy niezidentyfikowanej ofiary.

– Dziesięć lat temu to mniej więcej data sprawy tej kobiety. Spójrz na ós czasu. Z pierwszej wiadomości wynika, że Cooper miał się spotkać z Linzi na South Ridge w Port Lonely. Rozmawiali jedenastego listopada dwa tysiące ósmego roku. W niedzielę szesnastego listopada wyłowiliśmy zwłoki tej kobiety ze stawu pod South Ridge. Ciało pływało w wodzie kilka dni. Jezu, jeśli spotkał się z nią w piątek czternastego, to musi być ona. To Linzi. Sukinsyn zamordował ją, a potem zrzucił ze skały.

Dole nie widział już ekranu. Obraz rozmowy na messengerze rozmył się w biało-niebieskie smugi. Poczul na ramieniu dłoń Bloch i dopiero wtedy uprzytomnił sobie, że płacze.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Paul otworzył plastikowy woreczek i wsunął do środka dłoń. Pendrive był mokry. W dolnym rogu torebeczki widniało rozdarcie.

– Masz może ryż? – spytał.

– Chyba jest w szafce nad ekspresem – odparł Daryl.

– Dzięki. Przebiorę się i sprawdzę.

Słońce zaszło, lecz upał się utrzymywał i Paul zebrał się w końcu na odwagę, żeby zapytać o swoje ubranie i pendrive'a. Na szczęście Daryl sprawdził kieszenie jego dżinsów, zanim wrzucił je do pralki. To przynajmniej oszczędziło urządzeniu jeszcze bardziej niszczącej kąpieli, ale i tak przeszło dużo w morskiej wodzie. Paul nie miał pojęcia, czy będzie jeszcze działać. Zabrał swoje złożone dżinsy, T-shirt, bieliznę i skarpetki, poszedł do łazienki i zdjął workowate spodnie od dresu, które dostał od Daryla.

Przebrany wrócił do kuchni. Zajrzał do szafki, znalazł otwarte opakowanie ryżu, a z innej wyjął miseczkę. W tym domu nietrudno było o takie naczynie, bo głównym daniem jego lokatora był makaron instant. Paul pomyślał, że to tanie jedzenie dla rybaka, który nie lubi ryb i próbuje jakoś związać koniec z końcem.

Nasypał do miseczki suchego ryżu i zagrzebał pendrive w ziarenkach. Kilka miesięcy temu upuścił komórkę do toalety i znalazł w internecie na serwisie Reddit radę, jak wysuszyć zamoczony telefon. Najlepszą metodą jest ponoć surowy ryż. I rzeczywiście, następnego dnia komórka działała bez zastrzeżeń.

Nie miał pojęcia, czy ta metoda sprawdzi się również w przypadku pendrive'a; musi poczekać do jutra. Na razie miał większe zmartwienia, ale pisanie powieści było jego życiem, utrzymywało go przy zdrowych zmysłach, kiedy wszystko dookoła popadało w chaos.

Daryl otworzył swój komputer i Paul zajrzał mu przez ramię. Na ekranie zobaczył widok ulicy, której nie rozpoznał. W komputerze rozległ się cyfrowy dźwięk, przypominający o aktualizacji systemu i konieczności

zrestartowania lub wyłączenia urządzenia. Daryl zamknął komputer, włożył czarną dzinsową kurtkę, nasunął na głowę kaptur bluzy i rozejrzył się za kluczami.

– Na blacie – rzucił Paul, wskazując palcem.

– Dzięki. To nie potrwa długo. Cztery godziny, góra pięć. Zrelaksuj się. Tylko nie wychodź na dwór.

– Uwierz, że nie mam ochoty wyściubiać nosa z tego domu. Nie opłaca mi się narażać.

– Słusznie. Gdyby coś się stało, to w telefonie stacjonarnym jest zaprogramowany mój numer komórkowy. Jako pierwszy kontakt. W porządku?

– W porządku – odparł Paul.

Daryl wziął ze stolika w przedpokoju dużą brązową kopertę, wyszedł na ganek i zamknął za sobą drzwi. Minutę później Paul usłyszał warkot samochodu z dziurą w rurze wydechowej i po chwili dźwięk zaczął się oddalać w stronę ubitej drogi, między drzewa i dalej w kierunku cywilizacji. Na spotkanie z podejrzanym indywiduum, aby kupić Paulowi drogę wyjścia z tarapatów.

W telewizji Paul niczego nie znalazł. Ewangeliccy duchowni, reklamy środków uspokajających, składanych materacy ortopedycznych i trzysta innych kanałów z chłamek, których nikt nie chciał oglądać.

Wyłączył telewizor, westchnął i wstał. Za dużo myśli kotłowało mu się w głowie: Maria, pieniądze, policja i pewność, że ktoś, kto go szuka, odkrył miejsce jego ukrycia. Ktoś, kto chciał go zamordować. Miał uczucie, że pod jego czaszką latają szerszenie i kłują mu umysł przemykającymi obrazami. Głównie związanymi z Marią.

Zaprzagnął usiąść do komputera i zacząć pisać. Na kilka godzin uciec od rzeczywistości i zanurzyć się w inny świat, świat z innymi problemami. Choć to nigdy nie działało na niego jak katharsis. Może na innych pisarzy tak, lecz kiedy Paul zamykał laptopa lub odkładał pióro, życie uderzało w niego z powrotem jak fala przyływu. Zawsze wracało.

Nigdzie w domu Daryla nie zauważył notesu czy choćby kartki. Lubił zaczynać książkę staromodnie: pióro, papier, lampa i dzbanek z kawą.

Z tego wszystkiego była przynajmniej kawa. Napełnił ekspres zmielonymi ziarnami, zalał wodą i włączył. Podczas gdy napój się parzył, Paul rozejrzył się po domu. Jednopiętrowy budynek stał w niewielkiej odległości od zatoki. Ciężkie, betonowe mury wzniesione na fundamentach nie pozwalały, aby woda przesączała się przez ściany. Na górze znajdowały

się dwie przyzwoicie umeblowane sypialnie i łazienka, na dole salon i kuchnia. Żaden z mebli nie wyglądał na zrobiony w tym tysiącleciu.

W piwnicy Paul widział kilka biblioteczek, jedna stała również salonie. Ruszył teraz w jej stronę. Otworzył drzwi, przeszedł obok milczącego telewizora i włączył lampkę na biurku. Obok stał fotel, a za nim biblioteczka, wbudowana prawdopodobnie w ścianę, kiedy stawiano dom.

Fotel z biblioteczką, biurkiem i lampą wyglądał na kącik do czytania. Paul oparł dłonie na biodrach i przyjrzał się książkom. Sprawiały wrażenie ułożonych na chybił trafił, na pewno nie w porządku alfabetycznym; połówki miękkie okładki pomieszane z całkiem nowymi, twardymi oprawami. Półki wyglądały przez to nieporządnie; gdyby Paul miał zostać w tym domu na dłużej, widok wielkoformatowych albumów stojących na przemian z wydaniem kieszonkowymi doprowadziłby go szału. Musiałby to wszystko poukładać na nowo.

Zaczął przeglądać tytuły. Biografie, thrillery, romanse, powieści historyczne, trzy książki Jane Austen, kilka Dickensów, czarne kryminały stały obok całej kolekcji literatury faktu. Te ostatnie miały zdecydowanie określoną tematykę – kilka pozycji z dziedziny kryminalistyki, kilka o historii FBI, trochę kryminalnej literatury faktu o seryjnych zabójcach oraz wiele opracowań naukowych na ich temat, zarówno kryminalistycznych, jak i psychologicznych, ponadto książki o profilerach FBI i wiele innych.

Prowadząc przygotowania do swoich powieści, Paul przejrzał kilka pozycji o seryjnych mordercach, sprawdzał strony FBI i przeczytał sporo artykułów w internecie. Nigdy dotąd nie trafił jednak na te opracowania. Sięgnął po książkę w dużym formacie i twardej oprawie, stojącą na środkowej półce, zatytułowaną *Zabójca z sąsiedztwa, socjopaci we współczesnym świecie*, lecz nagle znieruchomiał i ręka zawisała mu w powietrzu. Zdał sobie sprawę, że nie da rady skupić się teraz na czytaniu. Tak naprawdę potrzebuje pisania.

To bez sensu. Nie ma długopisu ani papieru. Za to ma coś innego. Laptopa.

Wrócił do kuchni, nalał sobie kawy i otworzył komputer. Zrobił to pierwszy raz pod nieobecność Daryla. Urządzenie włączyło się od razu zalogowane do konta administratora. Widocznie Daryl nacisnął niewłaściwy przycisk przed aktualizacją. Zamiast się wyłączyć lub zrestartować, system pozostał uruchomiony. Wyświetliła się opcja, aby przełączyć użytkownika, i Paul to zrobił. Nie miał zamiaru naruszać prywatności swego gospodarza, i tak już to zrobił, mieszkając w jego domu.

Kliknął na ikonkę Windowsa, lecz nie znalazł skrótów do dokumentów Worda. Ponownie przełączył użytkownika i tym razem zobaczył wejście do edytora tekstów. Kliknął i po krótkiej chwili wczytywania program się otworzył. Paul najechał myszą na menu, aby otworzyć nowy dokument.

I zamarł.

W systemie znajdował się tylko jeden plik, otwarty poprzedniego dnia. Paul wytarł dłonie o spodnie. Zastanawiał się, czy kliknąć na dokument, czy nie.

Doszedł do wniosku, że nic złego się nie stanie. Tytuł wyglądał intrygująco. *Wkręceni*.

Otworzył dokument i zaczął czytać.

Nagle poderwał się, aż przewrócił za sobą krzesło.

Zaczął się trząść. Niekontrolowanie. Poczul na nodze ciepły strumień moczu. Nie mógł się poruszyć. Miał uczucie, jakby w jego żyłach płynął ciekły azot.

Złapany w pułapkę czystej grozy.

Drań go dopadł.

Od autora

To będzie moja ostatnia książka. Więcej już nie napiszę. Myślę, że powód stanie się jasny, kiedy doczytacie tę historię do końca. To ciekawe słowo, „historia”. Czy jest prawdziwa? Czy to wspomnienia, czy fikcja? Nie wiem. Może znaleźliście tę książkę w księgarni na półce z literaturą faktu, a może w dziale „sensacja”. Nieważne. Zapomnijcie o tym. Musicie wiedzieć tylko dwie rzeczy:

1. Na moje szczególne żądanie wydawnictwo nie dokonało w tej książce żadnych zmian redakcyjnych. Nie dodano żadnych notek od wydawcy, nie wprowadzono zmian kompozycyjnych ani w żaden inny sposób nie ingerowano w tekst. Jesteśmy sami, wy i ja.

2. Od tej pory nie wiercie w ani jedno słowo, które przeczytacie.

J.T. LeBeau
Kalifornia, 2018

Przez dziesięć lat Paul musiał uciekać i ukrywać się przed jednym człowiekiem. Człowiekiem, który bez cienia wątpliwości zabił Linzi.

Człowiekiem, który próbował zabić również jego. Człowiekiem, który patrzył, jak płonie żywcem Bob Crenshaw.

I teraz znalazł się w jego domu.

To Daryl napadł na Marię, Paul nie miał co do tego cienia wątpliwości.

Nie był tym, za kogo się podawał.

I wiedział, że Paul go okłamuje.

Lecz teraz Paul znał prawdziwe imię Daryla. I nazwisko, pod którym znał go świat.

J.T. LeBeau.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Szosa ciągnęła się za Darylem jak neonowa rzeka. Przed nim roił się ruch uliczny Bay City.

Przy pierwszej nadarzającej się okazji zjechał z drogi międzystanowej i ruszył dalej przez dzielnicę portową. Kolorowe, jaskrawe wieże spiętrzonych kontenerów na tle nocnego nieba stwarzały fałszywe wrażenie, że miasto tętni życiem. W rzeczywistości było przeciwnie – panowało bezrobocie, kwitła przestępczość, firmy upadały jedne po drugich w skali dotąd niespotykanej i wyglądało na to, że nikt nie może na to nic poradzić. Daryl wjechał w rejon przemysłowy miasta. Poza kilkoma drobnymi przedsiębiorstwami w okolicy straszyły tylko widma porzuconych wielkich fabryk, niczym przestroga dla przypadkowych przyjezdnych, że nie ma tu żadnego życia. Poza tym rejonem były tylko przedmieścia i centrum.

Daryl pojechał okrężną drogą, omijając kamery na skrzyżowaniach i gęściej zaludnione miejsca, aż w końcu zostawił za sobą główne ulice i dotarł do najstarszej części miasta. Budynki były tu brzydsze, większość sklepów stała zabita deskami i poza handlarzami narkotyków gromadzącymi się na skrzyżowaniach przy płonących beczkach po ropie, ulice były puste. I bardzo mu to odpowiadało.

Bez trudu znalazł starą fabrykę papierosów. Po drugiej stronie ulicy stał jeden budynek – od dawna zamknięty sklep alkoholowy z mieszkaniem na pierwszym piętrze. W oknie paliło się światło. Wskazówki, które dostał, sprawdziły się bez zarzutu.

Pomyślał o Paulu czekającym w Port Lonely.

Głupiec.

Aż się uśmiechnął, przypomniawszy sobie, jak Paul skłamał, że ma dwadzieścia milionów dolarów na koncie, ponieważ jest J.T. LeBeau.

Tym gorzej dla niego.

Zanim Daryl przyjął pseudonim J.T. LeBeau, przeczytał książkę Paula w grupie literackiej. Inaczej się wtedy nazywał, lecz tamto nazwisko

zostawił dawno za sobą. Książka Paula była dobra, ale nie świetna, w najlepszym razie drugorzędny kryminał. Brakowało jej... autentyczności, którą Daryl wprowadził do swojej pracy dzięki badaniom.

Dwadzieścia milionów dolarów pełniło różne funkcje – szantażu, dowodu obciążającego Paula, a także ścieżki z okruszków, która po dziesięciu latach doprowadziła Daryla do celu. Paul znał jego prawdziwą tożsamość, a ponieważ Daryl nie mógł go znaleźć, postanowił mu płacić. Przez dziesięć lat szukał Paula, podążając szlakiem pieniędzy, szlakiem jego książek. To były długie zmagania. Lecz w końcu się opłaciły. Teraz odzyska swoje pieniądze. I robi z tego nową książkę.

Wiedział doskonale, że Paul nie może pójść na policję i zdradzić im prawdziwej tożsamości J.T. LeBeau ani powiedzieć, że słynny pisarz jest zabójcą. Nie ma żadnego dowodu. Daryl musiał dopilnować, żeby nie narobił mu kłopotów, trzymać go na długiej smyczy. To była niezła fabuła i Daryl właśnie dojrzewał do spisania jej.

A potem Paul odcierpi za to, co zrobił.

Maria posłużyła Darylowi za narzędzie. Była pionkiem. Pretekstem, by wysłać Paula w pościg za jej zabójcą. Kłopot w tym, że przeżyła.

Prawie to podziwiał. Była twarda. I bystra. Trzeba ją było ostrożnie popchnąć w odpowiednim kierunku. Udało mu się zdobyć wyciąg z konta Paula, przechwytując pocztę przychodzącą do jego sekretnego gabinetu w mieście. Zrobił kopię i włożył z powrotem do koperty, którą na nowo zakleił, a następnie doręczył. Wiedział, że w gabinecie Paul przechowuje jakiś sekret, inaczej by go nie zamykał na klucz. Pod jego nieobecność kilka razy został u Marii na noc. Kiedy zasnęła, zszedł na dół i dostał się do gabinetu. Szuflada w biurku była zamknięta, lecz nigdzie nie znalazł klucza. Paul musiał go mieć przy sobie. To podsunęło Darylowi pomysł, jak napuścić Marię na Paula. W piątek zabrał ze sobą wyciąg bankowy. Nie zauważyła, jak wsunął go między papiery Paula, kiedy wyłamał szufladę. Ta manipulacja miała posłużyć dwóm celom – sprowokować Paula do ucieczki i skierować na niego podejrzenia policji. Zmusić go do podjęcia pieniędzy. I wtedy to wykorzystać.

To, co wyłoni się w śledztwie, posłuży mu za pożywkę. Na koniec wszystko trafi do nowej książki... no, w każdym razie część. Podobał mu się tytuł. *Wkręcenie*.

Na razie jednak skupił się na najbliższym zadaniu. Musi wyciągnąć pieniądze z konta Paula Coopera, więc potrzebuje go jeszcze żywego. Potrzebuje też kilku dokumentów.

Zostawił samochód na pustym parkingu dawnej fabryki papierosów i ruszył w kierunku bocznego wejścia do budynku z łuszczącym się napisem *Napoje alkoholowe u Cala*, namalowanym białą farbą na ceglach.

Z tej strony budynku nie było żadnych latarni, musiał więc odczekać, aż wzrok przyzwyczai mu się do ciemności, zanim zapukał do zimnych stalowych drzwi.

W oddali usłyszał silnik samochodu. Co najmniej dwie przecznice dalej. Jeszcze go nie minął. Taka cisza jak ta działała na nerwy. Zwykle musiał się wtapiać w tłum na ulicy, nie rzucać się w oczy i trzymać buzię na kłódkę. Z jakiegoś powodu w tłumie czuł się bezpieczniej. Co innego ciche małe miasteczko, tam cisza mu nie przeszkadzała, ponieważ była naturalna.

Miasta nie są ciche. A przynajmniej nie powinny takie być.

Czekał. Kolejne dziesięć sekund. Nie słysząc kroków na schodach. Zapukał jeszcze raz. Czekał. Spojrzał w wizjer.

Szczęk metalu, ktoś szarpnął za drzwi i otworzył je na oścież.

W pierwszej chwili Daryl pomyślał, że mu się jedynie zdawało, że tak naprawdę nikt ich nie otworzył. A może w środku były drugie, ponieważ tylko z górnych kącików futryny przebijało światło, reszta tonęła w ciemności. Zasłonił oczy, zamrugał i spojrzał jeszcze raz.

Tym razem to, co przed sobą zobaczył, nabrało sensu.

W progu stał największy mężczyzna, jakiego w życiu widział. Jego sylwetka z obu stron sięgała poza otwór drzwiowy. Żeby wyjść na korytarz, musiałby się przeciskać bokiem. Daryl podniósł wzrok i dokonał poprawki: nie tylko przeciskać się bokiem, ale również schylić głowę, która nikła nad futryną. Daryl widział jedynie wielką, silną szczękę.

Góra ugięła kolana, spojrzała na niego i rzuciła:

– Ty Daryl?

Dopiero wtedy zauważył, że mężczyzna trzyma coś w ręce. W pięści, która mogłaby zamknąć w sobie całą ludzką głowę, tkwił obrzyn wyglądający w dłoniach tego faceta jak dziecięca zabawka.

– T... t... tak. Ja jestem Daryl – odparł, starannie się zacinając i modulując odpowiednio głos. Nie chciał, żeby facet dostrzegł w nim zagrożenie.

– No to ruszaj dupę, kurwa, bo jesteś już spóźniony – warknął olbrzym.

Odsunął się na bok i Darylowi udało się przecisnąć obok niego do środka. W oczach goryla zobaczył błogą przyjemność. Facet lubił, kiedy ludzie się go bali. Na razie Daryl tańczył, jak mu zagrano. Będzie udawał, że się boi. Dzięki temu takie typy jak ten czują się spokojne.

Za plecami olbrzyma ciągnął się korytarz, który biegł w stronę schodów, oświetlonych jedną gołą żarówką. Kiedy ruszył na górę, usłyszał za sobą trzaśnięcie drzwi, a po chwili wracającego za nim goryla, którego każdy krok wstrząsał budynkiem i rozchodził się drganiem po całym ciełe Daryla, poczynawszy od stóp dotykających stopni.

Na szczycie schodów po prawej stronie zobaczył otwarte drzwi zasłonięte kotarą. Odsunął zasłonę i wszedł prosto w chmurę dymu. Na wprost wejścia na kanapie siedział mężczyzna z długimi brudnymi włosami, w brudnym jedwabnym szlafroku z rozchylonymi połami, które odsłaniały plamę potu na piersi. Pod szlafrokiem miał na sobie płócienne szorty, a na białych stopach japonki. Smród alkoholu, trawy i potu był nie do zniesienia.

Daryl miał ochotę cofnąć się za kotarę, choćby po to, żeby nabrać powietrza, lecz na plecach poczuł dłoń wielkości samochodowego kołpaka, która wepchnęła go do środka. Rozejrzył się. Na trójnogu stał aparat fotograficzny skierowany na pusty stołek; wielki telewizor plazmowy był odwrócony ekranem do mężczyzny na kanapie. Daryl znowu poczuł smród potu, jeszcze silniejszy, ponieważ mężczyzna wstał z kanapy i ruszył w głąb pokoju, gdzie obok dużego okna wychodzącego na ulicę stały w rzędzie monitory i cztery komputery stacjonarne. Po podłodze wił się czarny gąszcz kabli, z których część biegła przez cały pokój do biurka zastawionego drukarkami i dwoma skanerami.

– Jestem Bunny, spóźniłeś się – odezwał się mężczyzna w jedwabnym szlafroku, stukając w ekran monitora.

– P... p... przepraszam – wyjąkał Daryl.

– Siadaj! – wrzasnął za jego plecami olbrzym.

Daryl podskoczył, podniósł ręce i szybko ruszył w stronę kanapy.

– Nie tam – powiedział Bunny. – Na stołku.

Daryl zawrócił w stronę stołka i usiadł twarzą do aparatu, podczas gdy Bunny i olbrzym zarechotali cicho. Wiedział, że niektórzy ludzie lubią straszyć innych i uważają to za zabawne.

– Zdejmij kurtkę – poinstruował go Bunny. – Posiedź przez chwilę, nie uśmiechaj się i patrz w aparat.

Daryl zrobił posłusznie, co mu kazano. Położył kurtkę pod nogami. Lampa błyskowa na aparacie kliknęła, błysnęła i jeszcze raz kliknęła.

– W porządku – rzucił Bunny i zaczął coś stukać w komputerze.

W tym czasie Daryl rozglądał się po pokoju, starając się nie zwracać uwagi na piorunujące, groźne spojrzenie olbrzyma. Za każdym razem,

kiedy jego wzrok prześlizgiwał się po tamtej części pokoju, widział, że goryl wpatruje się w niego niczym rekin w bezbronną fokę.

Pochylił głowę i wlepił wzrok w podłogę.

Po kilku minutach zawarczała jedna z drukarek, a po chwili kliknęła i wypluła mały plastikowy prostokąt.

Bunny wstał, podszedł do drukarki i zaczął łamać plastik wzdłuż perforacji. Oderwał różową kartę, po czym wziął nożyczki i wyrównał krawędzie. Włożył kartę do czarnego portfela i odwrócił się do Daryla.

– Zapłać mu. – Wskazał ręką olbrzyma, który na ten sygnał z opuszczonym obrzytnem podszedł do Daryla i wbił w niego wzrok.

Po krótkiej chwili wahania Daryl sięgnął do kieszeni, wyjął zwitek dolarów owinięty gumką i położył go na wyciągniętej dłoni. Olbrzym zdjął gumkę, przeliczył pieniądze, obejrzał banknoty, po czym z powrotem je zwinął i skinął szefowi głową.

Bunny otworzył szufladę, wyjął paszport Stanów Zjednoczonych i wręczył Darylowi razem z portfelem.

Daryl obejrzał robotę Bunny'ego i stwierdził, że nie ma się do czego przyczepić.

– Masz jaja, żeby tu przychodzić – stwierdził Bunny. – Lepiej tu nie wracaj. Nie obchodzi mnie, kogo znasz, że cię tu przysłał. Więcej tu nie przychodź. Jak cię jeszcze raz zobaczę, zabiję cię.

– Dobra – odparł Daryl.

Włożył portfel z paszportem do przedniej kieszeni dżinsów i podniósł ręce, żeby uspokoić obu mężczyzn. Olbrzym i Bunny uśmiechnęli się do siebie. Władza działa jak narkotyk. Daryl pochylił się, żeby wstać, sięgnął ręką nisko, jakby chciał podnieść swoją kurtkę, lecz zamiast tego jego prawa dłoń otarła się o kostkę. Po chwili wstał ze stołka i wyprostował się.

Popatrzył olbrzymowi w oczy i czekał zaledwie pół sekundy, tylko tyle, żeby tamten odwzajemnił jego spojrzenie. Kiedy na twarzy goryla błysnęło zrozumienie, prawa dłoń Daryla śmignęła w powietrzu.

Twarz ochroniarza nagle się zmieniła. Uśmiech zamarł mu na ustach, oczy rozszerzyły się z przerażenia, a przepastne usta otworzyły się bezgłośnie. Niedbałym ruchem lewej ręki Daryl wyjął mu z ręki obrzyn.

Bunny nie miał czasu zareagować na nagły ruch klienta. Nie miał pojęcia, co się dzieje, dopóki w rozprutym wielkim brzuchu ochroniarza nie pokazały się wnętrzności. Szare jelita wyłaniały się spod koszuli niczym obcy.

Widok był tak przerażający, obrzydliwy i makabryczny, że Bunny wrósł w ziemię i gapił się jak zahipnotyzowany na eksplodujący kałdun goryla.

Nawet nie zauważył strzelby wymierzonej w swoją głowę.

– Co ty wyprawiasz? – zapytał głupio, nie odrywając wzroku od wypływających trzewi.

– Robię research.

Bunny nadal nie podniósł na niego oczu. Nie widział kamiennego spojrzenia Daryla, kiedy ten naciskał spust.

Twarz Bunny'ego znikła.

Daryl przerzucił broń do drugiej ręki i strzelił do wrzeszczącego olbrzyma. Potem rzucił ją, otarł nóż z krwi i wsunął do pochwy przymocowanej na kostce. Miał krew na koszuli, dżinsach i butach. W sumie niezbyt dużo jak na dwa trupy. Włożył kurtkę, która przetrwała nietknięta krwawymi rozpryskami, po czym przestąpił nad drgającym ciałem Bunny'ego.

W tej okolicy dwa wystrzały ze strzelby były równie powszednim zjawiskiem jak śpiew ptaków. Nikt nie wezwie glin. A nawet gdyby wezwał, to i tak się nie zjawią, pomyślał Daryl.

Mimo że prawdopodobnie miał mnóstwo czasu, pracował szybko. Zerwał wszystkie obudowy z komputerów i wyjął twarde dyski. Kiedy skończył, poszedł do łazienki, znalazł trzy butelki wywoływacza fotograficznego oraz kilka innych łatwopalnych środków i nie spiesząc się, porozlewał je starannie w całym mieszkaniu. Następnie wziął zapalniczkę leżącą w kącie obok fajki wodnej, podpalił kartkę z drukarki, rzucił na środek i patrzył, jak pomieszczenie staje w płomieniach.

Tuż przed wyjściem zabrał jeszcze aparat fotograficzny i pięć tysięcy, które dał Bunny'emu.

Przebrał się na tylnym siedzeniu samochodu, a zakrwawione ubranie włożył do czarnego worka na śmieci. Kluczem do kół zniszczył twarde dyski. Resztki wrzucił do drugiego worka razem ze szczątkami aparatu. Kartę pamięci złamał na pół i ona również dołączyła do popsutych urządzeń.

Potem dwadzieścia przecznic dalej znalazł grupę bezdomnych, pijących wokół beczki po ropie. Dał każdemu po pięćdziesiąt dolarów i kazał znaleźć sobie inne miejsce. Kiedy mężczyźni poszli, wrzucił obie torby do płonącej beczki i odczekał kilka minut, aż się porządnie rozpalą. Przypomniał sobie wyraz twarzy olbrzyma, kiedy rozplątał mu brzuch. Niektórych ludzi taki widok podnieca; inni chełpią się własnym okrucieństwem, władzą odbierania życia. Większość psychologów tłumaczy takie skłonności popędem seksualnym, zwłaszcza połączonym z przemocą, pornografią lub molestowaniem w okresie dojrzewania.

Daryl nigdy nie doświadczył molestowania i nie mógłby sobie wymarzyć miłszych rodziców. Był posłusznym synem, dobrym piłkarzem i piątkowym uczniem, powszechnie lubianym w szkole. Umawiał się z dziewczętami, chodził na imprezy, zbierał wspomnienia i robił wszystko, co chłopak w jego wieku lubi robić. Poza piciem. Nigdy nie pociągał go alkohol. Od czasu do czasu wypijał kieliszek wina, może dwa, ale nigdy więcej. Myśl, że mógłby stracić nad sobą kontrolę, wydawała mu się odpychająca.

Poczuł na policzkach ogień. Starając się nie wdychać smrodu topiącego się plastiku, rozmyślał o ludziach, których tego dnia zabił. Szczerze mówiąc, nie czuł absolutnie niczego. Podobnie jak za pierwszym razem, wiele lat temu.

Miał piętnaście lat. Jak co tydzień poszedł do biblioteki miejskiej. Kiedy był bardzo młody, rodzice chodzili z nim tam raz w tygodniu i Daryl pokochał to miejsce. Wybierał sobie – za darmo – książki z działu dla dzieci, czytał je i tydzień później zanosił z powrotem. Zanim skończył dziewięć lat, przeczytał już wszystko z działu dziecięcego. Kiedy miał piętnaście, po raz pierwszy z zaciekawieniem wszedł do działu z literaturą popularnonaukową.

Nie interesowały go nauka czy wszechświat. Najbardziej lubił czytać o ludziach. Niekiedy czuł się jak Sherlock Holmes – wystarczyło przyjrzeć się ludziom odpowiednio uważnie, aby zbadać, określić i przewidzieć ich zachowania i zwyczaje. Zatrzymał się przed sekcją „Prawdziwe zbrodnie”. Zdjął pierwszą książkę. Na okładce było zdjęcie kobiety. Przeróżnej. Przywiązanej do krzesła. Sznury wpijały się jej w ciało na brzuchu, tuż pod piersiami.

W środku znalazł więcej fotografii. Kobiet. Mężczyzn. Martwych. Okaleczonych. Postrzelonych. Zadźganych. Pobitych. Oprócz fotografii były też opisy zbrodni. Analizy policjantów i psychologów (czyli lekarzy od głowy, jak nazywała ich mama). Nie lubił lekarzy od głowy. Mama upierała się, żeby poszedł. Powiedziała, że niekiedy ma kłopoty z dokonywaniem właściwych wyborów. Na jej polecenie był kilka razy u lekarza od głowy, aby opowiedzieć o tym, co zrobił. Tego lata zamknął w miniaturowej zagrodzie mrówki wychodzące z mrowiska na podwórzu i spalił je w małym ognisku. Potem podłożył ogień pod całe mrowisko.

Mama ostrzegała go, żeby tego nie robił. Mówiła, że nie powinien krzywdzić żadnych stworzeń. Ale nie dlatego się wściekła, że jej nie posłuchał, tylko dlatego, że niczego nie czuł. Kiedy tata znalazł psa sąsiadów pogrzebanego na podwórku, zapadła decyzja, że ma iść do

lekarza od głowy, który nazywał się Carson. Łatwo go było oszukać. Wystarczyło powiedzieć, że jest mu żal tych mrówek. I psa. Doktor Carson nazwał to skruchą. Daryl udawał, że czuje te wszystkie rzeczy. Rodzice wysyłali go systematycznie do lekarza od głowy, dopóki nie opuścił domu, a Daryl nie przestawał udawać i okłamywać doktora Carsona i nigdy nie wyjawiał mu prawdy, zwłaszcza o Isabelli.

Isabella przyszła do szkoły tydzień przed jego szesnastymi urodzinami. Nauczycielka przedstawiła ją całej klasie i powiedziała, że tata Isabelli jest wojskowym. Często go przenoszą z miejsca na miejsce, więc to jest jej trzecia szkoła w Stanach Zjednoczonych. Darylowi podobały się długie jasne włosy i uśmiech dziewczyny. Tamtej nocy napisał o niej historię. To było jego pierwsze dzieło. Trzymał je pod materacem, w ukryciu przed rodzicami. Inne dziewczęta były zazdrosne o nową. Tydzień po jej zjawieniu się w szkole Daryl spotkał ją przypadkiem samą na pustym parkingu niedaleko dawnego szpitala. Powiedział jej, że szuka kota. Wszędzie w okolicy wisiały plakaty rozwieszane przez sąsiadów, którzy szukali swoich kotów. Wyglądało to na epidemię. Jedna z właścicielek obiecała nagrodę za odnalezienie jej rudego zwierzaka – Bernarda. Daryl przekonał Isabellę, żeby poszła z nim do starego szpitala i pomogła mu szukać zaginionego zwierzęcia. Znalazła Bernarda – i wiele innych kotów w różnym stanie rozkładu – w spalarni w piwnicy starego szpitala. Była trochę starsza od Daryla. Wbrew temu, czego się spodziewał, nie zaczęła wrzeszczeć, tylko gapiła się z obrzydzeniem. Potem odwróciła się, spojrzała na niego. I ten wyraz odrazy pozostał na jej twarzy.

– Napisałem o tobie historię, Isabello – oznajmił.

– Chodźmy stąd, bo to miejsce przyprawia mnie o dreszcze – powiedziała.

– Nie chcesz wiedzieć, co się stało w mojej historii?

Odsunęła się od pieca, zdenerwowana, na granicy paniki.

– Jasne, że chcę – rzuciła. – Tylko wyjdźmy stąd.

– Ale ta historia rozgrywa się tutaj. Nie możesz stąd wyjść. Nigdy.

Wszyscy w okolicy szukali Isabelli całymi tygodniami. Większa część poszukiwań skupiła się wokół szosy i otaczających ją bagien, ponieważ Daryl powiedział, że tam ją ostatnio widział, jak rozmawiała z długowłosym mężczyzną w czerwonej ciężarówce zaparkowanej przy drodze.

Isabelli nigdy nie znaleziono, a w okolicy przestały znikać koty, przynajmniej na jakiś czas.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

O północy Biuro Szeryfa w końcu opustoszało. Dole powiedział dyspozytorce Sherry, żeby go zostawiono w spokoju i nie zwracano mu głowy. Zaraz potem zrobiło mu się jednak głupio, więc wrócił do biurka i powiedział, że jeśli budynek zostanie zaatakowany albo wybuchnie w nim pożar, to może jednak powinna przyjść i zawrócić mu głowę, lecz wszystko inne może poczekać albo jeszcze lepiej: niech się tym zajmie nocna zmiana, która właśnie wyjechała na patrol.

W ciągu ostatnich dwunastu godzin śledztwo przyniosło mnóstwo nowych informacji. A Dole nie zdołał ich jeszcze wszystkich przeanalizować. Trochę potrwa, zanim elementy tej skomplikowanej sprawy poukładają mu się w głowie. Na razie miał więcej pytań niż odpowiedzi.

Ziewnął, zamknął oczy i odchylił się na oparcie krzesła. Może się tu przespać, nie ma problemu. Nie pierwszy raz sprzątaczką obudzi go o szóstej odkurzaczem.

– Idź do domu – powiedział sobie.

Skinął głową, wstał i ruszył do wyjścia. Wsiadł do prywatnego samochodu – siedemnastoletniego pick-upa Toyoty, który miał trzysta tysięcy kilometrów na liczniku i najwyraźniej nie był jeszcze gotowy skapitulować.

Szkoda, że on bardziej nie przypomina tej toyoty.

Kiedy w końcu szeryf wjechał na podjazd swojego domu, kolano porządnie dawało mu się we znaki. Powoli i ostrożnie zdjął nogę z gazu i wysiadł. Mały domek w podmiejskiej dzielnicy Spring Hills sprawiał wrażenie ciemnego i porzuconego. Wymagał odmalowania i wymiany pieca, a gdyby sąsiedzi nie przystrzygli czasem trawnika, Dole musiałby wycinać sobie drogę maczetą, żeby dojść do drzwi.

Wsunął klucz do zamka i naparł ramieniem. Drewno napuchło w letnim upale. Na liście rzeczy do zrobienia nadal widniało zeszlifowanie skrzydła o półtora centymetra, tak jak rok i dwa lata temu.

Rzucił kluczyki na kuchenny stół, zapalił światła i zrobił sobie kanapkę z pastrami, ogórkiem konserwowym i majonezem. Popił piwem z butelki. Zbyt zmęczony, żeby oglądać telewizję czy poczytać książkę, poszedł od razu na górę, umył zęby, rozebrał się i położył do swojego zimnego łóżka.

Pół godziny później nadal był zmęczony i wciąż nie mógł zasnąć. Wyciągnął rękę i wymacał komórkę na stoliku nocnym. Odłączył kabel ładowania, odwrócił się na drugi bok i wyświetlił zdjęcie, które Melissa Bloch wydobyła z laptopa Paula Coopera. Dwa zrzuty ekranu z messenger'a. Dwie rozmowy sprzed dziesięciu lat.

Przeczytał je jeszcze raz, rzucił telefon na łóżko i zaczął przebiegać w myślach wszystkie tropy.

Wiadomości od Linzi mroziły mu krew w żyłach. To była jego niezidentyfikowana ofiara. Rozmawiała z Paulem Cooperem, umówiła się na spotkanie, na którym czekała ją śmierć, i jej zwłoki spadły ze skały do wody, skąd Dole wyłowił je dziesięć lat temu. Nadal niczego się o niej nie dowiedział. Razem z Bloch przez cały wieczór przeszukiwali bazę danych osób zaginionych. Każda baza danych wymagała innej metody wyszukiwania. W niektórych mogli szukać pod *Linzi*, w innych trzeba było przeglądać pod inicjałem *L*. Nic jednak nie pasowało do kobiety, którą znaleźli martwą. Ale nie zaprzestaną poszukiwań.

Bloch zapowiedziała, że jutro sprawdzi Facebooka. Linzi i LeBeau poznali się przez grupę facebookową, pewnie coś związanego z pisarstwem. Druga wiadomość przyszła do LeBeau od człowieka, który wiedział o zaginięciu Linzi i o tym, że Paul Cooper jest J.T. LeBeau. Dlaczego ten ktoś nie zgłosił jej zaginięcia? Czy nadal żyje?

I dlaczego Paul Cooper ma taką potrzebę ukrywania się pod pseudonimem?

Dole miał wrażenie, że zbliża się do jakiegoś odkrycia. Że potrzebuje tylko małego skoku do przodu i uda mu się to uchwycić.

Jego zastępczyni przeszukała dokładnie laptopa i poza tymi dwoma zrzutami ekranu nie znalazła żadnych innych śladów związanych z LeBeau – żadnych książek lub ich fragmentów, żadnych kont w mediach społecznościowych, żadnych dowodów wskazujących, że zamierzał zamordować żonę, nic kompromitującego i z pewnością nic, co zalaływałoby przestępstwem. Ale historia wyszukiwań internetowych okazała się nader interesującą lekturą.

Paul Cooper prowadził szeroko zakrojone badania na temat socjopatów i psychopatów. Regularnie sprawdzał listę osób najbardziej poszukiwanych

przez FBI i czytał mnóstwo materiałów z Wydziału Analiz Behawioralnych, który zajmował się tropieniem i ściganiem seryjnych zabójców.

W końcu Dole doszedł do wniosku, że Paul Cooper żyje. Maria odkryła na wyciągu bankowym, że mąż jest słynnym pisarzem, rzuciła mu to w twarz, a on ją zaatakował. Wszystko pasowało, łącznie ze skrzynką na listy. Paul doskonale znał metody tropienia przestępców przez FBI, a upozorowanie własnej śmierci było doskonałym sposobem na zniknięcie, zwłaszcza dla kogoś, kto próbował zabić żonę. FBI nie poszukuje trupów.

– Ale szeryf Port Lonely owszem – rzucił Dole w ciemność.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Daryl zamknął za sobą drzwi frontowe, poszedł do kuchni i zapalił światło. Wypił szklanekę wody, rozejrzał się. Z wyjątkiem zapalonego światła w kuchni cały dom tonął w ciszy i ciemności. Zaczął nasłuchiwać. Próbował uchwycić najlżejszy szmer potwierdzający, że jego gość jest w domu.

Nic.

Odstawił wodę, wyszedł do przedpokoju i zobaczył, że drzwi do piwnicy są lekko uchylone. Otworzył je bardzo powoli, po czym wziął do ręki latarkę, która leżała na półce tuż przy wejściu. Włączył ją, skierował snop światła na schody i zaczął się skradać na dół.

Zszedł o jeden stopień. Przystanął. Nasłuchiwał.

Następny stopień. Przystanek.

Cisza.

Stare deski zaskrzypiały pod jego ciężarem, ale odgłos nie rozszedł się po piwnicy. Daryl dotarł na sam dół i przykucnął.

Skierował światło na deski pokrywające betonową posadzkę. Omiótł latarką spód łóżka. Zawahał się. Jeśli Paul Cooper postanowił uciec, to wszystkie jego wysiłki pójdą na marne. W takim wypadku Daryl będzie musiał go ścigać i zabić. I nigdy nie odzyska swoich pieniędzy.

Powędrował światłem w górę i zobaczył Paula śpiącego na łóżku. Właśnie się poruszył i Daryl skierował światło w kąt pokoju. Zauważył wieszak na bieliznę z rozłożonymi dżinsami.

– Jeezu... co się...? – mruknął Paul.

– Przepraszam, nie chciałem cię obudzić.

– Rany, aleś mnie przestraszył. Masz wszystko, czego potrzebujemy?

– Jasne. Co się stało z twoimi spodniami?

– Ech, niezdara ze mnie – odparł Paul. – Rozlałem sobie cały kubek kawy na krocze. Dzięki Bogu, że była już prawie zimna, inaczej ugotowałbym sobie jaja.

Obaj wybuchnęli śmiechem, lecz Daryl wyczuł sztuczność w głosie Paula. Zaniepokoiło go to. Zgasił latarkę.

– Przepraszam, że cię obudziłem – rzucił. – Dobranoc.

– Dobranoc.

Daryl wrócił na górę, nie zapalając latarki i korzystając ze światła padającego z kuchni. Na górze odłożył latarkę na półkę, wszedł do przedpokoju i zamknął drzwi piwnicy. Niecierpliwił się; chciał jak najszybciej zajrzeć do laptopa, do historii, którą pisał od dziesięciu lat. Może ostatniej książki, jaką napisze. Wiedział, że wszystkie pieniądze, które zapłacił Paulowi, zaowocują świetną powieścią.

Najwyższa pora, żeby porządnie się do niej przyłożyć.

Wyjął klucz przyczepiony na łańcuszku do dzinsów i zamknął drzwi piwnicy. Rano musi wstać wcześniej, żeby je otworzyć. Paul nie może się niczego domyślić.

Wrócił do kuchni, sięgnął ręką nad szafkę i zdjął tabletki leżące w głębi. Wziął jedną pigułkę, popił wodą i odłożył resztę na miejsce. Leki przeciwlękowe pozwalały mu zachować równowagę. Spokój. Kontrolę. Zmniejszyły napięcie. Bez nich trudniej było powściągnąć impulsy i obniżyć adrenalinę po zabójstwie.

Spojrzał z roztargnieniem na podłogę. Rozejrzał się, szukając mokrej plamy po rozlanej przez Paula kawie. Obok zlewu stał jego brudny kubek, więc domyślił się, że musiało się to stać w kuchni. Rozejrzał się jeszcze raz.

Nigdzie żadnej plamy. Sprawdził korytarz, salon. Wszędzie sucho. Zjrzał do kosza w kuchni i zobaczył zużyte ręczniki papierowe.

Próbował wyrzucić tę sprawę z głowy. Zaparzył sobie kawę i włączył komputer. Kiedy system się uruchomił, Daryl wprowadził hasło. Otworzył Worda i wybrał dokument. Uśmiechnął się, przeczytawszy notę autora. Nie zamierzał czynić z niej wyznania, chciał zamącić wodę, aby czytelnik nie wiedział, co jest prawdą, a co fikcją. Tak właśnie lubił – trzymać czytelnika w sferze ciągłych domysłów. Nota autora wypadła znacznie lepiej, niż mu się wydawało poprzedniego dnia. Nic w niej nie zmienił. To będzie jego największe dzieło. Nigdy nie miał wątpliwości, że ze sprawy Paula Coopera, kiedy go w końcu wytropi, powstanie doskonały dreszczowiec. Wprowadzi genialny zwrot akcji. Zastanawiał się nad tytułem. Podobał mu się *Wkręcenie* – nawiązanie do jego pierwszej powieści, która nosiła tytuł *Wkręcony*. Wydawcom pewnie się to nie spodoba, ale nie zmienią tytułu. *Wkręcenie* ma idealny wydźwięk. Doszedł do wniosku, że ta najnowsza książka powinna mieć więcej niż jeden punkt zwrotny. Prawdopodobnie niczego więcej już nie napisze. Kiedy ta pozycja się ukáže, mnóstwo ludzi

zacznie go szukać. I dobrze. Nigdy go nie znajdą. W przeciwieństwie do Paula. Szukanie go zajęło Darylowi wiele lat, ale w końcu go dopadł.

Nie był tego pewien, ale wydawało mu się, że Paul dzisiaj wieczorem skłamał w jakiejś sprawie. Musi być ostrożniejszy. Nie powinien lekceważyć Paula Coopera. Ciągłe się upominał, że to skomplikowany człowiek, o wielu obliczach. Człowiek, który wymykał mu się przez bardzo długi czas. Pisarz z wyobraźnią i niebagatelną inteligencją. Obłudny mąż, który skutecznie ukrywał prawdę nawet przed własną żoną. A przede wszystkim bardzo przebiegły.

Daryl miał świadomość, że musi się skupić i nieustannie oglądać przez ramię. Nie wolno temu człowiekowi ufać. Poza wszystkimi swoimi atutami Paul jest zdesperowany.

A zdesperowani ludzie potrafią zabijać.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Paul leżał na łóżku z otwartymi oczami i nasłuchiwał kroków Daryla na górze. W końcu jego gospodarz musiał się położyć, bo dom pogrążył się ciszy. Serce Paula powoli się uspokajało. Zamknął oczy, a wtedy zaczęły go dopadać widma popełnionych grzechów.

Wszystko zaczęło się od grupy literackiej w Nowym Jorku. Spotykali się raz w miesiącu, recenzowali nawzajem swoje prace, pili piwo, jedli pizzę, po czym wracali do domu, czując się parszywie z powodu swoich nędznych wypocin. Tam właśnie poznał Linzi. Szybko się zaprzyjaźnili. Pochodziła z Iowa; przeprowadziła się do Nowego Jorku, ponieważ chciała żyć z pisania. Nie miała rodziców, za to dysponowała sporym kapitałem oszczędności, motywacji i talentu. Odkryła też u siebie wielki dar mentorski, więc właśnie jej zdanie liczyło się w grupie najbardziej. Dość szybko grupa zaczęła się rozpadać, ludzie przestali przyjeżdżać na spotkania. Mało komu udało się doprowadzić do wydania swojej książki, a po pierwszych porażkach kolejni rezygnowali. Paul nie zrezygnował, lecz bardziej z powodu Linzi niż pisarstwa. Mieli przelotny romans, ale Linzi szybko go przerwała, żeby nie zniszczyć ich przyjaźni. Nie była pewna swoich uczuć i postanowiła na jakiś czas wyjechać, aby wszystko przemyśleć. Przeprowadziła się do Bay City, ponieważ życie tam było tańsze, a jej oszczędności szybko topniały. Aby kontynuować spotkania grupy pisarskiej i nie tracić kontaktu z Paulem, zaproponowała założenie grupy internetowej na Facebooku. Pisarze mogli płacić za recenzję Linzi i Paula, którzy mieli już w dorobku po jednej wydanej powieści, dość dobre opinie krytyki oraz praktycznie zerową sprzedaż. Pół roku po przeprowadzce do Bay City spotkali się w Port Lonely. Paul po raz pierwszy przyjechał wtedy do tego miasta. Linzi była tu kilka razy i bardzo jej się podobało. Spędzili razem weekend, dużo rozmawiali, śmiali się i podnosili się nawzajem na duchu. Kiedy wrócił do Nowego Jorku, wiedział, że spędził czas z prawdziwie pokrewną duszą, lecz Linzi nadal nie miała pewności co do tego związku, więc na razie zgodzili się pozostać przyjaciółmi.

Facebookowa grupa literacka rosła i pół roku później skupiła ponad dwudziestu członków. Większość pisała gównianie.

Poza jednym gościem. Przysłał im do przeczytania pierwszą połowę książki i okazała się po prostu niewiarygodna. Paulowi do tej pory tkwiło żywo w pamięci wspomnienie tej lektury. Chyba z tysiąc razy czytał scenę, w której policja odkrywa ciało zamordowanej ofiary. Nigdy w życiu nie spotkał się z czymś takim. Zupełnie jakby człowiek oglądał wszystko na własne oczy. Obrazy, zapachy, drastyczne szczegóły tkwiły jak gdyby wypalone w jego pamięci. Paul i Linzi wysłali autorowi recenzję: kilka drobnych sugestii, poprawek, przebudowanych zdań, tu i ówdzie skrócony akapit. Nic wielkiego, mimo to ich uwagi z pewnością podniosły jakość tekstu.

Wkrótce potem autor tej próbki opuścił grupę. Rok później Paul opublikował swoją drugą książkę i mniej więcej w tym samym czasie dostał do rąk egzemplarz recenzyjny debiutanckiej powieści J.T. LeBeau. Przysłano go jego agentce, Josephine, a ta przekazała go dalej. Pierwszy rozdział był słowo w słowo tą samą sceną, którą rok wcześniej Paul i Linzi dostali od faceta na Facebooku. Stary policjant odkrywa zwłoki zaginionej dziewczyny między kośćmi martwych kotów w starym opuszczonym budynku, w piwnicy z piecem. Zadzwoił do Linzi, wysłał jej książkę, a ona potwierdziła, że jest to dokładnie ta sama powieść. Próbowali nawiązać kontakt z autorem, żeby mu pogratulować, lecz facet nie odpowiadał na ich wiadomości.

Wkrótce po tym Paul wyrzucił tę sprawę z głowy; wróciła, gdy książka ukazała się na rynku i zaczęła się sprzedawać. Nakład rósł i rósł i kiedy w końcu sięgnął stratosfery, w „New York Timesie” ukazał się pierwszy artykuł – nie tyle na temat niesłychanego sukcesu powieści, ile nieuchwytnego autora. Tajemnica zafascynowała cały kraj, a niedługo potem świat.

Wyglądało na to, że tylko Linzi i Paul znali prawdę. Rozmawiali o tym bez końca, zastanawiając się, co zrobić: czy pójść z tą informacją do mediów. Paul wytropił faceta przez licencję Worda w dokumencie, który J.T. LeBeau wysłał do grupy na Facebooku. Znał jego prawdziwe imię i nazwisko.

Linzi, która była już spłukana, zadzwoniła do Paula z prośbą o pożyczkę, lecz nie miał żadnych oszczędności. Zaproponował żartem, żeby uderzyła do J.T. LeBeau. Stać go na to. Żart przestał być śmieszny, kiedy Linzi oświadczyła, że naprawdę to robi. Pomogła mu, zarobił tyle, że może jej coś odpalić. Więc Paul jej przytaknął. Co jej szkodzi spróbować?

Znąją jego prawdziwe nazwisko. Może zapłacić, żeby zachowali je w tajemnicy.

Napisała do LeBeau i umówiła się na spotkanie.

Oboje pomogli mu przy książce. Zmiany, które zaproponowali, wpłynęły na ostateczną wersję tekstu. LeBeau był na dobrej drodze do zarobienia grubych milionów, a Linzi miała nóż na gardle. Mieszkała wtedy na wybrzeżu, więc umówiła się z LeBeau w Port Lonely. Paul czekał niecierpliwie całą noc, żeby usłyszeć, co się wydarzyło. Czy dostała jakieś pieniądze? W końcu czekanie mu się znudziło i zadzwonił do niej. Nie odebrała. Mijały dni. Potem tygodnie. Wysyłał SMS-y, maile. Pisał przez Facebooka, zostawiał wiadomości głosowe.

Nic. Linzi nie odpowiadała.

Chory ze zdenerwowania, napisał do LeBeau, że wie, kim jest, i zażądał informacji, co się stało z Linzi. LeBeau zapytał go o numer telefonu i Paul podał mu numer komórki. LeBeau zadzwonił natychmiast.

Posłużył się jakimś urządzeniem zniekształcającym głos. Paul słyszał elektroniczne dźwięki, które brzmiały lodowato i nieludzko.

– Rozmawiałeś o mnie z Linzi, prawda? Wiesz, kim jestem?

– Wiem. Ale to nie ma znaczenia. Gdzie ona jest?

– Popełniła błąd, Paul. Groziła mi. Spotkałem się z nią na skale w Port Lonely. Małe, urocze miasteczko niedaleko Bay City. Dałem jej pieniądze, a ona powiedziała, że to tylko zapłata za usługę. Dostałaby dużo więcej, gdyby poszła z tym do mediów. Oznajmiła, że CNN zaproponowało jej pół miliona dolarów za informację na wyłączność. To był jej błąd. Zachłanność. Rozpłatałem jej głowę kamieniem, rozebrałem ją i zrzuciłem ze skały.

Powiedział to niedbale, jakby opowiadał o pogodzie.

– Powinna była wziąć te pieniądze – ciągnął. – Na koniec mnie błagała. Zrozumiała, że popełniła błąd. Mówiła o tym, że kiedyś chce zamieszkać z tobą w Port Lonely, założyć dom, mieć dziecko. Teraz już niczego nie robi.

– Jesteś pieprzonym zbrodniarzem. Idę na policję – oświadczył Paul.

– Nie rób tego. Złożę ci propozycję. Nie wiem, gdzie mieszkasz ani jak cię znaleźć, ale pewnego dnia cię znajdę. I zabiję. Mam tylko jedno wyjście z tej sytuacji... żebyś nie musiał się ciebie obawiać. Byłem bogatym człowiekiem, zanim zacząłem pisać. Teraz jestem jeszcze bogatszy. A więc moja oferta brzmi następująco: milion dolarów co roku przez najbliższe trzy lata. Potem stawka wzrośnie do dwóch milionów rocznie. To wystarczająca suma, aby cię nie kusilo iść na policję ani do mediów, a dla mnie to będzie niewielka strata. Umowa stoi?

– Odpieprz się! – wybuchnął Paul i rozłączył się.

Zadzwoił na policję, ale ponieważ nie dysponował żadnym nagraniem i nikt nie zgłosił zaginięcia Linzi, nie potraktowali go poważnie. Uznali go za świra. Zadzwoił do redaktora LeBeau, Boba Crenshawa. Powiedział mu, że wie, kim jest J.T. LeBeau. Umówił się z nim na spotkanie pod mostem Manhattańskim. Bob powiedział, że przyjedzie zieloną toyotą. Kiedy Paul zjawił się w umówionym miejscu, zastał płonący samochód z Bobem w bagażniku. Może żył, a może nie – Paul przez lata usiłował wytrzeć z pamięci to wspomnienie. Płomienie były zbyt gorące, aby mógł się zbliżyć. Stał i patrzył, a kilka sekund później zbiornik z paliwem wyleciał w powietrze. Nigdy w życiu nie był niczego tak pewny jak tego, że Bob Crenshaw zginął z jego winy. LeBeau go zabił, aby chronić swój sekret. Podobnie jak zabił Linzi. Paul ponosił odpowiedzialność za ich śmierć.

Tym sekretem było dziwne życie J.T. LeBeau. Paul odrobił lekcje, zanim zadzwonił do Crenshawa. Wiedział wszystko, czego można było się dowiedzieć o LeBeau. Ludzie wokół niego mieli dziwny zwyczaj znikania. Koledzy ze szkoły. Sąsiedzi. Koledzy z pracy. Nawet rodzice.

Tej nocy pod mostem próbował zabić Paula. Musiał go w jakiś sposób wytropić. Wiedział, że umówił się na spotkanie z Crenshawem, i postanowił zażegnać niebezpieczeństwo.

Paul zauważył z daleka jego ciemną sylwetkę. Przebiegła przez parking i ukryła się w starym kontenerze na śmieci, pełnym szczurów. Przez dziurę w kontenerze LeBeau patrzył, jak płonie samochód. Wydostał się przed świtem, zanim przyjechała straż pożarna. Dopiero ludzie jadący rano do pracy zauważyli dym i wezwali policję. W środku nocy nikt by nie wzywał policji z powodu ognia pod mostem. Straży pożarnej też nie interesowałby jakiś samochód płonący na starym parkingu. Brak zagrożenia. Ugaszą go rano.

Tego ranka Paul zrozumiał, że musi uciekać. Postanowił założyć, że LeBeau odkrył, gdzie pracuje, że zna wszystkie nazwiska jego znajomych, a prawdopodobnie również jego adres. Tak więc Paul uciekł i ukrył się na Manhattanie. Ale nie mógł pracować.

Musiał coś z tą sprawą zrobić, to nie ulegało wątpliwości. Policja mu nie uwierzy. LeBeau zdołał uniknąć podejrzeń. Paul miał tylko dwa wyjścia: zabić go albo przekonać, że on nie stanowi dla niego zagrożenia.

Następnego wieczoru po śmierci Crenshawa LeBeau zadzwonił z tego samego anonimowego numeru.

– Słyszałeś, jak Bob krzyczał w płonącym bagażniku? Weź pieniądze, żebym nie musiał się więcej o ciebie martwić. Już prawie po wszystkim,

Paul. Będziesz bogaty.

I Paul przyjął pieniądze. Zdawał sobie sprawę, że dla LeBeau jest to ważne z dwóch powodów. Po pierwsze, gdyby go złapano, powiedziała by policji, że Paul o wszystkim wiedział i brał od niego pieniądze za milczenie, co czyniłoby Paula współwinnym. Aby to zadziałało, sumy musiały być znaczne. Policjanci doszliby do wniosku, że milion dolarów rocznie nie może służyć wyłącznie ukrywaniu czyjejś pisarskiej tożsamości. Paul musiał dostawać tę forszę za ukrywanie mordercy. Ale był też drugi powód. LeBeau liczył, że pieniądze doprowadzą go do Paula. Informatyczne systemy bankowe niosły ze sobą tyle pułapek, że Paul wynajął faceta, który odsiedział w więzieniu wyrok za pranie brudnych pieniędzy, aby mu pomógł przenieść forszę i ukryć ją przed darczyńcą. Lecz nawet i ta metoda działała tylko przez krótką chwilę, przed każdą nową wpłatą musiał zmieniać system. W końcu wyznał prawdę swojej agentce, Josephine, i to ona od tej pory pełniła funkcję buforu między nim a LeBeau Enterprises i przepuszczała pieniądze przez swoje konta. Mimo to sumy, pomniejszone o prowizję Josephine, nadal spływały na rachunek Paula, z nazwą wpłacającego – LeBeau Enterprises.

Po jakimś czasie Paul poczuł się dość bezpiecznie. Pieniądze od LeBeau Enterprises wpływały regularnie, a on pilnował, aby nimi nie szastać. Każdy duży wydatek pozostawia ślad. Większość pieniędzy przechowywał na koncie. Ukrył się w Nowym Jorku.

Po jakimś czasie przestał się bać. Znał prawdziwe nazwisko LeBeau, lecz nigdy go nie spotkał, nie widział jego zdjęć, nie miał pojęcia, jak wygląda. Mógł nim być każdy mężczyzna mijany na ulicy. Nie miał szans go znaleźć, mógł się tylko ukrywać. I w końcu powiedział sobie, że LeBeau go nie wytropi.

Mijały lata. Paul wrócił do pisania. Jego agentka wiedziała, że się ukrywa. Powiedział Josephine prawdę, a ona za swoje wynagrodzenie dotrzymywała tajemnicy. LeBeau wydawał kolejne książki. A każda opowiadała koszmara prawdziwej zbrodni.

Nawet gdyby Paul mógł bez obaw wydać wszystkie te pieniądze, wolałby tego nie robić. Nie chciał mieć do czynienia z pieniędzmi splamionymi krwią. Potem poznał Marię. Nie podejrzewał, że może się jeszcze kiedyś zakochać, lecz ona udowodniła, że to możliwe. Po ślubie przeprowadzili się do Port Lonely. Doszedł do wniosku, że to będzie ostatnie miejsce, w którym szukałby go LeBeau. Śmierć Linzi złamała mu serce na długie lata, lecz Paul pragnął spełnić jej ostatnią wolę i zamieszkać w Port Lonely, niestety nie z nią, tylko z Marią. Wmówił sobie, że w jakiś

sposób to pomoże mu się otrząsnąć, wyleczyć z poczucia winy. Niestety, tak naprawdę tylko pogorszyło sytuację, więc rzucił się w wir pracy.

Nie miał wątpliwości, że do jego domu włamał się LeBeau. Dostał się do biurka, gdzie Paul trzymał artykuły i wycinki prasowe na jego temat, dzięki którym próbował śledzić jego ruchy i powiązywać powieściowe morderstwa z prawdziwymi zbrodniami. Nazajutrz po włamaniu znalazł wiadomość za wycieraczką samochodu.

Wiem, kim jesteś. Sukinsyn nawet podpisał się *LeBeau*.

A więc go znalazł. Paul musiał uciekać. Najbardziej bał się, że ten potwór skrzywdzi Marię. To dlatego nigdy nie wyznał jej prawdy. Ostatnia osoba, której powiedział o LeBeau, zmarła w męczarniach. Nie mógł zatruć żony wiedzą. Josephine potrzebowała swojego procentu z pieniędzy LeBeau i za nic nie pisnęłaby o nich komukolwiek. Teraz wiedział, że powinien był zabrać Marię ze sobą, lecz wtedy wydawało mu się, że będzie bezpieczniejsza, jeśli ją zostawi. W końcu LeBeau polował na niego, nie na jego żonę, rozumował Paul, ale się pomylił. A potem uwierzył, że ten drań wyratował go z tonącej łodzi, podczas gdy najprawdopodobniej to właśnie on uszkodził mu jacht.

Stłumił w sobie ból. Teraz nie ma na niego czasu.

LeBeau wytropił go, idąc szlakiem pieniędzy. Prawdopodobnie przez bank. Chce odzyskać swoje miliony. To oczywiste. Uknuł plan, dzięki któremu Paul podejmie je z banku. Gdyby chciał go tylko zabić, już dawno byłoby po nim. LeBeau mógł to zrobić bez najmniejszego trudu dziesiątki razy.

Tchórz.

Paul obracał to słowo w myślach. Sam był tchórzem. Pozwalał, aby umierali ludzie, tylko dlatego, że chciał chronić siebie. Zdawał sobie sprawę, że LeBeau nie przestanie zabijać. Nie mógł iść na policję z historią Linzi ani z teoriami na temat prawdziwych zbrodni słynnego autora kryminałów. Nie miał żadnych dowodów. W najlepszym razie wzięliby go za marnego pisarza zazdrosnego o sukces LeBeau. Teraz też nie mógł iść na policję. Szukali go jako podejrzanego o napaść na Marię. Był współnikiem – na jego koncie widniało dwadzieścia milionów dowodów, które przekonają każdy sąd.

Doszedł do wniosku, że ma tylko jedno wyjście. Nie będzie już dłużej uciekał. Odzyska pieniądze i dzięki nim będzie mógł przynajmniej zrekompensować Marii wszystkie krzywdy. Wyzna jej całą prawdę i ofiaruje jej życie, na jakie zasłużyła.

LeBeau nie będzie próbował go zabić, dopóki pieniądze leżą na koncie w banku. Najważniejsze, że Paul o tym wie, to mu daje przewagę. Tak naprawdę zawsze czuł, że ten dzień kiedyś nadejdzie, że nie może w nieskończoność uciekać. Że LeBeau go w końcu dopadnie. Może właśnie dlatego nie potrafił się w pełni zaangażować w życie u boku Marii. Gdzieś na horyzoncie zawsze czaiło się widmo czegoś mrocznego i strasznego.

Usiadł na łóżku, otworzył oczy i złożył Marii obietnicę.

Odzyska te pieniądze.

Odda jej.

Zabije J.T. LeBeau.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Nierzadko się zdarzało, że Dole leżał w łóżku z otwartymi oczami, jeszcze zanim wzeszło słońce.

Z wiekiem miał coraz większe trudności ze spaniem. Ponieważ nigdy się nie ożenił i tylko sporadycznie dzielił łóżko z partnerką, nabrał trochę złych nawyków. Pił za dużo kawy. Chrapał. Czasem zostawiał włączony telewizor w kącie sypialni i nie miał ustalonego porządku dnia. I nie chciało mu się tego zmieniać. Jasne, ciepłe mleko, uspokajająca muzyka, książka czy nawet medytacja – wszystkie te rzeczy mogłyby mu pomóc w zaśnięciu. Tylko że jakoś nie mógł się przemóc. Lekarstwa nie wchodziły w rachubę. Nie pozwoli, żeby jakiś lekarz przepisał mu choćby ibuprofen. W mgnieniu oka rozniosłoby się to po mieście i tylko patrzeć, jak ludzie zaczęliby gadać, że szeryf się starzeje. Nie, powiedział sobie, nie potrzebuje żadnych tabletek ani rytuałów i z całą pewnością nie zamierzał medytować.

W tym zawodzie człowiek wysypia się po śmierci.

Tak sobie powiedział. Coraz częściej jednak uprzytamniał sobie, że jego rady są do dupy.

Pomyślał o wiadomościach, które Bloch wydobyła z laptopa Paula Coopera, i w końcu postanowił wstać. Jedynym luksusem, na jaki sobie pozwolił, był diabelnie dobry ekspres do kawy. Miał więcej lat niż jego samochód i robił rano piekielny hałas, tak że jeśli nie kawa, to rumor zawsze stawiał go na nogi.

Po drugiej stronie domu wschodziło już słońce. Szeryf usiadł na werandzie i popijał kawę. Trzecią tego ranka. Często tu siedział i rozmyślał o sprawie niezidentyfikowanej ofiary. Teraz dostała imię, lecz nadal nie miała tożsamości ani przeszłości.

Poczuł znajomy ciężar poczucia winy. Sam sobie złożył na barki to brzemię. Czasem znosił je dobrze, a czasem przygniatało go do samej ziemi.

Nie miał wątpliwości, że Linzi została zamordowana. Nie wierzył w orzeczenie lekarza medycyny sądowej, że popełniła samobójstwo. Kto

zdejmuje ubranie, ukrywa je tak, żeby nikt go nigdy nie znalazł, a następnie skacze z urwiska?

Ani przez chwilę w ciągu tych dziesięciu lat nie wierzył w samobójstwo.

Miał do siebie żal, że wcześniej nie odkrył prawdy. Paul Cooper był J.T. LeBeau; Paul Cooper zabił Linzi, a po latach przyjechał, żeby zamieszkać w Port Lonely. Dole robił sobie wyrzuty. Powinien był wcześniej go przejrzeć. Powinien był poznać mordercę, kiedy patrzył mu prosto w oczy. To absurdalne, ale czuł wyrzuty sumienia. A to sprawiało, że nabierały one realności.

Pod doniczką obok ławki trzymał schowane pudełko cygar. Podniósł doniczkę, wyjął jedno z pudełka i podpalił zapalką. W przeciwieństwie do swego ojca, który zawsze wkładał cygaro do ust, żeby je podpalić, Dole tylko przykładał zapalkę do końcówki i obracał nim, dopóki nie zaczęło się żarzyć. Dopiero wtedy gasił zapalkę i pociągał. Tę technikę pokazał mu pewien pokerzysta z Nowego Orleanu. Powiedział, że dzięki temu nie niszczy się zapachu cygara wdychaniem chemikaliów z otwartego ognia.

Pił kawę, paląc cygaro i patrząc w niebo. Nasłuchiwał skrzypienia kanałów ściekowych i tynków, dochodzącego z budynków po drugiej stronie ulicy, budzonych do życia przez wschodzące słońce.

W oddali usłyszał pisk opon.

Potem ryk rosnących obrotów silnika.

Zza wzniesienia z prędkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę wyjechał radiowóz. Wyskoczył w powietrze i wylądował z łupnięciem na asfalcie. W końcu zatrzymał się przed jego domem z jazgotem dymiących opon. Z samochodu wysiadła Melissa Bloch. Wbiegła na werandę.

– Nie jestem na służbie, dopóki nie wciągnę spodni – oświadczył Dole, ostatni raz pociągając cygaro.

Cisnął je nad balustradą w krzewy róż u sąsiada.

Bloch obserwowała lot niedopałka, po czym odwróciła się do szeryfa ze zmarszczonym czołem.

– Jego kot sra na mój trawnik – rzucił Dole. – Co? Aresztujesz mnie? Chryste, Bloch, jest siódma rano.

– Nie musiałabym tu przyjeżdżać, gdybyś odbierał telefon, do cholery.

Zostawił komórkę na łóżku. Ale w końcu z Biura Szeryfa do jego domu było tylko dziesięć minut drogi.

– Czy komuś grozi niebezpieczeństwo? – spytał.

– Nie, ale czytałeś... – zaczęła stropiona Bloch.

– W takim razie to może poczekać. Mój mózg nie ruszy z miejsca co najmniej do wpół do dziesiątej, jeszcze jednego kubka kawy i jajek na

bekonie.

– Ta sprawa nie może czekać.

Weszli do środka i Dole włączył ekspres dokładnie w chwili, gdy jego zastępczyni zaczęła mówić. Chwilę później napełnił kawą jeden kubek, potem drugi i urządzenie zamilkło. Szeryf odwrócił się twarzą do Bloch.

– Zawsze rano jesteś taka gadatliwa?

– Mamy nowego podejrzanego – powiedziała.

Potarł dłonią twarz.

– Sue w swoim raporcie napisała, że Maria Cooper zaprzyjaźniła się z kelnerem w klubie golfowym.

– I to wszystko? – spytał szeryf. – To ma być nowy podejrzanym? Jakiś kelner, z którym „się zaprzyjaźniła”?

– Nie „jakiś kelner”. Zadzwońłam dziś rano do klubu. Ten kelner od kilku dni nie pokazał się w pracy. Dzień przed zniknięciem Paula Coopera wyszedł do domu wcześniej i od tamtej pory go nie widziano. Nazywa się Daryl Oakes.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Paul nigdy nie widział wielkiego pożytku w medytacji.

Latem w Port Lonely więcej było kursów jogi niż barów. Czytał na ten temat artykuły, nawet poszedł na kilka lekcji i kupił kasetę wideo o medytacji transcendentalnej. Idea wydawała się dość przejrzysta, Paul gorąco pragnął głębokiego spokoju, wyciszenia umysłu i uśmierzenia niepokoju, które ponoć zapewniało praktykowanie medytacji.

Niestety, na niego nigdy to nie działało. Nie był w stanie wyłączyć myśli. W umyśle pisarza każda informacja przenika do świadomości i podświadomości i powraca w najmniej spodziewanej chwili w postaci pomysłu na nową powieść lub fragment aktualnie pisanego dialogu.

Jedyną względnie użyteczną rzeczą były ćwiczenia oddechowe. Paul nauczył się kontrolować oddech, co niekiedy pozwalało mu złagodzić nieco napięcie, lecz gdy tylko zamykał oczy, widział obrazy płonących samochodów. Nie potrafił przełączyć tego kanału w głowie, nawet jeśli bardzo się starał.

Stojąc przy łóżku w piwnicy Daryla, otworzył dłonie, rozpostarł ramiona i wziął głęboki oddech. Wstrzymał powietrze. Powoli wypuścił. Powtórzył swoją mantrę i kolejne czynności. Po dziesięciu minutach widział tylko samochód i płomień pełznący po szybach. Mimo to jego serce biło trochę wolniej. Przestał się trząść i stwierdził, że może mówić bez zacinania się na każdym słowie.

Strach nie minął, ale na razie Paulowi udało się spowolnić ciało i był to pierwszy krok do kontrolowania paniki. A będzie tego potrzebował.

Może jednak medytacja nie jest taka zła, pomyślał. Pierwszy raz osiągnął taki efekt. Może podświadomie zrozumiał, że jeśli nie zapanuje nad sobą w obecności Daryla, wpakuje się w poważne tarapaty. Albo podziałał brak stymulantów – Daryl nie trzymał w domu alkoholu.

Paul powiedział sobie, że jest spokojny. Musi być spokojny.

Jeśli nie wyluzuje, zginie.

Wisząca groźba śmierci dostarczyła mu jedyne prawdziwego bodźca, aby spróbował medytacji. W grę wchodziło jego życie.

Mimo swojego trudnego położenia uśmiechnął się na tę myśl. Gdyby ludzie częściej stawali w sytuacji bezpośredniego zagrożenia życia, staliby się bardziej otwarci na próbowanie nowych rzeczy. W każdym razie tego ranka wizja morderstwa podziałała na niego wyzwalająco i przyjął ten fakt z wdzięcznością.

Dzinsy były nadal wilgotne, kiedy je włożył, ale dało się przeżyć. Skarpetka zupełnie nie wyschła, ale jej nie potrzebował; Daryl poprzedniego dnia zostawił mu kilka par. Paul włożył więc czyste skarpetki, po czym ruszył powoli na górę. Drzwi były uchylone. Otworzył je po cichu, lecz po chwili znieruchomiał na odgłos pukania.

Drzwi wejściowe znajdowały się dwa metry od wejścia do piwnicy. Usłyszał w korytarzu kroki i odruchowo zamknął drzwi. Zostawił tylko kilkucentymetrową szczelinę, w której sekundę później pokazała się twarz Daryla.

– Ktoś jest przed drzwiami. Siedź cicho i nie wychodź, pozbędę się ich – powiedział półgłosem Daryl.

– Kto to? – spytał Paul.

Daryl odwrócił się i wyjrzał przez okno w korytarzu.

– Szeryf. Nie przejmuj się. Tylko siedź na dole.

Odwrócił się i w tym momencie Paul zauważył pistolet tkwiący z tyłu za pasem. Daryl sięgnął ręką za plecy, wyciągnął broń, sprawdził magazynek, po czym odłożył ją na stolik w przedpokoju i nakrył kuchennym ręcznikiem.

Paul złapał za klamkę i przyciągnął do siebie drzwi, co zawęziło mu pole widzenia, lecz pozwoliło niepostrzeżenie obserwować Daryla.

W tej chwili żadne medytacyjne bzdury nie mogły powstrzymać jego walącego serca. Poczul na czole kropelki potu; musiał zacisnąć szczękę, żeby drżenie nie przeniosło się na zęby.

Daryl uchylił drzwi, stanął w progu i zablokował je nogą, aby szeryf nie mógł ich otworzyć pchnięciem.

– Dzień dobry. Daryl Oakes? – zapytał szeryf.

Paul nie mógł go widzieć, ale rozpoznał południowy akcent Abrahama Dole'a.

– Tak, to ja. W czym mogę pomóc?

– To się okaże. Czy mogę wejść?

– Z całym szacunkiem, panie szeryfie, ale w obecnej chwili nie życzę sobie towarzystwa. Nie czułem się ostatnio najlepiej i zaniedbałem trochę

dom.

Cisza. Potem chrząst butów na żwirze.

– Hm... – mruknął Dole. – Dobrze, w takim razie porozmawiamy tutaj. Nie widzę sąsiadów, którzy mogliby coś usłyszeć, prawda?

– Raczej nie.

– Czy mógłby nam pan powiedzieć, gdzie pan był przez ostatnie kilka dni?

– Tutaj. Może raz czy dwa skoczyłem do sklepu po coś do jedzenia, ale tak jak mówiłem, byłem chory.

– No, widzę właśnie pot na górnej wardze, synu. Ma pan gorączkę? – spytał Dole, lecz tonem, który sugerował, że spocona warga może mieć znacznie mniej niewinną przyczynę.

– Mniej więcej – odparł Daryl.

Kolejna chwila milczenia. Celowa. Chociaż Paul nie widział szeryfa przez drzwi, wiedział, że ten człowiek nie ma kłopotów z formułowaniem pytań.

– Zna pan Marię Cooper? – spytał.

– Widziałem ją w wiadomościach. Biedaczka. Przychodziła czasem do klubu. Zdarzyło nam się gawędzić, kiedy ją obsługiwałem... wie pan, nie lubię patrzeć, jak kobieta siedzi samotna przy drinku. Poza tym zawsze dawała dobre napiwki, nie to co inne sknery, które przychodzą do klubu i mają węża w kieszeni.

– I o czym tak gawędziliście?

– To się raczej rzadko zdarzało. Sam nie wiem... o pogodzie, o najnowszych wiadomościach... takie tam zwyczajne rzeczy.

– Spotkaliście się kiedyś poza klubem?

Teraz z kolei Daryl milczał przez dłuższą chwilę. Paul zacisnął zęby, aż zazgrzytały, a w szczęce poczuł tępy ból. Puścił klamkę. Musiał się hamować ze wszystkich sił, żeby nie rzucić się na tego człowieka. Sukinsyn o mało jej nie zamordował. Stłukł jej prawie czaszkę na miazgę. Paul starał się uspokoić. Zachować zimną krew. Pomyślał o pieniądzach i wbił sobie paznokcie w skórę. Zaczął się trząść z wściekłości. To było potwierdzenie tego, co w głębi duszy wiedział. Przygryzł wargę, żeby nie wrzasnąć, nie grzmotnąć pięścią w ścianę.

Daryl patrzył w ziemię, lekko dotykając palcami ust, jakby usilnie próbował sobie coś przypomnieć i odpowiedzieć po starannym namyśle.

Paul nasłuchiwał, jak wybrnie z tego kłopotu. Jeśli powie, że nigdy nie spotykał się z Marią poza klubem, a szeryf Dole wie, że to nieprawda, to tak, jakby nałożył sobie na ręce kajdanki.

– Jestem przekonany, że nie – odparł w końcu Daryl.

Kiedy się rzekomo namyślał nad odpowiedzią, sięgnął lewą ręką za siebie, odrzucił ręcznik i położył dłoń na rękojeści pistoletu. Szeryf nie mógł tego zobaczyć, podobnie jak osoba, która mu towarzyszyła. Dopóki nie byłoby za późno.

Paul przyklęknął. Jeśli Daryl podniesie pistolet choćby o centymetr, wyskoczy zza drzwi i rzuci się na niego. Może go dopadnie, zanim naciśnie spust, choć to mało prawdopodobne. Mimo to musi spróbować. Nie może pozwolić, żeby przez tego faceta zginęli kolejni ludzie.

I przez niego.

– Jest pan pewny, że nigdy się nie spotkaliście poza klubem? – naciskał Dole.

– Tak, całkiem pewny. – Daryl nadal trzymał rękę zaciśniętą na broni, gotową do strzelenia szeryfowi prosto w twarz, gdyby rozmowa potoczyła się w niewłaściwym kierunku.

Krew tętniąca Paulowi w uszach zagłuszyła odpowiedź szeryfa.

Dłoń Daryla zeszywniała. Paul przysiadł na prawej nodze, gotów w każdej chwili wystrzelić do drzwi.

Śpiew ptaków. Wiatr w koronach sosen. Stłumiony szmer telewizora w sąsiednim pokoju. I cichy, wewnętrzny szum adrenaliny bulgoczącej w żyłach. Nic więcej.

Ponownie ocenił odległość. Stanowczo nie da rady.

Przykucnął jeszcze głębiej i otworzył szerzej drzwi.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

Stojąc przed drzwiami domu Oakesa, Dole jednym okiem zerkał na Bloch. Podczas gdy on starał się rozpraszać uwagę Daryła, ona odwróciła się i trzymając aparat przy boku, robiła zdjęcia bocznej strony budynku, a także fragmentu tego, co znajdowało się za domem.

Pstrykała, a Oakes wszystkiego się wypierał. Dole poczuł się nieswojo, gdy tylko go zobaczył. Jak na kelnera w klubie golfowym, gość był wręcz niewiarygodnie zbudowany. Nie miał na sobie ani grama tłuszczu, a bicepsy sterczały pod koszulką niczym nadmuchane piłki. Facet musiał mocno pracować, żeby trzymać formę.

Lecz Dole'a nie zdeprymowały jego mięśnie, tylko oczy. Ten człowiek coś ukrywał. To było widać w jego zachowaniu, w wyrazie twarzy.

Wtedy jednak Dole nie wiedział, co Oakes ukrywa. Na pewno nie spodobało mu się pytanie, czy spotykali się z Marią Cooper poza klubem. Nie spieszył się z odpowiedzią, prawdopodobnie ważył w myślach, czy szeryf może trzymać w rękawie jakiegoś asa, jak na przykład czyjeś zeznanie, że on i Maria Cooper przychodzili w każdy wtorek do knajpy na kawę i drinka.

Dole przestąpił z nogi na nogę, aby złagodzić tępy ból w kolanie. Oparł rękę na biodrze i wyprostował bolącą kończynę, żeby odciążyć dokuczający staw.

Kiedy położył dłoń tuż nad kaburą, zauważył, że ramię Daryła zeszywniało. Wyczuł nagłą zmianę w jego zachowaniu. Mężczyzna w drzwiach szykował się do ataku. Prawdopodobnie miał pod ręką jakiś drąg na stoliku obok wejścia, a może nawet pistolet. Była to przerażająca myśl, nawet bez martwego spojrzenia czarnych oczu kojarzących się z rekinem.

Spytał go, czy jest tego pewien. Oakes znowu zastanawiał się nad odpowiedzią. A może nad tym, czy cisnąć w niego nóż albo strzelić? W końcu jednak odpowiedział, że owszem, jest pewien.

Szeryf zanieczywał w życiu wiele rzeczy. Na przykład nigdy nie próbował nadażać za rewolucją cyfrową; zapominał o złamanej desce na schodach; nie pastował butów tak często, jak by wypadalo. Powtarzał sobie, że ktoregoś dnia na pewno się tymi sprawami zajmie.

Lecz jednego nigdy nie zanieczywał – strzelania. Regularnie co dwa tygodnie wystrzeliwał pięćdziesiąt pocisków i wszystkie trafiały dokładnie w cel. A raz w miesiącu przechodził trening dynamiczny. Trzymał formę ze swoich pierwszych dni w policji, kiedy przechodził szkolenie z samoobrony. Potrafił wyciągnąć broń z kabury i oddać trzy strzały w niecałe trzy sekundy. W młodości zszedł nawet do dwóch i jednej dziesiątej sekundy. Teraz był zadowolony, jeśli mieścił się w średniej dwie i pół. Podobne wyniki osiągała Bloch.

Jeśli Oakes zamierzał wejść do tej gry, to szeryf Dole był gotowy.

Nie zadał więcej pytań. Nie spieszył się. I czekał. W przypadku każdego innego podejrzanego popatrzyłby uważnie na jego twarz, zwłaszcza w oczy. Oakes miał martwe oczy. W tym świetle wydawały się prawie czarne.

Przez cały czas Bloch obserwowała ich uważnie i w milczeniu. Dole wyczuwał jej niepokój. Przeszła z nogi na nogę, potem zrobiła krok naprzód.

– Czy zna pan męża Marii, Paula? – spytała.

– Nie, nie znam – rzucił Daryl.

– Może powinniśmy wracać – zasugerowała.

Nie spuszczaając oczu z Oakesa, Dole cofnął się o krok.

– Może masz rację – przyznał. – Dziękujemy za pomoc, panie Oakes. Na razie zostawiamy pana w spokoju.

Kiedy znaleźli się bezpiecznie w samochodzie, a Oakes zamknął drzwi, oboje odetchnęli z ulgą.

– Facet jest ostry – orzekła Bloch.

– Jeszcze jak. Widziałaś tę łódź na tyłach? – spytał Dole.

– Tak. Zrobiłam nawet dyskretnie zdjęcie. Niezła łajba jak na pensję kelnera.

– Wracamy na posterunek, żeby odwalić papierkową robotę, a potem walimy prosto do sędziego. Myślisz, że to, co mamy, wystarczy do nakazu rewizji?

Skinęła głową, po czym wrzuciła wsteczny i wyjechała na drogę.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

Daryl zamknął drzwi na zasuwę, po czym odwrócił się i zobaczył Paula stojącego w korytarzu na czworakach.

– Poszli? – spytał Paul.

Daryl rozchylił żaluzje i patrzył, jak samochód szeryfa wycofuje po podjeździe, wykręca na szosę i rusza w kierunku miasta.

– Tak, odjechali. – Daryl podniósł ręcznik z pistoletu. Wziął do ręki broń i wsunął ją z powrotem za pas, tym razem z przodu. – Miałeś zostać w piwnicy – dodał niedbałym, obojętnym tonem.

– Myślałem, że zamierzasz strzelić – odparł Paul, podnosząc się. – Mógłbyś potrzebować dodatkowej pary rąk do ucieczki.

Daryl pokręcił głową.

– Nie, to by była ostateczność. W każdym razie dzięki. Słyszałeś rozmowę?

Zadając pytanie, uważnie obserwował twarz Paula. Musi wiedzieć, czy zaczął go podejrzewać. Mają podjąć niewiarygodne ryzyko i nie uda mu się zrealizować planu, jeśli Paul nie będzie mu ufał. Obserwował, jak jego szyja czerwienieje. Może to była reakcja na obecność policji, a może nie.

– Doleciały mnie jakieś strzępy. Nie miałem pojęcia, że pracowałeś w klubie golfowym – powiedział Paul.

Ach, może rzeczywiście o to chodziło, pomyślał Daryl.

– Dorywczo. Nie da się opłacić czynszu z rybołówstwa. Widziałem tam kilka razy twoją żonę. Powiedziałem glinom prawdę, więc pojechali. Zamieniłem z nią grzecznościowo tylko kilka słów, to wszystko. Nie znam jej.

I znowu Daryl skupił całą uwagę na jego ruchach, gestach i słowach.

– Jasne – rzucił Paul. – W końcu czemu miałbyś ją znać, prawda?

Daryl skinął głową.

– Właśnie.

Zdawał sobie sprawę, że w umyśle Paula pozostanie jakaś zmarszczka wątpliwości. To nieuniknione. Pytanie, czy ta zmarszczka z czasem się

rozprasuje, czy będzie go coraz bardziej ugniatać. Na to Daryl nie miał wpływu. Może tylko czekać, aby się przekonać. Nie ma sposobu, aby to odgadnąć. Musi go mieć na oku, zająć jego myśli innymi rzeczami.

A jest o czym myśleć.

– Sądzę, że powinniśmy przyspieszyć realizację naszego planu – powiedział. – Szeryf jest głupcem. Jego zastępczyni też. Nie mogą cię znaleźć, więc ganiają za własnym ogonem. Chcą się upewnić, że mają właściwego człowieka.

– Więc kiedy ruszamy? – spytał Paul.

– Zapakujemy się i w drogę. Góra za dwie godziny.

– Aż tak szybko?

– Tak. Twoja forsa nie będzie czekać w nieskończoność. Jeśli uznają cię za zmarłego, więcej tych pieniędzy nie zobaczysz. Do roboty.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

W większości powieści i filmów ludzie budzą się ze śpiączki, podrywając się na łóżku z krzykiem.

To zwiększa dramatyzm. Napięcie.

Maria Cooper również przebudziła się w ten sposób.

Tylko właściwie się nie zbudziła. Nie do końca.

Oczy poruszały się pod powiekami. Puls raptownie podskoczył. Oddech przyspieszył, wciągnęła gwałtownie powietrze, potem je wypuściła, po czym znowu wciągnęła, coraz szybciej, w rytmie serca, aż w końcu zaczęła dyszeć. Pielęgniarki zauważyłyby skok parametrów, gdyby akurat były w sali, ale że zajmowały się innymi rzeczami, tylko alarm mógł je poinformować, że pacjentka się zbudziła.

Tętno wzrosło prawie do poziomu włączenia się alarmu.

Nie doszło jednak do tego, bo pielęgniarki usłyszały krzyki i przybiegły.

Maria otworzyła oczy, przestraszona hałasem. Wrzaskiem pełnym przerażenia. Dopiero po długiej chwili zorientowała się, że to jej własny krzyk. Wtedy dopiero wybuchła.

Wezwany lekarz podał jej środki usypiające, podczas gdy pielęgniarki przytrzymały ją na łóżku.

Nie powiedziała ani słowa. Tylko krzyczała.

Jej umysł się zresetował. Mgliście pamiętała miłą kobietę z Nowego Jorku, pracującą boso przy kasie w sklepie garmazeryjnym; mężczyznę o smutnej twarzy, który przemawiał do niej łagodnie i delikatnie przytulał, oraz dom na plaży wśród wysokich traw chłostanych wiatrem.

Nie wiedziała, czy to było jej życie, czy sen.

Środek usypiający podziałał dokładnie w chwili, gdy poczuła w głowie piekący ból.

Ostatnią rzeczą, jaką zobaczyła, była plastikowa ściana zachlapana krwią.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

Na zwykle zagraconym biurku w gabinecie szeryfa Port Lonely stał rząd książek w twardej oprawie. Dziesięć kryminałów.

Wszystkie powieści J.T. LeBeau.

Melissa Bloch przyniosła je z księgarni.

– Pamiętaj, żeby dopisać je do wydatków – powiedział Dole.

– Większość z nich już czytałam. Musimy wejść w głowę Paula Coopera. Zobaczyć, jak myśli.

– Co z nakazem rewizji u Oakesa? – spytał szeryf.

– Sue właśnie pisze – odparła jego zastępczyni.

Przez dziesięć minut streszczała Dole'owi książki J.T. LeBeau. Każda powieść była oddzielnym thrillerem – z innymi postaciami, inną scenerią. Wszystkie trafiły na listy światowych bestsellerów. I nikt do końca nie wiedział dlaczego.

– Dlaczego autor, który osiągnął na świecie tak nieprawdopodobny sukces, uwielbiany przez miliony czytelników, nie chce się pokazać światu i przyjąć jego hołdów? – zastanawiał się głośno Dole.

Siedział na fotelu i uważnie słuchał skróconej historii J.T. LeBeau. Była to najdłuższa ciągła wypowiedź jego zastępczyni, jaką słyszał. Nie przerywał. Widział, że w różnych momentach swojej miniprezentacji Bloch uprzątnia sobie, jak długo już opowiada, lecz milczenie i skupiona uwaga szeryfa zachęcały ją do kontynuowania. Zaczynała się otwierać i chciał to podsycić. Lubił tę dziewczynę. Nawet podziwiał. Z czasem może być lepsza w tym zawodzie niż on.

Niełatwo było zarzucać ją pomysłami. Uderzały w nią, po czym ześlizgiwały się po jej czole jak galaretki. W ogóle niewiele mówiła, lecz kiedy już się odezwała, to człowiek mógł być pewny, że warto jej posłuchać.

– Musiałaś się nad tym zastanawiać. Dlaczego facet za wszelką cenę chce pozostać anonimowy, skoro cały świat go kocha? Kto by się potrafił oprzeć? – zapytał Dole, kiedy w końcu przerwała.

– Ja bym potrafiła – powiedziała.

Skinął głową.

– Wierzę, ale ty jesteś...

– No, jaka jestem?

– Niezbyt towarzyska.

– Chyba jaja sobie robisz. Jestem towarzyska, ale nie w Port Lonely. Gdybym chciała się z kimś spotykać, wolałabym, żeby nie chodził o lasce, stając na swoim nowym biodrze.

– Kapuję, wszyscy jesteśmy za starzy. Jest tu kilka osób w twoim wieku. Maria i Paul Cooperowie nie są dużo starsi.

– Tak, tylko że nie są w moim typie. Wychodzę i widuję się z ludźmi. I rozmawiam z nimi. Wiem, że nie jestem gadatliwa, ale co w tym złego?

– Nie byłoby nic złego również w przedstawieniu mi swojej teorii – zauważył Dole.

– Nie lubię spekulować – rzuciła Bloch. – Wolę patrzeć na dowody. Lubię wiedzieć – dodała, kładąc nacisk na ostatnie słowo.

– Niewiele „wiemy”. A zdrowa spekulacja może dać dobre efekty. Użyj wyobraźni. Powiedzmy, że LeBeau nie jest niemym odludkiem. Powiedzmy, że jest zwyczajnym facetem. Dlaczego nie podniesie ręki, żeby przyjąć wszystkie te wyrazy podziwu i uwielbienia?

– To źle postawione pytanie, szefie – powiedziała Melissa, skubiąc się w podbródek.

Dole postukał w grzbiety książek stojących na biurku.

– Napisał te wszystkie powieści. Nie mam czasu, żeby je przeczytać, więc przejdź do rzeczy, jeśli wiesz coś, czego ja nie wiem. Jakie jest właściwe pytanie?

Bloch wybrała książkę zatytułowaną *Wkręcony* i podała ją szeryfowi. Wziął ją od niej w obie ręce.

– To jego pierwsza powieść. Przeczytałam ją, kiedy się ukazała, ale nie pamiętam fabuły. Będę musiała przeczytać jeszcze raz. Pierwsze dzieła pisarzy są często autobiograficzne, nawet jeżeli autor tego nie zamierza. Tak mu po prostu wychodzi. W tej książce może tkwić trop. Prawdziwe pytanie brzmi: Dlaczego Cooper zabił Linzi, żeby utrzymać w tajemnicy swoją literacką tożsamość? Kiedy zginęła Linzi, jego książka sprzedawała się już bardzo dobrze, ale nie była jeszcze światowym bestsellerem. Boom nastąpił dopiero później.

– Ponieważ miał już coś do ukrycia. Od początku nie chciał, żeby ktoś poznał jego prawdziwe nazwisko. Nie chodziło o sukces. W tym facecie od początku coś gniło. Co to może być?

– Nie znalazłam niczego, co by łączyło Linzi albo Paula Coopera z grupą literacką na Facebooku. Myślę, że wszystkie konta zostały skasowane. Prawdopodobnie Cooper usiłował zatuszować przeszłość. Ale kartotekę ma czystą.

Dole otworzył *Wkręconego* na pierwszej stronie i pokręcił głową.

– Nie wiem, co ukrywa, ale z tego powodu zabił Linzi. Musiało to być dla niego sporo warte.

– Tak. To wygląda na grubą sprawę, prawda?

– Tak – przyznał Dole.

Popatrzył na pierwsze wersy *Wkręconego*, powieści napisanej dziesięć lat temu, i wczuł się w ich wymowę.

Niewiele jest na tym świecie rzeczy bardziej fascynujących niż ludzkie zwłoki. Zwłaszcza zwłoki z głową odwróconą w drugą stronę.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

Paul obserwował, jak Daryl pakuje rzeczy do niewielkiej torby. Koszulę, dżinsy, przedmioty, które przywiózł poprzedniego dnia wieczorem, czapkę z daszkiem, czterdziestkępiątkę oraz dwa noże. I swojego laptopa.

Wszystko, czego potrzebują.

Załadowali bagaże na łódź, łącznie z wodą w butelkach i kanapkami. Paul zabrał dwie rzeczy. Jedną z nich był pendrive, który sprawiał już wrażenie suchego, lecz nadal nie wiadomo było, czy zadziała. Ale też nie miało to już wielkiego znaczenia. Jego książki liczyły się teraz najmniej. Bardziej chodziło o motywację. To, co miał zrobić, mogło go kosztować wolność albo życie. Musiał wierzyć, że po tym wszystkim będzie miał jeszcze szansę na normalną przyszłość. Pendrive właśnie ją symbolizował. Chciał go zachować.

Po południu wypłynęli.

Daryl sterował, Paul siedział w kokpicie.

Po godzinie milczenia Daryl się odezwał:

– Za trzy godziny powinniśmy być w Miami. Uzupełnimy paliwo i ruszymy dalej. Przed świtem dotrzemy na Kajmany.

Wpatrując się przez całą drogę w kark Daryla, Paul zapadł w stan głębokiego skupienia. Potrzebował pomocy Daryla, żeby podjąć te pieniądze. Bez jego udziału nie ma szans. Od czasu do czasu, kiedy się pochylał, czuł w tylnej kieszeni dżinsów mały kuchenny nożyk. Drugi najważniejszy przedmiot zabrany z domu Daryla, potajemny dodatek do skromnego bagażu. Wszedł do kuchni szybko i bezszelestnie, cichutko otworzył szufladę i wybrał mały ostry nożyk, który idealnie wpasował się w kieszeń spodni. Daryl niczego nie zauważył, ponieważ sprawdzał w tym czasie łódź przed podróżą.

Wcześniej uszkodził jacht Paula, jego pływający gabinet pisarski, aby w krytycznym momencie zjawić się jako wybawiciel. Paul wyobraził sobie życie, które mógł spędzić z Linzi, i jej ostatnie minuty na świecie. Zacisnął zęby, aż zazgrzytały, a w szczęce zaczęła pulsować krew. Pomyślał o Marii.

Musiała być przerażona, a wszystko przez tego człowieka. Miał ochotę sięgnąć po nóż tkwiący w kieszeni i wbić go kark Daryla. I przekręcić.

Potem jeszcze raz.

Poczuć ciepłą krew na palcach.

W tym momencie zamyślenia sól na jego ustach smakowała jak krew. Popłynęły mu łzy. Szybko je otarł.

Tylko pieniądze powstrzymywały go przed zabiciem Daryla. A także przerażająca myśl, co by się stało, gdyby nie trafił nożem...

Nie, postanowił. Musi poczekać. Jeden dzień. Gdy tylko dostaną pieniądze i będą wracać na łódź, znajdzie sposób, żeby go zabić.

Musi.

Ponieważ gdy tylko pieniądze opuszczą bank i trafią do rąk Paula, Daryl również będzie chciał go zabić. Ma pistolet, nóż oraz przewagę wzrostu i wagi. A do tego jest przebiegłym sukinsynem. Ale kiedy pieniądze znajdą się na pokładzie, odpręży się. Nie wie, że Paul odkrył prawdę o jego prawdziwej tożsamości. To da Paulowi przewagę. Będzie mógł rozegrać to na chłodno. Dostanie pieniądze, poczeka, aż Daryl zajmie się sterowaniem, i wtedy uderzy. Jeśli jego przeciwnik również będzie chciał go zabić, a na pewno będzie, to też poczeka, aż razem z pieniędzmi wypłyną na otwarte morze. To będzie najlepszy moment, żeby pociągnąć za spust. Paul musi zaatakować pierwszy. Nie może próbować ucieczki bez pieniędzy. Nie ma szans.

Łódź ślizgała się wzdłuż wybrzeża, pokonując fale wzbudzone przez holowniki i statki wycieczkowe. Zawrocie silnika, rozpryski wody spod kadłuba, smak i zapach morza – wszystko nabierało w myślach Paula mrocznego zabarwienia.

Jutro jeden z mężczyzn na tej łodzi zabije drugiego. Odebranie człowiekowi życia nie jest byle drobnostką. Paul nigdy tego nie zrobił. Teraz pragnął tylko powstrzymać tego zabójcę. Wyobraził sobie, jak klęczy nad ciałem Daryla, a z oczu mordercy wycieka życie. Pochylił się nad nim i wyszeptał, że od początku wiedział o jego planie. Że wiedział, kim jest, i zamierzał go zabić.

Za to, co zrobił Marii. I jemu.

I Linzi.

I chociaż ta wizja wydawała mu się niepojęta, dodawała mu siły. Jeśli ma przetrwać, to potrzebuje siły. Siły wiary. Przed wypłynięciem zapytał Daryla, czy może ostatni raz sprawdzić wiadomości. Zobaczyć, co u Marii. Daryl się zgodził i Paul przeszukał internet, lecz niczego nie znalazł.

Tak bardzo potrzebował, aby Maria wyzdrowiała. Z ciemności musi się wyłonić promyk światła.

Znowu wbił wzrok w plecy Daryla. Wysoki, smukły. Jego szerokie, silne plecy stanowiły doskonały cel. Paul zaczął układać plan.

Jak to robi.

Gdzie wbije nóż.

Słońce zaczęło zachodzić. W oddali zaśniły światła. Miami. Przystanek na oddech i tankowanie.

Kiedy łódź przybiła do przystani, miał już plan.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

Siedemdziesięcioczteroletni sędzia Griffith, który podpisywał wszystko, co przedkładały mu siły porządkowe, zatwierdził nakazy podsunięte przez Abrahama Dole'a. Szeryf Port Lonely przyjechał do domu sędziego po godzinach pracy, wszedł do jego prywatnego gabinetu i Griffith nawet nie spojrział na te przeklęte papiery.

Nie obejrzał również zdjęć zrobionych przez Melisę Bloch przed domem Daryla.

Ani nie wysłuchał, co szeryf ma do powiedzenia. Wprowadziwszy go do domu, a następnie do swojego gabinetu, myślał tylko o tym, że zyska chwilę wytchnienia od żony. Dole spotkał ją kilka razy i zawsze z ulgą opuszczał jej towarzystwo. Pani Griffith gadała jak najęta. W dodatku wcale nie mówiła do rozmówcy, a jedynie w jego kierunku. I robiła to na cały regulator. Przy posturze małego ptaszęcia miała głos syreny przemysłowej. Na szczęście tym razem pani Griffith była na górze.

– Ależ nie ma potrzeby, szeryfie. Jestem pewny, że to wszystko jest w najlepszym porządku i absolutnie nieodzowne. Proszę, gotowe – oznajmił sędzia, wręczając mu podpisane dokumenty.

Dole'owi przeszło przez myśl pytanie, co by się stało, gdyby zszedł na niewłaściwą stronę prawa. Z sędzią Griffithem, który ignorował wszelkie zawodowe obowiązki i nie zastanawiał się nawet nad zgodnością swoich decyzji z konstytucją, każdy adwokat znalazłby się w trudnej sytuacji, stając przed nim w sądzie. Chyba że bronilby oskarżonego o zamordowanie pani Griffith. W takim wypadku podsądny miałby ogromne szanse szybkiego wyjścia na wolność.

– Dziękuję, panie sędzio – powiedział Dole i ruszył w stronę drzwi gabinetu.

– Już pan musi iść? – zapytał sędzia. – Miałem nadzieję, że zostanie pan na kawę, przywita się z moją żoną.

Szeryf przyspieszył kroku, prawie wybiegł do holu. Idąc w stronę drzwi frontowych, zawołał tylko przez ramię:

– Przepraszam, panie sędzio, ale muszę natychmiast jechać! Pilna sprawa służbowa!

Zatrzasnął za sobą drzwi, ale zrobiło mu się trochę żal sędziego.

Po powrocie do biura zamknął w sejfie nakaz rewizji i wysłał na Kajmany faksem polecenie natychmiastowego zamrożenia konta Paula Coopera, a następnie napisał mail do banku z żądaniem potwierdzenia dokonanej czynności. Dwie godziny później przyszła odpowiedź od głównego prawnika banku, potwierdzająca, że na mocy międzynarodowych regulacji mających zapobiec praniu brudnych pieniędzy Narodowy Bank Wielkiego Kajmanu uznaje sądowy nakaz sędziego Griffitha. Ani jeden dolar nie może zostać podjęty ani przelany z powyższego konta. Dwadzieścia milionów pozostanie zamrożone na rachunku i nikt nie może ich tknąć.

Dole postanowił z samego rana pojechać do Oakesa z nakazem rewizji. Zamknął swój gabinet i wyszedł. W dyżurce zobaczył Sue piłującą sobie paznokcie ze zdumiewającym zapałem jak na tę porę dnia.

– Przeczytałem twój raport – powiedział.

– Jestem zaszczyczona – rzuciła, nie odrywając wzroku od paznokci.

– Nie musisz od razu strzelać focha. To była dobra robota. Chcę cię o coś zapytać.

Tym razem Sue podniosła wzrok.

– Co myślisz o sprawie J.T. LeBeau? Uważasz, że Cooper zaatakował żonę? Czy ten drugi facet, Oakes? Może miał jakiś związek z zatonięciem łodzi Coopera?

Sue zdjęła słuchawki i mikrofon i splotła dłonie.

– No jasne, że to podejrzane – odparła. – Facet się rozchorował akurat w dzień napaści. Ale musisz znaleźć coś więcej, zanim go przyszpilisz. Dużo więcej. Myślę, że Cooper się czegoś bał. Może tego, że zostanie zdemaskowany jako ten LeBlue.

– LeBeau.

– Nieważne. Tak czy inaczej, Cooper na pewno nie chciał, żeby policja wściubiła nos w jego sprawy. To na bank.

– Czemu tak uważasz?

– Skarbenku, może jesteś szeryfem, ale to ja odbieram telefony. Przez ostatnie trzy lata mieliśmy cztery zgłoszone włamania. Każda sprawa była upierdliwa jak drzazga w dupie. Poszkodowani wydzwaniali do znudzenia: „Dlaczego jeszcze nie złapaliście tego włamywacza?”, „Kiedy odzyskam

naszyjnik mojej babci?”. Z domu Coopera nic nie zginęło, ale jego żonie szturchańca oberwało się za sprawianie kłopotów. Każdy facet w tym kraju stawałby na jajach, żeby dorwać drania, który włamał się do jego domu i napadł na żonę...

– ...a Cooper nie – dokończył za nią Dole.

– Właśnie. Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby doskonale wiedział, kto to zrobił.

Dole myślał metodycznie. Wszystko wskazywało na Coopera jako sprawcę napaści na Marię i śmierci Linzi.

– Dzięki – rzucił.

– I co, tak trudno było to powiedzieć? – spytała Sue.

Wracając do domu, zjechał z drogi i zatrzymał się na poboczu. Zamknął oczy i zaczął powtarzać w myślach swój tok rozumowania.

Cooper został zdemaskowany. Ktoś się włamał do jego domu. Albo ten ktoś odkrył, że Cooper jest słynnym pisarzem, albo już wcześniej o tym wiedział. Można przypuszczać, że i włamywacz wiedział, dlaczego Cooper ukrywa się pod fałszywym nazwiskiem.

To musiał być Oakes. W jakiś sposób odkrył prawdę. Możliwe, że zaatakował również Marię i zatopił łódź Coopera. Może poluje na pieniądze na Kajmanach. Dole potrzebuje solidnego tropu, który powiąże ze sobą Oakesa, Coopera i LeBeau.

Włączył komórkę i zadzwonił do Bloch. Trzeba przyspieszyć rewizję. Powiedział swojej zastępczyni, żeby spotkali się w Biurze Szeryfa o piątej rano. O piątej trzydzieści pojedą do Oakesa, kiedy będzie jeszcze spał, aresztują go, zrewidują, a potem przeszukają dom. Daryl Oakes musi odpowiedzieć na mnóstwo pytań.

Jutro będą mieli tę sprawę na widelcu.

Czuł to w trzewiach.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY

Przystanek w Miami okazał się dłuższy, niż Daryl przewidywał.

Przez większą część dnia przetwarzał w głowie swój plan. Szukał słabych punktów. Próbował przewidzieć różne komplikacje. Paul niewiele się tego dnia odzywał, lecz kiedy zbliżali się do Miami, przerwał milczenie.

– Potrzebuję garnituru – oznajmił.

– Po co? Nie wybieramy się na wystawną kolację – odparł Daryl.

– Byłem w tym banku osiem czy dziewięć razy, zawsze dobrze ubrany. W tym miejscu tak wypada. Nie chcę być niewdzięczny ani broń Boże cię urazić, ale w tych dzinsach i koszulce wyglądam jak zbieg.

Daryl obejrzał się przez ramię i zmierzył go z góry do dołu.

– Będziemy mieć tylko jedną szansę. Wszystko musi być przygotowane perfekcyjnie, kiedy dobijemy na Wielki Kajman.

– Dobra – rzucił Paul.

Przycumowali w przystani i Daryl uiścił gotówką w kapitanacie portu opłatę za cumowanie i paliwo, dorzucając jeszcze pięćdziesiąt dolarów za późną porę. Paul stał za nim w milczeniu z twarzą ukrytą pod daszkiem czapki.

Dziesięć minut później znaleźli się na ulicy pełnej barów, restauracji i klubów nocnych. Upał w Miami był znacznie gorszy, wiatr od wybrzeża ani trochę nie łagodził wilgotności powietrza, pot przesiąkał przez ubrania. Przed lokalami unosił się zapach słodkich przypraw i dymu z cygar. Byli zmęczeni i głodni, lecz nie znaleźli wolnego stolika w żadnym z restauracyjnych ogródków. Zjedzą później.

Daryl zatrzymał taksówkę i kazali się zawieźć do całodobowego centrum handlowego. Po dniu spędzonym na piekącym słońcu, w powietrzu, w którym każda cząsteczka pęczniała od wilgoci, klimatyzowane wnętrza sklepów sprawiały istną rozkosz. Wybrali sklep z ubraniami, nie ostentacyjnie drogi, ale też nie nadmiernie obskurny. Paul się nie spieszył, wybrał niebieską bawełnianą koszulę, jasnoszary jednorzędowy garnitur i parę niedrogich butów z lakierowanej skóry,

które na pierwszy rzut oka wyglądały na kosztowne. Całości dopełniły szare skarpetki. Krawat niepotrzebny, wystarczy swobodna, niedbała elegancja.

Zabrał ubrania do przymierzalni. Spojrzał lustro. Nie golił się prawie od tygodnia. Kilka miesięcy temu próbował zapuścić niedługą brodę, aby nadążyć za modą, lecz Maria orzekła, że wygląda niechlujnie. Musi kupić maszynkę i piankę do golenia. Może też coś do układania włosów.

Zadowolony z garnituru, rozebrał się, powiesił ubrania z powrotem na wieszakach i wyszedł z przebieralni.

Daryl siedział na stołku przy wejściu. Wyglądał, jakby czekał na swojego partnera.

Paul wybrał dla niego czarne dżinsy, czarną marynarkę sportową, kapelusz Stetsona i białą koszulę. Daryl poszedł ze wszystkimi rzeczami do kasy, zapłacił gotówką, po czym razem wyszli ze sklepu. Zjedli w milczeniu w McDonalddie, położywszy torby z zakupami pod nogami.

Na przystań poszli na piechotę, żeby Paul mógł po drodze kupić w drogerii przyrządy do golenia i żel do włosów.

Półtorej godziny po zacumowaniu łodzi wypłynęli ponownie w noc. Za plecami światła Miami odbijały się w wodzie. Dotrą na Wielki Kajman przed południem. Paul poszedł do kokpitu, zwinął się w kłębek na ławce i próbował zasnąć. Był wyczerpany, a z każdą kolejną milą czuł, jak oddala się od siebie. Cała ta podróż wydawała mu się snem, a jednocześnie czymś hiperrealistycznym. Jego zmysły działały w stanie podwyższonej gotowości, oczy przywykły do ciemności, a ciało do huśtania i uderzeń łodzi podskakującej na falach. Wyczuwał każdy subtelny zapach. To nie było jego życie. To był test, dziwna, zabójcza gra. Nawet nie chciał myśleć o tym, co się stanie, jeśli to spieprzy.

Leżąc w ciemności, odpłynął myślami do Marii. Po wszystkim, co się wydarzyło, zdał sobie sprawę, że ją skrzywdził. Była czymś najwspanialszym, co spotkało go w życiu, skażonym tylko przez jego kłamstwa. Już nigdy nie będzie mógł do niej wrócić, nie da się tego wszystkiego wyprostować. Jeśli przeżyje najbliższe dwadzieścia cztery godziny, postara się naprawić szkody. Przyrzekł to sobie i zamierzał dotrzymać obietnicy. Gdyby Maria go nie poznała, nie musiałyby przez to wszystko przechodzić. Od dwudziestu lat Paul nie miał zwyczaju się modlić, lecz teraz złożył dłonie do modlitwy i zaczął mamrotać *Ojciec nasz*. Za Marię. Za siebie.

Zastanawiał się, czy powinien się pomodlić o śmierć człowieka siedzącego przy sterach łodzi.

Jeśli Bóg istnieje, oby był mściwy.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY

Dole wiedział, że nie musi się silić na ostrzeżenie.

Ale to nie miało dla niego znaczenia. Zawsze przestrzegał przepisów, nawet kiedy chodziło o głupie procedury. Nigdy nie wiadomo, kiedy człowiek przez drobne potknięcie dostanie kopa w tyłek.

– Panie Oakes, tu szeryf Port Lonely. Mamy nakaz rewizji pańskiego domu. Proszę otworzyć drzwi, w przeciwnym razie użyjemy siły! – zawołał.

Czekał. Policzył do dziesięciu. Potem skinął głową.

Bloch wyjęła Wielki Czarny Klucz. Tak Dole nazywał piętnastokilogramowy taran, którym posłużyli się zaledwie kilka razy od czasu, kiedy go kupili. Za każdym razem robiła to Bloch, ponieważ Dole nie miał tyle siły. Jego zastępczyni wzięła zamach, po czym uderzyła walcem w miejsce tuż przy zamku.

Drewniane drzwi ustąpiły, zamek wyleciał w powietrze i grzmotnął o ścianę. Z bronią gotową do strzału we dwójkę weszli do środka. Wcześniej zrobili zwiad wokół domu i stwierdzili, że budynek nie ma tylnych drzwi. Oraz że zniknęła łódź.

Obeszli parter, potem sypialnie na górze i łazienkę. Nigdzie nie było żywej duszy. Została im piwnica, najniebezpieczniejsze pomieszczenie w każdym domu. Nie da się szybko wyjść i niełatwo sprawdzić ukryte zakamarki, nie wystawiając się na łatwy cel.

Zapalili latarki i powoli omietli światłem schody. Co cztery stopnie zatrzymywali się, żeby Bloch mogła przykucnąć i schylając nisko głowę, zajrzeć pod spód. W tym czasie Dole też przykucał i osłaniał ją, zataczając latarką półkola nad jej ramieniem.

To był jedyny bezpieczny sposób schodzenia. Zajął im trzy minuty, ale szeryfowi się nie spieszyło. Mieli dość czasu.

Obejrzelili piwnicę. Nikogo nie znaleźli, lecz wiele rzeczy wskazywało na to, że ktoś tu niedawno mieszkał: koliste ślady na zakurzonym stole, gdzie stawiano kubek z kawą; pościel na łóżku pachnąca względnie świeżo, podczas gdy wszystko inne śmierdziało stęchlizną. Bloch była z natury

drobiazgowa i Dole zafascynowany obserwował jej pracę. Sprawdzała miejsca, które on już przeszukał, dla pewności. Działali powoli i metodycznie. Oboje czuli, że coś w tym domu czeka na odkrycie. Było to dziwne odczucie, ale nieobce stróżom prawa.

W piwnicy nie znaleźli nic ciekawego, więc pół godziny później wrócili na parter. Bloch bez słowa skręciła w lewo i ruszyła w stronę kuchni. Szeryf domyślił się, że powinien sprawdzić salon. Drzwi do pokoju były uchylone, wydobywało się z nich srebrzyste światło. Dole nie mógł sobie przypomnieć, czy je zamykał, czy nie. Melissa wyszła z salonu przed nim, więc to on musiał je zostawić otwarte.

Mimo to wyciągnął broń i popchnął drzwi stopą.

Odetchnął i opuścił glocka. To tylko jego wyobraźnia.

Z tyłu podeszła do niego Bloch.

– Zostały tylko kable od laptopa – oznajmiła. – Oakes musiał zabrać go ze sobą. W kuchni jest szafka na broń, ale pusta. Znalazłam olej i wyciory, jeszcze mokre. Całkiem niedawno czyścił spluwę. Znalazłeś coś tutaj?

Salon wyglądał niepozornie. Właściwie jedyną godną uwagi rzeczą była biblioteczka. Szeryf podszedł do okna i wyjrzał na morze, jakby na wodzie mogły się jeszcze rozchodzić fale po odpływającej łodzi Daryla. W każdym razie powierzchnia była gładka. Wymknął im się.

Dole odwrócił się i zobaczył Melissę przed biblioteczką.

– Dużo kryminalnej literatury faktu, zwłaszcza o seryjnych mordercach – poinformowała Bloch. – Sporo podręczników na temat policyjnych i kryminalistycznych procedur.

– Pewnie ma też komplet *Policjantów z Miami* na DVD – powiedział Dole.

– Nie sądzę. – Bloch sięgnęła po gruby tom na drugiej półce. – To książka o profilowaniu psychologicznym w Wydziale Analiz Behawioralnych FBI. To nie są wspomnienia ani krwawy brukowiec. To praca akademicka. I ktoś ją czytał kilka razy. Spójrz.

Podniosła książkę i pokazała żółtą karteczkę, która służyła za zakładkę. Otworzyła na zaznaczonej stronie i znalazła rozdział poświęcony profilowaniu seryjnych morderców na podstawie podpisów. Nie chodziło o analizę grafologiczną, lecz o badanie ofiar oraz miejsca zbrodni w celu ustalenia wzorca przemocy, który FBI nazywało „podpisem”. Na marginesie widniała odręcznie sporządzona notatka.

Broń, wybór ofiary, typ ofiary, lokalizacja, obrażenia świadczące o użyciu przemocy w napadzie szalu.

– Gdybyś był seryjnym mordercą i wiedziałbyś, że federalni będą szukać wzorca na twoich ofiarach, to powinieneś zmieniać broń, taktykę,

wybierać różne ofiary i stosować różne nasilenie przemocy przed i po zabiciu ofiary. Jeśli będziesz tak postępował, praktycznie nie da się połączyć ze sobą dwóch różnych zabójstw – wyjaśniła.

Kiwając głową, Dole przejrzał resztę książki, ale nie znalazł więcej zakładek.

– Dziwna lektura jak na kelnera i instruktora nurkowania, nie sądzisz? – spytała Bloch.

Nie odpowiedział. Prawie jej nie słyszał. Patrzył na biblioteczkę i maleńkie żółte flagi sterczące z książek na półkach.

Daryl Oakes prowadził poważne badania.

W kieszeni szeryfa zabrzączał telefon. Dzwonili z zakładu kryminalistyki w Bay City.

– Szeryf Dole – rzucił.

– Cześć, mówi Max McAllister z kryminalistyki. Mam tu coś, co może was zainteresować. Udało nam się włamać do komórki Marii Cooper. Wydobyliśmy historię połączeń i esemesy. Wysyłam je natychmiast ZIP-em.

Dole podziękował i zakończył rozmowę, po czym uprzytomnił sobie, że nie ma pojęcia, co to jest ZIP. Patrzył na telefon, zastanawiając się, czy nie oddzwonić do McAllistera.

Nie oddzwonił. Zanim zdążył nacisnąć przycisk łączenia, telefon ponownie zabrzączał. Tym razem nie rozpoznał numeru.

Odebrał, wysłuchał swojego rozmówcy, podziękował i powiedział:

– Zaraz tam będziemy.

Bloch patrzyła na niego wyczekująco z naręczem książek wyjętych z biblioteczki Daryla.

– Dostaniemy ZIP z danymi z telefonu Marii Cooper. Ale co ważniejsze, zadzwonili ze szpitala. Maria się obudziła.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY

Paul był na Wielkim Kajmanie kilka razy, lecz nigdy nie przyplłynął tu łodzią. Zajmowało to znacznie więcej czasu niż lot samolotem, ale za to zapewniało znacznie więcej dyskrecji. Postanowił mądrze wykorzystać ten czas. Umył się w małej umywalce w kajucie, ogolił i wtarł żel w mokre włosy.

Po raz pierwszy od zatonięcia łodzi wyglądał i pachniał jak człowiek. Nie mógł się już doczekać, kiedy przybiją do brzegu i będzie mógł włożyć garnitur, aby przygotować się do wyjścia. Tymczasem podziwiał widoki. Mimo dramatycznych okoliczności nie mógł nie zachwycić się pięknem tego miejsca. Wydawało się prawdziwym rajem – nad głowami krążyły barwne ptaki z tropikalnych wysp, stado delfinów zdawało się wskazywać łodzi drogę do portu, z brzegu dochodził zapach smażonych ryb i mięsa pieczonego na grillu tuż nad brzegiem morza.

Wylądowali w George Town i Paul poczuł znajomy dreszcz podniecenia.

Przebrał się w kajucie, a w tym czasie Daryl przycumował łódź. Dobrze było zejść na ląd, znaleźć się daleko od zabójczego fetoru towarzysza. Myśl o Darylu nie odstępowała go na krok. Nawet kiedy się przebierał, pilnował się, aby go mieć na oku przez bulaj. Włożył mały nożyk do kieszeni marynarki.

Kiedy Daryl wrócił na łódź, Paul szybko odsunął się od jego torby i bulaju. Daryl musiał to zauważyć, bo od tamtej pory jego zachowanie się zmieniło. Sprawiał wrażenie, jakby teraz on z kolei śledził każdy ruch Paula.

I tak okrążali się nawzajem, żaden nie chciał stracić drugiego z oczu.

Paul był już ubrany. Garnitur, koszula i skórzane buty z twardymi podeszwami. Wszedł z kajuty, aby dać Darylowi trochę prywatności.

Obszedł łódź, trzymając się relingu na rufie, i przeszedł na bakburkę. Oparł się o ścianę kajuty tak, że Daryl nie mógł go widzieć przez żaden bulaj. Przez chwilę nasłuchiwał jego kroków, po czym niedbałym ruchem wyrzucił do morza naboje, które wyjął z jego czterdziestki. Wpadły

do wody z cichym pluskiem, po czym zatonęły. Z pustymi kieszeniami wrócił do środka.

W samą porę.

Daryl otworzył właśnie torbę, wyjął colta i chwycił zamek, żeby zajrzeć do komory.

– Poczekaj, zostaw go tu – powiedział Paul rozkazującym tonem.

Daryl znieruchomiał, podniósł na niego wzrok.

– Nie możesz wejść do banku ze spluwą, a nigdzie przed wejściem nie znajdziesz bezpiecznego miejsca, żeby go schować. Zostaw go tutaj.

Daryl westchnął, niczym naburmuszony nastolatek włożył pistolet z powrotem do torby i wstał, poprawiając marynarkę.

– Jak wyglądam? – spytał.

– Nienagannie.

Złapali taksówkę i pojechali do Narodowego Banku Wielkiego Kajmanu przy Elgin Avenue. Władze wyspy wiedziały, że turystyka bankowa jest jedną z głównych atrakcji kraju, więc banki zakładały swoje oddziały głównie przy Elgin Avenue, szerokiej ulicy z palmami szepczącymi nad strumieniem bentleyów i ferrari. Odgłos wiatru szeleszczącego w liściach nasunął Paulowi na myśl szmer pliku tysiąc dolarowych banknotów. Uroczy, suchy dźwięk, uspokajający i egzotyczny.

Wszedł pierwszy na schody, Daryl dwa kroki za nim.

Po obu stronach szklanych drzwi wznosiły się marmurowe kolumny. Jeszcze przed wejściem Paul widział na podłodze ozdobną mozaikę w kształcie wyspy. Poczul zapach waniliowego odświeżacza powietrza, skórzanych siedzeń i delikatny aromat rozkładu, który przenikał każdy zakątek wyspy.

Wybrał ten bank wiele lat temu po bardzo starannym przemyśleniu sprawy. Przypomniawszy to sobie, kiedy pchnął szklane drzwi i przytrzymał je Darylowi.

Nowe buty stukały po podłodze. Pamiętał swoją pierwszą wizytę w tym miejscu. Wiedział, że dokonał mądrego wyboru.

Pierwszy Narodowy Bank Wielkiego Kajmanu miał bardzo zróżnicowaną klientelę – potentaci przemysłu filmowego z Hollywood, developerzy, kierownicy funduszy hedgingowych, dwadzieścia procent najbogatszych handlarzy narkotyków, większość nielegalnych handlarzy bronią i trzy największe organizacje charytatywne na świecie.

Całkowita dyskrecja. Największe bezpieczeństwo. I zero podatku.

Trzy bankowe perełki dla najbogatszych.

Minimalną kwotą, którą można tu przechowywać na koncie, jest pięć milionów dolarów. Bank oferuje całkiem rozsądne opłaty, za które w zamian nie musisz się przed nikim rozliczać. Limuzyna odbiera cię z lotniska, przywozi do banku i pozostaje do twojej dyspozycji, dopóki nie wyjedziesz. Na Paula jednak tym razem nie czekała limuzyna.

Tym razem wybrał wersję ekonomiczną.

W banku nie było kas ani stanowisk. Tylko recepcja z uprzejmą panią witającą klientów oraz pięciu ciężko uzbrojonych strażników rozstawionych dookoła holu.

Trudno było nie zwrócić uwagi na mężczyzn w garniturach nałożonych na kamizelki kuloodporne, ściskających w rękach karabinki szturmowe. Rzucali się w oczy. Nawet kiedy stali w kącie sali. Paul wiedział, że Daryl też ich zauważył.

Podniósł głowę i rozejrzał się po sklepieniu ozdobionym złotymi liśćmi. Podobało mu się, że pod względem bezpieczeństwa zarząd banku pokłada większą wiarę w broń maszynową niż w kamery. Nigdzie nie było widać ani jednego urządzenia rejestrującego i Paul musiał przyznać, że dostrzega w tym sens. AR-15 zapewnia lepszą ochronę niż Kodak. A klientom banku bardziej zależy na dyskrecji niż na dowodach. Słyszał za sobą kroki Daryla, skręcające w lewo w kierunku skórzanych kanap stojących pod ścianą.

Paul podszedł do recepcji, gdzie patrzyła na niego wyczekująco wysoka kobieta o dość surowym wyglądzie; miała czarne włosy zaczesane gładko do tyłu i duże brązowe oczy. Całość sprawiała wrażenie, jakby gumka do włosów ściągała jej twarz w nieco maniackalny, lecz zachwycony uśmiech. Kobieta była w fioletowym tweedowym kostiumie z liliową bluzką pod spodem.

– Witam serdecznie. W czym mogę panu pomóc? – spytała.

– Dzień dobry, chciałbym dokonać wypłaty – oznajmił Paul.

– Naturalnie. Proszę wprowadzić kod zabezpieczający.

Przed Paulem leżało urządzenie przypominające iPada. Wprowadził swoje hasło na klawiaturze dotykowej i na ekranie pojawiły się informacje na temat jego konta.

Próbował przełknąć ślinę, lecz nie mógł. Coś ścisnęło go za gardło, plecy oblały się zimnym potem.

– Obawiam się, że wystąpił problem, proszę pana. Muszę wezwać kierownika obsługi rachunków. Przyjdzie tu do pana – powiedziała, biorąc do ręki telefon.

Minęło trzydzieści sekund, w czasie których Paul nie zdawał sobie sprawy, że jego stopa wystukuje o podłogę jakiś rytm. Nie potrafił już

dłużej powściągnąć zdenerwowania. Napięcie doprowadzało go do szału.

Wiedział, że musi zachować spokój, jeśli plan ma się powieść.

Zza dębowych drzwi za recepcją wyszedł mężczyzna i zbliżył się do kontuaru.

– Niestety, nastąpiła pewna komplikacja – oznajmił. Przedstawił się jako pan Alleyne. – Otrzymaliśmy nakaz sądowy, zobowiązujący nas do zamrożenia pańskiego konta. Niekiedy w podobnych sytuacjach możemy zachować pewną elastyczność, lecz nie tym razem. Jest mi niezmiernie przykro, ale nie mogę panu pomóc.

– Och, ależ oczywiście, że pan może – powiedział Paul.

W środku wszystko w nim krzyczało, na zewnątrz wydawał się zaledwie łagodnie rozbawiony, kiedy odwrócił się i skinął na Daryla, aby przyszedł mu z pomocą.

Oczy strażników wypalały w jego skórze dziury niczym rozżarzone lasery.

Pamiętał, że kiedy był bardzo młody, wszystko wydawało mu się przeciągać w nieskończoność. Winda jechała dwa lata na następne piętro. Kiedy leżał w łóżku i nie mógł zasnąć, liczył sekundy, a gdy dochodził do godziny, spoglądał na zegar i stwierdzał, że minęło zaledwie dziesięć minut. Odrabianie pracy domowej zdawało się zajmować całą noc, a nie pół godziny.

Lecz nic, absolutnie nic, nigdy nie trwało dłużej niż te sekundy, kiedy Daryl pokonywał siedem metrów dzielące kanapę stojącą pod ścianą od recepcji.

Życie Paula spoczywało w rękach mężczyzny, którego nienawidził najbardziej na świecie.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY

– To była kłapa – powiedziała Bloch, włączając syrenę i koguta.

Jechali w kierunku Bay City.

Była to pierwsza rzecz, jaką powiedziała od godziny.

I wcale nie musiała tego mówić.

Roznieśli dom na strzępy. Poza książkami nie znaleźli dosłownie nic. Ani jednego śladu dowodu, czy choćby wskazówki, która mogłaby powiązać Oakesa z Paulem lub Marią Cooper. Książki dawały wiele do myślenia i szeryf widział, że Bloch nadal przetwarza w głowie te informacje. Zapakowała sześć w torby na dowody, lecz naturalnie same w sobie nie stanowiły żadnego dowodu, w najlepszym razie świadectwo kiepskiego gustu lub niezdrowych obsesji właściciela. Gdyby oprócz nich znaleźli coś namacalnego, dobry prokurator potrafiłby w sądzie zrobić z nich użytek.

– Może znajdziemy coś w telefonie Marii – powiedział Dole.

Zdawał sobie sprawę, że rozpaczliwie szuka czegoś, czego mogliby się uchwycić. Wyciągnął rękę i oparł się o deskę rozdzielczą, bo Bloch wcisnęła hamulec na światłach. Zwolniła i przejechała przez Johnstone Avenue przy akompaniamencie klaksonów.

Przed nimi wyrósł budynek szpitala. Dole nie wiedział, czy stan Marii pozwoli na przesłuchanie. Ale to nie miało znaczenia. Lekarze go nie powstrzymają. Musi z nią porozmawiać. Pozycja szeryfa miała pewne zalety, a jedną z nich była służbowa uprzejmość ze strony jego odpowiedników z Bay City. Nie zabronią mu wstępu do szpitala.

To nie znaczy, że chciał na Marię naciskać. Na pewno będzie słaba i niestabilna. Może nawet majaczyć. Może sobie nigdy nie przypomnieć chwili napaści i Dole pogodził się z tym faktem. Słyszał o takich przypadkach. Niektóre rzeczy są po prostu zbyt bolesne dla ludzkiego umysłu, aby się ich trzymał. Musi je usunąć, w przeciwnym wypadku trucizna będzie się rozprzestrzeniać, aż w końcu zniszczy swojego gospodarza. Ludzka pamięć została zaprojektowana do zapamiętywania

i zapomnienia. Szeryf Dole zawsze miał to na uwadze. Nie pamiętał już twarzy Eden sprzed choroby. Za to pamiętał wzór płytek podłogowych w szpitalu, zapach chemikaliów, które w nią pompowali, żółtawe zapadnięte policzki, które rozciągały usta w uśmiechu, kiedy widziała go przy łóżku. Nie mógł zapomnieć białego jak ściana, spuchniętego ciała Linzi unoszącego się na wodzie i nocy, które spędził na poszukiwaniu jej tożsamości. Pamięć może być przekleństwem.

Wjechali na parking naprzeciwko szpitala. Nigdzie bliżej nie było miejsc, zresztą gdyby nawet znaleźli jakieś na wielopoziomym parkingu, utknęliby w korku, kiedy poranna zmiana będzie kończyć pracę. Bezpieczniej było stanąć po drugiej stronie ulicy i kawałek się przejść.

Przed rzędem wind na parterze czekał tłumek ludzi, lecz Dole postanowił poczekać na kabinę, mimo że się niecierpliwił, bo chciał jak najszybciej porozmawiać z Marią. Po wejściu na ósme piętro musiałyby przez tydzień okładać kolana lodem. Nie może sobie na to pozwolić, musi być na chodzie, przynajmniej jeszcze przez jakiś czas.

Kiedy dojechali na właściwe piętro, na oddział zaczęli wchodzić odwiedzający. Bloch porozmawiała z pielęgniarką, która poprzedniego dnia okazała się taka życzliwa, i kobieta zaprowadziła ich do jednoosobowego pokoju, w którym leżała Maria. Wpuścili siostrę przodem. Bloch podeszła do szyby i zajrzała do środka. Dole zrobił to samo. Musieli bardzo uważać, aby Marii nie przestraszyć. U dobrego policjanta łagodne obchodzenie się z ofiarami przemocy staje się tak naturalne jak oddychanie. I tak było zarówno w przypadku Dole'a, jak i jego zastępczyni.

Górne światła w pokoju były zgaszone. Mrok rozpraszała tylko wyciągana lampa nad łóżkiem, skierowana w bok, aby nie świeciła pacjentce w oczy. Poza nią słaby blask roztaczały również urządzenia stojące wokół łóżka. Na twarz Marii padało również światło z korytarza, lecz tłumiała je przyciemniana szyba.

Maria siedziała na łóżku z zabandażowaną głową. Rozmawiała z pielęgniarką, która uspokajająco gładziła ją po ręce. Drugą dłonią osłaniała oczy przed światłem.

Pielęgniarka wyciągnęła ramię i wysunęła mocniej lampę. Pokój zalało jaśniejsze światło i Maria mocniej przycisnęła palce do oczu. Dole zauważył, jak zaciska zęby przed tą inwazją blasku; usłyszał lekki syk, kiedy gwałtownie wciągnęła powietrze. To przez śpiączkę albo obrażenia głowy. Nie był pewien. W takim stanie osłabienia źródła światła sprawiają ból. Dole pamiętał, aby na to uważać.

Pielęgniarka wyszła z pokoju.

– Możecie wejść, ale proszę, żebyście jej nie zdenerwowali.

Skinął głową i zapytał, czy ktoś powiedział Marii, co jej się przytrafiło.

– Nie, jeszcze nie. Na razie wie tylko, że doznała urazu mózgu, to wszystko. Bądźcie delikatni.

Szeryf przytrzymał drzwi i Bloch weszła pierwsza. Zatrzymała się metr dalej i czekała, aż Dole za nimi zamknie. Nie podeszli do łóżka. Maria obserwowała ich, ale nie odezwała się ani słowem. Trudno było wyczytać coś z jej twarzy. Z początku wydawała się obojętna i pusta, lecz kiedy wzrok Dole'a przyzwyczał się do półmroku, zauważył zmarszczone czoło i bruzdę między brwiami. Żrenice Marii nadal były niestabilne – jedna szeroka i czarna, druga maleńka jak główka od szpilki w sadzawce elektryzującego błękitu.

– Mario, nazywam się Abraham Dole, jestem szeryfem Port Lonely, a to moja zastępczyni, Melissa Bloch. Jak się czujesz?

– Nie boli mnie za bardzo, dostałam środki przeciwbólowe – odparła cicho. Podniosła prawą dłoń i pokazała wenflon w kształcie motylka oraz rurkę biegnącą od nadgarstka w górę do plastikowych pojemników z płynem, zawieszonych na stojaku.

– Czy możemy porozmawiać? – spytał Dole.

Zamiast skinąć głową, Maria tylko zamknęła i otworzyła oczy z przelotnym, bladym uśmiechem, który zniknął równie szybko, jak się pojawił.

Dole uznał to za zgodę.

Podeszli do łóżka i dyskretnie usiedli na niskich winylowych krzesłach ustawionych po lewej stronie.

– Jeśli będzie chciała pani przerwać rozmowę, proszę tylko powiedzieć. Możemy przyjść kiedy indziej. Rozumie pani? – spytał Dole.

– Nic mi nie jest.

Dole i Bloch niepewnie wymienili spojrzenia. Szeryf nie chciał robić sobie zbyt dużych nadziei. Zwilżając usta, zastanawiał się nad pytaniem, które może skłonić ją do mówienia. Musi być ogólne. Nie chciał przechodzić od razu do sedna.

– Co pani pamięta?

Maria zamknęła na chwilę oczy, potem je otworzyła i odwróciła się do niego twarzą. Zaczęła mówić spokojnie i pewnie, głosem przypominającym trzask suchej gałązki w lesie:

– Niektóre rzeczy są zamglone, niektóre nie – odparła.

Skinął głową, ale nie odezwał się na razie ani słowem. Chciał, żeby Maria się otworzyła. Milcząca zachęta zadziałała.

- Dowiedziałam się czegoś o swoim mężu.
- Czego się pani dowiedziała? – spytał szeryf.
- To akurat słabo pamiętam. Odkryłam, że ma jakieś pieniądze.

Bloch wyjęła z kieszeni komórkę, przeszukała zdjęcia, wyświetliła fotografię wyciągu bankowego i pokazała go Marii.

– J.T. LeBeau. Pisarz – powiedziała. – Uważamy, że pani mąż może być człowiekiem, który napisał te książki. To by wyjaśniało, skąd wziął pieniądze.

- Tak. Tak, okłamał mnie. Pokłóciliśmy się. To pamiętam.
- Pokłóciliście się o to, że panią okłamywał? – wtrącił Dole.

Wzrok Marii stał się nieobecny, oczy szukały odpowiedzi.

– Pewnie tak – odezwała się po chwili. – Pamiętam, że stałam w kuchni. Myślałam o nim. O tym, jak bardzo go kocham. Wtedy musiał mnie uderzyć.

Dole nabrał powietrza, odczekał, po czym zapytał:

– Uważa pani, że rozmawialiście o tym z mężem? Zażądała pani od niego wyjaśnień? Czy tak to się właśnie stało?

– Uderzył mnie – powiedziała Maria. – Od tyłu. To musiał być on. To mógł być tylko on. Stałam w kuchni. Czekałam na niego. Nie widziałam, kto to był. Poczułam, że coś mnie uderzyło w głowę. Musiał się wkraść drzwiami od frontu.

Dole nie wiedział, czy Maria opowiada na głos to, co pamięta, czy przekonuje samą siebie, co się wydarzyło.

Popatrzyła na niego, po czym powiedziała z pełnym przekonaniem:

- Mąż uderzył mnie w głowę. Próbował mnie zabić.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY ÓSMY

Dwadzieścia minut i hektolitry potu.

Tylko tyle to zajęło.

Daryl rozmawiał z panem Alleyne'em przez trzy minuty. Pokazał mu dowód tożsamości. Paul również pokazał swój dowód. Pan Alleyne się uśmiechnął. Potem poprosił ich, aby poczekali.

Siedemnaście minut później dwóch strażników przyniosło dwie duże skórzane torby.

Dziewiętnaście milionów trzysta tysięcy dolarów. Trzeba było uiścić miejscowe podatki oraz opłaty bankowe, co w sumie wyniosło sześćset dziewięćdziesiąt osiem tysięcy dolarów. Dwa tysiące zapłacili za bezpieczny transport. Paul podpisał zgodę na potrącenie siedmiuset tysięcy. Strażnicy zanieśli pieniądze do samochodu czekającego przed bankiem, włożyli je do bagażnika i otworzyli Paulowi i Darylowi tylne drzwi. W środku znaleźli pełen asortyment szampana, wody niegazowanej, whisky i ginu. Paul nie ośmielił się niczego tknąć, chociaż strażnik powtarzał im wielokrotnie, żeby sobie nalali drinka i odprężyli się. Ochroniarze z banku zawieźli ich na przystań i wnieśli torby na łódź. Daryl dał kapitanowi portu dziesięć tysięcy napiwku, aby w rejestrach nie pojawiła się żadna informacja o ich krótkim pobycie.

Paul miał wrażenie, jakby od wejścia do banku ani razu nie zaczerpnął powietrza. Gdy tylko Daryl uruchomił silnik i odpłynęli z przystani, uklęknął i zaczął oddychać łapczywie jak ryba. Serce mu waliło, oczy wychodziły na wierzch.

Udało się! Zwariowany plan Daryla się powiódł. Przewidział, że bank zablokuje konto, i gładko sobie z tym poradził. Paul usiadł za jego plecami i wybuchnął śmiechem.

Po chwili Daryl przy sterze też się zaczął śmiać. Zdjął marynarkę, zawiązał rękawy i dodał gazu.

Euforia trwała, dopóki nie wypłynęli na otwarte wody, a wyspa nie została daleko za nimi. Daryl zmniejszył ciąg i oparł dłoń na torbie

z ubraniami, która leżała obok niego. Żaden się nie odzywał, zawrót głowy pomalą mijał. Pękate skórzane torby leżały w środku. Bezpieczne. Ulga spłynęła na Paula niczym delikatna, chłodna bryza.

Ale nie trwała długo. Za ledwie moment. Nie było powrotu. Paul pozwolił, aby wezbrał w nim gniew. Poczuł go w zaciśniętych pięściach, w napiętych ramionach i karku. Przez jakiś czas, nie wiedział nawet jak długo, widział przed sobą wyraźnie twarz Linzi. Potem obraz się rozplynął i zamienił w twarz Marii leżącej w szpitalu z rozbitą głową. Zobaczył płomień liżące bagażnik samochodu, poczuł smak pieczonego ciała. Nie wiedział, czy te odgłosy powodowały metal i plastik trawione przez ogień, czy były to krzyki i łomotanie płonącego człowieka. Obrazy, dźwięki i zapachy ulatywały równie szybko, jak się zjawiały, i odsłaniały mężczyznę stojącego do niego plecami. Mężczyznę, który zapłacił za wszystkie wyrządzone innym krzywdy. Kiedy Daryl wpatrywał się w horyzont przed sobą, Paul wyjął z kieszeni nóż. Port nadal majaczył w oddali, lecz prawie niewidoczny. Wpływali na otwarte wody. Gdy tylko Kajmany zostaną w tyle, Daryl wykona swój ruch. Paul nie mógł dłużej zwlekać. To była odpowiednia chwila.

Z początku nie wiedział, jak uchwycić nóż. Wydawał się w dłoni mały i wąty. Po cichu wstał, poczuł pod stopami pokład. Powoli ruszył przed siebie i trzymając nóż jak sztylet, powtarzał sobie, że potrafi to zrobić.

Dzień był piękny, praktycznie bezwietrzny, morze wspaniałe, błękitne. Nad głowami ani jednej chmurki.

Szedł przed siebie. Ten człowiek zrujnował mu życie. Pozbędzie się go na zawsze. Obok łodzi przeleciała fregata, niesiona ciepłym wznoszącym się prądem powietrza, nieco niżej w splecionych spiralach tańczyły dwa tropikalne ptaki z białymi ogonami.

Kolejny krok. Cisza. Powoli. Otworzył drzwi kokpitu i wszedł do środka. Daryl cały czas patrzył przed siebie, skupiony na kursie.

Łódź minęła stado mew odpoczywających na wodzie.

Paul uniósł nóż nad głowę. Wygiął plecy.

Na falujących zmarszczkach wody słońce rozrzucało srebrzyste perły światła.

Jedyny dźwięk dochodził z silnika i sennych uderzeń wody o kadłub.

Napiął ciało w łuk, zacisnął zęby, szeroko otwarte oczy wbił w kark Daryla.

Wrzasnęła mewa.

Ramię Paula wystrzeliło do przodu i z całej siły wbił nóż w plecy Daryla.

Celując w miejsce między łopatkami tuż poniżej karku, włożył w cios całą siłę zaczerpniętą z pleców, ramion, barków. Miał nadzieję przebić kręgosłup na odcinku szyjnym, przeciąć ośrodkowy układ nerwowy, aby Daryl osunął się niczym kukielka z odciętymi sznurkami.

Niestety, prędkość i siła uderzenia zniekształciły tor ruchu; nóż wbił się w ciało Daryla centymetr od kręgosłupa. Siła uderzenia skierowana w dół była tak wielka, że narzędzie przebiło skórę i weszło w ciało aż po trzonek, po czym zjechało i rozcięło mięsień na długość ośmiu centymetrów.

Daryl puścił ster, zamachał ramionami, pochylił się i ugięły się pod nim nogi. Upadł na kolana. Nie krzyknął.

Paul wyciągnął nóż z rany i kiedy wznosił go nad głowę, aby uderzyć drugi raz, poczuł na szyi i brodzie ciepły strumień krwi. Wziął zamach do drugiego ciosu, tym razem mierząc w czubek głowy. Z gardła wymknął mu się mimowolny, piskliwy wrzask, który przybierał na sile, dopóki nie padło drugie uderzenie.

Tym razem nie trafił.

Daryl błyskawicznie wyciągnął w górę ramię i rzucił się w bok. To wystarczyło, aby odbić cios; nóż zabrzęczał, gdy Paul uderzył nadgarstkiem w oparcie krzesła. Nie mógł oddychać. Palce ślizgały mu się na trzonku i Daryl omal nie wytrącił mu go z ręki.

Paul wstał, chwycił swojego wroga za lewą kostkę i zaczął go odciągać od siedzeń i panelu sterowniczego, aby zyskać trochę miejsca i na otwartej przestrzeni skoczyć na jego piersi, a potem, przytrzymując go kolanami, wbić mu nóż w oko.

Z początku Daryl stawiał opór. Złapał się fotela przymocowanego do pokładu i trzymał się mocno, podczas gdy Paul próbował go od niego odciągnąć.

– Puszczaj – sapnął Paul, dźgając go nożem w kostkę.

Daryl w końcu puścił i Paul pociągnął go za stopy. Na deskach została krwawa smuga. W końcu cisnął jego nogi na podłogę i rzucił się do przodu z nożem przygotowanym do uderzenia. Skoczy mu na piersi i zada ostateczny cios.

Nie zauważył zbliżającego się buta, dopóki ten nie dosięgnął jego szczęki. Paul runął na pokład i w tym momencie nóż wypadł mu z dłoni. Rozejrzał się, lecz nigdzie go nie widział. Nóż musiał polecieć głębiej, pod fotel. Dźwignął się na czworaka, rozejrzał w prawo i w lewo, lecz noża tam nie było.

Podniósł głowę i zobaczył, że Daryl znów stoi przy sterze, otwiera torbę i wyjmuje pistolet. Paul podniósł się na nogi i stanął twarzą do wyciągniętej

broni.

Klik.

Wyraz twarzy Daryla się zmienił. Malujące się na niej cierpienie, a także obojętność zastąpił szok. Paul musiał podjąć decyzję. Zaryzykować i rzucić się na niego, zacisnąć mu dłonie na gardle i ścisnąć czy się wycofać? Walczyć czy uciekać?

Zawsze się zastanawiał, jak by to było poczuć w żyłach pierwotną falę adrenaliny. Uciekłby czy walczył? Zgodnie ze wszystkim, co czytał, nie był to wybór w ścisłym tego słowa znaczeniu. Ciało przejmuje kontrolę, w pewnym sensie to ono decyduje o walce i ucieczce i świadoma decyzja nie wchodzi w grę.

Lecz Paul nie zrobił ani jednego, ani drugiego. Drżał na całym ciele, adrenalina napłynęła mu do żył, ale zamiast popchnąć go do walki, przygwoździła go w miejscu. Zupełnie jakby zamienił się w chevroleta camaro, a jakiś świr wciskał jak oszalały pedał gazu tak, że koła się obracały, lecz za szybko, aby samochód mógł ruszyć z miejsca.

Jego przeciwnik pociągnął za zamek i zajrzał do magazynka.

Pusty.

A Paul stał w miejscu, z piskiem opon dymiących na asfalcie.

Daryl sięgnął do torby po nóż. Paul stracił swoją szansę. Strach i niezdecydowanie dokonały za niego wyboru. Nie ma mowy, aby udało mu się obezwładnić uzbrojonego mężczyznę, nawet rannego. Zwłaszcza że to nie był zwyczajny mężczyzna. To był zabójca.

W przeblasku jasnego myślenia uświadomił sobie, że ma tylko jedno wyjście. Odwrócił się i pobiegł w stronę drzwi. Po drodze chwycił obie torby i przerzucił je do jednej ręki, aby drugą otworzyć sobie drzwi, lecz ciężar okazał się zbyt duży, więc jedną upuścił i wybiegł z kokpitu. Począł na Daryla i pchnął drzwi, dokładnie kiedy tamten przechodził przez próg. Niestety, Daryl się tego spodziewał i wystawił stopę, aby odbić je w drugą stronę. Kopnięte drzwi trafiły Paula w twarz. Zatoczył się w tył, z nosa trysnęła mu krew. Uderzył nogami w reling i stracił równowagę. Za chwilę runąłby do wody głową w dół, gdyby Daryl nie wykręcił mu ramienia – trzymał jedną ręką torbę, a w drugiej nóż, który właśnie podnosił, by zatopić go w brzuchu Paula.

Paul puścił torbę i odepchnął się w tył. Zdążył nabrać powietrza, zanim wpadł do wody. W tej samej chwili zobaczył, jak Daryl ciska nożem niczym sztyletem. Na szczęście chybił, ostrze wbiło się w reling. Paul zanurkował i zaczął się oddalać od jachtu. Pracował nogami i rękami; jego płuca krzyczały o powietrze, lecz nie zwracał na to uwagi. Wiedział, że musi

odpłynąć jak najdalej, inaczej na nic to się nie zda. Może nawet lepiej utonąć niż pozwolić, aby dopadł go Daryl.

Od słonej wody piekły go oczy, płuca mu pękały, łapały go skurcze – w nogach, ramionach, żołądku. Okręcił się i zaczął się odpychać jeszcze mocniej, tym razem w stronę powierzchni.

Wynurzył głowę i otworzył szeroko oczy i usta. Udało mu się oddalić kilkanaście metrów. Nie widział na pokładzie Daryla. W każdej chwili spodziewał się usłyszeć warkot silnika i zobaczyć łódź skręcającą w jego stronę. Żeby go staranować w wodzie.

Zaprzągł ponownie do pracy bolące mięśnie i znów zanurkował.

Dopłynięcie do brzegu zajmie mu co najmniej godzinę. Jeśli będzie płynął głównie pod wodą i zmieniał co jakiś czas kierunek, raz w lewo, raz w prawo, pod kątem do brzegu, to może Daryl go zgubi.

Spieprzył sprawę, i to ostro.

Nie ma pieniędzy. Nie ma pomocy. Nie ma łodzi.

Ale nie może teraz o tym myśleć. Tylko jedna rzecz utrzymywała go w tym momencie przy życiu, napędzała jego ręce i nogi.

Strach. Strach, że nie dopłynie do brzegu. Nie bał się śmierci. Bał się, że jeśli teraz utonie, nikt nie powstrzyma Daryla. Tego człowieka trzeba zabić. Paul nie może pozwolić, żeby ponownie skrzywdził Marię. Będzie chciał ją zamordować, ponieważ przeżyła poprzedni atak. Zabije ją, gdy tylko Maria się obudzi.

Musi go powstrzymać. Ruszył przed siebie w stronę brzegu, nie zważając na ból, wyczerpanie i pokusę, żeby po prostu opaść na dno.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY

Daryl szarpnął za nóż, który tkwił w relingu. Udało mu się już wciągnąć torbę z pieniędzmi na pokład, żeby nie wpadła do morza.

Wyglądało na to, że z nożem pójdzie trudniej. Ostrze poruszało się we włóknie szklanym w obie strony, lecz nie mógł zrozumieć, czemu nie może go wyciągnąć.

Spróbował szarpnąć jeszcze raz, jak najmocniej, lecz nagle stwierdził, że nie może nawet zacisnąć na nim dłoni. Zakręciło mu się w głowie i osunął się na reling. Próbował się podźwignąć, lecz buty ślizgały się po pokładzie. W końcu jakoś się wyprostował, spojrział w dół i zobaczył pod stopami krew. Całe plecy miał mokre od krwi i potu.

Zwymiotował za burtę. Potem powoli i ostrożnie, dysząc głośno, wrócił do kajuty.

Miał ochotę zamordować Paula tu i teraz. Wypatroszyć go. Powoli pokrajać na kawałki. Sprawić mu największy ból świata.

Zdawał sobie jednak sprawę, że jest za słaby. Kręciło mu się w głowie i bardzo, ale to bardzo chciało mu się pić. Apteczka leżała pod fotelem sternika. Wyciągnął ją, otworzył i wyjął opatrunki oraz bandaż.

Doszedł do wniosku, że minęło jakieś półtorej minuty od chwili, gdy Paul wbił mu nóż w plecy. Było to pocieszające. Gdyby trafił w tętnicę, Daryl już by nie żył.

A skoro tak się nie stało, miał jeszcze szansę. Ale musi działać szybko. Wyjął z apteczki wszystkie opatrunki i sięgnął prawą ręką za głowę, lecz gdy tylko zgiął rękę mocniej, odezwał się ból i przybierał na sile, im bardziej Daryl wyciągał ramię.

Trudno było wymyślić gorsze miejsce do opatrywania rany.

Zaciskając mocno powieki, zgrzytając zębami i sapiąc, aż pierś unosiła się i opadała, w końcu się pochylił i przyłożył gazę do rany. Trzymając za koniec bandaża, przerzucił rolkę nad ramieniem i sięgnął lewą ręką do karku, aby ją uchwycić; potem owinął bandaż wokół barku i powtórzył te czynności.

W ten sposób udało mu się dwukrotnie owinąć ranę opatrunkiem. Ściągnął mocno oba końce bandaża, z trudem się powstrzymał, żeby znowu nie zwymiotować, i w końcu je zawiązał.

Lekki ucisk opatrunku zatamuje trochę krwotok, ale nie powstrzyma go całkowicie. Uruchomił silnik i skierował łódź w kierunku Miami.

Czuł, jak krew przesiąka w spodnie i siedzenie.

Nie ma rady. Z największą chęcią zawróciłby łódź i ruszył w pościg za Paulem, ale nie powinien trwonić czasu na zemstę. Nie mógł popłynąć z powrotem na Wielki Kajman, bo władze na wyspie na pewno już wiedzą, po co tam przyплыł. Gdyby zawrócił, zatrzymaliby go i po opatrzeniu rany wzięli na przesłuchanie.

Nie, jego jedyną nadzieją jest Miami – cztery lub pięć godzin drogi przy sprzyjającym wietrze, takim jak teraz. Może dać radę. W Miami bez trudu znajdzie lekarza, który go zaszyje, poda antybiotyki i środki przeciwbólowe i nie będzie zadawał pytań.

Jeśli dopłynie.

Naparł plecami na oparcie, aby mocniej ucisnąć ranę. Poczuł kolejny strumień krwi, powstrzymał się, żeby nie krzyknąć, po czym skoncentrował się na sterowaniu łodzią.

Da radę, powtarzał sobie.

Miał pieniądze i na razie to było najważniejsze. Już raz wytropił Paula Coopera, może to zrobić ponownie.

Chwycił za ster, zmusił się do otwarcia oczu i skupił uwagę na horyzoncie.

Nagle poczuł na czole ostry ból. Zdał sobie sprawę, że zemdlał i uderzył głową o koło sterowe. To nie mogło trwać długo, najwyżej kilka sekund, ale Daryl się przeraził.

Nie dopłynie do Miami żywy. Nie ma jak zaszyć rany. Znajduje się na otwartym morzu, a jeśli wróci na Kajmany, czekają go przesłuchanie, policja i więzienie.

Musi trzeźwo myśleć. Nie może popełnić błędu. Musi myśleć albo umrze.

Zmniejszył obroty silnika i zwolnił. Potem go wyłączył, wstał i poszedł w głąb kokpitu. Pot zalewał mu oczy. Doszedł do ławy, podniósł siedzenie i wyjął zestaw ratowniczy. Położył go na stole i otworzył.

Wybrał flarę sygnalizacyjną i wyszedł na pokład. Odwinął bandaż, zdjął koszulkę i stanął na pokładzie z rozstawionymi nogami. Złapał rytm kołysania łodzi. Sięgnął w tył nad ramieniem. Z wysiłku zaczął płakać. Po policzkach popłynęły mu łzy, kiedy opuszczał dłoń za plecami. Flara

przyciągnie każdy znajdujący się w pobliżu statek. Przyplyną, jeśli zobaczą sygnał. Tak się dzieje na morzu. Ludzie sobie pomagają, bez względu na wszystko.

– Pieprzyć to – warknął i zerwał kapturek flary.

Nie wezwie pomocy. W zasięgu wzroku nie ma żadnych łodzi ani statków.

Zapłonął chlorek sodowy. Daryl sięgnął ponownie przez ramię i najdokładniej, jak mógł, przyłożył do rany płonąca główkę flary. Musi powstrzymać krwawienie. To jedyny sposób. W tym samym momencie usłyszał skwierczenie skóry i poczuł smród palonego mięsa. Z gardła wyrwał mu się wrzask, jaki wydaje tylko umierający człowiek.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY

– Na miłość boską, jak się otwiera ZIP-a? – spytał Dole.

Wstał z za biurka, a na jego miejscu usiadła Bloch. Szeryf skrzyżował ramiona na piersi, pokręcił głową i wydał policzki. Do niektórych wynalazków techniki trudniej było się przystosować niż do innych. Bloch spiorunowała go wzrokiem, po czym wzięła do ręki mysz. Kliknęła kilka razy i oznajmiła:

– To wydruk.

Obok biurka zawarczała drukarka i po chwili zaczęła wypływać strony. Dole wziął do ręki pierwszy arkusz, popatrzył, po czym rzucił go na biurko przed swoją zastępczynią.

– Ja z tego nic nie rozumiem. Co to jest, do diabła?

Bloch przestudiowała uważnie wydrukowane informacje.

Była to lista SMS-ów. Wszystkie wiadomości wysyłane z telefonu Marii. Niestety, nie można było zestawić obu stron rozmowy, jedynie te pisane przez Marię z datą i godziną wysłania.

Wstała, wzięła do ręki kolejne strony wypływane przez drukarkę, przejrzała je i podniosła kolejną.

– No więc tak. Otworzyli telefon i program komputerowy wyłapał wysłane wiadomości. Potem drugi program znajduje wiadomości przychodzące. Musimy to posklejać, jak puzzle – powiedziała.

Dole wzniósł oczy i ręce do nieba.

– Zdawało mi się, że technika miała ułatwiać ludziom życie. Nie cierpię puzzli.

Jego zastępczyni stłumiła uśmiech. Czekali, aż drukarka skończy pracę. Zajęło to dwadzieścia minut i dwa razy musieli uzupełniać papier. Kiedy skończyła, na biurku przed nimi piętrzyła się sarta około sześciuset arkuszy.

Razem uprzątnęli biurko i podzielili strony. Mieli już SMS-y wysłane przez Marię i teraz musieli złożyć całą historię do kupy.

Na dnie sterty znajdował się wykaz połączeń. Dole znalazł połączenia z dnia poprzedzającego włamanie, aż do momentu napaści na Marię, i odłożył je na oddzielną kupkę.

Pracując razem, ułożyli zgrabne stosy wysłanych wiadomości, uporządkowanych według dat, po czym dopasowali je do odpowiedzi.

Po kolejnych dziesięciu minutach Dole oznajmił:

– Nie umiem tego odczytać, w każdym razie w tym kłębowski wiadomości i numerów. Dlaczego nie możemy po prostu zajrzeć do tego przeklętego telefonu?

Bloch pokiwała głową.

– Skoro już mamy ten wydruk, to sprawdzmy przynajmniej ostatnie wiadomości. Później odzyskamy telefon.

Zgodził się niechętnie. Zajrzał ponownie do wiadomości i próbował je przeczytać. Na niektórych arkuszach widniały nazwy kontaktów, które musiały odpowiadać książce telefonicznej w komórce Marii. Pralnie. Prośby o datki charytatywne. Zignorował je i patrzył dalej, dopóki nie znalazł historii wiadomości wysłanych na numer, który nie miał odpowiadającego mu kontaktu. W pierwszej chwili doszedł do wniosku, że nie ma w nich nic ciekawego, lecz potem zobaczył małe cyferki oznaczające datę i godzinę wysłania jednego z SMS-ów. Dzień po włamaniu.

Moje małżeństwo się rozpadło. Potrzebuję twojej pomocy.

– Spójrz na to. Sprawdź swoją kupkę odpowiedzi i poszukaj esemesa wysłanego z numeru komórkowego bez przypisanego kontaktu – powiedział Dole.

Po kilku minutach przeglądania papierów Bloch znalazła to, czego szukali. Jedyna zapisana wiadomość.

Czego tylko potrzebujesz. Zrobię dla ciebie wszystko.

Data i czas się zgadzały. To była odpowiedź na poprzednią wiadomość.

Zanim Dole zdążył się odezwać, Bloch złapała jego telefon, zadzwoniła do zakładu kryminalistyki w Bay City i poprosiła o ustalenie właściciela numeru, z którego prowadzono tę rozmowę.

– Kazali mi czekać – rzuciła.

– Na rany Chrystusa – mruknął szeryf. – Nie znoszę tych hakerskich bzdur.

– Zauważyłam.

– Wolę prawdziwą policyjną robotę, Zapukać do drzwi. Spojrzeć człowiekowi w oczy.

Po paru minutach niecierpliwego oczekiwania Bloch ożywiła się przy telefonie. Chwyciła długopis i zaczęła coś notować. Zadała kilka pytań, po czym się rozłączyła.

– To jednorazówka.

– Co? – rzucił. – Myślałem, że telefon komórkowy.

Pokręciła głową.

– Jednorazówka to też komórka, tylko na kartę. Na swój sposób anonimowa. Wiemy jedynie, że kupiono ją kilka lat temu w sklepie na Manhattanie i miała wtedy na koncie kilkaset dolarów. Od tamtej pory mogła przejść w inne ręce. Takie używane telefony można kupić w całym kraju za dziesięć dolarów.

– Do kogo ona napisała tego esemesa?

– Wygląda na to, że to ktoś, kto próbuje jej powiedzieć, że ją kocha. Maria nie ma rodziny. W każdym razie nikogo nie znalazłam. Albo próbowała kimś manipulować, albo miała romans.

– Z Oakesem?

– To by wyjaśniało kilka rzeczy.

Dole'owi zadrgała górna warga.

– Mówisz, że ta jednorazówka została kupiona na Manhattanie?

– Tak. Mam adres. Chcesz, żebym tam zadzwoniła i sprawdziła, czy prowadzą jakiś rejestr?

Zerknął na zegarek.

– Nie, chodźmy zapukać do drzwi. Możemy jeszcze dzisiaj po południu pojechać do Nowego Jorku. Mamy tam do sprawdzenia kilka rzeczy.

– Jakich? – zdziwiła się Bloch.

– Na przykład adres LeBeau Enterprises. Sklep z komórkami. I...

– I co?

Szeryf wstał, odwrócił się i wziął do ręki jedną z książek LeBeau. Otworzył ją na stronie redakcyjnej.

– I wydawnictwo J.T. LeBeau. Mieści się w dzielnicy Flatiron w Nowym Jorku.

Dziesięć minut później Sue zarezerwowała dwa bilety na najbliższy lot na Lotnisko Kennedy'ego, a Bloch pruća w kierunku Bay City z prędkością stu czterdziestu kilometrów.

Mając chwilę na spokojne myślenie, Dole doszedł do wniosku, że powinien poinformować policję na Manhattanie. Dla formalności. Zadzwonił do Sue i poprosił, żeby zrobiła to w jego imieniu.

– Znajdź detektywa Micka Longa z siedemdziesiątego pierwszego posterunku. Powiedz, że to tylko telefon grzecznościowy. Muszę

porozmawiać z kilkoma osobami, a nie chcę się wpackować w jakieś jurysdykcyjne bzdety. On rozumie. Znam się z Mickiem od lat. Ale pod żadnym pozorem nie dzwoń do wydawnictwa. Nie chcę, żeby nas odprawili. To zbyt ważna sprawa, żeby mi jakiś arogancki urzędas truł dupę na temat umawiania wizyt.

Rozłączył się i kazał Bloch zwolnić. Wiedział, że prędzej może zginąć w drodze na lotnisko niż w samolocie. Zwłaszcza kiedy za kierownicą siedziała jego zastępczyni.

– Cieszę się, że masz znajomych w Nowym Jorku, bo ja przed odejściem spaliłam za sobą mosty.

– Naprawdę? Twój szef był innego zdania. Wystawił ci świetne rekomendacje. Widziałem je w twojej kartotece.

– Dlatego, że chciał się mnie pozbyć.

Przez twarz Bloch przemknął nieprzyjemny wyraz, jakby wzięła do ust coś kwaśnego i miała ochotę to wypluć. I na swój sposób to zrobiła, zmieniając temat.

– Myślisz, że Maria poradzi sobie w sądzie? – spytała.

Dole pomyślał, że owszem, poradzi sobie, Bloch nie będzie jej wiozła na rozprawę. Biedaczka zamieniłaby się w strzępek nerwów, gdyby musiała jechać jako pasażerka jego zastępczyni.

– Jest twarda – odparł. – Nie pamięta wszystkiego tak dobrze, jak powinna, ale myślę, że do czasu procesu nabierze sił. Stawiam, że wycycka każdego obrońcę.

– Będzie potrzebowała biegłego psychologa – zauważyła Bloch.

– To będzie zależało od prokuratora okręgowego. Z początku wydawała się roztrzęsiona, ale kiedy wychodziliśmy, mówiła już całkiem przekonująco. Wiem, że na plaży była w szoku, ale wtedy miała krwotok w mózgu. Z dnia na dzień czuje się coraz lepiej.

– Więc co, wykluczamy Oakesa z grona podejrzanych? – spytała Melissa.

– Na to wygląda. W jego domu niczego nie znaleźliśmy. Od kilku dni nie pokazał się w pracy i mówi, że był chory. To wszystko. Za mało, żeby go aresztować. Może zdobędziemy na niego coś więcej. Może ta jednorazowa komórka należała do niego. Nie wiem. Ja tego nie kupuję. Facet nie wygląda mi na romantyka. Maria napisała, że jej małżeństwo się rozpadło. To jeszcze bardziej obciąża jej męża, ale...

– Ale co?

– Może Oakes nie zaatakował Marii, ale pomógł Cooperowi?

– Czemu miałyby to robić?

– Myślę, że facet, który ma na koncie dwadzieścia milionów dolarów, może liczyć na każdą pomoc, nie sądzisz?

Bloch skinęła głową.

– Ale i tak piekielnie by ryzykował – powiedziała. – Cały ten szum w telewizji i tak dalej.

Dole złapał za uchwyt nad drzwiami, bo ścinając skręt w lewo, przejechała po chodniku.

– Odnoszę wrażenie, że Oakes nie stroniłby od ryzyka, jeśli zapłata byłaby wystarczająca.

– Zapłata? – rzuciła. – Zaraz, zaraz, a może patrzymy na tę sprawę od niewłaściwej strony?

Przed oczami szeryfa przemknęła reprodukcja wisząca w jego gabinecie. I Bloch, która mówi mu podczas rozmowy kwalifikacyjnej, że obraz wisi do góry nogami.

– A jeśli Maria miała romans z Darylem Oakesem? – ciągnęła. – Jeśli dopiero potem odkryła, że jej mąż to LeBeau i że ma w banku dwadzieścia milionów dolarów? Powiedziała o tym Daryłowi. Może ją zachęcał do konfrontacji z Paulem i zażądania części pieniędzy? Może jej obiecał, że uciekną razem z kilkoma milionami? A w rzeczywistości wykorzystywał ją, żeby położyć łapę na kasie. To bardziej pasuje do faceta, z którym rozmawialiśmy przed jego domem – stwierdziła Bloch.

– No dobrze, ale kto napadł na Marię? Nadal wszystko bardziej wskazuje na Coopera, prawda?

Bloch nie odpowiedziała. Wcisnęła gaz i chwyciła mocniej kierownicę.

Dojechali na lotnisko w pół godziny. Zaparkowali na zakreskowanym miejscu, nie zważając na mandaty, i razem poszli w kierunku terminalu. Bilety już na nich czekały. Wrzucili broń do pojemnika dla policji, a ponieważ pracownicy bezpieczeństwa transportu nie sprawiali im trudności, poszli prosto do samolotu i wsiedli na pokład jako pierwsi, zanim zaczęto wpuszczać pasażerów. Czekali trzy i pół godziny lotu do Nowego Jorku. Melissa zabrała ze sobą wydruk z komórki Marii, aby przeglądać go w podróży, a Dole zamierzał przeczytać powieść J.T. LeBeau. Nie pierwszą, jak radziła Melissa, ani nie najnowszą. Wybrał ją na chybił trafił, nosiła tytuł *Upadek anioła*. Kiedy koła samolotu oderwały się od pasa startowego, otworzył książkę. Zasnął, zanim dotarł do ostatniej linijki na pierwszej stronie.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIERWSZY

Paul Cooper dowlókł się wycieńczony do plaży przed dwoma ogłupiałymi miejscowymi rybakami, którzy sprawdzali sieci i przygotowywali się do wypłynięcia w morze na katamaranie. Przez jakiś czas leżał na piasku, łapiąc oddech i pozwalając odpocząć zmęczonym mięśniom.

Po chwili jednak zmusił się, aby wstać. Gdyby został tu trochę dłużej, zaczęłyby go łapać skurcze i w ogóle nie mógłby się ruszyć przez wiele godzin. Otrzeptał mokre ubranie z piasku, pomachał do rybaków i ruszył plażą w kierunku drogi. Nie miał wątpliwości, że ci mężczyźni nigdy jeszcze nie widzieli białego mężczyzny wyrzuconego przez morze na brzeg. No cóż, zawsze kiedyś jest pierwszy raz.

Natomiast Paul nie pierwszy raz zaczynał od zera. Już kilka razy musiał wszystko za sobą zostawić. Opuścił kiedyś mieszkanie obciążone długami. Komornicy przejęli jego samochód. Musiał nawet oddać psa, ponieważ stracił pracę.

Oczywiście wszystkimu był winien J.T. LeBeau.

Plaża prowadziła prosto na dwupasmową drogę. Po prawej stronie ciągnął się rząd pawilonów handlowo-usługowych ze stacją benzynową. Idąc w ich kierunku, wyjął koszulkę. Upał zrobił resztę. A czego nie zrobił, można było złożyć na karb wilgotnego powietrza. Kiedy Paul dotarł na stację benzynową, nie wyglądał gorzej niż wszyscy inni ludzie, którzy spędzili cały dzień na dworze. Poza tym, że pachniał morzem, a jego buty skrzypiały przy każdym kroku. Z tyłu za stacją benzynową znajdowały się automaty telefoniczne. Pierwszy, ze zwisającą słuchawką, był na w pół oderwany od ściany. W drugim w ogóle nie było słuchawki. Do trzech razy sztuka... trzeci na szczęście działał. Paul wybrał numer operatora i zamówił połączenie na koszt rozmówcy z Nowym Jorkiem. Podał operatorce numer swojej agentki i czekał.

Mniej więcej po dwóch minutach usłyszał kliknięcie i głos w słuchawce poinformował go, że został połączony.

– Jezu, Paul! – wybuchła Josephine. – Myślałam, że nie żyjesz! W wiadomościach mówili, że zaginąłeś. Nie widziałeś tego w telewizji? Gdzieś ty się podziewał? Odchodziłam od zmysłów ze zdenerwowania. Zadzwoiłam na policję w Nowym Jorku i poprosiłam, żeby skontaktowali się z Port Lonely i... Rany, nie masz pojęcia, jacy oni są beużyteczni! Nie kiwnęli nawet palcem. Maria leży w szpitalu. Szeryf Port Lonely mówił w telewizji, że to ty ją napadłeś, ale ja w to nie wierzę. Błagam, powiedz, że nic ci nie jest i to wszystko jest jedną wielką pomyłką.

– Nie skrzywdziłem Marii. Później ci to wyjaśnię, na razie musisz mi pomóc. Potrzebuję pieniędzy. Przy Parade Street na Wielkim Kajmanie jest Western Union. Możesz wysłać mi pięć tysięcy?

– Jasne, mogę to zrobić, ale... mam ochotę zapytać, co się stało z pieniędzmi, które ci dałam. I z twoim kontem.

Paul podniósł głowę.

– Wszystko przepadło – powiedział. – Niewiele mogę na to poradzić. Sytuacja się zmieniła, Josephine. Miałem rację. LeBeau mnie znalazł.

– O Boże! Gdzie jesteś? Pojadę po ciebie, pójdziemy na policję i wszystko wyjaśnimy.

– Nie. Nie mogę iść na policję. Szukają mnie pod zarzutem usiłowania morderstwa. A ja nie mam żadnych dowodów. Jak zawsze. Ten facet nie zostawia śladów. Sam muszę się tym zająć.

– Nie możesz tego robić w pojedynkę.

– Muszę. Już dawno powinienem był to zakończyć. Muszę naprawić ten błąd.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DRUGI

Dole musiał przyznać, że jak na nieduże, spokojne Biuro Szeryfa w Port Lonely jego podwładni potrafią być nieprawdopodobnie skuteczni. Kiedy on i Bloch wysiedli z samolotu, okazało się, że Sue zdążyła już zarezerwować samochód. Czekał na nich dwudziestokilkuletni mężczyzna trzymający iPada z wyświetlonym na ekranie napisem *Szeryf Abraham Dole*. W pierwszej chwili Dole pomyślał, że to nowojorska policja próbuje utrudniać mu dochodzenie, lecz przyjrzał się młodzieńcowi uważniej i doszedł do wniosku, że to nie jest policjant. I rzeczywiście, kiedy do niego podeszli, chłopak przedstawił się jako Martin z wypożyczalni samochodów Avis.

Zaprowadził ich do działu bagażowego, żeby odebrali swoją broń, a następnie na zewnątrz do elektrycznego wózka transportowego. Dziesięć minut później wysadził ich przy zarezerwowanym samochodzie. Dole podpisał dokumenty, dał Martinowi dwadzieścia dolarów napiwku i machnął mu ręką na znak, że dalej poradzą sobie sami.

Począł, aż Bloch wyprowadzi samochód z miejsca parkingowego, po czym usiadł na miejscu pasażera. W środku śmierdziało pieczonym kurczakiem i cytrynowym odświeżaczem powietrza.

– Muszą wypożyczać ten samochód wszystkim przyjeżdżającym policjantom – stwierdziła Bloch.

Spora jeździła po Nowym Jorku. Mieszkała kiedyś w New Jersey i przez rok pracowała w zachodniej części Manhattanu. Ponieważ życie w mieście było za drogie, codziennie dojeżdżała do pracy. Dole wiedział, że jej ojciec też był policjantem i pracował w tej samej dzielnicy. Nigdy nie pytał, dlaczego stamtąd odeszła, i szczerze mówiąc, nie chciał tego wiedzieć. Domyślał się, że nie integrowała się dobrze z ludźmi, to było aż nadto oczywiste. Złożyła prośbę o przeniesienie z Nowego Jorku i nigdzie nie zagrzała miejsca, dopóki nie przyjechała do Port Lonely, które również z początku wydawało się tylko kolejnym przystankiem na drodze do

następnego miejsca. Ale została. Dole znalazł jej kartotekę na pamięć. I chciał, żeby została na zawsze.

Pojechali Grand Central Parkway w kierunku Randall's Island, a następnie FDR Drive do zjazdu w stronę parku. Bloch poprosiła Dole'a, aby jej jeszcze raz podał adres. Kiedy szeryf odczytał go z notesu, skinęła głową i wjechała w Drugą Aleję, po czym ruszyła w kierunku centrum.

Zaparkowali przy Osiemdziesiątej Piątej Ulicy, wysiedli i idąc pieszo na wschód, dotarli do budynku z wielkimi oknami i amerykańską flagą łopoczącą nad wejściem.

Bloch jeszcze raz spytała o adres, Dole powtórzył i obserwował, jak dziewczyna wpisuje go w swojej komórce, po czym stwierdza, że znajdują się we właściwym miejscu.

– Niech to szlag – zaklął.

– Chyba nie sądziłeś, że to będzie aż takie proste, co?

– Jasne, że nie sądziłem, ale mimo wszystko spodziewałem się czegoś więcej.

Przyjechali pod adres, na który zarejestrowano LeBeau Enterprises – Osiemdziesiąta Piąta Wschodnia, numer dwieście dwadzieścia dziewięć. Tylko że pod tym adresem figurował jedynie Urząd Pocztowy Gracie Station.

Weszli do środka i podeszli do okienka, aby poprosić o wezwanie kierownika. Tym razem szeryf pozwolił mówić swojej zastępczyni. Oboje byli w mundurach i z bronią przypiętą do pasa, lecz nie powstrzymało to kilku osób stojących w kolejce przed gniewnymi okrzykami w ich stronę.

Dole tęsknił za Nowym Jorkiem. Kiedy przyjechał tu z wiejskich rejonów rodzinnej Alabamy, aby wstąpić do policji, sądził, że nigdy już stąd nie wyjedzie. W końcu wyjechał z powodu Eden. Kiedy zmarła, dręczyło go widmo życia, które ich ominęło. Wszędzie widział jej twarz: przy stolikach za oknami kawiarni, do których przychodzili razem; w blasku neonu odbitym w kałuży na Times Square; w szybie metra w środku nocy; w wypolerowanej lufie swojego policyjnego Smitha and Wesson. I czuł jej zapach. Unosił się w mieszkaniu, w pościeli, na ubraniu. Zrozumiał, że musi stąd wyjechać. Czuł się teraz, jakby wkroczył w cudze życie, we wspomnienia, które nie należały do niego, znajome, lecz nie tak bardzo bolesne, niektóre nawet miłe. Zdał sobie sprawę, że tęsknił za tym miastem.

Po krótkiej chwili oczekiwania wyszedł do nich blady, łysiejący mężczyzna w poplamionej koszuli. Potwierdził, że Urząd Pocztowy Gracie Station służy za adres wielu firmom, w tym również LeBeau Enterprises.

Co miesiąc zjawia się inny kurier z upoważnieniem i opróżnia skrytkę. To wszystko.

A więc kłapa.

– Nadal uważasz, że pukanie do drzwi jest najlepszym sposobem? – spytała Bloch.

– Takie niepowodzenia zdarzają się na każdym kroku – zauważył Dole. – Przynajmniej posuwamy się do przodu. Spróbujmy ze sklepem.

Dwadzieścia minut później weszli do marketu 7-Eleven. Przy kasie stał blady, spocony mężczyzna po pięćdziesiątce z krzaczastą, potarganą brodą. Miał na sobie stary, żółty sweter, a pod spodem koszulkę polo. Wyglądał, jakby szykował się do uderzenia na polu golfowym w Czarnobylu.

– Dzień dobry, policja – powiedział Dole, migając odznaką, ale zbyt wolno, by sprzedawca nie zauważył, że nie jest to odznaka policji nowojorskiej. – Może mógłby nam pan pomóc. Czy mieścił się tu kiedyś sklep z telefonami komórkowymi?

– Nie jesteście z Nowego Jorku – zauważył sprzedawca.

– Nie. Prowadzimy śledztwo w innym stanie, ale współpracujemy z nowojorską policją. Więc jak, czy kilka lat temu mieścił się tu sklep z komórkami?

– Nie, zawsze był tu Seven-Eleven. Od dziewięćdziesiątego drugiego roku, kiedy go kupiłem.

– Pan jest właścicielem? – spytał Dole.

– Tak.

Bloch popatrzyła na sweter mężczyzny za kontuarem.

– Powinien pan dać sobie podwyżkę.

– Moja koleżanka chce przez to powiedzieć, że najwyraźniej interes panu kwitnie, skoro siedzi pan tu tak długo. Proszę mi opowiedzieć o telefonach komórkowych. Mamy informację, że kilka lat temu sprzedał pan w tym sklepie telefon komórkowy na kartę.

– Nadal je sprzedajemy – odparł mężczyzna, wskazując oszkloną wystawę pod kontuarem.

Dole cofnął się o krok, spojrzał na wystawę i zobaczył kilka małych telefonów komórkowych w plastikowym zgrzewanym opakowaniu.

– Pewnie nie prowadzicie ewidencji osób, którym je sprzedajecie? Człowiek, który go kupił, doładował telefon kartą za dwieście dolarów, prawdopodobnie również od was – powiedział.

– Nie ma szans. Mnóstwo ludzi bierze karty z doładowaniem, kiedy kupuje komórkę. Nie prowadzimy ewidencji.

Bloch rozejrzała się po sklepie i wskazała kamerę na ścianie za plecami sklepikarza.

– Nie ma pan nagrań z tego okresu?

– Nie, ta kamera jest tu tylko dla picu. Od lat nie działa.

– A co z potwierdzeniami płatności kartami kredytowymi? – spytał Dole.

– Nie przyjmujemy kart kredytowych – odparł sprzedawca, wskazując tabliczkę po prawej stronie lady, informującą PŁATNOŚĆ TYLKO GOTÓWKĄ.

Ostatnia szansa, pomyślał szeryf.

– I nie pamięta pan mężczyzny, który u pana w sklepie kupił telefon i kartę z doładowaniem za dwieście dolarów?

– Nie pamiętam nawet ostatniego klienta. Przykro mi. Nie mam pojęcia.

Dole i Bloch wymienili spojrzenia.

– Jeśli niczego nie kupujecie, to zabierajcie się stąd z powrotem na Florydę – burknął właściciel marketu.

– Ech, brakowało mi tego miejsca – rzuciła Bloch.

Pięć po wpół do piątej Dole i Bloch weszli do holu budynku w dzielnicy Flatiron, wykończonego jasną sosną i kamieniem i zapełnionego półkami książek w twardych oprawach, ustawionych frontami do przodu. Za marmurowym kontuarem siedziała recepcjonistka, za jej plecami wisiała tablica z nazwami firm mieszczących się w budynku. Było ich niewiele. Właśnie to miejsce stanowiło prawdziwy cel ich podróży, lecz skoro już tu przyjechali, nie mogli sobie odmówić sprawdzenia pozostałych adresów. W końcu mieli po drodze.

Recepcjonistka wskazała im miejsce, aby usiedli, i wzięła do ręki telefon. Wkrótce ktoś do nich wyjdzie, oznajmiła.

Kilka minut później w holu zjawiała się wysoka jasnowłosa kobieta w dżinsach i czarnym swetrze, ze sztucznym uśmiechem na twarzy. Powiedziała, że dostaną dziesięć minut na rozmowę z panem Fullertonem, lecz najpierw musi wiedzieć, w jakiej sprawie przyszli.

– W sprawie J.T. LeBeau – odparł Dole. – Chodzi o poważne przestępstwo, proszę pani.

To nazwisko zdmuchnęło z twarzy kobiety fałszywy uśmiech.

– Mam na imię Sarah. Proszę pójść ze mną na górę, będą mogli państwo porozmawiać na osobności z panem Fullertonem.

Zaprowadziła ich do windy i wjechali na czternaste piętro. Weszli do wielkiej sali z biurkami, stertami manuskryptów i książek zapełniających

niemal każdą wolną przestrzeń. W większości pracowały tu młode kobiety. W kącie na drugim końcu sali znajdował się oszklony gabinet. Sarah otworzyła drzwi i Bloch weszła pierwsza, a za nią Dole. Za dużym biurkiem z granitowym blatem siedział bardzo wysoki mężczyzna po sześćdziesiątce, ubrany elegancko, lecz swobodnie, w granatowe bawełniane spodnie, niebieską koszulę i ciemnoszarą kamizelkę. Miał siwe, falowane włosy i miły uśmiech. Kiedy wszyscy znaleźli się w środku, mężczyzna wstał i wyszedł z za stert piętrzących się papierów, aby uściśnąć im dłonie.

– Theo Fullerton, jestem prezesem wydawnictwa. Miło mi państwa poznać. Znam Port Lonely. Jeździliśmy tam z żoną na wakacje, kiedy dzieci były małe. Przepiękne miejsce. Co państwa tu sprowadza?

– Szeryf Abraham Dole, a to moja zastępczyni, Melissa Bloch. Mamy nadzieję, że może nam pan pomóc. W dochodzeniu, które prowadzimy, wypłynęło nazwisko waszego autora. Potrzebujemy informacji w tej sprawie. Chodzi o J.T. LeBeau.

Obserwując uważnie twarz Fullertona, Dole zauważył zmarszczkę, która pojawiła się na jego czole na dźwięk tego nazwiska. Wydawca spojrział na Sarah, potem na Dole'a i po chwili zmarszczka wygładziła się w nowojorskim uśmiechu.

– To nasz złoty chłopiec, panie szeryfie. Przypuszczam, że przeprowadził pan już wstępne dochodzenie i wie o nim tyle samo co ja. Proszę usiąść.

Siadając na skórzanym fotelu, Dole przygryzł wargę, aby zamaskować ból, który przeszył jego kolana. Fullerton również usiadł, odchylił się na oparcie fotela i przekrzywił lekko głowę.

– Nie możemy zdradzić wszystkich szczegółów dochodzenia – powiedział szeryf. – Musi pan to zrozumieć. Posiadamy informacje, które wydają się wskazywać, że jeden z mieszkańców Port Lonely jest pisarzem J.T. LeBeau.

– Zna pan jego nazwisko? – spytał Fullerton.

Mówiąc to, wyprostował się, a potem pochylił do przodu, opierając łokcie na biurku i łącząc dłonie. Wyglądał jak dziecko, które ma właśnie dostać prezent urodzinowy.

– Tak, znamy nazwisko. Niestety, ta osoba jest obecnie uważana za zaginioną. Muszę uprzedzić, że może nawet nie żyje. Mogę podać więcej informacji, ale chcę najpierw poznać pańskie relacje z LeBeau. – Szeryf postanowił nie mówić, że jeśli Paul Cooper wpadnie w ich ręce, aresztują go i oskarżą o usiłowanie zabójstwa. Wydawca mógłby stracić chęć do

pomocy, jeśliby się dowiedział, że jego „złoty chłopiec” może trafić za kratki na trzydzieści lat.

– O mój Boże, ależ naturalnie służę wszelką pomocą. Niestety, niewiele o nim wiemy. Osobiście nigdy nie spotkałem J.T. LeBeau. Nikt z naszego wydawnictwa nie widział go na oczy. Dostarcza manuskrypty kurierem, któremu płaci gotówką. Koperta jest zawsze zaadresowana osobiście do mnie. Po zredagowaniu książki wysyłamy manuskrypt na adres skrytki pocztowej. Autor dokonuje poprawek, po czym tekst wraca do nas. To cały kontakt, jaki z nim mamy.

– A co z umowami, honorariami i tak dalej? – spytał Dole.

– Wszystko załatwiamy mailowo. Wysyła do mnie zaszyfrowany e-mail. I zanim pan zapyta, od razu dodam, że adres nadawcy jest ślepym zaułkiem. Kilku naszych informatyków próbowało kiedyś wytropić jego IP. Okazało się, że wiadomości idą przekierowywane przez kilka krajów. W każdym razie, kiedy manuskrypt do mnie wraca, negocjujemy warunki, a następnie spisujemy umowę i wysyłamy ją mailem. LeBeau podpisuje ją i odsyła do nas, a my wypłacamy pierwszą zaliczkę na konto LeBeau Enterprises.

– Gdzie znajduje się konto bankowe LeBeau Enterprises? – spytała Bloch.

– Niestety, nie mogę ujawnić tej informacji bez nakazu sądowego. Jak państwo sobie wyobrażają, umowa zobowiązuje nas do przestrzegania ścisłej poufności danych. Nie mogę państwu podać tej informacji, nawet gdybym chciał, chociaż nie wiem, w jaki sposób mogłoby to pomóc.

Fullerton przeniósł wzrok na Bloch i jej długopis śmigający po notesie.

– Czemu nie miałyby nam pomóc? – zapytała. – Próbujemy odnaleźć tego człowieka.

– Adres konta bankowego jest taki sam jak adres firmy: skrytka pocztowa.

– Owszem, ale może zawierać więcej informacji niż tylko adres rachunku – zauważył Dole. – Panie Fullerton, musi być w wydawnictwie ktoś, kto spotkał tego człowieka. Przecież...

– Nie ma. Naprawdę nikogo takiego nie ma.

– Ale kiedyś był. Przypominam sobie... chyba jego pierwszy redaktor?

– Owszem, Bob Crenshaw. Niestety, nie ma go już z nami.

– Musicie jednak mieć coś w dokumentacji, adres lub jakieś inne informacje o LeBeau – naciskał Dole.

Fullerton, stukając palcami o blat, spojrzął na Sarah, po czym skinął głową. Na ten znak kobieta wyszła z gabinetu.

– Pokażę państwu jedyną informację, jaką posiadamy na temat J.T. LeBeau – oznajmił.

Po chwili do pokoju wróciła Sarah z dwoma kartkami wielkości papieru listowego i wręczyła je szeryfowi. Były jeszcze ciepłe od druku.

Zawierały prosty kwestionariusz. Jako adres LeBeau podał skrytkę pocztową, którą Dole i Bloch niedawno widzieli. Poza nim wszystkie rubryki na blankiecie – data urodzenia, życiorys, prawdziwe nazwisko, zapisane pod pseudonimem – były puste.

– Jak pan widzi, ten człowiek nigdy nie należał do zbyt otwartych – powiedział Fullerton.

– Komu pan to mówi – mruknął Dole. – Mówił pan, że redaktor, który z nim pracował, Bob Crenshaw, odszedł?

– Tak, to bardzo smutne.

– Czy miał jakąś rodzinę lub kolegów z pracy, z którymi mógł rozmawiać na temat LeBeau?

– Nie, Bob był raczej samotnikiem. Bezdietny rozwodnik, nie utrzymywał kontaktów z byłą żoną, chociaż nie wiem, co robił poza godzinami pracy. Już rozmawiałem o tym wszystkim z policją w tamtym czasie – oznajmił Fullerton.

Skrobanie długopisu Bloch poruszającego się po kartce notesu nagle ucichło. To było coś nowego.

– Co to znaczy, że rozmawiał pan z policją w tamtym czasie? – spytał szeryf.

– Kiedy poinformowali nas o tym, co się stało – odparł wydawca.

– To znaczy o czym? – rzuciła Bloch. – Mówi pan niejasno.

Fullerton popatrzył za okno na dachy Manhattanu. Dole podążył za jego wzrokiem: dziób budynku Flatiron żeglował nad Piątą Aleją i parkiem Madison Square. Zupełnie jakby odpowiadając na pytanie, Fullerton pragnął widzieć przed oczami życie tętniące na ulicach. Może to jego sposób na zmniejszenie ponurego ciężaru słów, pomyślał Dole.

– Bob Crenshaw spłonął w bagażniku samochodu na porzuconym parkingu pod mostem Manhattańskim. Został zamordowany.

Sarah pochyliła głowę. Dole milczał. Nasłuchiwał szurania długopisu Bloch po papierze.

– Czy J.T. LeBeau był podejrzany w tej sprawie? – spytał szeryf.

– Oczywiście, że nie. Czemu miałyby być podejrzany? Bob miał mnóstwo problemów. Sprawy nie wyjaśniono, lecz między LeBeau a Bobem nigdy nie było żadnych animozji. Gdyby do nich doszło, LeBeau zmieniłby

wydawnictwo. No cóż, starałem się państwu pomóc, ale niewiele więcej mogę na ten temat powiedzieć.

– Pracuje pan z tym człowiekiem od wielu lat. Musi być coś, co może nam pan o nim powiedzieć – naciskał znowu Dole.

Fullerton spuścił wzrok.

– Wie pan, jak trudno skonstruować w powieści zwrot akcji?

– Raczej nie – odparł szeryf.

Wydawca pochylił się do przodu, popatrzył mu uważnie w oczy i powiedział:

– Moim zdaniem to najtrudniejsza rzecz w pracy pisarza. LeBeau sypał nimi jak z rękawa, w każdej książce. I nie sposób było przewidzieć, kiedy zbliża się kolejny zwrot akcji. Kiedy redaguję jego teksty, LeBeau odrzuca zwykle nawet najmniejsze poprawki. Ten człowiek lubi anonimowość, lecz sądzę, że w pewien dziwny sposób jest bardzo dumny ze swojej pracy.

– Dumny?

– Wiem, że to brzmi dość osobliwie, lecz za każdym razem, jeśli nie uzasadniłem dość przekonująco konieczności jakiejś zmiany, nie chciał o niej słyszeć. Wydaje mi się, że bardzo broni swojej pracy. I powinien. Zna swoją wartość. To paradoksalne, ale takie odnoszę wrażenie. Jeśli człowiek stworzył coś wspaniałego, to czemu wzbrania się przed przyznaniem do tego dzieła?

– Jeszcze jedno pytanie: czy mówi coś panu imię i nazwisko Paul Cooper? – spytał Dole.

– Chyba o nim słyszałem. Pisarz kryminałów ze średniej półki. Zdaje się, że jeden z klientów Josephine Schneider. Kilka lat temu przysłał mi swoją książkę, ale ją odrzuciłem.

ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY TRZECI

Wzeszło słońce, kiedy Daryl po raz drugi minął łodzią swój dom. Nogi i ręce miał jak z ołowiu i gdyby nie adrenalina i morfina krążące w jego żyłach, na pewno dawno straciłby przytomność.

Za pierwszym razem dodał gazu i popłynął dalej, gdy tylko zobaczył otwarte drzwi domu. Nie na oścież, tylko odrobinę uchylone, ale to wystarczyło, aby zauważył, że nie domykają się w futrynie.

W środku była policja. Nie miał wątpliwości. Ale musiał się upewnić. Jeśli go szukają, utrudnią mu ruchy. Jest tylko jeden sposób, aby się dowiedzieć.

Marzył tylko o tym, żeby położyć się i zasnąć. Od dwóch dni nie zmrużył oka. Spędził noc w życzliwym gabinecie lekarskim w Miami. Połknął antybiotyki, popił ciepłą szkocką, po czym zacisnął zęby na skórzanym pasie, kiedy lekarz zakładał mu szwy. Kiedy dotarł do Miami, był już w bardzo złym stanie – blady, trawiony gorączką, przez cały czas miał wrażenie, że nóż nadal siedzi w ranie. Nie mogli czekać, aż zadziała morfina. Zapłacił z góry, bo taki był zwyczaj, i kiedy lekarz przeliczył banknoty i zamknął je w sejfie, zaczął działać natychmiast.

Zdezynfekował ranę, oderwawszy najpierw strup, co wywołało nowe krwawienie. Potem zabrał się do szycia. Kiedy skończył, założył opatrunek i zawinął mu bandaż wokół piersi. Daryla ogarnęły nudności. Morfina zadziałała, gdy doktor docisnął bandaż, niestety za późno. Daryl zemdlał, a kiedy ocknął się po kilku minutach, leżał na podłodze, a lekarz próbował go podnieść.

Jakimś cudem Daryl zdołał dowlec się na łódź i wypłynął z przystani, walcząc z zawrotami głowy, nudnościami i szalejącą gorączką. Łyknął tyle antybiotyków, że napełnił nimi żołądek. Zdawał sobie sprawę, że jeśli je wymiotuje, przed rankiem znajdzie się w poważnych tarapatkach. Przez całą noc walczył czystą siłą woli, aby dopłynąć do Port Lonely. Do domu.

Gdzie zastał otwarte drzwi.

Zgasił silnik pół mili na zachód od domu, przy innym prywatnym pomoście, należącym do letniskowej posiadłości, która w tej chwili stała pusta. Na szczęście, bo przynajmniej właściciele nie zadawali mu niewygodnych pytań.

Nie chciał zostawiać pieniędzy na łodzi, więc zabrał ze sobą skórzane torby i wdrapał się na drewniany pomost, po czym ruszył w stronę drzew rosnących wzdłuż granicy posiadłości. Przekłete torby były tak ciężkie, że kiedy je dźwigał, napinały się szwy na plecach. Rana znów zaczęła krwawić. Ciepła strużka popłynęła w dół po plecach. W każdym razie miał nadzieję, że to krew, bo lekarz w Miami nie przejmował się nadmiernie czystością. Równie dobrze mogła to być ropa wyciekająca spod opatrunku.

Postanowił jednak nie myśleć o najgorszym i przekonywał sam siebie, że ponieważ torby były ciężkie, to rana zaczęła krwawić pod wpływem wysiłku. Uznał, że zamiast w lekarza lepiej uwierzyć w alkohol, którego użył do przemywania rany, oraz końską dawkę antybiotyku.

Drzewa w tej okolicy zapewniały dobrą osłonę. Mógł bez kłopotu przemknąć się między nimi w stronę swojego domu. Za to teren przysparzał mu ogromnych trudności. Daryl z wysiłkiem włókł po nierównym gruncie dwie ciężkie torby, które ciągle zaczepiały o gałęzie, przez co wykręcały mu się ramiona i napinały plecy.

Po dwudziestu minutach dotarł do zagajnika, skąd widział swój dom i drzwi frontowe. Położył torby na ziemi, przykucnął i czekał.

Odpoczywał.

Nasłuchiwał.

Drogą nie przejeżdżały żadne samochody. Nic nie stało na jego podwórzu. Poza śpiewem ptaków wszędzie panowała cisza.

Znalazł wielki dąb, a za nim wydrążony pień. Może tu spokojnie ukryć torby z pieniędzmi. Nikomu nie przyjdzie do głowy zaglądać do starego spróchniałego pnia. Bezpieczniej tu niż na łodzi, pomyślał. Ostrożnie włożył do środka swój łup, po czym ruszył między drzewami tak daleko, jak się dało bez wychodzenia na otwartą przestrzeń. Potem zatrzymał się i przez chwilę siedział bez ruchu, nasłuchując i obserwując. Wkrótce uznał, że dom jest pusty. W oknach nie zauważył żadnego ruchu, żadnych świateł w środku ani pary z komina bojlera. Nic, co by świadczyło o czyjejś obecności.

Skulony, ruszył małymi kroczkami w stronę domu. Dopiero kiedy znalazł się na otwartej przestrzeni, zdał sobie sprawę, jaki jest słaby i odsłonięty. Poczul kopa adrenaliny, zacisnął zęby z bólu i puścił się biegiem w stronę wejścia.

Na drzwiach wisiała przypięta kserokopia nakazu aresztowania. A więc szeryf Port Lonely mógł teraz sprawdzić wszystko – jego kartoteki, dom, telefon...

Niech to szlag! Policja przetrząsała jego rzeczy. Pod nakazem aresztowania znajdowała się lista rzeczy, które zabrali. Tylko książki. To nieważne. Nie potrzebował ich. Już miał zakląć na gliny za to, że zostawili otwarte drzwi, gdy zauważył wyłamany zamek. Cholera, nie mogli ich zamknąć i nie zrobili nic, żeby zabezpieczyć dom po rewizji.

Powietrze w środku wisiało gęste od ich obecności. Nie, nie od ich obecności, lecz od śladów po ich wizycie. Słaby zapach kurzu. Odłupane drzazgi na podłodze. Talerze i kubki powyrzucane z szafek. Spojrzał w inną stronę i zobaczył na podłodze książki. Przetrząsnęli mieszkanie tak, jak to zawsze robią. Drzwi do piwnicy były otwarte. Darylowi zaschło w ustach. Otworzył je szerzej, po czym zszedł w ciemność, krzywiąc się z bólu na każdym stopniu. Na półce u podnóża schodów leżała latarka. Wziął kolejny głęboki oddech i zapalił ją. Omiótł światłem całą piwnicę. Łóżko stało na miejscu, lecz pozostałe meble poprzestawiano, z szafek powyciągano szuflady i leżały teraz na podłodze.

Podłoga. Wyglądała na nietkniętą. Skierował snop światła na róg z ubitą ziemią w głębi pomieszczenia. Wszedł na górę i zgasił latarkę. Odetchnął z ulgą, po czym ruszył na piętro.

Na dnie szafy znalazł swoje ubrania leżące na stercie, a na rurce puste, bezwładne wieszaki. Szeryf działał metodycznie i dokładnie. I bez skrupułów.

Daryl położył na łóżku koszulę, spodnie i czystą bieliznę. Rozebrał się, umył i ubrał. Zostawił dom otwarty, wrócił tą samą drogą, którą przyszedł, chwycił torby i szybko ruszył w stronę łodzi. Tym razem jednak włókł je po ziemi, uważając, aby nie nadwerężyć rany. Pomost wyglądał równie pusto i spokojnie jak wtedy, kiedy Daryl tu przyплыł. Nad wodą unosiła się niska mgła. Złociste promienie słońca rozświetlały opar, który wyglądał niczym delikatny, biały jedwab przysłaniający świecę.

Daryl wepchnął torby na łódź, odpalił silnik, odpłynął od pomostu i wkrótce zostawił Port Lonely za sobą. Jeszcze kilka godzin temu uważał, że będzie to jego ostatnia wizyta w tym mieście. Teraz wiedział, że mógł się mylić.

Musi na jakiś czas wyjechać. Znaleźć spokojne, bezpieczne miejsce na odpoczynek i rekonwalescencję. Kiedy przystępował do tego planu, sądził, że do tej pory będzie miał już wszystko za sobą. Dostanie pieniądze i zniknie. Tymczasem Paul i Maria nadal żyli, a jego szukała policja.

Dzięki Bogu nie zajrzeli pod podłogę w piwnicy. Teraz już nie wrócą, nie rozbiorą jego domu na części pierwsze. Przeprowadzili rewizję i przeoczyli największą zdobycz.

Ale Daryl nie skończył swojego zadania.

Wyglądało na to, że zostało mu jeszcze mnóstwo do zrobienia.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY CZWARTY

– Cześć, Mario, jestem Chad, pracuję w ekipie leczenia urazów mózgu. Ależ ci tu przytulnie w tym łóżeczku, prawda? Wyglądasz jak cukiereczek, he, he. Mogę usiąść? Dziękuję. No więc tak: jak zacznę za szybko galopować albo zachce ci się luli, albo będziesz chciała, żebym coś powtórzył, to tylko krzyknij na mnie: „Chad, już dłużej nie mogę, bo zaczynam odlatywać!”. Jasne, cukiereczku?

Chad nosił niebieskie džinsy i jaskrawożółtą koszulkę z napisem *Jezus zbawia* i kiedy Maria słuchała jego śpiewnego głosu, patrzyła na jego rude włosy, mur śnieżnobiałych zębów oraz promienny uśmiech, nie wiedziała, czy to sen, czy jawa. Chad wtargnął do pokoju w powodzi krzykliwych kolorów i rubasznej troski, a teraz siedział na jej łóżku i gadał do niej jak do przedszkolaka.

– Posłuchaj mnie uważnie, cukiereczku, przeżyłaś w głowie prawdziwy Wielki Wybuch, na pewno ci już to dokładnie wyjaśniono. Ja ci powiem o kilku rzeczach, które mogą ci się przydarzyć z powodu tego paskudnego guza, i o tym, jak możemy im zaradzić.

Maria patrzyła na niego pustym wzrokiem.

– Możesz mieć zaburzenia pamięci, mowy, koordynacji ruchów, możesz też mieć złe sny. No dobrze, i co teraz? Nasz program pomoże ci złagodzić te wszystkie rzeczy. Od jutra rozpoczniemy fizjoterapię, przejdiesz różne badania i testy. Wiesz, że lekarze z pogotowia myśleli w pierwszej chwili, że nie żyjesz? Okazało się, że cierpisz na coś takiego jak zapalenie naczyń. Chorowałaś na to już wcześniej. Przez to uderzenie w głowę lekarzom udało się to zdiagnozować i teraz będą cię leczyć. Ale nie martw się tym, cukiereczku, będziemy pracować razem z lekarzami i poznamy przyczynę tej choroby. Rozumiesz?

Zapalenie naczyń... Lekarze jej o nim wspominali. Podobnie jak Chad, powiedzieli, że nie ma się czym przejmować. Maria wcale się nie przejmowała. Zawsze miała raczej niskie ciśnienie, każde pobranie krwi kończyło się posiniaczoną skórą. Z jej mamą było tak samo. „Złe żyły”. Ale

to nie znaczy, że miała ochotę słuchać tych wszystkich wyjaśnień Chada, w dodatku podanych głosem jakby żywcem wyjętym z Disney Channel.

– Nie przejmuj się tymi barbarzyńskimi pytaniami, które będziemy ci zadawać. Nie robimy tego po to, żeby cię zestresować. Nie zdajesz tu na studia, to będą zwyczajne pytania, nie musisz się niczym przejmować – dodał Chad, prawie mruczając jak kot.

Milczała.

Chad wyciągnął rękę, dotknął jej dłoni i pogładził ją delikatnie.

– Wiesz, słoneczko, przypominasz mi moją starszą siostrę. Ja już czuję, że będziemy iskrzyć jak fajerwerki. No, złotko, co się dzieje, czemu nic nie mówisz?

– Wynoś się z tego pokoju, bo sama ci zafunduję pieprzony uraz mózgu! – wybuchła Maria. – A może już nie trzeba, bo sądząc po twoim ubraniu, to już go miałeś.

Myślała, że Chad, wychodząc, wybuchnie łzami, ale nie żałowała tego, co powiedziała. Ani trochę. Nawet jej się podobało. Z tym piskliwym głosikiem i hurraoptymizmem facet sprawiał wrażenie życiowej ofiary, którą można zastraszać, deptać i tratować. Sam fakt, że nie potrafiłby się temu przeciwstawić, przypieczętował jego los i sprawił, że naprawdę się to stało, przynajmniej w umyśle Marii. Człowiek skazany na to, aby być ostatnim w kolejce, w miłości, wykorzystywanym przez innych i porzucanym.

Nie miała ochoty cackać się z ofiarami. Skończyła z trwonieniem czasu na te bzdety. Lewa połowa jej ciała była słaba. W lewej dłoni brakowało siły. Z największym wysiłkiem poruszała lewą nogą. Cała lewa strona sprawiała wrażenie, jakby była z ołowiu. Ciężka, powolna, prawie bez czucia.

Nie pomogą jej żadne łagodne zachęty, a Chad ze swoim hurraoptymizmem może się odpierdolić i zamknąć za sobą drzwi.

Maria wyznaczyła sobie w myślach kurs. Jasny cel. Przejdzie fizjoterapię. Będzie ciężko pracować, ciężiej niż wszyscy inni. Będzie walczyć i cisnąć i w pocie czoła przeciwstawi się bólowi, ponieważ nikt nie pragnął tego tak jak ona. Uśmiechnięte twarze i oklaski nie doprowadzą jej do celu.

Nie.

Wiedziała, że ma w arsenale broń o nieskończonej mocy. Coś ukrytego głęboko i płonącego w jej ciele.

Nienawiść.

Nienawiść i gniew. To wystarczy. To znacznie lepsze.

Za kilka miesięcy nie tylko wróci do dawnej formy, ale też będzie silniejsza. Lepsza. Szybsza.

Wpuściła Paula w swoje życie, a on ją zdradził. Skrzywdził. Powinna go była zabić, kiedy miała szansę. W domu, w środku nocy, pieprzonym kuchennym nożem. Nie powinna była polegać na Darylu. Daryl był zbyt miękki. Pomyślała o młotku, który spadł na jej głowę. Paul trzymał go w dłoni. Nie widziała wyraźnie jego twarzy, ale to na pewno był on. Widocznie dowiedział się o jej romansie.

Wtedy zapadła ciemność. A ona cały czas czuła w nozdrzach ten zapach. Zapach, którego nigdy nie zapomni. Zapach świeżej farby i krwi.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIĄTY

Dole maszerował przez lotnisko Bay City, gdy nagle Bloch złapała go za ramię i szarpnęła, aż stanął jak wryty.

– Musimy coś zrobić – powiedziała. – Cooper zniknął, nie mamy żadnych tropów, żadnego sposobu, żeby do niego dotrzeć. Jak, do cholery, złapiemy tego faceta?

Przed wylotem z Nowego Jorku próbowali się dodzwonić do agentki literackiej Paula Coopera, Josephine Schneider.

Schneider nie chciała się z nimi spotkać. Nie udało im się nawet minąć recepcji w budynku, gdzie mieściło się jej biuro. Nie chciała rozmawiać przez telefon, a jej sekretarka stanowczo odmawiała przekazania wiadomości. Szeryf z Port Lonely znajdował się poza zasięgiem swojej jurysdykcji. Miał kontakty w Nowym Jorku, znajomych w miejscowym komisariacie, lecz nie chciał ich wykorzystywać do ściągania policji do firmy Josephine Schneider. Według Fullertona agentka Coopera była grubą rybą, miała wielu przyjaciół w biurze gubernatora. Nie, to by było zbyt ryzykowne. Nie pozostało im nic innego jak wracać do domu. Ale Bloch się to nie podobało; przez cały lot siedziała nachmurzona i milcząca. W końcu na lotnisku w Bay City jej frustracja zaczęła bulgotać.

Dole spojrzał w jej duże pytające oczy, po czym przeniósł wzrok nad jej ramieniem w kierunku baru szybkiej obsługi. Był to zwyczajny lotniskowy fast food, ale szeryf doszedł do wniosku, że trudno spieszyć hamburgera.

– Umieram z głodu – Rzucił. – Chodźmy coś zjeść.

Zamówili cheeseburgery, krążki cebulowe i pieczone ziemniaki i zabrali je razem z surówką i coca-colą do stolika. Bloch była zmęczona i wkurwiona. Stanowiła w policji rzadki okaz – bystra, uczciwa i miała w dupie, co myślą inni.

Ludzie zostają policjantami z wielu różnych powodów. Niektórzy chcą pomagać swojej społeczności. Dole widział takich całkiem sporo, choć w dalszym ciągu za mało. Inni wstępują do policji, ponieważ lubią mieć władzę albo taka jest tradycja w ich rodzinie. Czasem widzą w tym

zawodzie drogę prowadzącą do innego celu, na przykład do lokalnej polityki. I wreszcie jest ostatni rodzaj policjantów. Szeryfa przechodziły ciarki, kiedy o tym myślał, lecz widział to zbyt często, aby zamykać oczy na ten fakt. Niektórzy ludzie wstępują do policji, ponieważ lubią zabijać.

– Dlaczego zostałam policjantką? – spytał.

Skończyła jeść sałatę i pomidora, wytarła usta serwetką, pociągnęła długiego łyka coli i odstawiła kubek.

– Rodzina – odparła.

Na chwilę szklanka znieruchomiała w jego dłoni, w końcu upił łyk i odstawił ją.

– Zmusili cię?

– Mój tata był policjantem. Trzydzieści pięć lat. Zdegradowali go razem z pięcioma innymi gliniarzami, którzy brali łapówki za krycie lewych interesów, a w końcu postanowili rozkręcić własny. Dziewczęta, koka, broń, co tylko zechcesz.

Dole roztropnie milczał, na wypadek gdyby chciała powiedzieć coś więcej. W końcu zrozumiał, że musi ją zachęcić. Bloch czasem wygłaszała stwierdzenia, które były oczywiste dla niej, lecz dla innych pozostawały niejasne.

– Więc postanowiłaś też zostać policjantką... Z jakiego powodu?

– Tata nie miał nic wspólnego z tamtymi pięcioma. Byli po prostu jego kumplami, nie miał jednak udziału w łapówkach. Wszyscy zeznali, że o nich wiedział, ale niczego nie zrobił. Mało prawdopodobne, że mu zapłacili za milczenie. Myślę, że próbowali, ale odmówił. Po prostu przymykał oko, rozumiesz?

– Dostał wyrok?

– Zmarł przed procesem. Zawał serca.

– O kurwa... Przykro mi. Więc wstąpiłaś do policji, żeby oczyścić nazwisko?

Przerwała im kelnerka, która podeszła do stolika. Dole ugryzł kawałek cebulowego krążka i czekał, aż Bloch odpowie. Widział, że to dla niej bolesny temat. Trzeba było ciągnąć ją za język. Jeszcze mocniej niż zwykle.

– Z początku tak, jasne. Chciałam, żeby ludzie pamiętali tatę takiego, jaki naprawdę był. Dobrego człowieka. Potem, kiedy zaczęłam służbę, przekonałam się, że policjanci inaczej patrzą na te rzeczy. Zwierzchnicy przekonywali mnie, że tata był wspaniałym policjantem. Tak samo uważali zwykli posterunkowi. Tata nie chciał donosić na kumpli i to było dla nich najważniejsze. Wtedy wszystko się dla mnie zmieniło. Chciałam się przekonać, jak to jest stać się częścią grupy, która będzie cię kryła bez

względu na to, co zrobisz. Pracowałam w różnych miejscach w kraju i wszędzie było to samo. Policjanci chronią się nawzajem. Mój tata mówił o kolegach jak o rodzinie. Może chciałam do niej należeć. Nie najlepiej radzę sobie w grupie.

Szeryf nie odpowiedział.

– Jak zamierzasz złapać tego faceta? – spytała Bloch, zmieniając temat.

Westchnął. Kiedy dziesięć minut temu po raz pierwszy podniosła ten temat, miał złe przeczucie, że zna już odpowiedź. Teraz nie było mowy, aby jej uniknąć.

– Naszą największą szansą są pieniądze – odparł. – LeBeau będzie chciał odzyskać dwadzieścia milionów.

– Ale przecież mamy nakaz sądowy – przypomniała mu Bloch. – Nie może ich tknąć.

– To nie znaczy, że nie będzie próbował. Muszę sprawdzić, czy bank nie dostał zlecenia przelewu.

Spojrzał na zegarek; znalazł numer do banku na Wielkim Kajmanie i wybrał go w komórce. Recepcjonistka połączyła go z panem Alleyne'em.

– Czy coś się stało, panie szeryfie? – spytał Alleyne.

– Mam nadzieję, że nie. Chciałem tylko sprawdzić, czy ktoś nie próbował przelewać pieniędzy z konta Paula Coopera.

– Przepraszam, ale nie rozumiem, panie szeryfie.

– Mówię o nakazie sądowym, który wam wysłaliśmy. Nie pamięta pan? Rozmawialiśmy na ten temat. Wiem, że znajdujecie się poza terenem naszej jurysdykcji, ale zrozumiałem, że wasz bank zastosuje się do sądowego nakazu zamrożenia konta.

Po pięciu długich sekundach martwej ciszy Alleyne spytał:

– Czy rozmawiam z szeryfem Dole'em?

– Oczywiście, myślałem, że pan o tym wie. Czy wystąpił jakiś problem? – Dole czuł ściskanie w żołądku.

– Chyba się nie zrozumieliśmy, panie szeryfie. Proszę powiedzieć mi jeszcze raz, w czym mogę panu pomóc.

– Chcę wiedzieć, czy ktoś próbował dokonać transferu pieniędzy z konta Paula Coopera.

– Ach, rozumiem. No cóż, ponieważ rachunek został zamknięty, nie prowadzimy rejestru aktywności związanych z tym kontem. Nasz system nie zapisuje prób logowania się na nieaktywny rachunek.

– Co to znaczy, że został zamknięty? Chciał pan powiedzieć zamrożony, tak?

– Nie. Zamknięty. Po podjęciu pieniędzy pan Cooper zlikwidował swoje konto.

Żołądek Dole'a zacisnął się całkiem. Bloch nie odrywała od niego wzroku. Wyczuwała z jego głosu, że coś się stało.

– Paul Cooper podjął pieniądze ze swojego konta? Całe dwadzieścia milionów?

Krzesło Bloch zaszurało po podłodze. Wstała, zamknęła oczy i położyła dłoń na czubku głowy, jakby oglądała roztrzaskany samochód.

– Tak, proszę pana. Po odliczeniu opłat bankowych zostało niecałe dwadzieścia milionów, pobraliśmy też lokalny podatek.

Szeryfowi krew zawrzała w żyłach. Nie wytrzymał.

– Panie Alleyne, czy pan wie, co powinienem teraz zrobić? Powinienem do was polecieć i aresztować pana.

Alleyne zupełnie się tym nie przejął.

– Zostałem upoważniony do wypłacenia tych pieniędzy.

– Przez kogo?

– Ależ oczywiście przez pana, panie szeryfie – odparł Alleyne z wyraźną satysfakcją w głosie.

– Ja pana upoważniłem?!

– Tak. Przyjechał pan razem z panem Cooperem, przedstawił swoją legitymację służbową i wyjaśnił, że nakaz zamrożenia konta był nieporozumieniem, a na znak dobrej woli przyjechał pan razem z panem Cooperem, aby dopilnować, że bezpiecznie odzyska swoje pieniądze i wróci do domu.

Dole dyskutował z Alleyne'em jeszcze przez dwadzieścia minut, po czym zakończył rozmowę.

– Błagam, powiedz, że przyśle nam przynajmniej nagrania z kamer ochrony – mruknęła Bloch, siadając z powrotem przy stoliku.

– Nie ma żadnych nagrań. Ich bank nie montuje kamer w miejscach obsługi klientów.

– Niech to szlag!

– I zanim zapytasz, od razu powiem, że nie, nie skserowali rzekomo mojej legitymacji. Jakiś kutas wparadował do banku, podszywając się przede mną. To była niezła fałszywka. Kurwa!

– No to koniec. Pewnie więcej go nie zobaczymy.

W milczeniu jedli wystygłe cheeseburgery. Dole obracał w myślach wszystko, co się wydarzyło, krok po kroku. Utknęli w martwym punkcie. Widział, że jego zastępczyni myśli podobnie.

– Chyba że sprowokujemy go, żeby przyszedł do nas – odezwała się Bloch.

Samochody należące do Biura Szeryfa Port Lonely były wzorowo utrzymane. Nigdy nie szczędzono na ten cel starań i pieniędzy. Radiowóz, którym Bloch wyjechała z parkingu, miał cztery świeżutkie opony, założone dwa tygodnie wcześniej. Po powrocie z Bay City zaparkowała przed budynkiem samochód ze śmierdzącymi spalenizną tarczami hamulcowymi i dwiema łysymi oponami na tylnej osi. Zostawiła za sobą grube warstwy gumy na ulicach Bay City, Port Lonely i trasie łączącej oba miasta.

Kiedy Dole i jego zastępczyni weszli do biura, zastali Sue piszącą zawzięcie na laptopie. Nie dzwoniły żadne telefony, wszystkie cele były puste, a drugi zastępca szeryfa, Shanks, cały czas pracował nad komputerem Coopera.

– Sue, masz już gotowe to oświadczenie? – spytał Dole.

– Idź sobie po kawę, zaraz ci przyniosę. Silnik tak ryczał, że nie mogłam zrozumieć wszystkiego, co dyktowałeś przez telefon – odparła Sue, spoglądając z dezaprobatą na Bloch.

Ta wzruszyła ramionami, lecz nie odezwała się ani słowem. Poszła za Dole’em do kuchni, a potem razem z dzbankiem pełnym gorącego, czarnego napoju usiedli w gabinecie szeryfa.

Pili kawę w milczeniu. Dole czuł się jak nowo narodzony. Potrzebował kofeiny. Otworzył swoją szufladę, wyjął ibuprofen i połknął na sucho trzy tabletki. Po chwili do gabinetu weszła Sue z notesem i trzema wydrukowanymi kartkami. Jedną wręczyła szeryfowi, jedną Bloch, a trzecią kartkę zostawiła sobie i usiadła. Położyła notes na brzegu biurka i wyjęła długopis, aby wprowadzić poprawki do tego, co napisała.

Czytali w milczeniu. Bloch zrobiła kilka notatek na marginesie strony, przekreśliła jakieś niepotrzebne słowo.

Kiedy skończyli, wszyscy troje siedzieli przez chwilę w milczeniu.

– Wyślij to do Nowego Jorku – polecił Dole.

Po wyjściu Sue zadzwonił do Fullertona i uprzedził go o oświadczeniu dla prasy, które właśnie wysłał. Chciał mu to powiedzieć osobiście, w końcu nie co dzień wydawca dowiaduje się, że jego „złoty chłopiec” nie żyje.

Czekali pół godziny i przez ten czas Dole i Bloch omawiali szczegóły. Zadzwonił telefon. Fullerton leciał samolotem.

Do gabinetu wróciła Sue z trzema stronicami spiętymi zszywaczem. Wręczyła je szeryfowi.

– Pan Fullerton wysłał mailem te poprawki.

Dole przeczytał, po czym przekazał je Bloch. Przestudiowała tekst i skinęła głową.

– Możemy zacząć.

Sue podrapała się po głowie.

– Abraham, po co wydajecie to oświadczenie do mediów?

– Nie chcemy, żeby facet się nam wymknął – odparł.

– Ale to nieprawda – rzuciła Sue. – Widziałam pozwy sądowe za podawanie do wiadomości publicznej nieprawdziwych informacji.

– Fullerton w Nowym Jorku uważa, że mówimy prawdę – powiedziała Bloch. – Myśli, że LeBeau nie żyje. Nie chodzi o kłamstwo dla mediów. Chodzi o złapanie potencjalnego mordercy.

Szeryf ponownie wziął od niej kartki z oświadczeniem.

Urząd Szeryfa Port Lonely oraz World Publishing Group z żalem informują, że jeden z najsłynniejszych autorów powieści kryminalnych na świecie, J.T. LeBeau, został uznany za zmarłego w wyniku wypadku na łodzi motorowej. Aby uczcić jego pamięć, World Publishing Group zaprasza na uroczystość, która odbędzie się w Los Angeles. Podczas ceremonii zostaną odczytane fragmenty utworów pisarza, a znani twórcy wygłoszą mowy podsumowujące jego wkład w literaturę popularną. Miliony miłośników na całym świecie będą mogły obejrzeć transmisje telewizyjne na żywo tej uroczystości.

– Nadal nie rozumiem, w jaki sposób pisanie steku kłamstw może się przyczynić do złapania zabójcy – powiedziała Sue.

– Duma – odparł Dole. – Jeśli Fullerton ma rację, LeBeau przyjdzie na ceremonię. Fullerton organizuje uroczystość upamiętniającą jego pisarstwo i to powinno wystarczyć, aby przyciągnąć LeBeau. Nie ma na tym świecie człowieka, który przegapiłby szansę przyjscia na własny pogrzeb. Wiem, że tam będzie.

– Ma rację – poparła go Bloch. – A my zyskamy okazję, żeby dowiedzieć się o nim czegoś więcej.

– Chcesz powiedzieć, że mamy przeczytać jego książki? – spytał Dole.

Bloch skinęła głową. Szeryf westchnął. Nigdy nie przepadał za kryminałami. Zawsze umiał przewidzieć, kiedy zbliżał się rzekomo niespodziewany punkt zwrotny akcji.

Przed wyjściem do domu dokończyli z Bloch przeglądanie SMS-ów i telefonów. Znaleźli kilka połączeń, lecz ponieważ nie znali właściciela numeru, trudno było je zinterpretować. Postanowili uruchomić namierzanie numeru, żeby do Biura Szeryfa przyszła wiadomość, gdy tylko zostanie włączony. Wszystko wskazywało na to, że nikt tego telefonu więcej nie użyje, ale lepiej się zabezpieczyć.

Pozostały dwie wiadomości, które wymagały zinterpretowania. Melissa znalazła je na wydruku: dwa SMS-y wysłane przez Marię do Paula w dniu napaści.

Jeden zawierał zdjęcie jego paszportu, a drugi wiadomość:

Czyżbyś o czymś zapomniał?

W co ona pogrywała? – zastanawiał się Dole.

Musi się tego dowiedzieć.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY SZÓSTY

Paul jadł właśnie koktajl z krewetek w barze z owocami morza na południu Florydy, kiedy usłyszał o tym w wiadomościach.

Dziennikarz lokalnej telewizji oznajmił, że na morzu zatonął jacht należący do mężczyzny, którego policja uważa za tajemniczego autora powieści kryminalnych, J.T. LeBeau.

Dokończył jedzenie, dokładnie oczyścił widelcem brzegi miseczki z resztek sosu, zamówił jeszcze jedno piwo i pijąc je powoli, czekał, aż cykl wiadomości telewizyjnych zacznie się od nowa i ponownie usłyszy informację o J.T. LeBeau.

Po piętnastu minutach obejrzał je na nowo. Pomyślał o Marii i artykule, który czytał rano. Jego żona wracała do zdrowia, policja poinformowała, że zidentyfikowała napastnika. W kanale wiadomości nadawano szerszy materiał na temat LeBeau. Na ekranie pojawiło się kilka gadających głów, prowadzących ożywioną dyskusję. Głos w telewizorze był przyciszony, ale Paul słyszał rozmowę wystarczająco wyraźnie. Wiedział, że Maria prawdopodobnie też ją ogląda.

Nigdy nie rozumiała, czemu Paul tak pilnie strzeże swojej prywatności.

Zapłacił gotówką, wyszedł i ruszył w kierunku dworca autobusowego. Kupił bilet na pierwszy autobus jadący na zachód. Uroczystość ku czci LeBeau odbędzie się w Los Angeles. Przyciągnie nie tylko pisarzy, lecz także gwiazdorów filmowych i reżyserów. Tak czy inaczej, chodzi o rozgłos.

Zajrzał do portfela i przeliczył to, co mu zostało. Zastanawiał się, co by zrobił, gdyby nie Josephine. Przysłała mu dość pieniędzy, żeby mógł przeżyć kilka miesięcy, jeśli będzie oszczędnie gospodarował, nawet po zapłaceniu pięciuset dolarów kapitanowi kutra rybackiego, Luisowi, za przewiezienie go z Kajmanów do Miami z pominięciem kontroli paszportowej i bez zadawania pytań. Za kolejne pięćset dolarów Luis zdobył mu pistolet.

Paul miał trochę czasu. Musi to starannie zaplanować. Możliwe, że los dostarczy mu jeszcze jednej szansy na zabicie Daryla. Szansy, aby wszystko zakończyć.

Przed wyruszeniem w drogę musi zrobić jeszcze jedną rzecz.

Dworce autobusowe należą do nielicznych miejsc, gdzie można jeszcze liczyć na automat telefoniczny. I to działający.

Wrzucił do automatu ćwierćdolarówki i wstukał z pamięci numer komórkowy Marii, lecz zanim telefon skończył wybierać cyfry, trzasnął słuchawką i słuchał brzęku wypadających monet. Wrzucił je ponownie i tym razem wybrał numer domowy. Policja mogła założyć podsłuch na komórkę Marii, a nie chciał, aby usłyszeli, co ma do powiedzenia. Wprawdzie ona i tak może im to przekazać, lecz Paul chciał jej dać szansę. Skrzywdził ją, okłamał. I za mało ją kochał.

Telefon zaczął dzwonić.

Wyobraził sobie jej twarz. Jej łagodne spojrzenie. Ciepłą iskierkę, która zapalała się w oczach, kiedy miał ją pocałować.

Włączyła się zabytkowa sekretarka. Oczami wyobraźni widział taśmę obracającą się na urządzeniu. Zaczął mówić. Tyle rzeczy chciał jej powiedzieć. Emocje w końcu przerwały taśmę i wylał się z niego potok łez, wyrzutów sumienia i gniewu.

– Okłamałem cię. Ukrywałem przed tobą różne rzeczy. Rzeczy, których nie powinienem był trzymać w tajemnicy. Z początku się bałem. Bałem się, że jeśli ci powiem, kim naprawdę jestem, on przyjdzie cię zabić. Byłem głupi... Taki głupi. Nie jestem J.T. LeBeau. Jest nim Daryl, facet z klubu golfowego. Słyszysz mnie? Mówi Paul. Tak mi przykro, Mario. Kocham cię. I przepraszam. Szantażowałem Daryla. Kazałem mu płacić za to, że nikomu nie zdradzę, kim jest i co zrobił. Kiedy cię poznałem, nie mogłem ci tego zdradzić. Nie powiedziałem ci, ponieważ za bardzo się wstydzilem tego, co zrobiłem. Nie chciałem cię stracić. W końcu Daryl mnie znalazł i musiałem uciekać, żeby cię nie narażać. Schrzanilem. To wszystko moja wina. Straciłem pieniądze. Daryl je zgarnął. Nie ufaj mu. Nie zbliżaj się do niego. To morderca. Zamierzam położyć temu kres, raz na zawsze. Dla nas obojga.
– Przerwał i milczał przez chwilę. – Kocham cię.

Rozłączył się, otarł łzy i poszedł w kierunku stanowisk autobusowych. Wsiadł do autokaru i wybrał miejsce na samym końcu, z dala od innych pasażerów. Sprawdził w kieszeni rewolwer. W pełni naładowany. Paul ułożył się w fotelu i przygotował na długą jazdę.

Wkrótce będzie po wszystkim, bez względu na wynik. Tak czy inaczej, tym razem musi to zakończyć. Nie ma już odwrotu.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY SIÓDMY

Maria wpatrywała się w ekran komórki, na którym widniało zdjęcie paszportu Paula leżącego na kuchennym blacie.

– Pamięta pani to zdjęcie? – spytał szeryf Dole. – Zrobiono je pani komórką. Wysłała je pani z wiadomością do męża.

Jeszcze raz popatrzyła na fotografię, po czym odwróciła wzrok, zamknęła oczy i skupiła się. Jej umysł przypominał obrazek z puzzli, które do siebie nie pasowały. Miała w pamięci wiele pustych plam. Wiedziała, że te wspomnienia gdzieś tam są, nic nie zostało trwale usunięte, lecz w tej chwili nie mogła ich zobaczyć. Zupełnie jakby niektóre obrazy i uczucia tkwiły tuż poza zasięgiem świadomości, zakryte czarnym całunem.

Pokręciła głową.

– Nie pamiętam. Nie wiem, czemu wysłałam tę wiadomość.

Dole skinął głową, przejechał palcem po ekranie i wyświetlił wiadomość tekstową. Pokazał jej.

– Czy to w jakiś sposób pomaga? – spytał.

Melissa opuściła długopis.

– Nie. Nie przypominam sobie, żebym pisała do Paula tę wiadomość. Przykro mi. Pamiętam kłótnię, ale nie wiem, o co poszło – zapewniła Maria.

W tym momencie zrozumiała, że wyzdrowieje. Jej stan się poprawi i znów będzie sobą. Poczła taką ulgę. Zrozumiała to w chwili, gdy udało jej się skłamać na temat zdjęcia i wiadomości. Nie ma mowy, nie powie policji, że razem z kochankiem zamierzała zwabić Paula w pułapkę, zażądać należytą sobie części pieniędzy i zaszantażować go, gdyby odmówił. A paszport miał być przynętą.

Policja nie musi wiedzieć o takich sprawach. Dla nich ważne jest tylko jej wspomnienie chwili, gdy na jej głowę spadał młotek. Ilekroć ten obraz przemykał przez myśl Marii, czaszkę rozsadzał przeszywający, dotkliwy ból. Stała odwrócona plecami, młotek spadł na głowę z tyłu. To musiał być Paul. Daryl nie mógłby tego zrobić, kochał ją, nie był zdolny do tak

brutalnego postępu. Nie miała pojęcia, dlaczego policja zadaje jej takie pytania. Czy nie powiedziała im już wszystkiego?

Dole skinął głową.

– Mario, nie chcemy pani naciskać. Chcemy tylko wiedzieć, czy pamięta pani coś ważnego. Jeśli nie, to nic nie szkodzi. Czy to możliwe, że mąż chciał od pani odejść? I zostawił w domu paszport, a pani go znalazła?

Powoli zamknęła i otworzyła oczy. To był jej sposób na mówienie „Tak”. Uważała, żeby nie poruszać głową. Ból był dzisiaj wyjątkowo silny. Kiedy przyszli szeryf i jego zastępczyni, miała właśnie wziąć środki przeciwbólowe, ale powodowały senność, a przy tej dwójce wołała zachować przytomność umysłu, więc powiedziała pielęgniarce, że weźmie, kiedy oni pójdą.

– Może, nie wiem, nie jestem pewna.

– Czy zna pani niejakiego Daryla Oakesa? – spytała Bloch.

– Brzmi znajomo – odparła Maria.

To była najbardziej wymijająca odpowiedź, jaką zdołała wymyślić.

Bloch wzięła do ręki telefon, przewinęła wstecz i wyświetliła na ekranie wymianę SMS-ów z numerem, który nie figurował w spisie kontaktów.

– Czy to jego numer? – spytała.

Maria przejechała palcami po czole, przymknęła drżące powieki.

– Ż... źle się dzisiaj czuję. To przez ten ból. Czy możemy przełożyć tę rozmowę na inny dzień? Trudno mi myśleć – powiedziała Maria.

Przez palce obserwowała, jak szeryf i jego zastępczyni wymieniają spojrzenia. Nie mogłaby przysiąc, ale zdawało jej się, że jemu zadrżała warga i poruszyły się wąsy.

– Oczywiście, może być kiedy indziej – powiedział.

ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY ÓSMY

Dole szedł ze swoją zastępczynią szpitalnym korytarzem. Bloch stawiała długie, sprężyste kroki. Była od niego wyższa; szeryf musiał szybko przebierać nogami, żeby za nią nadążyć. Przy każdym kroku czuł przeszywający ból w kolanie.

Doszli do stojącego na parkingu samochodu. Otworzyła drzwi od strony kierowcy, zawahała się, a po chwili zatrzasnęła je z powrotem. Dole stał po drugiej stronie, patrzyli na siebie nad dachem radiowozu.

– Jasna cholera! – zaklęła.

– Słuchaj, co to właściwie zmienia? – spytał Dole.

Bloch oparła łokcie o samochód i ujęła głowę dłońmi.

– Wszystko – odparła.

– Nieprawda. Nawet jeśli Maria miała romans z Oakesem, to co z tego? Dowiedziała się, że mąż zamierza ją porzucić, wysłała mu wiadomość, że zostawił paszport. Cooper nie zarezerwował żadnego biletu, wypłynął łodzią. Wysyłając tego esemesa, Maria chciała mu dogryźć. Nie zrobiła tego z życzliwości, żeby mu przypomnieć, że zapomniał paszportu.

Skinęła głową.

– Nadal utrzymuje – ciągnął szeryf – że to Cooper ją zaatakował, i teraz to nabiera więcej sensu. Odkryła jego podwójne życie, dowiedziała się, że jest słynnym, tajemniczym pisarzem. Rzuca mu to w twarz, on próbuje odejść, ale zapomina paszportu, wraca do domu, dochodzi do kłótni, prawdopodobnie na temat milionów, które ukrywał na koncie, i wali ją w głowę młotkiem. Na tę chwilę tak wygląda nasza obowiązująca wersja.

– Myślę, że to Oakes walnął ją w twarz, kiedy zgłosiła włamanie – orzekła Bloch.

Dole podniósł głowę i popatrzył na błękitne niebo. Z góry lał się żar, a on był zmęczony.

– Możliwe – przyznał. – Od razu wyczuliśmy, że włamanie to ściema. Poza Marią ucierpiała tylko szuflada. Pewnie tam znalazła jego wyciąg z dwudziestoma milionami. Wykorzystała Daryla, by zatuszować, że

myszkowała w gabinecie, i sfigować historyjkę o włamywaczu. Zyskała trochę czasu, żeby się zastanowić, jak załatwić tę sprawę z mężem. Musimy przeczytać te cholerne książki i przyjrzeć się bliżej LeBeau. Trzeba się przygotować. Dam sobie rękę uciąć, że Cooper zjawi się na uroczystości.

Bloch skinęła głową, ale z jej twarzy nie zniknęła kwaśna mina.

– Mamy dowody przeciwko Cooperowi, ale nic na Oakesa. Cudzołóstwo nie jest przestępstwem. Co cię gryzie? – spytał szeryf.

Popatrzyła mu w oczy i domyślił się, co zamierza powiedzieć.

– Skrzynka na listy. To mnie gryzie. Nie potrafię tego wpasować w tę naszą wersję. Do niczego to nie pasuje.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

POCZĄTEK KOŃCA

Sierpień

W prażącym południowym słońcu Paul Cooper stał przed teatrem przy La Brea Avenue z rewolwerem w kieszeni i głową pełną kiepskich pomysłów. Zdjął okulary przeciwsłoneczne, otarł czoło rękawem podkoszulki i jeszcze raz przebiegł w myślach swój plan.

Poczekaj, aż wyjdą wszyscy goście. Udało mu się stanąć przy samej barierce odgrozonego przejścia między teatrem a ulicą. Goście przejdą tuż obok niego w drodze do limuzyn czekających przy chodniku. Będzie miał stąd idealny widok na wychodzących ludzi. Kiedy Daryl przejdzie obok niego, wyciągnie z kieszeni spodni trzydziestkęósemkę, naciśnie spust i strzeli mu prosto w twarz. Nie ma wyboru. Musi ocalić Marię.

Przed lokalem kłębił się tłum. Dwieście lub trzysta osób tłoczyło się po obu stronach barierki. Składali hołd swemu nieżyjącemu idolowi. W teatrze tego dnia nie odbywało się żadne przedstawienie. Salę zarezerwowano na uroczystość upamiętniającą zmarłego J.T. LeBeau.

Paulowi zrobiło się niedobrze. Albo to przez upał, albo przez zbiorową histerię, która otaczała go ze wszystkich stron, przez te wszystkie dorosłe kobiety oplakujące zmarłego pisarza. Albo jedno i drugie. Albo od wódki. Musiał wypić kilka mocnych drinków, żeby przestały mu się trząść ręce.

Tak naprawdę nie przepadał za zabijaniem. Jeszcze się w nim nie rozsmakował. Owszem, miał na rękach krew, nawet dużo, ale to było co innego. To był szczególny przypadek.

Za każdym razem, kiedy z tłumu dobiegło nazwisko zmarłego pisarza, nóż w jego trzewiach przekręcał się trochę mocniej.

Tylko cztery osoby na świecie wiedziały, kim naprawdę był J.T. LeBeau. Dwie już nie żyły. Bob Crenshaw zginął w bagażniku płonącego samochodu. Młoda kobieta o imieniu Linzi zginęła od śmiercionośnych uderzeń. Pozostały dwie. Jedna niedługo zarobi kulę kalibru .38 Special, spoczywającą w kieszeni Paula Coopera.

Otworzyły się szklane drzwi i z teatru na upiorny kalifornijski upał wyległy tłumy uczestników żałobnej ceremonii. Oczywiście wszyscy byli przygotowani na upał – na barkach mężczyzn wisiały jasne lniane garnitury. Większość preferowała białe lub kremowe marynarki z czarnymi krawatami, które miały wystarczyć za symbol żałoby. Czarny garnitur w tym upale byłby zabójczy. Kobiety, bardziej niż mężczyźni skłonne poświęcić wygodę na rzecz etykiety, miały kapelusze, okulary przeciwsłoneczne i ciemne jedwabne sukienki, które przyklejały im się do nóg.

Krople potu spływały Paulowi po policzku i wsiąkały w brodę. Chwycił w garść przód koszulki i wycierając nią twarz, odsłonił na chwilę błydy brzuch. Kiedy ją opuścił, wilgotny materiał natychmiast przykleił się do ciała. Poczul w kieszeni ciężar rewolweru. Czul go również w myślach. Stanął na postumencie barierki i wyciągając szyję, rozejrzał się nad głowami otaczających go ludzi. Nigdzie nie widział swojego celu. Zaczęły go ogarniać wątpliwości, czy jego plan wypali. Może jednak Daryl się nie pokaże.

Potem nagle nie było już czasu na zastanawianie się.

Daryl pojawił się na czerwonym dywanie. Niecałe dwa metry od niego. Mijał go z pochyloną głową.

Dziesiątki razy wyobrażał sobie tę chwilę. Czy popatrzy przestraszony prosto w lufę wymierzonej w siebie broni? Czy krzyknie? Czy ochrona zdąży zareagować?

Otaczali go czterej ochroniarze. Szli po dwóch, powoli, czujnie. I podczas gdy Daryl, pochylając głowę, patrzył w dół, oni uważnie obserwowali tłum po obu stronach przejścia.

Paul tego nie przewidział, ale to nieważne.

Najtrudniejsze będzie pociągnięcie za spust. Zastanawiał się, czy da radę. Złapał jedną ręką za barierkę, a drugą sięgnął do kieszeni i zamknął dłoń na rękojeści rewolweru. Powtarzał sobie, że potrafi to zrobić. Żołądek podszedł mu do gardła, aż poczul na języku piekący kwas. Przełknął go i zdmuchnął z ust ściekający pot. Serce bębniło mu w uszach.

Zrób to, pomyślał. Zrób to teraz!

Zaczął wyciągać broń. Nagle znieruchomiał. Poczuł na ramieniu czyjąś dłoń.

Człowiek za jego plecami pochylił mu się do ucha. Paul poczuł na szyi gorący oddech. Mimo tłumy otaczającego go ciasno ze wszystkich stron i adrenaliny, która dudniła mu w uszach, usłyszał te słowa wyraźnie niczym ryk trąby. Proste stwierdzenie. Wypowiedziane zwyczajnym głosem. Słowa, które przeszły go na wylot.

– Wiem, kim jesteś – powiedział mu ktoś do ucha. – Jesteś J.T. LeBeau.

To nie tylko słowa.

Paul rozpoznał ten głos.

Dłoń na jego ramieniu zacisnęła się i obróciła go wokół osi.

Szeryf Dole schudł. Był smuklejszy, twardszy. Ale nadal nosił te głupie wąsy, które sprawiały wrażenie jeszcze gęstszych niż poprzednio. Był ubrany po cywilnemu, żeby wtapiać się w tłum. Prześwidrował Paula małymi czarnymi oczkami i pokręcił głową.

– To koniec, synu – powiedział. – Musisz ze mną iść.

Paul przełknął gorycz w ustach. Nadal trzymał dłoń zaciśniętą na splewce. Jeśli ją wyciągnie, Dole zastrzeli go na miejscu. Nie chciał skrzywdzić szeryfa. Pomyślał tylko, że gdyby dobył broń i strzelił nad głowami tłumy, mógłby skorzystać z zamieszania i zniknąć. Od początku miał taki plan. Najpierw zabić Daryla, następnie skulić się i pierchnąć razem z innymi. W takim tłumie nikt się nie zorientuje, że to on oddał strzał.

– Cokolwiek ci chodzi teraz po głowie, lepiej tego nie rób – ostrzegł go Dole. – Pokaż mi ręce.

Dopiero teraz Paul zauważył, że szeryf trzyma broń w dłoni opuszczonej wzdłuż boku.

Po jego twarzy spłynęła kropla potu – od linii włosów, przez czoło, potem zatoczyła łuk po policzku i zatrzymała się na brodzie. Nie drgnął. Zaciskał palce na ciężkiej, gorącej rękojeści rewolweru.

– Nie zmuszaj mnie, żebym ci wpakował kulkę, synu – powiedział Dole.

Paul wypuścił z dłoni rewolwer. Powoli zaczął podnosić ręce. Robiąc to, odtwarzał w myślach, co powiedział szeryf. Właściwie nie straszył, że go zabije. Powiedział to tak, jakby go prosił. Nie chciał odebrać mu życia, nie chciał go mieć na sumieniu. To były dziwne słowa, zważywszy na sytuację. Paul usłyszał w nich szczerłość.

Ponieważ jego los jest przesądzony, nie ma po co żyć, poza zemstą, czystą satysfakcją, że będzie oddychał dłużej niż Daryl. Ta myśl napawała go zadowoleniem. Działała na wyobraźnię, sprawiała, że czuł się silniejszy.

Pomogła mu odzyskać trochę pewności siebie, z której odzierano go kawałek po kawałku, dzień po dniu, przez całe wypełnione strachem życie.

W jakimś sensie kula nie byłaby złym rozwiązaniem. Gdyby to był inny policjant, gdyby ciskał groźby, przystawiał mu pistolet do głowy, wtedy Paul być może wyciągnąłby rewolwer i strzelił do Daryła.

Lecz Dole był inny. Przypominał mu, że każdy popełniony czyn wywołuje jakieś następstwa. Jego śmierć zniszczyłaby tę część, którą szeryf przez długie lata służby w policji zdołał uchronić. I ten człowiek właściwie prosił go, aby do tego nie doszło.

Paul to szanował. Nienawidził Daryła, ale nie zabiłby nikogo innego. Nie chciał zniszczyć komuś życia dla własnej zemsty. To byłaby zbyt wysoka cena.

– W prawej kieszeni mam broń. Zostawię ją tam, powoli wyjmę dłonie i położę je na głowie – powiedział Paul.

Dole obserwował go czujnie, gotów natychmiast podnieść glocka, gdyby zauważył fałszywy ruch.

Paul powoli podniósł dłonie i rozpościerając szeroko palce, położył je na czubku głowy.

– Teraz się odwróć, Paul – polecił szeryf.

Paul odwrócił się twarzą do czerwonego dywanu. Co najmniej jedna kobieta po lewej i dwie po prawej zauważyły, że coś się dzieje. W hałaśliwym tłumie nikt nie mógł słyszeć rozmowy Dole'a z Paulem. Ludzie zaczęli się odsuwać, wokół Paula rosła wolna przestrzeń. Spojrzał w prawo na ciągły strumień ludzi wychodzących z teatru. Obrócił się w lewo i zobaczył wpatrzone w niego oczy Daryła.

Dole chwycił lewy nadgarstek Paula i wykręcił mu rękę za plecy.

Darył miał na sobie ciemny garnitur, błękitną koszulę i granatowy krawat. A więc nie w żałobie. W jego oczach nie było gniewu; jeśli na twarzy malowało się jakieś uczucie, to żal. Paul ani przez chwilę nie wątpił, że prawdziwy J.T. LeBeau przyjdzie na uroczystość, nie przepuści szansy, aby stanąć anonimowo w morzu celebrytów i wielbicieli swoich dzieł.

Dzieł spływających prawdziwą krwią.

Paul poczuł, jak na jego lewy nadgarstek wślizguje się zimna metalowa obręcz. Prawą dłoń miał nadal wolną, mógł sięgnąć dłonią do kieszeni, złapać rewolwer i strzelić, zanim Dole zdążyłby go powstrzymać. Lecz wtedy prawdopodobnie szeryf wpakowałby mu kulkę w tył głowy.

Kajdanki zaczęły się zamykać na lewym nadgarstku Paula.

– No proszę, kogo tu widzimy! Wielki pisarz we własnej osobie – powiedział Darył.

Teraz w jego oczach płonął gniew. Paul poczuł na prawym nadgarstku dłoń szeryfa. Dole nie miał już w ręce broni – jedną dłonią przyciskał mu lewy nadgarstek do pleców, drugą sięgał po prawy. Może ta świadomość wyzwoliła reakcję Paula. A może co innego. Nie wiedział i nigdy się nie dowie, czy działał świadomie, czy instynktownie. Z pewnością nie zastanawiał się nad tym, co robi.

To się po prostu stało.

Poczuł, jak wzrok Daryla dosięga zimnego miejsca w jego piersi. Miejsca, w którym żył przez tyle lat. Miejsca wypełnionego strachem.

Wymykając się uchwytowi Dole'a, błyskawicznie sięgnął dłonią w dół. Nie mógł tego powstrzymać. Strach wziął nad nim górę. Jego ciało zareagowało tak, jakby stał oko w oko z drapieżnikiem. Wszystkie myśli pierzchły. Umysł odłączył się od ciała. Liczyło się tylko przetrwanie. Pierwotny instynkt zwyciężył i przejął kontrolę nad ciałem. To nie on działał, tylko automat. Nie podejmował żadnej decyzji, mimo to ruch został wykonany. Ciało postanowiło pozbyć się zagrożenia, nie licząc się z decyzją umysłu.

Palce sięgnęły do kieszeni.

Dole zrozumiał, co się dzieje, złapał Paula za przedramię, drugą ręką skręcił kajdanki. Ostry ból podziałał zbawiennie, lecz nie powstrzymał Paula. Szeryf nie miał szans uniemożliwić mu wyciągnięcia broni.

Dłoń Paula zacisnęła się na rękojeści, palec wskazujący trafił na spust. To był rewolwer z krótką lufą, bez kurka, który mógłby zaczepić o materiał podczas wyciągania z kieszeni.

Z daleka dobiegł go głos Dole'a, tak słaby, jakby Paul siedział w głębokiej studni. Niczego nie słyszał, nie myślał, nie czuł. Pozostało czyste działanie.

Z kieszeni wyłonił się rewolwer. Zaczął go podnosić.

Daryl stał bez ruchu. Nawet nie mrugnął powieką. Między nimi nie było nikogo, nawet ochroniarzy. Czysty strzał.

Wtedy Paul zauważył ruch za plecami Daryla.

Jego płat czołowy wdepnął na hamulec. Świadomość przejęła kontrolę, jakby widok przed jego oczami nacisnął włącznik myślącej części mózgu. Upuścił broń.

Zza Daryla wyłoniła się Maria. Ten odwrócił się i podsunął jej zgięte ramię. Paul patrzył, jak delikatne palce żony obejmują rękaw marynarki Daryla, jak się do niego przysuwa.

Uchwyciła spojrzenie Paula. Ścisnęła mocniej ramię Daryla i wtuliła się w jego bok. Była w czarnej sukience i miała fryzurę na pazia. W kruczoczarnych włosach załśniło gasnące słońce. Wyglądała blado,

szkarłatna szminka podkreślała ten nowy odcień skóry – barwę kości słoniowej.

To była Maria, ale nie jego Maria. Kobieta o twarzy przypominającej maskę, na której nie malowało się żadne uczucie.

Dole stracił cierpliwość. Wrzeszczał mu w ucho, lecz Paul go nie słyszał. Obie dłonie miał teraz zakute w kajdanki. Silne pchnięcie z tyłu rzuciło go na ziemię. Ktoś w tłumie musiał zauważyć broń, bo rozległ się krzyk. W ciągu kilku sekund tłum zaczął się rozbiegać na wszystkie strony, byle dalej od barierek przed teatrem. Wybuchła panika. Ludzie będą się nawzajem tratować. Paul wiedział o tym i przyjął to z rezygnacją. W końcu od początku miał taki plan.

Uderzył o chodnik pierśią, potem policzkiem. Zabrakło mu tchu, gdy Dole przygniótł go kolanem, i usłyszał, jak metal szoruje o beton, kiedy szeryf podnosił z ziemi rewolwer.

Jakby przez mgłę dobiegły go słowa Dole'a recytującego mu jego prawa. Nie słuchał. Wszystkie zmysły, wszystkie myśli skupił tylko na Marii.

Zaczął wrzeszczeć. Rozdzierający krzyk wydobywał mu się prosto z trzewi. Musiał przekrzyczeć tłum, Maria musiała go usłyszeć. Zawołał jedyną rzecz, jaka mu przyszła do głowy i mogła jej uratować życie.

– Mario! Twoja mama dzwoniła!

Daryl przyciągnął ją do siebie, pocałował, a potem się odwrócił i oboje odeszli.

Paul nie miał pojęcia, czy go usłyszała. Przez wrzask tłumy prawie sam siebie nie słyszał, mimo to wołał dalej.

Po chwili jego gardło zamieniło się w rozgrzaną patelnię. Głos wybuchął z niego niczym wulkan – krzyk, krzyk i wołanie.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY

Kiedy usłyszała zamieszanie, wiedziała, że to musi być Paul. Daryl zatrzymał się i odwrócił, żeby spojrzeć na tłum. Marii zajęło trochę więcej czasu, zanim zorientowała się, skąd dochodzi wrzawa. Nie miała pojęcia, jak zareaguje, kiedy zobaczy Paula po raz pierwszy od kilku miesięcy. Serce zaczęło jej walić, broda zadrżała, szyję oblał rumieniec. Oddychała coraz szybciej.

Strach.

Nie musiała się obawiać Paula w sensie fizycznym – otaczali ją uzbrojeni ochroniarze. Jej lęk wynikał z instynktu samozachowawczego. Czy poczuje coś, kiedy go zobaczy? Tego się najbardziej bała. Że na jego widok odezwie się w niej coś uspiętego. Że się przebudzi.

Przeżyła próbę zamordowania jej. Nienawidziła go za to. Nienawidziła siebie za to, że żyła z człowiekiem, który był do tego zdolny.

Ściśle mówiąc, Maria, która została zaatakowana w kuchni swojego własnego domu, nie przeżyła. Tamta Maria zginęła na zimnej podłodze.

Ta, która żyła, była zupełnie inną osobą.

Zaczął się od fizjoterapii i ćwiczeń fizycznych. Szpital znalazł rehabilitanta, który bardziej jej odpowiadał. Czekala ją mordercza praca. Lewa połowa ciała Marii była skrajnie osłabiona. Przez cały tydzień wyciskała z siebie siódme poty, żeby utrzymać w dłoni widelec. Wykształcenie poważniejszych zdolności motorycznych zajęło jeszcze więcej czasu. Uczyła się chodzenia jak jazdy na rowerze. To, co kiedyś robiła automatycznie, teraz wymagało ogromnego wysiłku fizycznego i umysłowego. Musiała poruszać lewą nogą świadomie – zapracować myślą, zanim ciało zaczęło jej słuchać. Wokół sali ćwiczeń ciągnął się korytarz – bok kwadratu otaczającego cichy mały ogródek. Każdy miał trzydzieści metrów długości, podłogę wyłożoną jasnymi płytkami, po jednej stronie ścianę w kolorze trawiastej zieleni, po drugiej długi rząd okien wychodzących na ogródek. Krok po kroku, opierając się na balkoniku, ociekając potem, pierwszego dnia przeszła siedem metrów. Drugiego –

dziesięć. Trzeciego przewróciła się po trzech metrach. To był zły dzień, ale się nie rozpląkała. Walczyła. Kiedy minął tydzień, pokonała dwie trzecie korytarza. Po dwóch tygodniach przeszła cały korytarz i pół drugiego.

Miesiąc później chodziła wokół sali bez żadnej pomocy. Pomógł trening z ciężarkami, wróciła umiejętność koordynacji. W jej mózgu powstały nowe ścieżki nerwowe, nauczyła się kompensować sobie wszelkie trudności. Może nie w stu procentach, ale prawie.

Psychoterapia trwała jedną sesję. Sprawa była zbyt świeża. Za wcześnie, żeby jej dotykać. Psychoterapeuta opowiadał jej o urazach mózgu i o ich konsekwencjach dla umysłu. Powiedział, że przypomina chwilowy pożar, który wybucha na powierzchni gąbki. Płomienie niszczą gąbkę, tworzą wyrwy w miejscach, gdzie trafiają na kieszenie powietrzne, a w innych stapiają ze sobą elementy powierzchni. Ostrzegł ją, że może mieć luki w pamięci. Nazwał je fałszywymi wspomnieniami. Przeniesieniem. Maria czuła przeszywający ból w głowie za każdym razem, kiedy psychoterapeuta się odzywał, więc kazała się w cholerę zamknąć. Orzekł więc, że nie jest gotowa do terapii. Że jeszcze jest za wcześnie.

Marii nie interesowało nic poza rehabilitacją fizyczną. Lekarze „od głowy” przyprawiali ją tylko o ból zębów. Olewała to, co mówił neuropsycholog. Miał na imię Brian. W sumie go lubiła. Był wysoki, szczupły, atletycznie zbudowany, o długich kończynach. Nosił krzykliwe żółte krawaty, od których oczy wychodziły jej na wierzch. To nie podobało się Marii. Wyświetlił na ekranie komputera jej mózg. Zdjęcia z jakiegoś powodu budziły jej lęk. Nie mogła na nie patrzeć. Brian wyjaśnił, że on i jego koledzy muszą przeprowadzić kilka testów. Większość była według niej głupia albo się głupio nazywała. Na przykład karciany test Wisconsin czy coś w tym rodzaju. Lekarz pokazywał jej jakieś karty i kazał je dopasowywać. Nie przypominało to gier, w które grała z mamą. Karty nie pasowały do siebie idealnie, a niektóre w ogóle. Musiała patrzeć na migające światło, a oni sprawdzali reakcje jej oczu. Potem robili kolejne prześwietlenia i następne testy. Jeden przypominał trochę gry hazardowe. Ten jej się podobał.

Kiedy trzeci raz spotkała się z Brianem, była znudzona. A on znowu miał na sobie ten wariacki krawat. Dobiegały ją tylko urywki tego, co mówił.

– Uszkodzenie płata czołowego... zmiany behawioralne... upośledzenie pamięci... zahamowanie... podejmowania ryzyka... impulsywność... osłabienie uwagi...

Wypisano ją ze szpitala, lecz Maria nie chciała wracać do „tamtego domu”. Wynajęła pokój w hotelu w Bay City. Zapłaciła za tydzień z góry. Po prostu nie była jeszcze gotowa gotować dla siebie i sprzątać. I wcale nie miała na to ochoty. Szeryf był dla niej dobry. Utrzymywał z nią kontakt, często odwiedzał ją w szpitalu, a teraz, kiedy wyszła, regularnie przysyłał jej maile. Zawsze mu odpowiadała. Chciała mieć go po swojej stronie. Tak, wierzyła, że Paul próbował ją zabić. Nie powiedziała Dole’owi, że wcześniej zamierzała męża szantażować.

Trzeciego wieczoru po jej wyjściu ze szpitala zadzwonił Daryl.

Dobrze było usłyszeć jego głos. Gdzieś głęboko działał na nią kojąco. Jak chłodna woda na obolałe stopy po długim marszu przez miasto.

Chciał się spotkać. Powiedziała mu, żeby przyjechał do hotelu, i oczywiście nazajutrz się zjawił. Otworzyła drzwi, położyła mu dłoń na ustach i zaciągnęła go do łóżka.

Potem rozmawiali i odpowiedziała mu na wszystkie pytania.

Nie, nie zdradziła policji, że chcieli szantażować Paula.

Tak, wie, że oni również uważają Paula za autora kryminałów, znanego jako J.T. LeBeau. Szeryf Dole wyjaśnił jej wszystko szczegółowo w czasie swojej ostatniej wizyty w szpitalu. Gdy siedziała z Darylem w ogrodzie, powiedział jej, że chociaż świat uważa jej męża za zmarłego, on nie wierzy w śmierć Paula. W Los Angeles odbędzie się uroczystość upamiętniająca jej męża i szeryf jest prawie pewien, że Paul się na niej pojawi. Wydawcy zaprosili również Marię i chociaż nie miała najmniejszej ochoty składać hołdu człowiekowi, który próbował ją zabić, uznała, że warto układać sobie dobre stosunki z wydawcami. Chcą zawrzeć z nią umowę w sprawie tantiem z książek Paula. Może zarobić majątek. Na uroczystości zorganizowano dla niej specjalną ochronę.

Dole powiedział, że jeśli Paul do niej zadzwoni, Maria musi go natychmiast o tym powiadomić. Pogrzebał trochę w przeszłości LeBeau i nie podobało mu się to, co znalazł. Jej mąż jest bardzo niebezpiecznym człowiekiem i prawdopodobnie odpowiada za śmierć kilku osób, w tym dziewczyny o imieniu Linzi. Nawet siedząc w spokojnym ogrodzie przy łagodnych dźwiękach fontanny i zapachu róż, Maria zadrżała z przerażenia.

Leżała w hotelowym łóżku w objęciach Daryla i patrzyła na niego w milczeniu. Opowiedziała mu o wszystkim, co się wydarzyło, i poczuła się znacznie lepiej. Rozkoszowała się znajomym dotykiem jego skóry. Nagle musnęła go dłonią po plecach i wyczuła coś nienaturalnego. Wzdrygnęła się.

– Co to jest?

– Paul mi to zrobił. Tamtej nocy w kuchni, pamiętasz? Usłyszałem jakieś odgłosy, wszedłem do domu, żeby sprawdzić, co się stało, wtedy w tym momencie...

– Co?

– Leżałaś na podłodze. Myślałem, że nie żyjesz. Nagle rzucił się na mnie i wbił mi w plecy końcówkę młotka do wyciągania gwoździ.

– O Boże... – Zasłoniła usta.

– Udało mi się jakoś obronić i uciekłem. Nie chciałem jechać na ostry dyżur, wszystko powariowało. Odchodziłem od zmysłów ze zdenerwowania. Potem dostałem gorączki. Kiedy w końcu doszedłem do siebie, ocknęłaś się w szpitalu. Omal nie zginąłem... oboje o mało nie zginęliśmy. Przepraszam, kochanie. Odchodziłem od zmysłów, myślałem, że cię straciłem.

Maria przysunęła się do niego i przez chwilę całowali się wtuleni w siebie.

– Jak mnie znalazłeś? – spytała.

– W szpitalu powiedzieli mi, że wyszłaś. Chciałem ci dać trochę czasu, zanim do ciebie zadzwonię. Po tym wszystkim, co się stało... Nie powinienem był otwierać tej szuflady. Przepraszam. Czuję, że to wszystko moja wina.

Maria położyła palec na jego ustach.

– To nie twoja wina.

– Myślisz, że Paul dowiedział się, co planowaliśmy? Dlatego nas zaatakował?

Milczała. Głaskała delikatne włosy na jego piersi.

– Możliwe – odezwała się w końcu. – Prawdopodobnie tak. Nieważne. Jak mnie znalazłeś tutaj?

– Najpierw pojechałem do twojego domu, ale wszystko było pozamykane, więc domyśliłem się, że pewnie jesteś w Bay City. Nie znosiłaś Port Lonely, a wiem, że lubiłaś ten hotel. Byliśmy tu kiedyś, na jedną noc. Jedliśmy kolację w restauracji na dole. Paul wtedy gdzieś wyjechał. Powiedziałaś, że bym cię zawiózł do miejsca, w którym nie będziemy musieli się ukrywać, gdzie będziemy mogli usiąść razem i zjeść kolację jak para. W końcu zostaliśmy tu na noc.

Maria pamiętała to wszystko jak przez mgłę. Przypominała sobie Daryla w smokingu, ale nie mogła sobie przypomnieć miejsca i okoliczności. Zaczęła się przyzwyczajać do tych luk we wspomnieniach. Miała w umyśle czarne dziury. Niektóre rzeczy były wyraźne i plastyczne, inne majaczyły

na pograniczu przesłonięte mgłą, a jeszcze inne znikły zupełnie. Wytarte do czysta. Mogła w każdej chwili przywołać w pamięci zapach perfum swojej mamy – jedyne flakonu, jaki miała – a nie mogła sobie przypomnieć dnia ślubu z Paulem ani tego, czy wczoraj coś jadła.

– Nie pamiętam – przyznała.

Przerzuciła przez niego nogę i usiadła na nim okrakiem.

– Popracujmy nad nowymi wspomnieniami – zaproponowała.

Tygodnie poprzedzające uroczystość ku czci LeBeau spędziła z Darylem w łóżku, na wspólnych kolacjach, w kinie i przy przeciągającej się w nieskończoność kawie w leniwe niedzielne poranki w pobliskich kawiarniach. Mieszkali razem i czuła się prawie szczęśliwa.

Teraz, w objęciach Daryla na czerwonym dywanie przed teatrem, odwróciła się i zobaczyła szeryfa Dole'a klęczącego na plecach jej męża. Popatrzyła Paulowi w oczy. I coś jednak poczuła.

Współczucie.

Tylko współczucie.

Słyszała, jak do niej krzyczy, ale nie zrozumiała słów. Że dzwoniła jego mama? Nieważne. Jeśli go kiedyś kochała, to uczucie umarło w Port Lonely razem z dawną Marią.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY PIERWSZY

Policja Los Angeles okazała się bardziej pomocna, niż można się było spodziewać. Spełnili wszystkie prośby Dole'a, dali nawet Bloch nieoznakowany samochód służbowy, pod warunkiem że za kilka miesięcy przyjedzie, aby pomóc ich instruktorom jazdy w prowadzeniu kursów doszkalających. Uznali, że byłoby to nader wskazane, kiedy eskorta towarzysząca im z lotniska nie mogła nadażyć za wypożyczonym samochodem prowadzonym przez Bloch.

Dole wiedział jednak, że jego zastępczyni ma znacznie więcej zalet niż prowadzenie samochodu.

Stali przed pokojem przesłuchań i przeglądali notatki. Na podłodze pod nogami szeryfa leżało pudło z dowodami. Bloch przygotowała się na ten dzień z najdrobniejszymi szczegółami. Miała ponad sto stron sporządzonych notatek, listę pytań, których nauczyła się na pamięć, i dwie pełne torby dowodów rzeczowych, które policja w Los Angeles pomogła im skatalogować i przechować. Pierwsze przesłuchanie musiało się odbyć w miejscu aresztowania. Następnie Paul Cooper miał trafić do sądu. Komendant powiadomił biuro prokuratora okręgowego o wniesionym wniosku o ekstradycję Paula Coopera do Port Lonely. Wszystko zostało ustalone, udało im się utrzymać sprawę z dala od FBI. Nie mogli być lepiej przygotowani.

– Myślisz, że powinniśmy byli aresztować Oakesa w czasie ceremonii? – spytała Bloch.

– Nie. Uważam, że dobrze zrobiliśmy. Na razie wszystkie dowody przemawiają przeciwko Cooperowi. Maria spodziewa się pieniędzy. Sądzę, że Oakes nie odstąpi jej na krok.

Bloch skinęła głową.

– Gotowa? – spytał Dole.

Jeszcze raz skinęła głową, pociągnęła nosem, po czym wytarła go kciukiem jak bokser.

– No dobra – rzucił.

Otworzyła drzwi, przytrzymała je, a szeryf podniósł kartonowe pudło i wszedł do środka.

Znaleźli się w małym pokoju ze stołem i krzesłami przyśrubowanymi do podłogi. Na środku stołu wystawał metalowy pierścień, do którego przykuty był kajdankami Paul Cooper. Miejscowy technik przygotował już kamerę, która czekała w pogotowiu, aby nagrać przesłuchanie.

Dole postawił pudło na podłodze i usiadł na jednym z krzeseł naprzeciwko Coopera. Bloch zajęła drugie, obok niego. Czwarte, przy Paulu, stało puste, ponieważ zatrzymany oznajmił, że nie potrzebuje prawnika. Chce się tylko stąd wydostać.

Najpierw Bloch oznajmiła, że rozmowa będzie nagrywana. Wstała i włączyła kamerę. Dole przypomniał Paulowi, że został poinformowany o swoich prawach.

Pytania zostały starannie przygotowane, zredagowane i przepisane.

– Panie Cooper, wyjaśniono panu, dlaczego się pan tu znalazł. Przejdźmy więc do rzeczy. Czy zechce pan powiedzieć, dlaczego próbował pan zabić żonę?

– Nie skrzywdziłem żony – odparł Paul. – Aresztowaliście niewłaściwego człowieka.

Mimo że przygotowali się na taką odpowiedź, Dole'a zaskoczyło zachowanie Paula. Był przerażony, to oczywiste. Aresztowano go za poważne przestępstwa, w tym dwa usiłowania zabójstwa lub narażenie na niebezpieczeństwo innych ludzi. Szeryf mógł dodać jeszcze inne zarzuty, ale na razie trzymał je w zanadrzu. Oskarżenia związane z incydentem przed teatrem prawdopodobnie sprowadzą się jedynie do nielegalnego posiadania broni, lecz nawet jeśli zważyć wszystkie okoliczności oraz naturalny w tej sytuacji strach Coopera, w jego głosie zabrzmiało coś, co sprawiło, że Dole się zawahał. Szczerość.

Facet miał prawdopodobnie jeszcze więcej czasu niż oni, żeby się przygotować do tego zeznania. Szeryf starał się nie zapominać, że Cooper pewnie ćwiczył te odpowiedzi wiele razy. Wiedział, że jego zastępczyni też to wyczuła i że ona również powstrzyma się przed wydawaniem osądu aż do końca przesłuchania. Nie pozwoli sobie, żeby sprawca tak łatwo i szybko zbił ją z tropu.

– Mamy mnóstwo dowodów, które wskazują na pański udział w napaści na żonę, panie Cooper – odezwała się Bloch. – Na dłuższą metę wyjdzie panu na dobre, jeśli przestanie pan trwonić nasz czas. Musiał pan mieć poważny powód, aby zaatakować Marię Cooper, prawda? To odpowiednia pora, aby nam o nim powiedzieć.

– Powtarzam, że jej nie dotknąłem. To był Daryl Oakes.

– Dlaczego uważa pan, że Daryl Oakes zaatakował pańską żonę?

Paul nie odpowiedział. Wziął głęboki oddech, przez kilka sekund patrzył Bloch w oczy, po czym odwrócił głowę i głośno, z bólem wypuścił powietrze.

Ten facet wie coś, co mógłby nam powiedzieć, ale nie chce albo uważa, że nie może tego zrobić, pomyślał Dole.

Albo prowadzi Bloch w pułapkę.

– Panie Cooper, jako policjanci musimy opierać się na dowodach. One są podstawą naszej pracy. Powinien pan o tym wiedzieć, ponieważ prowadził pan wnikliwe studia tego tematu do swoich książek. Czy nie pisał pan powieści kryminalnych?

Paul się wyprostował.

– Co mają do tego moje książki? Powinniście raczej rozmawiać na ten temat z LeBeau?

To był cios między oczy dla Dole'a i Bloch, ale nie mogli tego po sobie pokazać. Podejrzani często mówią na przesłuchaniach zaskakujące rzeczy. Na razie musieli się trzymać planu. Później będą mieli dość czasu, żeby wysłuchiwać głupich wymówek.

– To my w tym pokoju zadajemy pytania, panie Cooper – warknęła Bloch.

Nie chciała jeszcze przechodzić do sedna. Pierwsze pytania miały na celu usunąć Cooperowi grunt spod nóg, złamać go kilkoma dobrze wymierzonymi ciosami.

– Naprawdę chce się pan z nami w ten sposób bawić? Wiemy, że to pan napadł na Marię Cooper. Proszę nam powiedzieć, dlaczego pan to zrobił, a nie będziemy musieli przez to wszystko przechodzić. W sądzie będzie to dobrze wyglądało, jeśli przyzna się pan od razu – przekonywała go Bloch.

– To nie byłem ja – odparł Cooper. – Spytajcie Marię.

Szeryf i jego zastępczyni wymienili spojrzenia. To był moment, żeby uderzyć. Dole wręczył jej pierwszy dowód: kartonowe pudełko wielkości trzydzieści na piętnaście centymetrów z jedną plastikową ścianką. W środku znajdował się młotek z zaschniętymi plamami krwi na trzonku i obuchu.

– To jest pański młotek, którym zaatakowano Marię Cooper – oznajmiła Melissa. – Znaleźliśmy na nim odciski palców jednego człowieka. Pańskie.

Odłożyła młotek na bok, wyjęła gruby plik wydrukowanych dokumentów zszytych razem w górnym rogu.

– To zeznanie Marii Cooper. Powiedziała, że znalazła w pańskiej szufladzie wyciąg bankowy – oznajmiła Bloch, a Dole podsunął mu następny dowód. Przezroczysty, szczelnie zamknięty woreczek zawierał druk bankowy z widocznymi plamami krwi. – Ten dokument stwierdza, że posiada pan dwadzieścia milionów dolarów. Żona nie miała pojęcia o tych pieniądzach i kiedy pokazała panu wyciąg...

– Nie.

– ...rzucił się pan brutalnie na żonę. Roztrzaskał jej pan czaszkę i zawinął jej ciało w folię, żeby zabrać ją na łódź.

– Nie – powtórzył Cooper.

Dole wyjął plik fotografii przedstawiających dziurę w burcie łodzi i rzucił je na stół.

– Zamierzał pan zatopić łódź – ciągnęła Bloch. – Upozorować waszą śmierć. Ale coś się nie udało, łódź zaczęła nabierać wody zbyt szybko. Nie mógł pan wrócić po ciało żony, więc zostawił ją pan i zniknął.

– Nie.

– Chciał pan, aby uznano was oboje za zmarłych, aby mógł pan zniknąć z pieniędzmi. Wiemy, że podjął pan z konta całą sumę.

– To były moje pieniądze. Zarobiłem je.

– Więc dlaczego się pan do nas nie zgłosił? – spytał Dole.

– Bo wiedziałem, że oskarżycie mnie o napaść na żonę. On właśnie tak to zaplanował – powiedział Paul.

– Kto tak to zaplanował? – spytała Bloch.

– Daryl Oakes.

Odchyliła się na oparcie krzesła i skrzyżowała ramiona na piersi. W ten sposób przekazywała pałeczkę Dole'owi.

– Moja zastępczyni już panu powiedziała, że opieramy się wyłącznie na dowodach. Więc proszę mi powiedzieć, gdzie znajduje się dowód, że Daryl Oakes zaatakował pańską żonę i skierował na pana podejrzenia?

Mówiąc to, szeryf pomyślał o przewróconej skrzynce na listy przed domem Cooperów. Zaczynał patrzeć na podejrzanego łagodniej, lecz musiał podążać śladem dowodów, a jak dotąd nic nie wskazywało na związek Oakesa z tą sprawą.

– Gdybym wam powiedział... – zaczął Paul i pokręcił głową.

Dole rozłożył szeroko ręce.

– Gdyby nam pan powiedział, to co? Śmiało, to pańska szansa. Drugiej pan nie dostanie.

– Nie uwierzylibyście.

– Proszę spróbować – rzucił Dole. – Pana żona twierdzi, że to pan ją zaatakował. Jeśli się myli, proszę nam wyjaśnić dlaczego. Proszę nam powiedzieć prawdę.

– Nie mogę.

– Dlaczego?

– Bo wtedy zginiecie.

Bloch miała tego dość. Schyliła się, wzięła do ręki kilka książek i zaczęła je układać na stole. Z hukiem kładła jedną na drugiej, aż powstał spory stos. Dzieła zebrane J.T. LeBeau. Wzięła do ręki *Człowieka w płomieniach* i cisnęła go na stół przed Paulem.

– Postać z pańskiej drugiej książki. Ofiara, która spłonęła w samochodzie, ponieważ za dużo wiedziała. Za bardzo przypomina to, co spotkało pańskiego redaktora, Boba Crenshawa.

Cooper pokręcił głową.

– Chcemy się dowiedzieć czegoś o kobiecie z pańskiej trzeciej powieści, *Wodospad anioła*. Znaleziono ją u stóp wodospadu, nagą, bez żadnego dokumentu tożsamości. Nigdy jej nie zidentyfikowano, a w pańskiej książce zamordował ją były kochanek, ponieważ poznała jego tajemnicę: był seryjnym mordercą żyjącym pod fałszywym nazwiskiem.

Przesłuchiwany milczał.

– Miała na imię Linzi, prawda?

W oczach Coopera zakręciły się łzy. Tak bardzo zapiekło go to imię. Oparł łokcie na stole i ukrył twarz w dłoniach. Kajdanki napięły łańcuch, którym był przykuty do stołu.

– Dalej, piąta książka, o człowieku...

– Przestańcie! – zawołał Paul.

– Ależ mogę kontynuować, panie Cooper. Przeczytaliśmy te książki i niektóre zabójstwa uderzająco przypominają prawdziwe nierozwiązane sprawy kryminalne. Sądzę, że jest pan zabójcą. Myślę, że opisuje pan w książkach swoje własne zbrodnie. Widzieliśmy wiadomości na pańskim komputerze. Linzi pana zdemaskowała. Odkryła, że jest pan J.T. LeBeau i że utrzymuje pan swoją tożsamość w tajemnicy, ponieważ to pan jest zabójcą ze swoich książek. Skończy pan na krześle elektrycznym, panie Cooper, chyba że zacznie pan z nami współpracować, i to właśnie w tej chwili – ostrzegła go Bloch.

Przez długi czas nikt się nie odzywał. Szeryf i jego zastępczyni czekali na reakcję Paula. Po chwili ramionami Coopera wstrząsnął szloch, lecz twarz nadal ukrywał w dłoniach. W końcu rozległ się dźwięk.

Ale nie płaczu. Śmiechu. Śmiechu bez krzty wesołości. Pustego śmiechu przerażenia.

Odjął dłonie od twarzy i zobaczyli na niej rozpaczliwy grymas.

– Wszystko pokręciliście – rzucił. – Teraz już nie mam wyboru. Powiem wam, co się naprawdę wydarzyło. Pójdę do więzienia za swój udział w tej historii. Za milczenie. Za przyjmowanie pieniędzy. Byłem tchórzem i zasłużyłem sobie na to. Ale przynajmniej poznacie prawdę. To nie ja, tylko Daryl Oakes jest J.T. LeBeau.

– Zróbmy przerwę – zarządził Dole.

Cooper oparł się na krzesło i wziął głęboki oddech. Dole i Bloch włączyli pauzę w kamerze i wychodząc z pokoju, zamknęli za sobą drzwi.

Szeryf oparł się plecami o ścianę i popatrzył w sufit.

– Chyba mi nie powiesz, że kupujesz te bzdury – odezwała się Bloch.

– A skrzynka na listy? – zapytał Dole.

– Co ma do tego pieprzona skrzynka na listy?

Szeryf odepchnął się od ściany i ruszył korytarzem w stronę wyjścia.

– Dokąd się wybierasz?

– Idę się zobaczyć z Marią. Chcę z nią porozmawiać. Obiecałem, że do niej zadzwonię po przesłuchaniu jej męża. Równie dobrze mogę do niej wpaść. Jadę do hotelu, a ty kontynuuj z Cooperem. Jesteś w tym lepsza ode mnie.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY DRUGI

Daryl zdziwił się, że Maria tak dobrze zniosła wydarzenia tego dnia. Była naprawdę inną kobietą. Silną. Niezależną.

Tak jak on.

Jej towarzystwo sprawiało mu teraz znacznie więcej przyjemności. Przedtem była tylko pionkiem na szachownicy. Teraz przeistoczyła się w królową.

Pojechali windą na dziesiąte piętro. Hotel przechodził właśnie gruntowną renowację. Wychodząc rano z pokoju, widzieli, jak pracownicy ostrożnie zdejmują obrazy ze ścian, owijają je w muślinowe tkaniny i przekazują boyowi hotelowemu, który układał je na wózku bagażowym.

Przez cały dzień malowano korytarz na głęboki ciemnozielony kolor. Kiedy więc wieczorem otworzyły się drzwi windy, Daryl poczuł zapach świeżej farby. Maria złapała się za nos.

Doszli do drzwi pokoju i Maria wyjęła kartę magnetyczną. Znieruchomiała. Pociągnęła nosem. W głębi korytarza smród farby był jeszcze intensywniejszy. Popatrzyła na Daryla i nie spodobało mu się to spojrzenie. W jej oczach błysnęło coś niewypowiedzianego. Wczytała kartę i weszła do pokoju.

– Muszę wziąć kąpiel – rzuciła.

Był to bardziej apartament niż pokój – toaleta oddzielona od łazienki z dwoma umywalkami, dużą wanną i prysznicem; biurko, kanapa i telewizor w oddzielnym salonie przylegającym do sypialni; przesuwane drzwi na niewielki balkon ze stolikiem i dwoma krzesłami, aby zjeść śniadanie na świeżym powietrzu, patrząc na wielkie litery HOLLYWOOD, jeśli nie było mgły.

Maria poszła prosto do łazienki, rzuciła torebkę na podłogę i odkręciła kran. Daryl tymczasem usiadł na łóżku i obserwował, jak się rozbiera, podczas gdy wanna napełniała się wodą. Wstał, podszedł do biurka, otworzył i włączył laptopa, po czym wpisał hotelowe hasło Wi-Fi. Poza

odgłosem wody leżącej do wanny w pokoju panowała cisza – żadnej stłumionej muzyki, żadnego telewizora.

Przypomniawszy sobie kuchnię w domu Cooperów w Port Lonely tamtego ostatniego dnia. Maria otworzyła puszkę z farbą i pomalowała kawałek ściany, aby sceneria wyglądała bardziej przekonująco. Tak samo pachniał teraz hotelowy korytarz. Zapach jest silnym bodźcem wyzwalającym wspomnienia, może nawet silniejszym od dźwięku i obrazu.

To spojrzenie, które rzuciła mu przed wejściem do pokoju... Pamięć emocjonalna jest czymś niezwykle potężnym. Dla niektórych to mogą być znajome perfumy, dla innych dym określonej marki papierosów albo zapach kwiatu... To wystarczy, by umysł wpadł w korkociąg wspomnień i emocji.

Maria wiedziała.

Sprawdził maile w laptopie. Zakup posiadłości w Medinie został sfinalizowany, klucze czekały na niego w agencji nieruchomości.

W samą porę. Maria okazała się niezwykle użyteczna, ale nierozsądnie byłoby dłużej trzymać ją przy życiu. I niebezpiecznie.

Wstał i zajrzał do swojej torby. Spakował już wszystko poza świeżą koszulą, która nadal wisiała w szafie. Zdjął ją z wieszaka i schował.

Był gotów.

Z łazienki nadal dobiegał szum wody leżącej do wanny. Nie słyszał, kiedy Maria zamknęła drzwi, dźwięk dochodził teraz przytłumiony. Lubiła długie, gorące kąpiele. Kiedyś, zanim się rozstali po swoich potajemnych schadzkach, napuszczał jej do wanny gorącej wody i obserwował, jak się zanurza. Wiedział, że po tym, jak wanna się napełni i Maria do niej wejdzie, będzie miał co najmniej pół godziny, zanim temperatura spadnie i wygoni ją z wanny.

Krzyknął do niej przez drzwi:

– Przygotować ci kieliszek wina, kiedy wyjdiesz?!

– Jasne. Czerwone poproszę!

Zamiast jednak przygotować wino, Daryl postanowił wykorzystać ten czas na pisanie. Zbliżał się do końca pierwszej wersji książki. Otworzył w laptopie dokument z tekstem – najnowszym dziełem J.T. LeBeau – i zaczął pisać nową scenę. Rozgrywającą się w hotelu, takim jak ten. Kiedy skończył, przeczytał fragment i zrobił kilka drobnych poprawek. Później zmieni imiona i nazwiska, aby prawda nie rzucała się zbyt mocno w oczy policjantom, którzy mogą przeczytać książkę. Chciał, aby prawda tam była, ale zawoalowana, na wypadek gdyby go kiedyś złapano.

Po dziesięciu minutach Darren usłyszał chlupot wody wylewającej się na płytki łazienki. Martha wychodziła z wanny. Za wcześnie. Weszła do sypialni. Odwrócił się i zobaczył parę buchającą z łazienki. Martha miała na sobie biały szlafrok. Jej włosy, kiedy były mokre, sprawiały wrażenie jeszcze ciemniejszych. A gdy zmyła szminkę, jej blada cera jeszcze mocniej podkreślała atramentowy odcień włosów, niczym lilia postawiona obok czarnej róży.

Obie były piękne.

– Przyniosę wino, dobrze? – powiedziała.

– Przepraszam, zapomniałem – rzucił Darren.

W apartamencie był bogato zaopatrzony barek ukryty w komodzie. Martha wzięła butelkę riojy oraz dwa kieliszki. Z szuflady wyjęła korkociąg z małym ostrzem do rozcięcia plastikowej osłonki korka. Automatycznym otwieraczem z minibaru odkorkowała butelkę i postawiła ją na komodzie, żeby wino oddychało.

Darren odwrócił się z powrotem do laptopa; nie zamknął pliku. Poczul na ramieniu jej dłoń.

– Nad czym pracujesz? – spytała.

Wstał i obrócił fotel.

– Usiądź i przeczytaj.

Wróciła do komody, naląła wino do dwóch kieliszków. Jeden podała Darrenowi, a z drugim usiadła na fotelu i Darren odwrócił ją twarzą do ekranu. Stał obok i obserwował ją, kiedy czytała.

Przebiegała wzrokiem po liniijkach. Widział duży prostokąt światła odbijający się w czarnej tęczówce; wypukła powierzchnia deformowała obraz i wykrzywiała ją w dziwne kształty.

Kiedy przeczytała trzecią liniijkę, na jej czole zaczęły drgać drobniutkie mięśnie. Dalej śledziła tekst na ekranie.

Zacząła drżeć. Darren wyjął jej z dłoni kieliszek i postawił na stoliku. Nie protestowała.

Oczy zaszły jej mgłą. Wargę zaczęła się trząść. Czytała scenę opisującą jej własną śmierć.

Nagle doznała szoku. Dłonie sięgnęły do twarzy, chwytając powietrze wielkimi haustami w instynktownej reakcji przygotowującej mięśnie do ucieczki.

Lecz ucieczki nie było. Martha nie mogła się poruszyć.

– To ty jesteś J.T. LeBeau – szepnęła.

Darren podszedł do niej od tyłu, otoczył jej ciało ramieniem i podniósł ją.

– Powinienem być wykończyć cię w Port Lonely – powiedział.

Zrobił kilka kroków w tył. Wierzgała nogami, szarpała dłońmi za ramię zaciskające się na jej ciele. Opuścił ją sobie na biodro i tylko jedną ręką trzymał ją w pasie; drugą otworzył szerzej uchylone drzwi balkonowe.

Prawie mu się wyrwała, lecz szybko poprawił uchwyt, złapał ją oburącz w tali i podniósł. Zrobił dwa kroki przed siebie, wziął zamach, skręcił się i przerzucił ją przez barierkę. Kiedy spadała z rozpostartymi ramionami, widział wyraz jej twarzy, usta otwarte do krzyku, który uwiązał w gardle.

Nie czekał, aż upadnie na ziemię. Wystarczyły mu wrzaski i klaksony dobiegające z ulicy.

Wrócił do środka, zamknął komputer i schował go do torby. Znalazł telefon Marthy wystający z jej torebki na podłodze łazienki, napisał mail do szeryfa Cole'a, że nie potrafi poradzić sobie z myślą o procesie sądowym. Nie jest w stanie stawić czoła Saulowi, swojemu mężowi. To wszystko ją przerasta. Wygrał. Podziękowała mu za to, co dla niej zrobił, i powiedziała, że nie powinien mieć wyrzutów sumienia z powodu tego, co ona zamierza zrobić. Ma już dość.

Darren nacisnął WYŚLIJ i wyszedł z hotelu.

Skończył pisanie i wstał od laptopa. Podszedł do balkonu i uchylił drzwi. Czas, żeby Maria wyszła z łazienki na kieliszek wina.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY TRZECI

Maria wsłuchiwała się w rytmiczny grzmot wody lecącej do wanny i patrzyła w lustro.

Stała w bieliźnie i ostrożnie zmywała makijaż. Wrzuciła zużyty wacik do kosza stojącego obok na podłodze i sięgnęła do paczki leżącej na brzegu umywalki, aby wziąć następny. Błat wokół umywalki wyglądał czysto i schludnie. Pozostały tylko pasta ze szczoteczką do zębów i opakowanie wacików do demakijażu. Z początku nie zwróciła na to uwagi, lecz po chwili zaczęła się nad tym zastanawiać. Daryl musiał spakować swoją szczoteczkę. Zajrzała do kosza i obok zużytego wacika zobaczyła jego jednorazową maszynkę do golenia.

Mieli zostać w hotelu jeszcze co najmniej tydzień. Dlaczego spakował swoje rzeczy?

Przed oczami mignął jej obraz paszportu Paula leżącego na kuchennym blacie. Czowała wyraźnie zapach farby. Prawie zaczęła się krztusić. W pokoju hotelowym nie było malarzy, nikt niczego tu nie malował, a jednak cały czas czuła w nozdrzach ten zapach.

Zamknęła oczy. I nagle zobaczyła Daryla w białym plastikowym kombinezonie malarskim. Z martwym spojrzeniem pustych oczu.

Ugięły się pod nią kolana. Złapała się umywalki, żeby nie upaść.

– Co się ze mną dzieje, do kurwy nędzy? – szepnęła.

Chwyciła się za głowę i ścisnęła dłonie, żeby jej nie rozsadziło czaszki.

Wtedy zobaczyła to znowu. Wizja była taka klarowna. Wyrazista. Żaden odgłos nie odwrócił uwagi Daryla, nie wyciągnął go z kuchni. Jediną osobą, która znajdowała się w domu, kiedy została zaatakowana, był Daryl. Potężny, przeszywający ból powalił ją na kolana.

Zabrakło jej tchu. Chwyciła torebkę leżącą na podłodze obok sukienki. Wyjęła telefon, znalazła numer do szeryfa Dole'a i zamarła.

Daryl za drzwiami pytał, czy chce się napić wina. Odparła, że owszem, czerwonego. Tylko tyle mogła wykrztusić, żeby nie wydarł jej się z gardła wzbierający krzyk.

Potrząsnęła głową. Ogarniała ją panika. Pomyślała o Paulu. Chciał przed teatrem zastrzelić Daryla, nie ją. Sprawcą był Daryl, a ona wszystko pochrzaniła. Wpuściła w swoje życie potwora.

Co krzyczał Paul przed teatrem? Że jego mama dzwoniła?

Nie. Nie jego mama, tylko jej. Zawołał: „Twoja mama dzwoniła!”.

Nagle całe powietrze uszło jej z piersi. Wyciągnęła rękę, żeby się czegoś złapać, i omal nie upuściła komórki.

Wykręciła numer domowy. Zadzwoiła na automatyczną sekretarkę mamy, podłączoną do telefonu stacjonarnego w Port Lonely. Był to jeden z pierwszych modeli, które pozwalały odsłuchać wiadomości zdalnie. Wstukała hasło i zaczęła słuchać.

„Masz jedną nową wiadomość”.

Pięć minut później się rozłączyła. Zdjęła ręcznik wiszący na kaloryferze, włożyła go sobie do ust i zaczęła wrzeszczeć. Kołysała się w przód i w tył, jej ciałem wstrząsał szloch zmieszany ze wstydem.

Po chwili odłożyła ręcznik na bok, odwróciła się i zakręciła kran. Wpuściła trochę wody, żeby nie zalać łazienki.

Patrzyła na drzwi.

Wiedziała już, że po drugiej stronie czeka na nią morderca. Nie ma stąd innego wyjścia. Obserwował ją bacznie od chwili, kiedy wrócili do hotelu. Ogarnęło ją przerażenie. Zaczęła dygotać.

Zadzwoiła na numer Dole'a. Nie odpowiadał. Półgłosem nagrała wiadomość, po czym włożyła telefon z powrotem do torebki. Trzęsła się teraz tak, że nie mogła nawet mówić.

Poczucie winy. Ból. Strach.

Skrzywdziła Paula. Tak źle go oceniła.

Zrozumiała, że może zrobić tylko jedno. Widziała to w myślach wyraźnie. Miała dość tego pieprzonego bajzlu. Paul był głupi, że przyjął te pieniądze. Głupi, że ukrywał przed nią prawdę. Lecz nikt nie był głupszy niż ona. Nie tylko zakochała się w mordercy, lecz także przyjęła go z powrotem do łóżka po tym, jak omal jej nie zabił. Zrobiło jej się niedobrze. Przełknęła ślinę.

Co ja najlepszego zrobiłam?

Teraz nie ma już ucieczki. Nie ma ucieczki. Nie ma ucieczki.

Nienawidzi mężczyzn. Jej ojciec. Jej mąż. Jej kochanek. Wszyscy ją skrzywdzili, wykorzystali, zostawili na śmierć.

Ma dosyć bólu. Dosyć strachu. Tego poczucia winy. Tego wstydu.

Tego życia.

ROZDZIAŁ SZEŚCZDZIESIĄTY CZWARTY

Daryl otworzył drzwi łazienki. Nie widział Marii, musiała siedzieć jeszcze w wannie. Światło było przygaszone, w środku panowała cicha, spokojna atmosfera. Zastanawiał się, jak to opisać w książce. Wszedł do środka.

– Co z tym kieliszkiem...?

Słowa uwięzły mu w gardle.

Patrzył na wannę, na mętną czerwoną wodę. Jakby ktoś wrzucił do środka słoiczek z czerwonym atramentem. Białe ciało Marii leżało w środku, martwe; oczy patrzyły w mleczone żarówki na suficie. Jeden nadgarstek spoczywał na brzegu wanny, zgięte palce trzymały jednorazową maszynkę do golenia, którą rano wyrzucił do śmieci. Na nadgarstku widniała głęboka rana, krew nadal sączyła się do wanny. Pochylił się nad wodą i zobaczył drugie rozcięcie na zanurzonego nadgarstku.

Woda zabarwiona od krwi. Krew na maszynce do golenia. Maszynka w dłoni. Otwarte rany na obu nadgarstkach. Nie powinien zakłócać tej sceny. Służyła jego celom idealnie...

Wyjął chusteczkę z paczki leżącej na umywalce, owinął nią palce i dotknął nadgarstka Marii. Kilka razy przesunął dłoń, szukając pulsu. Nie znalazł.

Bała się dzisiejszej uroczystości. Bała się Paula i tego, co on może zrobić. Daryl też się niepokoił. Obawiał się, czy widok Paula nie wyzwoli w niej wspomnień utopionych we krwi i bólu. Czegoś takiego się nie spodziewał. Podniósł z podłogi jej torebkę, wyjął telefon i sprawdził. Nie było żadnych nowych połączeń. W ogóle nie było żadnych połączeń. Choć mogła je usunąć. A może jej telefon nie zapamiętywał historii połączeń? Napisał maila do szeryfa Dole'a – list pożegnalny – po czym wytarł telefon i rzucił go na podłogę. Odwrócił się i z chusteczką w dłoni wyszedł z łazienki.

Nie miał czasu do stracenia. Włożył laptopa do torby razem z chusteczką – pozbędzie się jej później – i zaklął, wychodząc z pokoju.

Z wściekłości zaciskał szczękę i zgrzytał zębami.

Naprawdę podobała mu się scena, którą napisał. Maria czytająca opis własnej śmierci na kilka sekund przed swoją śmiercią. Chwila czystej rozkoszy, którą mu odebrano. Czuł się oszukany. Okradziony z zabójstwa.

W dodatku wieczorem będzie musiał dalej pracować nad książką. Nie może zostawić w swojej powieści takiej nieścisłości. Gryzłaby go niczym kleszcz wżerający się w skórę.

Będzie musiał pisać całą tę pieprzoną scenę od nowa.

Wygrała z nim.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY PIĄTY

Dole zaparkował kilkadziesiąt metrów przed wejściem do hotelu. To było najbliższe wolne miejsce, jakie znalazł. Naturalnie hotel miał obsługę parkingową, ale nie podobała mu się myśl, że miałby płacić jakiemuś dzieciakowi za zaparkowanie jego samochodu.

Dlatego on i Los Angeles nie pasowali do siebie. Przez czterdzieści lat sam parkował swoje samochody i nie zamierza za cholerę tego zmieniać.

Zgasił silnik samochodu wypożyczonego przez policję Los Angeles – zielonego pontiaca, który sprawiał wrażenie, jakby lada chwila mógł wyzionąć ducha. Zaczął otwierać drzwi kierowcy, po czym znieruchomiał. Zamknął je z powrotem i schylił się za kierownicą.

Daryl Oakes podał bilet parkingowemu przed hotelem. Miał ze sobą torbę. Stał na chodniku z pochyloną głową. Unikał wzroku ludzi. Wyraźnie starał się nie rzucić w oczy.

Szeryf chciał z nim porozmawiać, lecz coś go powstrzymało. Może lepiej się przekonać, dokąd pojedzie? Czy mieszka w innym hotelu? Dobrze byłoby sprawdzić, gdzie go może znaleźć, gdyby chciał z nim porozmawiać po spotkaniu z Marią.

Podczas gdy Daryl stał na chodniku i czekał, szeryf wyjął komórkę. Zdawało mu się, że jadąc tu, poczuł w kieszeni wibracje. Stary służbowy samochód nie miał systemu głośnomówiącego, a Dole nie chciał, żeby mu jakaś kamera na ulicy zrobiła zdjęcie z komórką przy uchu, zwłaszcza w wozie miejscowej policji. Nie wypadłoby to najlepiej.

Zobaczył nieodebrane połączenie od Marii, wiadomość w poczcie głosowej oraz e-mail od niej. Przeczytał najpierw e-mail.

To był list pożegnalny samobójczyni. Sprawdził nieodebrane połączenie. Mail został wysłany pół godziny po tym, jak próbowała się do niego dodzwonić. Połączył się z pocztą głosową i przyłożył telefon do ucha. Drugą ręką dusił kierownicę. Emocje ścisnęły go za gardło i groziły wybuchem.

Po dziesięciu sekundach odsłuchiwania wiadomości oczy szeryfa przeszyły czekającego przed hotelem Daryla.

Przy odgłosach płynącej wody w tle Maria powiedziała, że wszystko pomieszała. Jest w hotelowej łazience, a za drzwiami czeka Daryl. Znalazła się w pułapce. To on próbował ją zamordować. Teraz to sobie przypomniła. Paul jest niewinny. Jej ostatnią prośbą nie było wołanie o pomoc.

„Nie zdążycie do mnie na czas. Nikt by nie zdążył. Dopadnijcie tego drania. Paul wszystko mi opowiedział, zostawił wiadomość na sekretarce automatycznej. Mówi prawdę. Trzeba powstrzymać LeBeau. Trzeba aresztować Daryla. Dorwijcie go. Nie pozwólcie mu uciec”.

Na tym wiadomość się kończyła. Dole walnął pięścią w kierownicę. Przed wejście do hotelu podjechał czarny SUV, wysiadł z niego parkingowy i wręczył kluczyki Darylowi. Ten wsiadł do samochodu i wyjechał na ulicę.

Dole musiał przekręcić kluczyk w stacyjce kilka razy, żeby pontiac w końcu zakasłał i zapalił. Ruszył za Oakesem. Próbował się dodzwonić do Bloch, lecz telefon był wyłączony. Widocznie nadal przesłuchiwała Coopera.

Wiedział, cholera. Czuł to od początku. Pierwszym tropem była przewrócona skrzynka na listy – zabójca chciał, żeby ciało Marii Cooper zostało szybko znalezione. Próbował zrobić Paula w zamordowanie żony. Ale ona przeżyła. A teraz Dole nie miał wątpliwości, że już nie żyje. Pojechał w ślad za jej zabójcą.

Trzymał się kilka samochodów w tyle, żeby go nie zgubić, ale też zanadto się nie zbliżyć.

Zaciskając zęby, myślał o ostatnim życzeniu Marii.

Nie pozwoli Oakesowi uciec. Powstrzyma go.

W tym momencie szeryf wiedział jeszcze jedną rzecz. I było to równie bolesne jak klucie serca, jak poczucie straty, jak wyrzut sumienia – jego starzy znajomi. Wiedział, że Oakes zdoła obrócić śledztwo przeciwko Paulowi. Sfałszuje dowody oskarżenia. Maria przed śmiercią wypowiedziała obciążające go słowa, lecz dobry adwokat złoży je na karb urazu mózgu lub majaków przyszłej samobójczynie.

Ucieszył się, że Bloch nie odebrała telefonu. Nie będzie więcej próbował. Nie wezwie wsparcia. Ofiary tego człowieka nie znajdą w sądzie sprawiedliwości.

Dole musi go powstrzymać sam.

I na pewno nie zamierza go aresztować.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY SZÓSTY

Dwie godziny po opuszczeniu pokoju hotelowego Daryl stał w swojej łazience przed lustrem. Dom w Los Angeles nie wyróżniał się niczym specjalnym. Stary hiszpański budynek w stylu kolonialnym, jednopiętrowy, z dwiema sypialniami i wielką piwnicą. W pogodne poranki widać było najwyższe wieżowce miasta i ruch uliczny płynący przez mgłę niczym duchy.

Dochodziła dziesiąta wieczorem.

Przez ostatnią godzinę dużo się zmieniło. Ogolił głowę, najpierw elektrycznym trymerem, potem maszynką. Na uroczystości miał krótką, elegancko przystrzyżoną brodę. Teraz zmienił ją na kozią bródkę, usianą białymi plamkami, które starannie utlenił farbą i wacikiem. Był też mocno opalony. Osiągnięcie tej opalenizny okazało się znacznie trudniejsze, niż mu się początkowo zdawało. Wcześniej chodził do salonu, w którym przyciemniano skórę sprayem. Tym razem użył drogiego samoopalacza w emulsji. Było z tym mnóstwo roboty. Musiał bardzo starannie nanieść go na ciało i równo rozsmarować, żeby nie zostawić ciemnych plam na szyi i dłoniach.

Wrócił do sypialni, włożył spodnie od dresu i T-shirt, po czym wziął laptopa i poszedł do gabinetu na piętrze. Włączył komputer i przeczytał scenę opisującą śmierć Marthy. Chociaż bardzo mu się podobała, musiał ją usunąć.

Zabić swoją ukochaną. Czy nie tak mówią wszyscy najlepsi pisarze?

Zaznaczył fragment tekstu i już miał go usunąć, kiedy usłyszał jakiś hałas.

Zamarł i zaczął nasłuchiwać, ale dobiegał go tylko cichy szum wentylatora w laptopie. Mimo to nadal się nie poruszył. Włosy zjeżyły mu się na karku. Chociaż niczego więcej nie usłyszał, wiedział, że w jego domu ktoś jest.

Poderwał się bezszelestnie i wrócił do sypialni. Z sejfu w szafie wyjął pistolet z tłumikiem. Sprawdził magazynek – był w pełni naładowany.

W komorze tkwił pocisk. Włożył adidasy i ruszył z powrotem do gabinetu. Na korytarzu zatrzymał się i przez chwilę nasłuchiwał, lecz nadal niczego nie słyszał.

Nieważne. I tak wiedział, że ktoś jest w domu.

ROZDZIAŁ SZEŚCZDZIESIĄTY SIÓDMY

Dole obserwował, jak Oakes parkuje w garażu hiszpańskiego domu, skierowanego frontem do autostrady. Przez całą drogę jechał co najmniej trzy samochody za jego SUV-em.

Trudno było sobie wyobrazić gorszy samochód niż policyjny pontiac, ale szeryf zdążył się do niego przyzwyczaić. Hamulce wymagały generalnego remontu. Albo działały, albo nie – bez żadnej opcji pośredniej, żadnej możliwości łagodnego zwalniania. Mógł jechać albo się zatrzymać. Nie miał pojęcia, jakim cudem zdołał uniknąć wypadku, ale w końcu dotarł na miejsce.

Czekał, aż zgasną lub przynajmniej przygasną światła w całym budynku. Sprawdził broń, upewnił się, że ma pełny magazynek, wysiadł z samochodu i ruszył w stronę domu. Nie zauważył nigdzie alarmu – żadnych skrzynek na ścianach, żadnych kamer na rogu budynku, nic, co mogłoby poinformować mieszkańców o intruzie.

Obchodząc dom dookoła, zauważył dwa miejsca, które można było dostać się do środka: drzwiami od ogrodu, z zamkiem, który wyglądał na łatwy do sforsowania, oraz przez okno kuchenne.

Zdecydował się na tylne wejście. Nigdzie wokół budynku nie było oświetlenia. Od drzwi dzieliły go tylko płoty i niewielki trawnik. Dole nie był najlepszy w przechodzeniu przez płoty. Ten był zrobiony z półtorametrowych sztchet i wyglądał na solidny. Szeryf złapał się górnej krawędzi i podciągnął, potem zaczepił się prawą nogą, przerzucił lewą i wylądował po drugiej stronie. I natychmiast poczuł przeszywający ból w obu kolanach. Zaklął pod nosem, rozmasował obolałe stawy, po czym zaczął się przekradać przez podwórze.

Przy tylnym wejściu przykleknął. Zatrzymał się i nasłuchiwał. Cisza. Żaden pies nie zaszczekał u sąsiadów, nigdzie nie zapaliło się światło. Dole podciągnął nogawkę i wyjął z buta zestaw wytrychów. W Port Lonely mnóstwo domów letniskowych przez całą zimę stało pustych. Nie potrafił się już doliczyć, ile razy musiał włamywać się do budynków, aby wyłączyć

alarm uruchomiony przez szopa. Większość właścicieli mieszkała cztery, pięć godzin drogi od Port Lonely i z wdzięcznością pozwalała, by szeryf włamywał się do środka, wyłączał i resetował alarm, a następnie zamykał za sobą drzwi.

W końcu nabrał całkiem niezłej wprawy w posługiwaniu się wytrychami.

Obejrzał zamek. Bębenkowy, prawdopodobnie z sześcioma zapadkami. Wybrał odpowiednie wytrychy i niecałe dwie minuty później otworzył drzwi.

Schował narzędzia, położył dłoń na pistolecie przypiętym do biodra i po cichu wszedł do środka. Przymknął drzwi, lecz postarał się, żeby się nie zatrzasnęły. Może będzie musiał szybko uciekać.

Zaciskając zęby z bólu, który kąsał jego kolana przy każdym miękko stawianym kroku, ruszył w głąb pogrążonego w ciemności domu. W kuchni, salonie i przedpokoju było pusto.

Zerknął w górę na schody. Światło paliło się w łazience i w jakimś pokoju. Nie widział go z dołu, ale blask był stonowany, prawdopodobnie pochodziło z włączonej lampki.

Usłyszał na górze kroki. Zatrzymał się i wstrzymał oddech.

Dobiegł go charakterystyczny zgrzyt starych zawiasów i szorującego drewna – odgłos nie do pomylenia. Ktoś otwierał okno. Szeryf przekradł się dalej w głąb korytarza. Słyszał teraz uliczny hałas dochodzący z góry, a po chwili zmieszały się z nim inne dźwięki, dokładnie nad korytarzem – ktoś chodził po dachu.

Dole ostrożnie wszedł na schody. Kiedy jego wzrok zrównał się z podłogą przedpokoju na piętrze, wyciągnął broń. Popatrzył między słupkami balustrady i zobaczył niewielki gabinet. Na biurku paliła się lampka. Zmrużył oczy i zauważył obok biurka otwarte okno.

Pobiegł szybciej, nie zważając już na to, czy ktoś go usłyszy, czy nie. Z uniesioną bronią wbiegł na piętro, prosto do gabinetu. Pokój był pusty. Z boku stało wąskie łóżko, ale nikogo w nim nie było, więc szeryf dopadł od razu do okna i wyjrzał na zewnątrz, trzymając przed sobą pistolet na linii wzroku.

Na dachu było pusto. Na ulicy też. Cholera, zgubił go! Wsunął pistolet do kabury, postawił stopę na oknie i chwycił się futryny obiema rękami. Wejdzie na dach, żeby sprawdzić drugą stronę budynku. Albo Oakes już dawno uciekł, albo próbuje się dostać na dach sąsiedniego domu.

Poczuł za sobą czyjąś obecność, zanim ten ktoś zdążył się odezwać.

– Nie ruszaj się, mam broń. Wszedłeś na prywatny teren, jesteś włamywaczem.

Dole stał bez ruchu, nie obrócił się, ale glock na jego biodrze przemawiał do niego natarczywie.

– Stań obiema nogami na podłodze. Podnieś dłonie tak, żebym je widział, i ani drgnij.

Postawił nogę z powrotem na podłodze i powoli puścił futrynę.

– Nie strzelaj, jestem funkcjonariuszem policji – powiedział, unosząc puste dłonie.

– Odwróć się powoli z rękami w górze.

Szeryf zrobił, co mu kazano, uważając, by nie opuścić dłoni nawet o centymetr. Zobaczył mężczyznę kucającego za łóżkiem. W wyciągniętych rękach trzymał pistolet z tłumikiem i mierzył prosto w niego. W pierwszej chwili Dole go nie poznał – łyсы, ogorzały facet ze szpakowatą bródką. Dopiero kiedy przyjrzał mu się bliżej, rozpoznał znajomy zarys szczęki, lecz przede wszystkim zdradzały go oczy. Szeryf nie mógł zapomnieć wyrazu tych przerażających oczu.

– Cześć, Oakes – powiedział. – Czy może raczej powinienem powiedzieć LeBeau?

– Jesteś znacznie sprytniejszy, niż sądziłem. Na kolana.

Ciężar świadomości spadł na Dole'a niczym kowadło. A więc to jego ostatnie chwile. Nie bał się. Cholera, miał ochotę dać draniowi nauczkę, lecz wiedział, że wynik może być tylko jeden.

– Zanim uklęknę, chcę, żebyś mi najpierw coś powiedział. Przewróciłeś skrzynkę na listy, prawda? Żeby listonosz znalazł zwłoki Marii.

– Zamierzałem to zrobić samochodem, zwyczajnie po niej przejechać, ale nie chciałem zostawić śladów farby, poza tym musiałbym zmienić opony... tak czy inaczej przesrane. A teraz na kolana.

– Zabiłeś dzisiaj Marię, prawda? – ciągnął szeryf.

– Na kolana – warknął Oakes.

Dole się uśmiechnął. Nie był najlepszym kierowcą, nie był najbystrzejszy w swoim zawodzie, nie umiał szybko biegać, a przeskakując ten cholerny płot, rozwalił sobie kolano i prawdopodobnie powinien był poskładać to wszystko do kupy znacznie wcześniej. Ale jedno umiał. Strzelać.

Włożył w to mnóstwo pracy. Trening dynamiczny – dobyć broni i strzelić. Trafić w cel. Jego rekord wynosił pięć pocisków w niecałe trzy sekundy.

Wypuścił powietrze, sięgnął po broń.

Nie zdążył nawet wyciągnąć pistoletu z kabury, kiedy trafiła go pierwsza kula.

Drugiej już nie poczuł.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY ÓSMY

Jedną ręką Daryl przytrzymał tłumik, drugą wykręcił pistolet.

Spojrzał na ciało Dole'a.

Będzie dużo krwi. Wsunął pistolet do prawej kieszeni spodni, tłumik do lewej. Obszedł zwłoki, złapał je za nogi i wywłókłszy z gabinetu, zrzucił je po schodach. Zszedł na dół, przestąpił nad martwym ramieniem szeryfa, po czym otworzył drzwi piwnicy. Spojrzał na smugę krwi na podłodze. To akurat łatwo się domyje. Deski podłogowe są lakierowane w całym domu. Podobnie schody i korytarz na piętrze. Będzie musiał wymienić tylko dywan w gabinecie.

Kiedy ciało Dole'a spadało po zdradliwych stromych schodach do piwnicy, usłyszał trzask łamanych kości. To i tak nie ma już znaczenia. Chwycił go znowu za but i zawłókł pod schody, gdzie kończyła się podłoga i zaczynała miękka ziemia. Oparta o tylną ścianę schodów stała łopata. Daryl zabrał się do pracy. Ziemia przesypywała się lekko i wkrótce utworzyła kopiec. Zostawił pistolet szeryfa na miejscu, w kaburze, ale wyjął kluczyki od samochodu, komórkę i portfel. Dźwignął ciało za tułów, obrócił się i wrzucił go do dołu. Za kilka minut znajdzie samochód, którym przyjechał szeryf, wywiezie go w jakiś zakazany ciemny zaułek Los Angeles i zostawi razem z kluczykami, komórką i portfelem. Wszystko zniknie w ciągu dziesięciu minut.

Zasypał zwłoki ziemią, uklepał powierzchnię i oparł łopatę o ścianę. Rano zaleje to miejsce cementem. Tylko tyle, ile trzeba, aby zasłonić grób.

Kiedy kupił ten dom, cała piwnica miała podłogę z ubitej ziemi. Powoli, z biegiem czasu, sprowadzał tu kolejnych gości. Zabijał ich, zakopywał, po czym zalewał miejsce pochówku cementem.

Rozejrzał się i stwierdził, że pozostał już tylko bardzo mały skrawek ubitej ziemi. W pomieszczeniu o powierzchni dziesięć na siedemnaście metrów zdołał zakopać i zacementować wiele ciał.

Próbował ocenić ile. Za dużo, żeby zliczyć.

Jedno więcej nie robi różnicy.

No i był jeszcze dom w Port Lonely. Szeryf Dole nie sprawdził podłogi w piwnicy. Każdy, kto wszedł Darylowi w drogę tam albo w Bay City, kończył w tej piwnicy. Nie było tych osób wiele, tylko sześć. Nie to co w Bostonie. Tamtą podłogę skończył cztery lata temu. Ale w niektórych domach było jeszcze miejsce. W Nowym Jorku. W Austin. W Orlando. Cheyenne. W drugim domu w Los Angeles. W Waszyngtonie. Phoenix. Houston. A teraz w Medinie.

Dom w Medinie miał mnóstwo miejsca. To jego najnowszy nabytek. Za pięć milionów. Skromna suma jak na miejsce, gdzie mieli swoje rezydencje Bill Gates i Jeff Bezos. Medina to bezpieczny mały raj milionerów z widokiem na jezioro i Seattle. Daryl nie mógł się już doczekać, kiedy tam osiadzie.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

– Wynikło coś nowego. Musimy o tym porozmawiać jeszcze raz. Nie obchodzi mnie, ile razy o tym mówiłeś. Albo opowiesz mi jeszcze raz wszystko, co wiesz o J.T. LeBeau, albo przysięgam na Boga, że do końca życia nie opuścisz tej celi. Zaginął szeryf Dole. Nie będę tracić czasu na pierdoły.

Paul zauważył ślinę zbierającą się w kącikach ust Melissy Bloch. Jeszcze chwila, a rzuci mu się do gardła. Spędził w areszcie dwadzieścia cztery godziny. Zawieziono go do sądu pod zarzutem usiłowania zabójstwa. Cekał na przewiezienie do Port Lonely, kiedy do celi weszła Bloch i oznajmiła, że musi z nim porozmawiać w sprawie nowych okoliczności.

Doszedł do wniosku, że musi zacząć współpracować z policją. Nie ma sensu dłużej niczego ukrywać.

– Powiem wszystko, co wiem. Nie chcę, żeby jeszcze komuś stała się krzywda – oznajmił.

Powtórzył więc całą historię od początku. Tak samo jak poprzednio. Nie zataił żadnych szczegółów.

– Ludzie, którzy poznają prawdę o J.T. LeBeau, umierają. Musi pani uratować Marię. Proszę jej powiedzieć, żeby trzymała się z dala od Daryla Oakesa.

Bloch przygryzła wargę. Dole pojechał poprzedniego wieczoru, żeby spotkać się z Marią. Do tej pory nie mogła się z nim skontaktować.

– Gdzie możemy znaleźć Oakesa? – spytała. – Gdzie jeszcze ma domy?

– Nie wiem. W Port Lonely. Kiedyś mieszkał na Manhattanie. Słowo daję, że nie mam pojęcia, czy ma jeszcze gdzieś jakieś domy lub mieszkania.

Wstała i bez słowa wyszła z pokoju.

Tego ranka Paulowi przedstawiono w Port Lonely nowe zarzuty.

Tym razem Josephine Schneider załatwiła adwokata, który złożył wniosek o wyznaczenie kaucji za Paula. Prokurator zgłosił sprzeciw

i sędzia wyznaczył poręczenie w wysokości dziesięciu milionów dolarów. Oskarżony musi wpłacić jedną dziesiątą tej sumy jako kaucję. Ale były również warunki. Paul nie mógł zostać w Port Lonely. Musiał znaleźć miejsce do zamieszkania poza granicami miasta. Nie mógł się kontaktować z żoną, Marią Cooper, ani z żadnym potencjalnym świadkiem lub osobami mającymi związek ze śledztwem. Czyli między innymi z Darylem Oakesem.

– Mój klient podpisze poręczenie jeszcze dzisiaj po południu. Pieniądze z kaucji trafią do sądu najszybciej, jak się da – powiedział w sądzie prawnik, którego zatrudniła Schneider.

A wkrótce po posiedzeniu w sądzie poinformował Paula, że jego agentka wpłaciła milion dolarów kaucji, i kazał jej do niej zadzwonić. Paul zrobił to z automatu telefonicznego w areszcie sądowym Port Lonely.

– Wydzwaniałam chyba co pół godziny. Nic ci nie jest?

– Nie, wszystko w porządku. Jezu, Josephine, nie wiedziałem, że dysponujesz taką sumą. Nie umiem powiedzieć, ile to dla mnie znaczy. Jestem ci ogromnie wdzięczny za tę kaucję. Kłopot polega na tym, że nie mogę zostać w Port Lonely. Muszę znaleźć jakiś hotel.

– Zaraz o tym porozmawiamy. Dobrze usłyszeć twój głos. Powinieneś być do mnie zadzwonić. Nie odezwałeś się ani razu, od kiedy zadzwoniłeś z Kajmanów.

– Potrzebowałem trochę czasu w samotności. Dziękuję, że mi pomogłaś. Przykro mi cię prosić...

– Och, przestań, głuptasie. Po to tu jestem. Kiedy wyjdiesz z aresztu, kilka przecznic dalej znajdziesz bank Western Union. Czeka tam na ciebie dziesięć tysięcy. Pieniądze na podróż. Na lotnisku w Bay City jest już zarezerwowany dla ciebie bilet na samolot. Przepraszam, że pozwoliłam sobie podjąć za ciebie decyzję. Załatwiłam ci mieszkanie. Miejsce, gdzie będziesz mógł przez chwilę odetchnąć. Przemyśleć sprawy.

– Gdzie?

– Mam nowego klienta. Gruba ryba. Zwerbowałam go jakiś czas temu. Powiedziałam mu, że jeden z moich klientów przechodzi trudny okres. Facet chce pomóc. Wyjeżdża obecnie na trasę promocyjną do Europy i zostawia pusty dom w stanie Waszyngton. Powiedział, że możesz tam pomieszkać, jak długo zechcesz. Prawnik, którego ci wysłał, przekazał adres sędziemu. Wszystko jest załatwione, możesz tam pojechać w każdej chwili.

– To bardzo miłe.

– Śliczne miejsce. Spotkamy się tam jutro. Pomogę ci się urządzić w domu i zostanę na parę dni. Dopilnuję, żebyś się zadomowił. Szczerze

mówiąc, sama nie mogę się doczekać, żeby to zobaczyć. To rezydencja nad jeziorem, naprzeciwko Seattle.

– Jak się nazywa miejscowość? – spytał Paul.

– Medina.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY

Za pieniądze podjęte w Western Union Paul kupił sobie porządne ubranie i zameldował się w hotelu w Bay City. Zamierzał odpocząć i w miarę możliwości nie myśleć o czekającym go procesie. Warunki poręczenia zabraniały mu kontaktowania się z Marią, więc nawet nie próbował tego robić. Zresztą to i tak nie ma sensu. Widział, jak na niego patrzyła przed teatrem w Los Angeles. Zadzwoił do Biura Szeryfa w Port Lonely, podał im numer swojego pokoju i nazwę hotelu, bo to również należało do warunków zwolnienia. Z pewnością to sprawdzą i upewnią się, czy jest na miejscu. Nie żeby spodobało im się, gdyby się wymknął.

Wziął długi prysznic, po czym włożył hotelowy szlafrok i rzucił się na łóżko. Nie włączył telewizora. Nie chciał zobaczyć siebie w wiadomościach. Położył się i zasnął.

Ze snu wyrwało go pukanie do drzwi. Wstał i spojrział przez wizjer. W końcu westchnął i wpuścił do środka Melisę Bloch.

Zastępczyni szeryfa weszła bez słowa. Paul zwrócił uwagę, że jest po cywilnemu – w czarnych dżinsach, czarnych butach i czarnej kurtce zapiętej na suwak pod samą szyję.

– Dzwoniłem już do was. Nie naruszyłem warunków zwolnienia.

Przeszyła go ironicznym spojrzeniem i usiadła w fotelu w kącie pokoju. Paul czekał na stojąco.

– A jak pan myśli, skąd wiedziałam, że pan tu jest? Wiem, że się pan tu zatrzymał, Paul. Musimy porozmawiać.

– Może powinienem ściągnąć swojego prawnika?

– Proszę, może pan do niego zadzwonić, a ja wyjdę. Ale jeśli zechce pan porozmawiać, to jesteśmy tu tylko we dwoje. Myślę, że to w pańskim interesie.

Z westchnieniem przeciągnął ręką po włosach.

– Dobra, proszę mówić. O co chodzi?

– Włamałam się do komórki szeryfa Dole'a. Zadzwoiła do niego pańska żona. Zostawiła mu wiadomość w poczcie głosowej. Powiedziała, że Daryl

Oakes jest J.T. LeBeau. Od tamtej pory nikt szeryfa nie widział. Policja Los Angeles znalazła samochód, który dała mu do dyspozycji, spalony na South Side. Nikt nie wie, jak się tam znalazł.

– Jezu! – Paul poczuł nagle ściskanie w żołądku, które zaczęło się rozprzestrzeniać na całe ciało. – Czy Marii nic się nie stało?

– Myślę, że szeryf pojechał dopaść Oakesa. Nie wezwał wsparcia, tylko zadzwonił do mnie. Opowiedziałam mu kiedyś o swoim ojcu. Mój tata krył kolegów, którzy brali łapówki. Szeryf wiedział, że rozumiem, jak to działa. Policjanci nie donoszą na kumpli. Sądzę, że pojechał za Oakesem, żeby go zabić, ale tamten dopadł go pierwszy.

Na jej twarzy malowały się żal i rozczarowanie. Siedziała zgarbiona, z zaciśniętymi pięściami. Wrzał w niej gniew, który z wielkim trudem utrzymywała pod kontrolą.

– Gdzie jest Maria? – spytał Paul łamiącym się głosem. Zakasłał i odchrząknął.

– Tak jak pan powiedział, każdy, kto dowiaduje się, kim jest LeBeau, kończy martwy. Niech mi pan pomoże go złapać. To się musi skończyć.

– Pomogę pani, ale proszę mi powiedzieć, czy Maria...

Nie mógł tego wykrztusić.

Bloch złagodniała na twarzy, rozluźniła dłonie.

– Chyba powinien pan usiąść.

Paul przycupnął na brzegu łóżka.

– Maria odebrała sobie życie, Paul.

Czternaście godzin później w hali przylotów Josephine objęła Paula i przytuliła serdecznie i z uczuciem.

– Ach, jak ty wychudłeś. Będę cię musiała podtuczyć. Na szczęście mamy pod nosem sześć restauracji i już zamówiłam dla nas stoliki. Chodź, zaparkowałam przed wejściem.

Wyprowadziła go z hali na ciepłe popołudniowe słońce. Niedaleko drzwi czekał zielony kabriolet. Paul włożył swoją torbę do bagażnika i odjechali.

Przez większą część drogi milczał, pozwalając mówić Josephine.

Jego przyjaciółka ani słowem nie wspomniała o procesie sądowym, pieniądzech ani o mnóstwie innych problemów, które go czekały. Paul był jej za to wdzięczny.

Wkrótce wjechali na przedmieścia z wielkimi, okazałymi domami w najróżniejszych stylach – od tradycyjnego, klasycznego, poprzez art déco,

aż po industrializm. Słońce zaczynało zachodzić, zapadał purpurowy zmierzch.

– Boże, kto ma ochotę mieszkać w budynku, który wygląda jak fabryka? – spytała krytycznie Josephine.

Niebawem zjechała z drogi w ulicę biegnącą między wysokimi kolonialnymi rezydencjami. Na końcu alei, cofnięty bardziej niż inne od drogi, stał wyjątkowo stary i piękny dom. Josephine zaparkowała na podjeździe, wysiadła i przyglądała się z podziwem budynkowi oraz wielkiemu dębowi rosnącemu przed wejściem. Paul wyjął z bagażnika torbę i dołączył do niej.

Budowla wykończona był klasycznie – drewnianymi panelami, pomalowanymi lśniącą białą farbą. Ceglane schodki prowadziły na wielki ganek, z dachu wystawał rząd lukarn. Był nawet płot z białych sztachet, otaczający trawnik od frontu.

Prawdziwy dom marzeń.

– Boski, prawda, skarbie? – odezwała się Josephine.

Paul z uśmiechem skinął głową. Dom przetrwał próbę czasu. Wyglądał na dobrze utrzymany i z jakiegoś powodu sprawiał wrażenie miejsca, w którym każdy może być szczęśliwy.

Josephine otworzyła drzwi i weszli do środka.

Hol wznosił się na wysokość dwóch kondygnacji. Po prawej stronie na górę prowadziły masywne kręte schody z balustradą z drewna sekwojowego. Na ścianie po lewej wisiał obraz olejny przedstawiający kobietę w objęciach wielkiego czarnego łabędzia.

– Przepiękny, prawda? *Leda z łabędziem*. Znasz Yeatsa? – spytała Josephine.

Skinął głową, chociaż nie znał. Na stole pod obrazem stał wazon ze świeżymi kwiatami, które maskowały lekki zapach stęchlizny charakterystyczny dla starych budynków.

Na wprost zobaczyli oszklone drzwi do kuchni, a dalej ogród z basenem. Po prawej, przed schodami, było wejście do ogromnego salonu. Paul odwrócił się do Josephine, która stała plecami do niego i nie odrywała wzroku od malowidła. Wciągała powietrze nosem, a następnie wypuszczała je ustami, jakby wdychała obraz razem z powietrzem.

Paul zerknął przez ramię i zobaczył zamknięte frontowe drzwi. Wypuścił z piersi powietrze. Stracił wszystko, co było w jego życiu dobre. Najwyższy czas, aby dokończyć tę historię raz na zawsze.

Rzucił torbę na podłogę, podszedł do Josephine i chwycił ją od tyłu za gardło. Zacisnął palce na jej smukłej szyi. Otworzyła usta i zaczęła głośno

chwytać powietrze.

– Co ty wyprawiasz? – spytała z paniką w głosie.

– Gdzie on jest? Wiem, że to ty mu powiedziałaś, gdzie się ukrywam. Długo się nad tym zastanawiałem. To mogłaś być tylko ty. Więc gdzie on jest? Gdzie twój nowy klient? Gdzie LeBeau?

Z salonu doleciał głos. Znajomy, a jednak dziwnie obcy.

– Przyrowadź ją tutaj, Paul. Nie rób jej krzywdy, to by było grubiańskie.

Paul obrócił się błyskawicznie, trzymając ją przed sobą. Jednym ramieniem otaczając jej szyję, ruszył w stronę, z której dochodził głos. Używał Josephine jak żywej tarczy.

Ujrzał otwartą przestrzeń salonu. Cztery kanapy z zielonym skórzanym obiciem tworzyły kwadrat wokół mahoniowego stolika. Na kanapie zwróconej przodem do wejścia siedział śniady, łysy mężczyzna w jasnoniebieskim garniturze i białej koszuli rozpiętej pod szyją. Możliwe, że ogolił głowę kilka dni temu, ponieważ wokół twarzy utworzył się ciemny meszek, ukazujący linię włosów. Daryl. A zarazem nie Daryl. Raczej jedno z jego kolejnych wcieleń. Mężczyzna siedzący na kanapie był teraz J.T. LeBeau. Jego sylwetka, cera, oczy – wszystko się zmieniło.

– Usiądź, Paul, zanim zrobisz coś głupiego – powiedział LeBeau. Wskazał ręką kanapę po drugiej stronie stolika.

Paul zauważył pistolet leżący na siedzeniu obok niego. Prawa dłoń LeBeau powędrowała w stronę broni i spoczęła na rękojeści, palec wskazujący delikatnie dotknął spustu.

– Dobrze mi tu, gdzie jestem – odparł Paul.

– Nie chciałbym, żebyś skrzywdził Josephine. Była bardzo pomocna. Nie znalazłbym cię bez niej. Puść ją, a ja nie będę strzelał. Cieszę się, że przyszedłeś. Mam coś dla ciebie.

Pobiegł wzrokiem w stronę stolika do kawy. Paul zrobił to samo. Obok laptopa leżał gruby wydruk komputerowy.

– Muszę ci podziękować – ciągnął LeBeau. – Po pierwsze, za przechowanie moich pieniędzy. Po drugie, za to, że ofiarowałaś mi moją ostatnią powieść. Myślę, że to moja najlepsza książka. Chciałbym, żebyś ją przeczytał.

– Mam w dupie ciebie i twoje książki – rzucił Paul.

– Puść mnie – odezwała się Josephine.

– Zamknij się – warknął.

Nie mógł oderwać wzroku od LeBeau. Facet miał w sobie jakąś dziką siłę, zarazem magnetyczną i przerażającą. Paul odniósł wrażenie, że

znalazł się w jednym pokoju z tygrysem – wielkie ślepia obliczały, kiedy i jak skoczyć do ataku. Mężczyzna siedzący na kanapie był prawdziwym drapieżnikiem.

Z głębi domu dobiegło Paula kliknięcie. Może zamka u drzwi.

LeBeau też to usłyszał. Oczy mu się rozszerzyły, usta rozciągnęły i obnażyły zęby. Poruszał się z niebywałą prędkością. W okamgnieniu chwycił pistolet, poderwał się z kanapy i z uniesioną bronią zaczął wycofywać w stronę drugiego wyjścia z salonu.

Za plecami Paula rozległ się tupot stóp w korytarzu; ktoś biegł.

– Policja, rzuć broń! – zawołała Bloch, wchodząc do salonu z glockiem przygotowanym do strzału.

W tym momencie Josephine, mimo że Paul ją trzymał, obróciła się i zacisnąwszy pięść, uderzyła go w krocze. Przebiegła go fala przeszywającego bólu, aż zaparło mu dech w piersiach.

Nie widział, co się stało potem. Upadł na podłogę i w tej samej chwili rozległy się dwa strzały. Bloch rzuciła się na podłogę obok niego i ukryła za kanapą. Kolejne dwa pociski świsnęły nad ich głowami i uderzyły w ścianę, wzbijając tumany pyłu z odłupanego tynku.

Kiedy ucichł huk serii, Bloch podniosła się z podłogi, kucnęła i po chwili wystrzeliła w górę. Oddała jeden strzał, a następnie całą serię, która cisnęła nią na ścianę. Osunęła się na podłogę, głowa opadła jej bezwładnie na bok. Paul zobaczył rozdarcia w jej skórzanej kurtce, jakby zrobione przez dzikie zwierzę. Broń wypadła jej z dłoni.

Z drugiego końca salonu dobiegł jęk i chwilę później odgłos ciała uderzającego o podłogę. Bloch musiała trafić LeBeau. Paul podczołgał się do jej pistoletu, lecz nagle ktoś złapał go za kostkę i coś ciężkiego uderzyło go w plecy. Odwrócił się. Siedziała na nim Josephine. Wznosiła nad głowę duży szklany wazon i mierzyła nim prosto w jego twarz. Wzięła zamach, wygięła plecy, wykrzywiła usta z wściekłości.

W tym momencie Paul usłyszał następny strzał i jednocześnie poczuł na twarzy coś mokrego. Otworzył oczy. Wazon wysliznął się z rąk Josephine i upadł za jej głowę. Twarz jej zmartwiała, na piersi wykwitła wielka czerwona rana. Po chwili oczy Josephine uciekły w głąb czaszki i osunęła się na podłogę, a w polu widzenia Paula pojawiła się Maria z pistoletem celującym w miejsce, gdzie przed chwilą siedziała Josephine.

Ale przecież to nie mogła być Maria. Maria nie żyła. Melissa Bloch powiedziała mu, że jego żona popełniła samobójstwo. A jednak to bez wątpienia była ona. W niebieskich dżinsach i czarnej kurtce. Z włosami związanymi z tyłu. Popatrzyła na Bloch, po czym skinęła do Paula głową.

Gdy próbował się podnieść, przeszywający ból powalił go z powrotem na podłogę. Spuścił głowę, dotknął dłonią koszuli i zobaczył dużą plamę krwi. Kula przeszła na wylot przez ciało Josephine i dosięgła jego piersi.

Maria dostała pistolet od Melissy Bloch, zanim weszły do domu od strony ogrodu. Przyleciały samolotem przed Paulem. Wynajęły samochód i czekały na niego i Josephine. Maria ufała zastępczyni szeryfa. Bloch była jedyną osobą, która wiedziała, że Maria przeżyła, że w pokoju hotelowym upozorowała przed Darylem samobójstwo.

Rezydencja miała wielki ogród, obie bez trudu sforsowały sztachety ogrodzenia. Znalazły otwarte tylne drzwi i bezszelestnie wśliznęły się do środka. Najbardziej ryzykował Paul. Bloch była dobrym człowiekiem, Maria od razu to wyczuła. Nie miała wątpliwości, że szeryf Dole nie żyje. LeBeau okazał się śmiertelnie niebezpieczny. Trzeba było położyć kres jego zbrodniom. Bloch się z nią zgodziła.

Dopiero teraz Maria zaczęła wszystko rozumieć.

Stała w wejściu do salonu z pistoletem w dłoni i patrzyła, jak Melissa Bloch dostaje dwie kule w pierś. Z drugiej strony pokoju dobiegł odgłos upadającego ciała – LeBeau też został trafiony. Widziała, jak Paul czołga się po broń, jak Josephine wali go w plecy wazonem i siada na nim, gdy Paul się odwrócił. Usiadła na nim i podniosła wazon nad głowę, żeby mu zadać kolejny – śmiertelny – cios. Maria zastrzeliła ją bez chwili namysłu.

Wtedy Paul ją zobaczył. Na jego twarzy odmalował się wstrząs. Oszołomienie. Niedowierzanie. Kula przeszła przez Josephine i Paul dostał w pierś. Nie chciała tego, to był wypadek. Stłumiła panikę i wyrzuty sumienia; zdała sobie sprawę, że jeśli będzie tkwić w miejscu, ona może zginąć następna. LeBeau wciąż tu był. Wstała i zobaczyła go w głębi salonu. Porzucił pistolet i czołgał się w stronę drzwi. Zostawiał za sobą na dywanie wielkie, ciemne plamy krwi. Bloch poważnie go zraniła.

– Daryl, najdroższy – powiedziała Maria.

Znieruchomiał, odwrócił się, przerażony, i wytrzeszczył oczy. Twarz miał oblaną potem, garnitur cały we krwi. Kula trafiła dokładnie w żołądek.

– Ty nie żyjesz – powiedział. – Czy to znaczy, że ja też nie żyję? – Patrzył na nią głupio i trząśł się z przerażenia.

Maria uniosła broń.

– Kiedy ocknęłam się w szpitalu, lekarze powiedzieli, że cierpię na chroniczne zapalenie żył. Napędziłam im strachu, bo nie mogli wyczuć

mojego pulsu. Zdałam sobie sprawę, że jeśli upozoruję swoją śmierć, ty też się nabierzesz. Wygrałam, sukinsynu.

Otworzył usta, żeby coś powiedzieć. Odwrócić jej uwagę, a jednocześnie sięgnąć po broń, która leżała dwa metry od niego. Maria rozwiązała jego złudzenia, pociągając za spust. Trzy razy. Pierwszy pocisk trafił go w głowę. Dwa następne w pierś.

Wypuściła z płuc powietrze i podeszła do Paula. Walczył o każdy oddech, krew wypływała mu na usta. Uklękła i objęła go za głowę.

– Żyjesz... tak się cieszę, że żyjesz – odezwał się. – Przepraszam.

Pocałowała go, powiedziała, że to już nieważne. Że wszystko będzie dobrze. To nie jego wina.

– Nieprawda. To moja wina. Proszę... wybac mi – jęknął.

– Wybaczam ci.

Trzymała go za rękę, dopóki nie wydał ostatniego tchnienia i nie umarł w jej ramionach.

Potem wstała i podeszła do Bloch. Delikatnie dotknęła jej policzka i powiedziała coś łagodnie. Na klatce piersiowej nie było widać krwi. Kamizelka kuloodporna zatrzymała pociski, lecz upadając, Bloch uderzyła głową o ścianę. Miała zakrwawione włosy. Powoli się ocknęła.

– Już po wszystkim – rzuciła Maria.

Pomogła jej się dźwignąć i puściła dopiero wtedy, gdy Bloch stanęła pewnie na nogach, Włożyła pistolet do kieszeni, wzięła ze stolika laptopa oraz wydrukowany manuskrypt powieści i wsunęła je pod ramię.

– Idź – powiedziała Melissa. – Wezwę policję i wszystko wyprostuję.

I Maria wyszła.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY PIERWSZY

Maria poprawiła laptopa, który ześlizgiwał jej się z kolan. Upiła łyk piña colady, po czym odstawiła ją na piasek obok swoich butów od Manolo Blahnika.

Skupiła się na monitorze. Termin ją naglił.

Bloch zataiła jej udział w sprawie. Nazajutrz po strzelaninie wszystkie wiadomości trąbiły o dzielnej policjantce, Melissie Bloch, która w Medinie dopadła groźnego przestępcę, wypuszczonego dzień wcześniej za kaucją. Zabiła go na miejscu, lecz najpierw zastrzelił dwie osoby – mężczyznę i kobietę – których nazwisk nie podano do wiadomości publicznej.

Tydzień po powrocie do Bay City Maria zadzwoniła do Nowego Jorku, do Theo Fullertona, który kierował wydawnictwem publikującym powieści J.T. LeBeau.

– Dzień dobry, panie Fullerton, mówi Maria Cooper. Był pan bardzo miły podczas uroczystości upamiętniającej mojego męża, lecz mam wyrzuty sumienia. Muszę panu wyznać prawdę. Mój mąż, Paul, czyli J.T. LeBeau, pozostawił niedokończoną powieść. Zamierzam ją dokończyć. Będę waszym nowym J.T. LeBeau i chciałabym przedyskutować warunki umowy. Na razie jednak bardzo proszę, aby pozostało to naszą tajemnicą.

Dwa tygodnie po tej rozmowie telefonicznej Maria podpisała umowę z zaliczką w wysokości pięciu milionów dolarów i wynajęła ekipę prawników, którzy zajęli się tropieniem nieruchomości należących do J.T. LeBeau. No i miała pieniądze. Nikt inny nie zgłaszał do nich pretensji. A ona dysponowała możliwościami, aby je przejąć.

Jej nowa powieść nosiła tytuł *Wkręcenie*. Była prawie skończona, kiedy zabrała manuskrypt z domu w Medinie. Wersja elektroniczna pozostała w laptopie i Marii udało się wprowadzić drobne zmiany. Przede wszystkim należało napisać nowe zakończenie. Poprzedni autor używał fałszywych imion – Martha, Saul i Darren. Zmieniła je na prawdziwe. Przedmowę autora pozostawiła bez zmian. Pasowała do okoliczności. Nikt nie mógł odróżnić prawdy od fikcji, poza bohaterami tej historii. A ci zginęli... poza

nią i Melissą Bloch. Bloch nie piśnie nikomu ani słowa o tym, co się naprawdę wydarzyło.

Maria upiła kolejny łyk piña colady, podniosła wzrok na jasne błękitne niebo nad Barbadosem i wróciła do książki. Już prawie kończyła. Przeczytała ponownie to, co przed chwilą napisała.

Maria stała w wejściu do salonu z pistoletem w dłoni i patrzyła, jak Bloch strzela, a następnie trafiona dwoma kulami w pierś, uderza głową o ścianę i pada nieprzytomna. Usłyszała, jak na drugim końcu pokoju trafiony LeBeau również osuwa się na podłogę. Widziała, jak Paul czołga się po pistolet upuszczony przez Melisę, a po chwili Josephine rzuca mu się na plecy z ciężkim wazonem w rękach.

Josephine nie zdawała sobie sprawy z niebezpieczeństwa, jakie jej groziło. Maria wymierzyła jej w plecy i nacisnęła spust. W okamgnieniu Josephine znieruchomiła i padła nieżywa na podłogę.

Wtedy Paul odwrócił się i zobaczył, kto uratował mu życie. Na jego twarzy malował się wstrząs. Oszłomienie. Niedowierzenie. Zaczął się podnosić, lecz Maria go powstrzymała.

– Poczekaj, Paul, nie podnoś się.

Wstała i wyszła na środek salonu. Zobaczyła, że LeBeau porzuca swój pistolet i czołga się w stronę drzwi. Zostawiał za sobą na dywanie wielkie, ciemne plamy krwi. Zrozumiała, że Bloch poważnie go zraniła.

– Daryl, najdroższy – powiedziała.

LeBeau znieruchomiał, odwrócił się, przerażony, i wytrzeszczył oczy. Twarz miał oblaną potem, garnitur cały we krwi. Kula trafiła dokładnie w żołądek. Patrzył na Marię głupio i trząsł się ze strachu.

– Ty nie żyjesz – rzucił. – Czy to znaczy, że ja też nie żyję?

– Tak – odparła Maria. – Teraz już tak. – Uniosła broń i strzeliła mu w głowę, a potem dla pewności jeszcze dwa razy w pierś.

Kiedy się odwróciła, stał przed nią Paul.

– Żyjesz... tak się cieszę, że żyjesz. Przepraszam cię – powiedział.

Stał przed nią z wyciągniętymi ramionami i niekłamanym żalem malującym się na twarzy. Był cały i zdrowy. Lecz Maria wiedziała, że nie będzie w stanie go pokochać.

– Ja też cię przepraszam, Paul. Przepraszam, że cię poznałam.

To powiedziawszy, podniosła broń, wymierzyła w jego pierś i nacisnęła spust.

Paul padł martwy na podłogę.

Maria zaznaczyła fragment, który właśnie przeczytała, i usunęła go jednym naciśnięciem klawisza.

Musi wymyślić coś lepszego.

Czasem prawda bywa zbyt brutalna.

Podziękowania

Jest wiele osób, które zasługują na podziękowania za pomoc w napisaniu tej książki. Pomysł na nią pochodzi od mojej żony Tracy. Jestem jej za to ogromnie wdzięczny, podobnie jak za jej wsparcie, komentarze i sugestie, dzięki którym ta powieść żyje. Niczego bym nie osiągnął bez żony.

Dziękuję moim redaktorkom, wspaniałej Francesce Pathak i Christine Kopprasch, za to, że uczyniły tę książkę o wiele lepszą i zmusiły mnie do największego wysiłku. Emadowi, Harriet, Katie i całemu Orionowi. Amy, Bobowi i wszystkim we Flatiron Books. Euanowi oraz pozostałym z A.M. Heath za wasze wsparcie, mądrość i profesjonalizm.

Luce Veste'owi za pierwszą lekturę i zachęcanie mnie, bym pisał tę książkę dalej.

Pisarzom, którzy mnie wspierali i pomagali mi w tej pracy.

Jamesowi Law z Quentin Bates za marynarską pomoc w zatapianiu łodzi.

Chloe i Noah. Oraz Lolly.

Mojemu tacie.

Marie i Tomowi.

Mojej rodzinie i przyjaciołom.

Księgarzom na całym świecie, którzy sprzedają moje książki.

Tobie, drogi czytelniku.

Dziękuję wam wszystkim.

[1] Postać z cyklu powieści Steve'a Cavanagha; zawodowy oszust, który został prawnikiem.